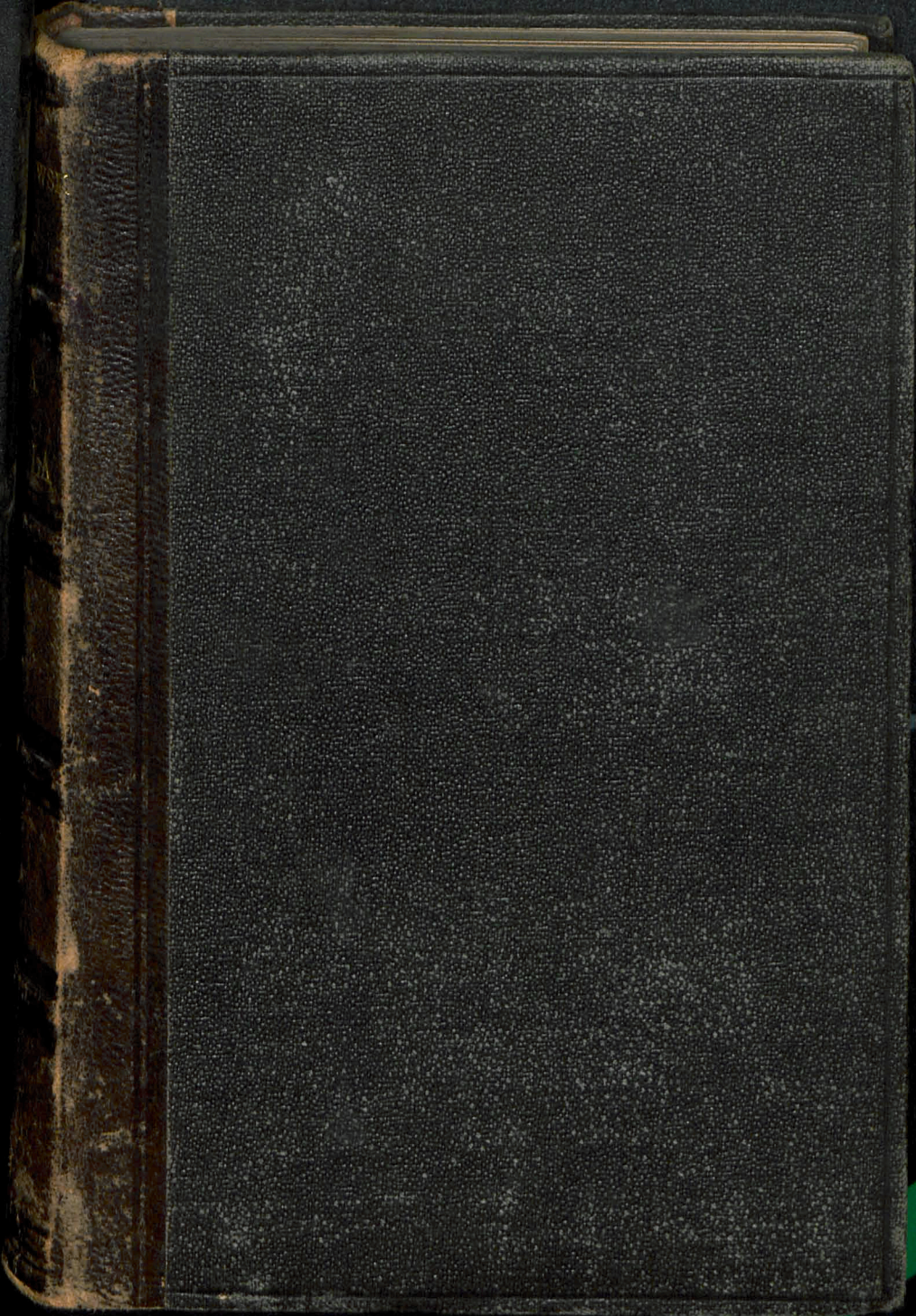




WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

112. IX. 13.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

DOLA I NIEDOLA.

Powieść historyczna.

CZĘŚĆ II.

TOM III.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki Nr. 3.

1882.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Мая 1881 года.



МК/М/991

DOLA I NIEDOLA.

POWIEŚĆ.

Z OSTATNICH LAT XVIII WIEKU.

Dokończenie.

Nazajutrz hrabina Adamowa wzięła najświeższy ekwipaż i najstaranniejsze ubranie od Łazarewiczowej. Jadąc do swęj rywalki, chciała się też pokazać wesolą, świetną, młodą, dowieść, że małżeństwo nie przerobiło jęj na zadomowioną gosposię, ułożyć i twarz i umysł do swobodnej rozmowy... Ów sławny policzek był już zupełnie zapomniany, przed sobą samą Krystyna tłómaczyła go uderzeniem, jak Talleyrand później nazwał swój *soufflet*, *un fameux de poing*.

Julia wcale nie wystąpiła z przyjęciem dawnęj przyjaciółki, owszem pozostała umyślnie w ranném ubraniu; ale przyjaciele kasztelanowej za wczasu wiedzieli o godzinie spotkania i głosili po mieście ową wizytę, a mnóstwo ciekawych gotowało się w tęg porze meldować u drzwi hrabiny, aby widzieć powóz Krystyny własnymi oczyma i wyrzucić bilety. Staruszka starościna Z..., która miała być przytomna pierwszemu powitaniu, przybyła bardzo wcześnie, i obliżywała się już na samą myśl opowiadań, jakie miała z kolei wieczorem powtórzyć w kilku przyjaznych domach stolicy, i listów, które nazajutrz o tem należało

w świat wyprawić. Prowincya także musiała być za-
wiadomiona o ważnym wypadku.

O godzinie naznaczonej, dwie panie, piękna Julia i starościna Z... siedziały w salonie uśmiechając się do siebie, gdy oznajmiono Krystynę. Po chwili weszła ona żywo, milcząco posuwając się do dawniej przyjaciółki; potem rzuciła się ją ścisnąć gwałtownie po dawnemu, konwulsyjnie prawie, nie jeszcze nie mówiąc... Odbywszy tę pierwszą scenę, usiadła zaczerwieniona i zmieszana nieco, a starościna, której język świerzbiał, chcąc niby dopomódz, rozpoczęła rzecz o pogodzie, o znakomitym Angliku, który bawił w Warszawie, o bonończyku hetmanowej, co się był wściekł ze zbytku szczęścia i pokarmu... o rzeczach obojętnych.¹

Julia i Krystyna wmieszały się do rozmowy; pierwsze lody były przebite. Starościna mimo wielkiej chęci pozostania, musiała myśleć o odwrocie; zabrała swój woreczek pełny cukierków od kaszlu, spazmów, mdłości i niestrawności, i rzuciwszy okiem ciekawem na współzawodniczki, wyjechała zostawiając je same.

Teraz dopiero obie strony poczuły nadchodzącą trudną chwilę: musiało przyjść do wywnętrzeń, do przykrych tłumaczeń, które tylko sam na sam wyrzeczone być mogły. Julia grała dziwnie szczęśliwie obojętność, tak uludną, że nawet oko wprawnej Krzysię nie mogło w tém odkryć fałszu i udania. Woła potężną poskramiała w sobie uczucie, starała się pozostać i pozostała chłodną.

Po odjeździe starościny, Krystyna jeszcze raz rzuciła się na łono przyjaciółki, z wylaniem i skrucą.

— Daruj mi! przebacz jemu! — rzekła prawie

szlochając, choć nie płakała. Samaś winna, tyś mnie na to naraziła, jam tak była nieszczęśliwa całe życie z moim pocziwym nieboszczykiem, uśmiechnęła mi się przyszość, głowa zwróciła, serce owdadło mną... Zdradziłam cię niegodnie... czuję że gniew twój w pierwszej chwili był słuszny: daruj mi, ja cię proszę jeśli chcesz na klęczkach, o przebaczenie, bądź wspaniałą.

— O! wszystko to zapomniane od dawna! odparła Julia z uśmiechem łagodnym. Ty wiesz, miłość nie może być nieśmiertelną, niestety! a zdradzona, jest jak głęboka rana, która jeśli nie zabije, to się zgoić musi... I ja cię proszę o przebaczenie za mój szal, za moją porywczosć... wszystko to przeszło, zbliżniło się.

Wspomnienie zarumieniło lice Krystyny, bo było nowym policzkiem... Julia dokończyła:

— Ale powiedz mi Krzysiu, szczerze, otwarcie, jesteś ty z nim szczęśliwa? jesteś szczęśliwa?

Krystyna westchnęła.

— Ty inaczej, ja inaczej pojmowałam szczęście, inną się spodziewałam... Każdy ma to, czego pragnął, tworzy sobie czego pożądał. Twoje szczęście było w miłości niemożliwej na ziemi, idealnej, gwałtownej, wyłącznej, nie ludzkiej; tobie potrzeba było anioła nie człowieka i uścisku, któryby trwał bez przerwy lat tysiąc... nie prawdaż?

— O! ja tak byłam śmieszna sama to czuję! z gorącą odparła Julia.

— Widzisz! ja czego innego pragnęłam — kończyła pierwsza — ładnego, miłego, niegłupiego towarzysza w podróży, któryby mi był posłuszny i czynił co ja chcę, któryby mi przypadł do smaku, z którego bym

sobie sama urobiła idealnego tylko... męża... Różnica główna między nami, że ty szukałaś kochanka, ja tylko przyzwoitego małżonka. Adam się kształci i zostanie tём czём być powinien, czём chciałam, aby był... Miłość, moje życie, to kosztowna zabawka, która się opłacała bolem serca i głowy: zawsze ją porównywałam do pijaństwa, które jest także szalem miłym, ale nazajutrz staje się chorobą. Masz moje najszczerze tlómaczenie.

Przekład był widocznie *ad usum Delphini*.

— A ty? cóż porabiasz? co myślisz? dodała Krystyna po chwili—ty? nie zechcesz mi się wypowiedzieć szczerze?

— A! ja—odpowiedziała Julia zawaławszy się nieco—widzisz sama, ostyglam, upojenie przeszło, wstąpiłam w tę epokę życia, w której z siwym włosem na skroni i rozum nareszcie przychodzi... Bawię się... a im więcej się bawię, tём mi nudniej... Kochać już nie myślę.

— A! kochać się nie ma potrzeby, ale durzyć tych naszych dudków, to rzecz zabawna... Każdemu z nich się zdaje *qu'il est irresistible*. O! co za pocieszne istoty! Spójrzy która z nas na nich przypadkiem, wyobrażają sobie, że bez nich żyć nie możemy... Już cię to zabawne...

— A! moja droga—odpowiedziała Julia—to zabawka zużyta... tyle lat już się niemi ciągle bawimy... to już wzbudza litość, nie rozrywa...

— Wybrałaś się, słyszę do Warszawy, z zamiarem świetnego przepędzenia czasu... przyjmujesz często?

— A! cóż mam robić! przecież życie czёмś zająć potrzeba...

Julia mówiła to wszystko tak naturalnie, tak naiwnie, że Krystyna nie odkryła w niej ani śladu namiętności, ani odrobiny bolesnych wspomnień, któreby jęj domowe życie zakłócić mogły.

Przyjaźń dawniejsza dwóch towarzyszek młodości zdawała się powracać, ostudzona nieco przygodami życia, ale bez goryczy, jaką w nią wlało gwałtowne owo zerwanie.

— Nie widziałas Adama—odezwała się Krystyna, umyślnie sama dotykając znowu drażliwego przedmiotu.

— O! nie—dotąd... i nie sądzę...

— Owszem, mówiłam mu, potrzeba, żeby był u was.

— Jak chcecie... szepnęła Julia; sądzę, że mogę go widzieć bez gniewu i bez uczucia.

— Ukłoni ci się choć z daleka.

Julia umilkła.

— Zmienił się trochę, dodała Krystyna: utył, wypełniał, zmęźniał, i choć nie zbrzydł; ale powiedziała-bym, że się stał trochę pospolitym. Wygląda przyzwoicie, ale nie jest to już ów Cherubin młodziuchny.

Zaciąwszy usta, kasztelanowa nie odpowiadała nic; czuła, że Krystyna oddaje jęj wspomnienie odebrane-go policzka.

Ale pani starościna była nadzwyczaj czuła, posądzić ją jawnie o to nie było podobna. Zbliżyła się do Julii, chwyciła ją za ręce, ścisła, potrafiła nawet, co jęj czasem przychodziło z łatwością, zapłakać troszeczkę, dodając na rozstaniu:

—Więc zgoda, więc pokój między paniami chrześciańskimi! Nie miej do mnie w sercu żalu.

— Zgoda, pokój i zapomnienie uraz, moja Krzysiu.

Po nowych pocałunkach, w których ze strony Julii było wiele wstrzemięźliwości, rozstały się nareszcie, obie rade, że się widziały. Po stolicy pani de Rive, starościna Z... i inne panie wozily tego wieczoru wieść pocieszającą o zgodzie rywalek; a król, któremu Węgierski powiedział z przekąsem, że ranę zadaną przez policzek zagojono pocałunkiem, odparł tajemniczo, kiwając głową:

— Nie wierzę w zgody kobiece i łatane trzewiki.

Posłuszny rozkazom żony, zameldował się hr. Adam do kasztelana... Nie przyjęto jednak pana starosty. Poszedł z kolei do drzwi hrabiny Julii. Gdy jęj imię jego przyniesiono, Julia zbladłszy nieco, kazała go prosić.

Na szczęście nikogo nie było w salonie, gdyż mimo wysiłku drżała jak liść, a gdy wszedł, potrzebowała całej mocy nad sobą, by się ku niemu nie rzucić.

Adam wstąpił na próg chłodny, bynajmniej niezmieszany; ale gdy dotknął jęj ręki, jakby iskra elektryczna przebiegła strumieniem całą krew jego, uczul się wzruszonym, niespokojnym, upokorzonym.

Usiadł, spojrział nieśmiało na nią; a twarz ta, pierwsza twarz co mu się uśmiechnęła w życiu uczuciem nieznanem, usta, których słodycz była pierwszą odkrytą tajemnicą jego młodości, wydały mu się dziwnie uroczę.

Jakiś wyraz spokojnej, ale silnej namiętności gorzał na tęp posągowej twarzy, jak gdyby w marmurówm wnętrzu bogini greckiej ukryto lampę zapaloną. Pytanie tych dwojga oczu zwilżonych łzą, sięgnęło wyrzutem do głębi jego duszy.

Julia długi czas milezała, potem na powiekach jęj ta łza ukrywana błysła i znikła połknięta.

Ona jedna byłaby ją zdradziła, ale Adam jęj nie postrzegł.

— Powiedz mi—rzekła po chwili—ja o nic innego spytać cię nie umiem: jesteś szczęśliwy?

Jak wystrzał pytanie to uderzyło w jego piersi.

— Kiedyż człowiek może się nazwać szczęśliwym? odparł zmieszany.

— Szczęśliwszym więc tylko, powiedz, czy jesteś dzisiaj niż byłeś wczoraj?

— Wczoraj byłem rozmarzony, a dziś jestem chłodny.

Julii usta otworzyły się jeszcze jedném pytaniem i zamknęły się nie wypowiedziawszy go. Spuściła głowę, walczyła z sobą widocznie; potem załamała ręce i zawołała:

— Adamie! nie nie pomogło, nawet zdrada, nawet chłód twój, ja cię jeszcze kocham... Tak, kocham, jak pierwszego dnia, mocniej może, ale to miłość inna: ja nie nie pragnę, nawet cię widzieć, ani serca twojego, ani od ciebie słowa... Kochać muszę, to fatalność! Mówię ci to, abyś wiedział, żem ci przebaczyła wszystko, że kiedykolwiek w życiu możesz potrzebować pomocy, opieki, pociechy, jam zawsze twoją sługą i niewolnicą... O! każ mi służyć sobie.

I załamała ręce biedna.

— Chociażby umrzeć dla ciebie, odepchnięta i zapomniana... A teraz... idź! muszę się wyplakać!

Adam, jakkolwiek istota bez serca poczuł, że w nim gwałtowniejsze wzbierało uczucie; była to tylko chwila, bo w ludziach takich nigdy ono nie przechodzi granic błyskotliwego zjawiska. Skinęła ręką, aby się oddalił, i wyszedł z pokoju, nie pożegnawszy jęj nawet.

Gdyby go w tęp chwili była zobaczyła żona, odkry-

łaby pewnie z twarzy niezwyčajny stan jego duszy; ale Adam już na wschodach ostygł zupełnie, a gdy siadł do powozu, znaku na nim nie zostało, że na mgnienie oka był człowiekiem. Zamyślił się i rzekł w duszy:

— Biedna kobieta! jak ona kochać umie! Ale bądź co bądź, nie mogę u niej bywać: nie miałbym pokoju w domu!

Do szarego zaledwie końca postępowego stronnictwa mógł się liczyć Adam. Wolalby on był to, co mu się zdawało jaśniejsze i czystsze, ale nie był pewien gdzie jest światło, a gdzie są ciemności. Młodość wiodła go tam, gdzie cieplej było i żywiej, ale nieraz sam się chwytał na zwątpieniu, gdy pobyl w towarzystwie przeciwników. W głowie i sercu tego człowieka nie było jasno.

Stronnictwo zachowawcze składało się z ludzi, którzy niedaleko widzieli, dbali o swój interes przedewszystkiē, a argumentem ich stanowczym było, że po staremu wygodniej i spokojniej.

Adam raz zaciągnąwszy się w szeregi, dosyć gorliwie pełnił swe obowiązki redaktora i tłómacza, ale nie miał roli czynnej i nie pożądał jej; zbyt głęboko nie chciał się zapuszczać, zawsze mając na myśli, że w ostateczności niefortunnej wycofać się jeszcze może.....

Dom, jakeśmy wspominali, podzielił się na dwie role: sama pani była za nowym porządkiem, mąż trzymał z reformatorami. Przez niego ona wiedziała wszystko, co się działo w obozie przeciwników; przez nią on rzadko

mógł się czegoś ważniejszego dowiedzieć. Nie miał też potrzeby ani ochoty bardzo śledzić, bo był dosyć obojętny.

Wieczorami zbierali się u niego niekiedy Ignacy Potocki, Niemcewicz, kilku ludzi wydatniejszych stronnictwa postępowego, towarzystwo męskie, do którego nieznacznie, nie wiedząc jak, przymieszał się od niebardzo dawna zjawiony w stolicy jegomość, zwany pospolicie *le petit Poucet*, a po polsku *Maluta*.

Była to figurynka oryginalna, jakich jeszcze czas ten dosyć wydawał, bo dziś wyczerpany wiek nie rodzi już nie nadzwyczajnego. Każdy się jak najusilniej stara, aby się pozbyć charakteru, jaki mu nadała natura; tylko piszący pragną oryginalności i gonią za nią, nigdy jej nie mogąc osiągnąć, dla tego, że sobą być nie umieją, a cudzego harakteru pożyczyć niepodobna, zawsze w nim za szeroko lub za wązko.

Tak zwany *Maluta*, w istocie mianował się *Floryanem z Brenderowa Toczyłskim*, ale o nazwisku jego ledwo kto wiedział. Tytułowano go pospolicie skarbnikowiczem; jedni oznaczali go przezwiskiem, drudzy tą spadkową godnością, zwykle poufali wabili go na pana *Floryana Malutę*; on sam się tak niekiedy podpisywał. Potulniejszego człowieka świat chyba nie widział.

Małeńki, ale mocno wypreżony i wyprostowany jak kijek, suchy, kościsty, z głową do góry podniesioną, ubierał się po francuzku, a trzewiki miał na bardzo wysokich korkach, gdyż przy wzroście olbrzymim innych obywateli Rzeczypospolitej, nierzadkim w wielu rodzinach, mniemał się być upokorzonym swą małością. Hetman polny czasem mu groził, że go hajdukowi swemu każe schować do kieszeni. Twarz *Maluty* była

za długa w stosunku do jego postawy, co czyniło, że widziany za stołem, przy bardzo krótkich nóżkach, gdy usiadł, wydawał się dużym mężczyzną, a gdy wstał, niknął prawie. Chcąc się podwyższyć, tak jak korki u trzewików niepomierne, i fryzurę też nosił nadzwyczaj wysoką i napiętrzoną, tak że głowa prawie połowę całej figury wynosiła. Ubierał się najczęściej stalowo, perlowo, papuzio, ale skromnie i czysto. Co zacz był i zkaąd, o tém dobrze nikt nie wiedział; nawet obliczając się ściśle, trudno było dojść, kto go i kiedy w towarzystwo wprowadził i do chrztu wielkiego świata trzymał. Ale *Maluta* bywał wszędzie, widywano go ciągle, wiódł życie czynne, a że był bardzo usłużny, znosili go wszyscy, czasem nawet używali do niektórych delikatnych facyend. Mówiono, że pan *Floryan* był rodem z Warmii, choć jego rodziny nikt tam nie znał, a on wszystkich prowincyj koligacye, stosunki, familie, majątki doskonale wyliczał, tak, że domyślać się było można, iż w każdej z nich długo żył i przebywać musiał. Na horyzoncie stolicy pokazywał się i znikał nie wiedzieć dla czego, w różnych epokach. Nie bywało go czasem po kilka miesięcy, potem jednego białego poranku przychodził nie mówiąc zkaąd, i znowu kręcił się w tłumie.

Stan kieszeni równie jak opinie *Maluty* były tajemnicą; jak zrazu *Adam*, tak on ciągle równie był dobrze ze wszystkimi. Uderzało jednak szczególnie, że przyjmowany był w pałacach ambasadorów, u cudzoziemców równie mile jak u swoich, kręcił się tam nawet w niezwykajne dnia godziny. Mówił doskonale po niemiecku, po francuzku bardzo dobrze, choć z akcentem dowodzącym, że się tego języka sam wyuczył, nieźle po włosku, *expedite* po łacinie, a nieczego po

polsku. Nie był wcale uczony, i nie miał pretensyi do literatury; przecież obeznany był z nią do tyła, że w towarzystwie uczonych nie był obcy rzeczy i nie nudził się. Chodził przed nimi z trybularzem, a przed kobietami nawet staremi i brzydkimi kłekał w nieustającej adoracyi. To mogło mu wiele dróg w życiu utrzyć, wiele ułatwić pochodów. Pochlebstwo w ogóle nie go nie kosztowało, a szło mu z ust nawet w bardzo przesadnej formie tak łatwo, że się nigdy ani zarumienił, ani zająknał, gdy najpotworniejsze wyrzec było potrzeba. Naówczas dosyć szerokie usta jego uśmiechały się dziwnie, a potem nagle zaciśnięte, przybierały wyraz sarkastyczny. Często kadzidło to, którem obdzielał, szło tak gęstemi kłębami, że się od niego delikatniejsi dusili; można je było poczytać za szyderstwo, ale posadzić Maluty o nie nikt nie miał prawa, bo nadto był potulny.

Pan Floryan grał *arte* we wszystkie gry, był trochę muzyk, i znał się nieco na malarstwie. Jednym z przymiotów jego było, że o wszystkiem wiedział, a o niczem nigdy nie mówił głośno i zbytecznie. Poznać było można tę wiadomość wszystkiego po uśmiechu, z jakim słuchał tego, co dla innych za nowinę uchodziło, czasem rzucając tylko słówko, które odsłaniało nagle, że lepiej był uwiadomiony od tych, co sądzili, że są uwiadomieni najlepiej. Nowinek jednak nie miał zwyczaju obnosić nigdy, a w ogóle rozmowa jego ograniczała się na zręczne zlepianych oklepankach. Od niego nikt się nigdy nie dowiedział. Maluta nikomu nie zaprzeczał, niczemu się nie dziwował, a przesuwiał się tym światem jakby z myślą tylko, aby o nikogo nie zawadzić. Gniew zdawał się być przeciwny jego naturze.

Słuchał z przedziwnym talentem. Przekonywano się nieraz, że rozmawiając z kimś żywo, był w stanie odpowiadać przytomnie i razem trzem innym rozmowom się przysłuchiwać, tak, że nie z nich nie tracił. Ucho było w nim organem do podziwienia wykształconym; ale z tego chluby nie szukał.

Lubił widać towarzystwo, gdyż największym zadaniem dla niego było wszędzie się wsrubować nieznacznie i uzyskać w salonie prawo obywatelstwa. Jaki był zresztą cel jego życia i pobytu w mieście, nikt się tak dalece nie troszczył.

Stał skromnie w hotelu na Tłómackiem, a raz jakiś ciekawy odwiedzający, docisnąwszy się do niego, widział tylko ubogi sprzęt i mnóstwo jakichś kopert i papierów porozrzucanych. Wnoszono ztąd, że mógł mieć jakiś proces i do czynienia z prawem; bo papiery te na żadną literaturę nie wyglądały, a książki prócz kalendarzyka politycznego, nie miał w majątku.

Maluta od dawna był znajomy hrabinie, obchodziła się ona z nim jako z człowiekiem niemającym żadnego znaczenia, jak z zerem stojącym po za cyframi społecznymi. Za przybyciem jej do Warszawy był u niej parę razy, ale od niejakiego czasu począł pilnie dotrzymywać kroku Adamowi, i tak się jakoś dziwnie złożyło, że stał się u niej bardzo częstym gościem. Wkupić się w łaski człowieka, który dworaków był pozbawiony, a pochlebstw mało w życiu kosztował, nadzwyczaj było łatwo: kadzidło jeszcze nie tknęło tego dziewiczego nosa i smakować musiało. Maluta zaczął od tego, że mu zakadził od razu obficie, a choć Adam przyjął to rzucenie trybularzem na pozór obojętnie, poczuł później, że ta błoga woń przyjemne na nim czyniła wrażenie.

Przy pierwszej niemal znajomości, pan Floryan zaraz mu powiedział, że przeczuwa w nim męża do wielkich predestynowanego przeznaczeń, któremu zaszczyty jak deszcz z nieba same spadać muszą... Adam w to sam tak wierzył, a tak mało o tém od drugich słyszał, że mu się trafność téj myśli, wypowiedzianej tak szczerze, bardzo podobała. Tą szparą zręcznie zrobioną weisnął mu się Maluta, jeżeli nie aż do serca, które było szczelnie zalutowane na głucho, to przynajmniej do szczególnych jego względów.

Osobliwym też był wielbicielem przymiotów pana Adama, na którego inni jak na rzecz dosyć pospolitą patrzali; a przylgnął tak do niego, że się stał u niego prawie domowym. Każdy prawie potrzebuje mieć dworaków; i pan Adam, który sam dotąd tę funkęę pełnił przy drugich, zapragnął też mieć swojego. Maluta się nadał, i został mianowny pochlebcą honorowym starosty.

Czasem przynosił mu jaką ostrożnie uwiniętą nadgniłą nowinkę, bo świeżej nigdy przed innymi nie głosił, aby na niego nie spadła; czasem mu przyklaskiwał zręcznie i podnosił co tamten powiedział. Zawsze wielbił i padał przed p. Adamem.

W czasie gdy przyjaciele zbierali się do niego, Maluta zawsze się umiał weisnąć i być choć z kątką przytomny ich narodom, do których się z resztą wcale nie mieszał. A że w Warszawie przywykli go byli widzieć wszędzie; gdzie go nie proszono, nie bardzo na niego zważano, że i tu z ziemi wyrastał.

Trwało to czas dosyć długi, i miało też pozór taki, jakby ten mały człowiek owego wielkiego człowieka bliżej badał i chciał poznać. Potém jednego rana, przeciwko zwyczajowi, Maluta przyszedł *au petit lever*,

ze swą wiekniście wesołą miną, a zastawszy hrabiego jeszcze w łóżku, przysunął się z krzesłem do niego. Odwiedziny były tak niezwykle, że Adam posądził go o chętkę pożyczenia pieniędzy.

— Cóż cię to, mój panie Floryanie, tak rano do mnie sprowadza? zapytał go zdziwiony.

— O! starosto! łaskawco! nie! nie! tylko zawsze jedno moje stałe uwielbienie dla ciebie! Pozwalasz mi bywać u siebie i napawać się drogiem twém dla mnie towarzystwem, ale tu zawsze pełno ludzi u ciebie, rad jestem czasem znaleźć chwilę swobodniejszą, by się ucieszyć jego rozmową.

— Napijesz się czego ze mną? kawy?

— Choćby smoły! odrzekł dworak.

— Co tam słychać?

— Cisza przed burzą—odparł tajemniczo kładnąc palec na ustach Maluta. Zresztą ja nie wiem... pan starosta lepiej odemnie musisz być zawiadomiony.

— Ja? myślisz—westchnął pan Adam, który czuł, że mu niewiele powierzano tajemnic, i że go pozostawiano nieco w tyle, używając go tylko za wygodne narzędzie;—ale ja prawie nie nigdy nie wiem.

— A komuż już wiedzieć, szanowny, drogi panie! rzekł pochlebca:—któż godniejszy, aby był wtajemniczony? Z pańskimi talentami! Mój Boże! kogoż oni mają, coby był godniejszy?...

Adam poniekąd był tego samego zdania, ale rzekł uśmiechając się:

— Ja tam nie mam tak dalece do niczego pretensyi...

— I to właśnie źle! odpowiedział gorąco Maluta: źle pan czynisz... Pozwól sobie szczerze i otwarcie

powiedzieć, jako prawdziwemu swemu wielbicielowi: to jest właśnie wada jedyną w panu staroście, ta skromność zbyt duża, ta pokora, rzekłbym, występna! Bo cóż? dodał rozgrzewając się—kogo widzimy w koło? ludzi zapewne bardzo zacnych, ale którzy polowy, ćwierci, tysięcznej części jego talentów nie mają, a przecież grać chcą jakąś rolę! Nikogo nie wymieniam, ale proszę mi przyznać, ot tak, bijąc się w piersi, nie takież jest położenie?

Pan Adam znajdował również, iż położenie jest zupełnie takie, jak je określa Maluta; dziwił się wszakże, iż on je tak doskonale i jasno pojmuje.

— No... jest to tak po części—rzekł—ale ja nie chcę iść przebojem.

— A w życiu idzie się tylko przebojem, odpowiedział mały. Ludzie naciskają, trzeba ich łokciami rozpierać i przeciskać się... Gdyśmy już na tę rozmowę weszli—dorzucił—niechże zrzucę z serca ciężar całkowity: pozwól mi się wygadać szanowny starosto, wszak nie poczytasz mi to za złe?

— Proszę cię, wszak mnie znasz, rzekł p. Adam.

— Powiem, powiem już co mi ciąży — oglądając się ostrożnie i przysuwając z krzesłem do łóżka, a głos zniżając począł Maluta. Pan nie stoisz na właściwym stanowisku, powinienś zająć inne; tak być nie może... trzeba myśleć o przyszłości, wziąć to, co panu z prawa należy! Tak! tak! Pan nawet życia nie używasz wcale, zadawałś się zbyt małym... Nadto lubisz spokojność i zacisze domowe; wielkim ludziom to nie przystoi...

— Cóżbyś tu mi radził począć? rzekł na pół śmiejąc się pan Adam.

— A! czyż jabym tobie panie śmiał doradzać?

zaprotestował Maluta. Starosta wiesz najlepiej co masz do czynienia, ja ubolewam tylko... Pan się zamęczasz, zanudzasz, a dajesz się wszystkim wyprzedzać: jest to abnegacya osobliwsza!

— Mówże jaśniej, panie Floryanie.

Maluta wiał się i kręcił, jeżeli czuprynę, stękał, ruszał się, ale ostatecznie nie chciał wyjawić czego żąda: chodził tylko ostrożnie naokoło.

— Ja dalipan kochanego starosty nie rozumiem... dodał po chwili namysłu z uśmiechem ekstatycznym. Każdy człowiek czémś przecie żyje: jeden lubi jeść, je, drugi pić, to pije, ów zbiera pieniądze, inny się zaleca pięknym paniom i szczęśliwy, gdy mu się buziak różowy uśmiechnie, a naostatek są co się uganają za urzędami i zyskują je. Ale czemu pan żyjesz?

Adam uśmiechnął się, ale i westchnął zarazem; w istocie życie jego wydało mu się blade i bezbarwne.

— Lada chłystek, lada szlachetka — mówił Maluta—wiedzie życie znośniejsze od pańskiego. Siedzisz starosto zamknięty jak w klasztorze, zamurowany pracujesz dla drugich, *sic vos non vobis*... nikt nie wie o tém, młodość się marnuje i talenta.

Adam czuł, że szatan własnymi jego myślami mówi do niego i kusi go.

— Ale cóż chcesz bym czynił? odezwał się. Waćpan, panie Floryanie, nie znasz tak dobrze mojego położenia.

Mały spojrział na niego, ruszył ramionami i uśmiechnął się tylko.

— No, może go i nie znam—rzekł—ale co mi do tego. Jeśli się co niedyskretnego powiedziało, to wierz starosto, że z życzliwości.

Pokręcił się trochę po pokoju, zanócił coś po cichu,

siadł znowu na krześle przy łóżku, i szepnął, ale bardzo ostrożnie:

— Co pan robisz wieczorem?

— A cóż? powróciwszy od kasztelanowej krakowskiej, położę się spać i będę spał.

— O której?

— O północy.

— No, widzisz pan! któż w pańskim wieku idzie spać o tej porze?

— A! stary szalawilo! rozśmiał się starosta: chcesz mnie zaprządz do takiego życia, jakie prowadzi hetman... kasztelan... i inni, wiesz kto?...

— Wszyscy oprócz was! szybko przerwał Maluta. Maszże pan uczyniony chyba ślub jaki?... bo to zakrawa na śmieszność.

— O! ślubów żadnych! rzekł Adam.

— Czybyś się hrabia obawiał czego? dodał Maluta, rzucając do koła wzrokiem, i zamilkł.

— Ale cóż znowu! nikogo!

— Więc w imieniu przyjaciela mojego komandora, mogę poprosić hrabiego dzisiaj na kolacyjkę do niego? Albo nie... on sam prosić cię będzie, a hrabia przyjmiesz, spodziewam się zaprosiny.

Adam się zawahał. Chętnieby był wszedł w trochę weselsze i szaleńsze towarzystwo; myślał, że toby mu nawet w stosunkach nie zawadziło, ale trochę się lękał, powiedzmy po prawdzie, żony. Spytać się jej nie wypadało, i był pewien, żeby się sprzeciwiła; nie pytać wcale, było to rozpocząć z nią wojnę. Nie wiedział co począć.

Maluta zdając się odgadywać tę walkę; kręcił głową.

— Ja to rozumiem — rzekł, — że kto przywykł do tak porządnego, regularnego życia domowego, temu

z niego wynijść trudno. To prawda! wstyd nawet własnego dworu, należącego do tego klasztornego porządku. Ależ mój hrabio, prędzej czy później, to się skończyć musi.

— Ha! odparł starosta po namyśle, dla czegożbym nie miał być u komandora, jeśli mnie prosić będzie? Więc mnie on sam zaprosi?

— No! naturalnie!

— Długo tam posiedzimy!

— Nie! rzekł śmiejąc się Maluta, najwyżej półtora lub dwa dni.

— Jak to? żartujesz!

— Nie! na to potrzeba się przygotować... Trwają u niego czasem uczty po czterdzieści ośm godzin.

— Ale ja go tak mało znam... ledwie z widzenia i z daleka.

— To nie! chcesz, żebym ci go trochę odmalował? spytał Maluta.

— Nadto jesteś grzeczny, nie możesz być dobrym malarzem — rzekł śmiejąc się starosta.

— Otóż dam panu dowód, że czasem bywam do zbytku otwarty — dodał Maluta. Ja pana starostę drugiego tak kocham, tak szanuję, tak uwielbiam, że dla niego gotów jestem wyjść z obyczaju dyskrecyi, która mi służy za prawo życia... Znasz pan komandora zapewne tylko z tego, żeś go może widywał na pokojach królewskich, w jego pysznym mundurze maltańskim, z jego pierścieniami na palcach, brylantami u koszuli i trzewików, dyamentami w guzikach, szmaragdami u szpady i kapelusza... i kieszeniami wyzłocanymi. Cóż na to powiesz? ten tak dziś jaśniejący klejnotami człowiek, wyjechał a raczej wyszedł z rodzicielskiego domu przed laty kilkunastu, nie ma-

jąc nie w kieszeni nad parę dukatów zawiniętych w papierku i dużo w głowie... Jako sekretarz jednego z naszych magnatów, dostał się za granicę... i — utonął tam gdzieś jak w morzu... Co się z nim działo przez te lata, jest i pozostanie na długie wieki niezbadaną tajemnicą... Po tych leciech próby, nowicyatu zapewne ciężkiego: zjawia się nam napowrót komandorem maltańskim, kawalerem orderu Św. Ludwika, Św. Huberta, Św. Jana Jerozolimskiego, i nie wiem jeszcze ilu... a co lepsza i starym krezusem. Co mu uszło drogę do zaszczytów, do bogactw, nikt nie wie; ale nie ciąży na nim żaden zarzut nieuczciwy, jest odważny, *galant homme*, prowadzi życie wspaniałe... Nieżonaty, swobodny, dowcipny, przyjemny wszystkim, przyjmuje u siebie jak nikt... Mamyż pytać o co więcej? Grywa z samym królem, panowie zjadają jego ostrygi i spijają wina, które sprowadza wprost z zagranicy... Teraz dorzucę — rzekł po cichu Maluta, — że wszystko co starosta mógłś słyszeć o jego kolacyjkach sybaryckich, słabe tylko o nich daje wyobrażenie. Jest to zbytek, gust wytworny, rozkosz nieporównana, lehcąca wszystkie zmysły zarazem... Honory domu robi po części sławna piękność, kochanka krezusa, Włoszka Leonina Tantolini, którą Tepper młody chciał od niego na wagę złota odkupić, ale poszedł z kwitkiem... Widziałeś ją pan może w teatrze?

— Tak jest... z daleka.

— Podobała się panu?

— Wcale ładna kobieta.

— A! Włoszka panie... szatan z aniołem w moździerzu utarty i odlany w formie greckiego posagu, pompejańskiej tancerki... Zobaczysz ją pan z bliska... Śpiewa, mrowie przechodzi po ciebie... Więc muzyka,

wieczera Lukulla, wina cudowne, gra o kupy złota, towarzystwo niewymuszone, swobodne... Raj, panie! istny raj!

Adamowi oczy zapłonęły. Maluta mówił dalej:

— Wiem, iż pan po spartańsku żyjesz i mało cenisz te rozkosze zmysłowe; lecz dlaczegożby nie zajrzeć tam, nie przekonać się, co to jest, choćby dla ciekawości poznania świata... boć to ciekawe za katy!

— Panie Floryanie, pan mnie balamucisz! rozśmiał się starosta ściskając go.

— Oho! takżebym się wybrał kusić anachoretę! No? ale zgoda na ten wieczór?

— A no! zgoda! zobaczymy co to jest!

— Komandor sam pana poprosi dzisiaj bo sobie życzy zbliżyć się ze starostą, i wysoce go szacuje... Ale słowo, że mu już pan w żaden sposób nie odmówisz? Będą tam naszego towarzystwa najwybrańsze znakomitości... Pomnij pan — szepnął ciszej kusiciel, — że na bok odłożywszy przyjemności spędzenia kilku godzin w tak miłym gronie, są i inne korzyści... Nigdzie jak przy dobrém winie, jadłe i wesolém kółku, nie robią się stosunki ściślejsze z ludźmi... Tu się ich poznaje, tu się ich pozyskuje... tu się z nimi wiąże wiekuiście! A stosunki są wielce potrzebne: to darmo! zakończył pan Floryan w sposobie korollaryum.

— Sądziś, że mi się to do czego przydać może? spytał starosta.

— Zawierz mi pan — szepnął pochlebca — i przyjm od lichego robaczka jeszcze jedną przestrożę, jeśli się godzi, bym ja panu śmiał ją dawać. Ale pan starosta jesteś nazbyt skromny, nieśmiały, za mało się cenisz. Potrzeba z góry trochę obchodzić się z ludźmi, aby u nich nabrać wartości. Kto staje ostatni w szeregu,

tego i z pośledniego stanowiska spędzą w końcu... Trzeba samemu zdobyć sobie pierwsze... Ale już dosyć; mądrzej głowie dość na słowie.

Hrabia zaczął się śmiać. W ogóle cała ta dziwna, urywana rozmowa mocno w pamięci jego utkwiła. Maluta nigdy z nim jeszcze nie był tak szczery, nigdy go tak nie ujął... Ścisnął jego rękę, i przyrzekł do przyjacielskich rad się zastosować.

W południe zjawił się rzeczywiście sam komandor, i uprzejmie prosił na skromną kolacyjkę kawalerską. Hrabia przyjął go nader grzecznie; ten nie umiał mu się oddziękować za zaszczyt, i wyszedł z oświadczeniami niesłychanej wdzięczności.

Pomyślawszy jednak, uznał pan Adam potrzebę napomnienia o tém żonie. Dał jęj znać, że się z nią widzieć pragnie, gdyż bez tego obrzędu i proszenia o audyencyę, nie był przypuszczany do oblicza Junony.

Dano mu łaskawie żądane posłuchanie.

Znalazł ją przy biurku zajętą korespondencyą, bo starościna należała do tych pań Stanisławowskich czasów, które ogromnie pisały, niewiele troszcząc się o ortografię. Krystyna była chmurna, a na pięknym jęj czole dwie fałdy świadczyły o głębokich jakichś zamysłach.

— A! to ty? czegoż chcesz? spytała głaszcząc go pod brodę jak dużego dzieciaka, gdy ją z uszanowaniem w rękę całował... Nie śmiał bowiem na twarzy jęj złożyć pocałunku, póki mu nie powiedziała: „Pocałujże mnie!” Trafiało się to tylko, gdy była bardzo z niego kontenta.

— Chciałem ci tylko dać dzień dobry; teraz tak mało się widzimy.

— Pochlebco! niby ci tak tęskno?

— Jestem zazdrosny, wszyscy cię więcej widzą nademnie.

— No mów; czuję że to jakaś przedmowa, że ta słodycz na wierzchu kryje w sobie jakieś śmiałe żądanie lub prośbę o przebaczenie... Cożes zgrzeszył? spowiadaj się, czego odemnie potrzebujesz, okupując to wcześniej pochlebstwy? Mów!

Hrabia zagryzł usta i zamilkł: czuł się upokorzony, będąc tak dobrze odgadnięty.

— Mylisz się, rzekł zimno: nie nie zawiniłem i o nie nie myślę cię prosić. Przyszedłem tylko zobaczyć jak się masz... i odchodzę.

Krystyna przeczuła, że za daleko poszła i była niegrzeczną.

— No! rzekła: nie bądź dzieckiem, nie gniewaj się

— Nawet się nie gniewam — odparł Adam poprawiając mankietki i uśmiechając się niby wesoło.

Zamilkli oboje, ale Krzysia patrzyła na niego bacznie: nie była zadowolona z jego fizyognomii: lekki wyraz przepowiadający chętkę emancypacyi był już na tém lieu, do którego pokory i uległości była przywykła...

— Cóż robisz z sobą? spytała?

— Sam nie wiem... rzekł obojętnie.

— Jesteś gdzie wieczorem?

— No! u kasztelanowej krakowskiej, a potem może u komandora na kolacyi.

— I mówisz mi, żeś nie zgrzeszył! zawołała porywczo kobieta. Filucie! robisz tak jak ten wieśniak, który od księdza brał za wezasu absolucyę za grzech, jakiego dopiero miał zamiar się dopuścić.

— Jaki grzech?

— Wiesz co to są kolacye u komandora?

— No! cóż to może być? niestrawność w najgorszym razie.

— Byłeś tam kiedy?

— Dotąd jeszcze nie... alem już doprawdy ciekawy.

— Nie sposób, żebyś nie słyszał, że to są orgie.

— Przecież tam wszyscy bywają?

— Tak, ale ja nie radabym, żebyś ty tam bywał! odezwała się starościna z przyceiskiem.

— Cóż? czy nie mam ospy szczepionój? zapytał hrabia urażony: boisz się, żebym jój tam nie dostał? Zawszeż mam być dzieckiem trzymaném na pasku?

Słowa te trochę żywo wyrzeczone, tak były niesłychaném zuchwalstwem w ustach posłusznego dotąd i potulnego małżonka, a cichego człowieka, że hrabina przelotnie na niego spojrzawszy, przerażona, umilkła nagle.

Przeszła się po pokoju trąc czoło, zagryzła usta, widocznie namyślała się, co ma z nim począć, gniewać się, czy udać, że nie rozumie wymówki, upierać się, czy ustąpić.

Ważność tych wyrazów, tego kroku, nie uszła jój kobiecego przeczucia. Uznała po chwili za właściwe wyczekać, wprzód się dobrze rozpatrzeć, rozpytać, rozsluchać, a na ten raz tylko lekko pokazać się obrażoną.

— Na takie, pytanie, rzekła zimno, nie ma odpowiedzi — tylko dzieci prowadzą się na pasku, a kto jest dzieckiem, ten sam sobie winien. Rób co ci się podoba, przekonaj się dotykalnie czy ten świat lepiej znasz odemnie, czy sam sobie w nim bez mojej po-

radę wystarczysz... zawsze to ciekawa rzecz spróbować. Dzieci nim się chodzić nauczą, jeśli je z paska spuści niańka, dobrze sobie głowy natłuką... Daruj mi, jestem zajęta, muszę pocztę odprawić.

To mówiąc podała mu rękę, którą ucałował, i usiadła pisać; ale gdy odszedł, powiodła za nim długo wzrokiem, i natychmiast zadzwoniła na sługi.

Gdy w owéj długimi laty spoczynku zaschléj trumnie dębowéj, wyniesiono z dworku w Wólce Brzozowéj zwłoki pana Krzysztofa i włożono je na wóz czterema czarnemi wołami ciągniony, jak przystało dla rolnika,—rzuciła się pani Krzysztofowa, chwytając za kola, czepiając się całunu, jęcząc i płacząc, aż ją pan Baltazar z Kapustyńskim gwałtem prawie oderwać i unieść musieli, zmusiwszy do pozostania w domu. Poczciwa pani Kasprowa podjęła się być z nią, pocieszać ją, modlić się razem i biedną wdowę pielegnować.

Ale nierychło ten żal ciężki ukoić było można: stał się on chorobą, stawał chwilami rozpaczą, przechodził przez wszystkie stopnie, jakie przebywa każda podobna boleść, dopóki czas powolnie nie zmienił jéj w chroniczny, spokojny, wrosły do piersi smutek, z którym się już potem żyje, trwa, chodzi, pracuje, czasem przez długie lata próby.

Tak było i z panią Krzysztofową, która w modlitwie i wierze znalazła mocną podporę, przeszła z szalu do łez, a z łez do tęsknoty, i już z nią aż do grobu zejść miała. Ale ta... jeszcze raz ciężkiej uledez miała metamorfozie.

Z dawnego szczęścia, pokoju nadziei nie pozostało jéj nic nad wspomnienie, ten gorzki napój, którym się nasycają nieszczęśliwi, w upojeniu wracając do świata utraconego niepowrotnie. Naówczas wszystko aż do najubożniejszych drobnostek tego zmarłego życia przychodzi na pamięć i dopomina się swojego miejsca. A to, czego się dawniej zapomniało, i to, co się ceniło, powraca drogiem i miłym, nawet przeżyte bole i wypłakane łzy. Każdy przedmiot, co był świadkiem chwil przeżytych, oddaje potem światło, które pochłoniął jak dyament płonący wśród ciemności, staje się świętym szczątkiem, a człowiek upokorzony dziwi się, że przetrwały go zimne szkielety, że one mają prawo do życia, które jemu wydarto.

W tym dworku w Wólce, od słomianej strzechy, od płotu wszystko aż do najmniejszego sprzętu przypominało pana Krzysztofa, jego prace, jego przestrogi, jego miłość dla żony i dziecięcia. Wdowa przechodząc nieraz około gospodarstwa z piersią jeszcze sroższą boleścią rozdartą, nie miała się gdzie schronić przed dojmującymi wspomnieniami przeszłości; później już szukała ich sama, bo w nich tylko żyć mogła.

P. Baltazar został tu gospodarzem i pierwszym sługą; mówił jéj o nieboszczyku, cieszył ją pieśnią pobożną. Czasem i Dyogenes przyszedł ze swą skrzypką rozweselił swoim spokojem, a niekiedy dowiecipem.

Rządzili się też oni dwaj we dworze jak chcieli, bo ona już do niczego się nie mieszała! ale zarządzili pocziwie, oględnie, troskliwiej może niż na swém własném, a gromada wiejska, która pamiętała o pańskim dziecku i o wdowie, serdecznie dopomagała. Ale mimo, że tu wszystko szło porządnie, jakże było smutnie w téj Wólce Brzozowéj, dawniej jak ciche

gniazdeczko milój i wesołej spokojem pocziwym! Jakże widać było żalobę we wszystkich i na wszystkich! Nawet Baltazar wstrzymywał się od głośniejszej pieśni wojskowej, którą lubiał nócić, szedł z nią w głęboki las, a wieczorem w ganku nócił Psalmy półgłosem lub Godzinki, a przy nich ileż razy zapłakał tajemnie!

Dla biednej kobiety, która widziała syna, którego wspomnienie dziecka osłodzić mogło a zaostrzało tylko smutek—ciężej go było znosić niż komu. Dumiała napróżno, jakaby nią znowu połączyć się mogła, związać z tém dziecięciem, które tak dla niej stało się obcém... gorzej, bo prawie straszném... Dziwnym trafem nie ta sama się nastęczyła, gdy umysł leniwy próżno się trudził nad jej wyszukaniem.

W pańskich dworach, pomiędzy służbą a panami nie ma żadnego stosunku serdeczniejszego. Sługa jest płatny, spełnia swój obowiązek, przychodzi, odprawia się, najczęściej z nabytą nienawiścią tylko i goryczą w duszy: czasem tylko ściślejsze węzły wiązuje słabość, rozpusta... upodlenie z obu stron. W naszych żywotach szlacheckich, dawniej zwłaszcza, miało się wcale inaczej między panem a sługą, między nim a wioską, między głową domu a ostatnim parobczakiem na ziemi jego wzrosłym; nieustanne zbliżenie wiązywało stosunek ścisły, niemal rodzinny. Pan tam dzieci do chrztu trzymał, radził, wspierał, patrzył jak to rośnie, swatał, żenił, i z tych różnych a sprzecznych żywiołów kształtowało się małe społeczeństwo starą formą, opiekuńczą, patryarchalną, które często serdeczna miłość wiązała.

Ta gmina patryarchalna nie była ani ostatnią formą, ani najlepszą, na jaką ludzkość zdobyć się może

służyła ona czasowo do wychowania człowieka, była w jego małoletności opieką. Nie żałujemy tych miłych dla wielu sere czasów: miały one swą piękną stronę, swe dobre, ale nie pochłoneły w sobie całego ideału społecznego.

Dopóki rodziny rodzinom i gminy z władzą zwierzchnią panowały, póty zawsze kraj dowodził tą organizacją niedojrzałości.

Ale—na owe czasy, piękny był widok téj rodziny zespolonej nie krwią, ale miłością i pokorą. Nie wszędzie one panowały, trafiała się groza i ucisk, lecz gdzie obok światła nie ma niezbędnego cienia?

Tu w Wólce gromada, dwór, sługi i państwo stanowili z dawną spójną i serdeczną całość, posuniętą, jak zawsze w takich razach, aż do zaparcia się własności pojedynczej. Dworski i wiejski majątek był niemal jednym, pożyczano i zasilano się wzajemnie, i nigdy włościanin nie uląkł się głodu, dopóki u pana widział sterty w gumnach.

Jednym z kwiatów takiego społeczeństwa była właśnie pokorna istota, co nam teraz w drogę zabiega,—tak pokorna i miła, żeśmy ją dotąd ledwie postrzedz mogli, i gdyby nie nowa rola, jaką sobie obrała, mogliśmy jej nie widzieć wcale.

W alkierzu na folwarku, w ciasnej izdebce o niskim i małym okienku, której ściany składały się z nieotynkowanych belek sosnowych, przetykanych zeschłymi mechami zielono-żółtymi, siedział od dosyć dawna Jermaszka Dulebiak. Towarzyszami jego były dwa koty bure i niezliczona ilość różnego robactwa. Samo imię Jermaszki wskazuje nam już pokorne dziecię wioski... Jermaszka był sierotą; wzięto go z chaty do dworu na wychowanie, i najprzód hodował się na

folwarku, biegł boso po dziedzińcu, a jejmość go uczyła pacierza... Potem posługiwał w kredensie i robił około domu co się nadarzyło, gracował nawet w ogrodzie.

Ale wprędce odkryto w nim żywy, pojętny umysł, i można się nim było posłużyć do ważniejszych rzeczy, tak łatwo chwycił wszystko i z ochotą wykonywał co mu polecono.

Jermaszka wyszedł wprędce na faworyta pańskiego, i pani go też bardzo lubiła. Gdy Adam przyszedł na świat, chłopak miał już lat ze dwanaście, więc potem gdy dziecię podrosło, już po trosze mógł się nim opiekować.

Od kuchty i ogrodniczka stopniami doszedł godności kamerdynera, a w ostatnich latach był wszystkiem w domu, od żadnej się nie wymawiając pracy, mniej więcej każdą spełniając zrećnie. Nauczył się był czytać i pisać, utrzymywał więc rachunki, zastępując pisarza, naglądał potem po trosze na stodołę i śpichrze, miał klucze od magazynów, jeździł po sprawunki do miasteczka, odwoził kupcom zboże. Ale mimo tych ważniejszych obowiązków stawał z talerzem za krzesłem jegomości, póki p. Krzysztof żył, i choć się swobodnie mieszał do rozmowy państwa, przynosił też półmiski z kuchni. Bywało nawet i konie zaprzął, i powiózł do kościoła, gdy było potrzeba.

Mniejszym była w nim przymiotem roztropność: sercem pocziwem przerósł głowę; więcej było tam jeszcze uczucia niż zdolności, i ono mu dopomagało do wszystkiego... Sierota, przywiązała się do swojej dobrodziejki, jak ją nazywał, do swego panicza i do starego pana, jak dziecko rodzone. Ich dobro było jego dobrem: można powiedzieć, że nie żył na własną

rękę, ale dla tych, którym służył; myślał jedynie o nich, przyszłości swojej bez nich nie pojmował wcale. W pierwszych chwilach gdy dziecię porwano, Jermaszka chodził jak oszalały, chciał, jakeśmy wspomnieli, jechać z panem do Warszawy, ale że na jego głowie było wszystko w domu, musiał [Krzysztofa] puścić samego; potem zamknął swój ból głuchem milczeniem, cierpiał wzdychając ze starymi razem.

Można sobie wystawić, jakie śmierć p. Krzysztofa uczyniła na nim wrażenie; nie mniej może odbolał od samej pani, ale żał ten, który od pracy nie uwalniał, w niej ulgę znajdował.

Gdy pana Krzysztofa miano kłaść do trumny, upadł nieboszczykowi do nóg, objął je ze łzami, głośno mu dziękując za wszystkie jego dobrodziejstwa. On z nim ostatni do sklepionego zstąpił grobu, aby tam trumnę porządnie ustawić, i ostatni, pomodliwszy się wyszedł z niego.

Pilnował pani, ale jój tak bardzo użytecznym być nie mógł. Zresztą pan Baltazar, który na jego spryacie i wierności poznać się nie mógł, objął był wszystko i stracił go powoli z tego stanowiska, jakie dawniej mu nadano... Jermaszka usługiwał posłuszny, ochotnie, ale czuł się tu nie tak już potrzebnym, obojętnym, zbytecznym prawie. Pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl, że mógłby gdzieś być przydatniejszym niż tutaj. Pani na niego patrzeć nie mogła, bo jój zbyt starego przypominał. Siadywał więc w alkiej rzyku swoim, modląc się na kantyczkach, i tarł najezoną czuprynę, nie wiedząc co począć.

Gdy pani Krzysztofowa wreszcie przyszła do oprzytomnienia, Jermaszka raz z rana przyniosłszy jój ka-

wę, którą pijała, stanął u drzwi, ręce w tył założył i odechrząknął głośno.

Było to zwykle oznajmienie, że miał coś do powiedzenia. Pani głowę podniosła.

Jermaszka miał powierzchowność bardzo niepoczesną. Wzrostu był dosyć dużego, ale postaci niezgrabnej: był jakby w jedną stronę gwałtownie jakimś kaktizmem wykręcony; na podługowatej, śpiezastej głowie rosły mu włosy popielate, szorstkie i twarde, trzymał ją nieco także na bok pochyloną. Sama fizyognomia nie zdradzała inteligencji, czoło było niskie a szerokie, rysy pospolite, pleć blada, usta otworzyste; ale gdy przemówił, gdy się uśmiechnął, gdy w małych jego oczkach zabłysło życie, twarz przybierała wyraz dziwniej łagodności i słodyczy, który może tęp więcej uderzał, iż rysy nie zdawały się do noszenia go stworzone. Gdy nie nie mówił i bywał zamyślony, usta naówczas nieco otwarte trzymał, i to go dozwalało nawet o głupotę posądzać, miał bowiem zwodniczy pozór głuptaska.

Gdy Jermaszka odechrząknął, pani Krzysztofowa spojrzała na niego i westchnęła. Biedne czleczyisko, nie wiedząc jak do rzeczy przystąpić, z nogi kołysał się na nogę, ręce założone na piersiach z uszanowaniem schował za plecy, poturbował nieco czuprynę, bo to miał w obyczaju, gdy mu szło ciężko, i zakłopotał się, widocznie nie wiedział jak począć.

— Co ty mi chcesz powiedzieć? — spytała pani Krzysztofowa — bo widzę, że masz coś do mnie?

— Onoby się to znalazło — odparł Jermaszka, kiwając głową, — ale to niby trudno rozpocząć.

— Śmiało mój kochany, przecież wiesz, że się zrozumiemy.

— Ono to się wie — rzekł Jermaszka — ale taki niby trudno. Proszę już pani mojej tylko mnie posłuchać cierpliwie, a nie sądzić aż ja dokończę.

— Mów, nie frasując się, słucham.

— Otóż to tak, proszę pani, człowiek sobie myśli co na świecie ma zrobić, i jakby się drugim na co przydał... Oto proszę pani, ono to niby teraz człowiek nie na wiele przydatny... Cóż? pan Baltazar klucze trzyma, sam chodzi, gospodarzy, usługa to tam koło dworu niejaka wielka, lada chłopak się z tęp upara... byle kto... a człowiek w próżnowaniu zmarnuje się.

— Czegoż ty chcesz, mój Jermaszka? — spytała łagodnie Krzysztofowa — znajdzie się zawsze co robić. Ale ci się nudzi... nie prawdaż?

— Ono to się nie nudzi — odparł sługa, — ale niby człek czuje, że mógłby co robić, a nie robi nic.

— Maszże ty jaką myśl?

— Ono to się ma — rzekł wzdychając, — ale to taka rzecz, że i trudno wypowiedzieć... Jakby mnie pani chciała posłuchać?

— Ale słucham z uwagą, mów.

Jermaszka mimo to zapewnienie, jakby mu bardzo ciężko przychodziło wygadać się, stanął, zamyślił się, potarł gwałtownie najeżone włosy, kiwał głową zakłopotany.

— Chciał-em ja-być pani mojej, matce a dobrodziejce długo to jakoś rozpowiedzieć, ale nie potrafię. Otóż krótka rzecz, że ja chciałbym do panicza iść w służbę.

Pani Krzysztofowa zdziwiona, krzyknęła i zerwała się z krzeselka.

— A! niech-no pani poczeka... rzekł chłopak. On ci ma tam sług do licha, bo to się wie, ale ludzie obcy i obojętni: przydałby mu się człowiek, coby go kochał, a czasem mu i was i dom przypomniął, coby nie dał ludziom złego mu zrobić. Niech pani nie myśli, że ja tam chcę się czego niby dobijać: mnie to nie w głowie; ale jabym się tam zdał, pilnowałoby się paniecia i jego dobra, wszak to tam wszyscy obcy... Bóg wie jak on tam sobie rady daje, bo to wszystko wrogi a zazdrośni. Człek choć tam paskudnie pisze—dodał—ale onoby się i do jejmości nagryzmoliło o tém co się tam z naszym panieciem dzieje. A choć on tam może nie posłucha, ale powoli, to z czasem mogłoby mu się zrobić jaką pokorną uwagę.

Pani Krzysztofowa rozplakała się o synu, a ta myśl, że ktośby był przy nim przyjazny, wierny, pocziwy, uśmiechnęła się jój bardzo. Wstała mileżąca pocałować w głowę Jermaszkę, który jój kolana ścisnął.

— Pocziwa to myśl twoja—rzekła—niech ci Bóg za nią zapłaci; ale... jakże ty tego dokażesz?

— E! jużby się to zrobiło! odparł Jermaszka: ja się tam tak dalece niczego nie obawiam. Grosza to jest trochę swojego, z łaski państwa, toby się o tém zaszło do Warszawy, a tamby już się poradziło powoli, byłem od pani pozyskał pozwolenie.

— I owszem, ja ci tego nie bronię—odezwiała się pani Krzysztofowa—idź w imię Boże, a pisz... Może cię to dobry anioł natchnął w szczęśliwą godzinę; weale ci się sprzeciwiać nie będę... Namysł się tylko dobrze, ja także podumam, a poprosz tu do mnie pana Baltazara.

Jermaszka, któremu wielki ciężar spadł z piersi, pobiegl natychmiast po Baltazara, a sam niezgrabnym

chodem pociągnął ukryć się w swym alkierzyku, gdzie wielkim przeżegnawszy się krzyżem, chodząc począł i myśleć: jak ono to będzie?

Gdy pani Anna powiedziała Baltazarowi o pomyśle Jermaszki, zdziwił się z razu niezmiernie. Stary żołnierz nigdy się na téj cichéj, niepozornej postaci człowieka poznać nie mógł: poczuł dopiero, że się omylił—posądzając go nie tylko o brak głowy, ale i o zakrzepłe serce.

— A! bratowa moja kochana! — wykrzyknął—toć złoty człowiek! Jeżeli w nim nie gra także ambicya wy kierowania się na kamerdynera, co przy jego powierzchowności świetna by była nadzieja, jeżeli to z serca czyni, to za cny człowiek! Dobrze żeby tam przy nim stał, a przypomniął mu czasami stare dzieje i obowiązki; jeżeli mu po prostu i po wiejsku czasem prawdę wyjąka, której tam od dworaków nie usłyszysz, nie od rzeczy też będzie.

Pogroziła pani Krzysztofowa bratu łagodnie.

— Mój panie bracie—rzekła—wy tak zawsze skłonni jesteście człowieka sądzić z pozoru. Ja Jermaszkę znam od dziecka, bo się wychowało u nas we dworze: rzadki to człowiek, i jak własne nasze dziecię przywiązany, oddany nam całą duszą. Jeśli on idzie tam, to z serca, wie, że go śmiechy tylko i upokorzenia czekają za jego niezdarność, a nie żadne świetne losy, Idzie dla tego, żeby się Adasiem zaopiekować po swojemu.

— No! to niech w Imię Boże idzie! rzekł pan Baltazar. Mnie tylko żal, że go pokrzywdził w myśli i posądził niesprawiedliwie... Dobry też pretekst jest bo czas dawno, aby pan Adam dowiedział się o swęj żałobie, o której może i nie wie.

Pani Krzysztofowa potrząsała tylko głową. Pisała już była do syna, a listy ich się skrzyżowały, w zamian bowiem od niego otrzymała oznajmienie o weselu, a nie już o tém Baltazarowi nie powiedziała. Wprawdzie zasłyszał był coś o tém z sąsiedztwa, bo staroście chełmski psy wieszał na wychowanku swęj pani, ale temu nie wierzył. Kto zna te zapadłe podlaskie bory i ich życie, łatwo pojmie, że tam wiadomości z wielkiego świata nierychło dochodzić muszą.

— Wie on już o śmierci ojca—rzekła pani Krzysztofowa płacząc—o! wie! ale mu tam teraz młoda żona nie daje myśleć o starym ojeu.

— Jak to? więcby to prawda była, że się ożenił? załamując ręce spytał pan Baltazar.

— A! tak jest, ożenił się z wielką panią, ze starszą podobno od siebie kobietą.

— Juściż nie z kasztelanową, bo téj mąż żyje i nie rozwodzi się?

— Nie... z inną... z wdową N... z domu X...

Pan Baltazar zadumany głową pokiwał.

— Ożenił się—rzekł—tak młodo! Trzebaż mu było świat sobie zawiązywać!... Oo! a dawni jego opiekunowie?

— Nie nie wiem, nie wiem—odpowiedziała matka—zapewne oni jego, a on ich opuścić musiał.

— Ha! no! co się stało, to się stało! dorzucił wojak stary. Zresztą tam mu Jermaszka nie będzie ciężarem, a źle będzie biedakowi, to do nas powróci.

W kilka dni po téj rozmowie, Jermaszka przyszedł panią pożegnać, i splotał się jak bóbr padłszy jęj do nóg: pocziwe serce wieśniacze! Chodził po dworku żegnając wszystkie kąty, prosił o pozwolenie, żeby się

mógł raz jeszcze przed obrazem Chrystusa pomodlić, a na ostatek wzięwszy kij w rękę, przeprowadzony przez dworskich, puścił się śmiało w ten świat nieznan, który go strachem napelniał.

— Bądź co bądź, juściż ja się tam na coś przydam... mówił w duchu.

Po długiej i ciężkiej podróży, w której wiele cierpiał, stanął wreszcie w stolicy, i jak stał pocziwy niezgrabna, tulał się tu i owdzie dopytując o pana. Długo się tak błakał, gdy mu wreszcie jakiś grzeciwszy szlachcic wskazał pałac starosty. Tu się dostawszy, obstępiony przez wytworną służbę, podziwiany jak jaka potwora, wysmiany, musiał znów dużo przenieść, nim się pozwolenia widzenia z paniczem doprosił. List od matki był mu przewodnikiem.

Właśnie w chwili gdy starosta od żony wychodził, oznajmivszy jęj, że będzie na wieczorze u komandora, i chmurny zstępował ze schodów, Jermaszka zaszedł mu drogę.

W jego wspomnieniach żył jeszcze ów ładny, świeży pieszczoszek, pół-dziecię, Adaś rumiany i biały, taki, jakim go widział raz ostatni wesolo odjeżdżającego na wózk do Białej. Ledwie w bladym, pięknym, poważnym, wystygłym i przedwcześnie zmęczonym człowieku, dopytać mógł Jermaszka swego dawnego panicza.

Rzucił mu się do nóg z zapalem.

Adam pomieszany cofnął się: nie poznał go, nie przypomniał, a zresztą wstyd go jakiś przed służbą ogarnął na widok tego człowieka odartego, zabrukanego długą podróżą, niezgrabnego, wyglądającego głupowato.

List matki, który otworzył, wytłomaczył mu wszystko. Ruszył ramionami, bo nie był rad i nie wiedział.

jak się pozbyć natrętnego gościa; serce mu nie nie mówiło.

— Chodź za mną! odezwał się pośpieszając do pokojów swoich i wiodąc z sobą posłańca.

Oczy wszystkich społecznych sług z szyderstwem pobiegły, goniąc za niezgrabnym Jermaszka, który skulony, krzywy, wygięty na bok, włókł się za swym paniczem... Rozczulenie jeszcze go niepozorniejszym czyniło, a znużenie zmieło jego biedną twarz na istotnie pocieszną jakąś grymasującą maskę karnawową.

Gdy się w pokoju panicza znaleźli, Jermaszka znowu rzucił mu się do nóg, postawiwszy kij pielgrzymi w kacie.

Był biedny w łapciach dla zaoszczędzenia butów, w łapciach na woskowanej posadzce, w grubiej siermiężnej kápocie, a pan siedział przeciw niego na wybitej atlasem sofie: dziwnie to jedno od drugiego odbijało. Z tych dwóch postaci, jednej pięknej a sztywniej i bez wyrazu, drugiej dzikiej, barbarzyńsko odzianej, opalonej, brzydkiej—poetycznie piękną była przecież ostatnia... Starosta wydawał się przy niej jak porcelanowa figurka przy brązowym posagu.

— O! panie mój! rzekł Jermaszka: jakżem ja ciebie dawno nie widział! Cóż się z tobą stało, o panie? jakżeś ty nam uciekł?... ileż to nieszczęść na nas spadło od tego czasu! Gdybyście wy widzieli ten dwór w żałobie, i naszą jejmość, co się z nią zrobiło!

— Wiem, wiem wszystko! śpiesznie przerwał starosta.

— O! wy jeszcze nie nie wiecie—podchwycił Jermaszka prawie płacząc—nie, boście tego swemi oczyma nie widzieli, bo z daleka to się inaczej wydaje. Ono to, ono... ale z nami pod te czasy potrzeba było być!

— Jakże się ma... matka?—zdobył się na pytanie Adam.

— Ono to żyje biedactwo—odrzekł Jermaszka—ale jak!... Potrząsnął głową.—Z nią to my, proszę pana, uradzili... dodał—abym ja do panicza przyszedł. Wy tu sami wśród obcych ludzi, a tu lud nie nasz pocziwy. Wszyscy mówią: trzebaby wam mieć choć jednego, na któregoście spuścić się mogli, coby się dał za was ukrzyżować i zabić. Ja sobie powiedziałem: pójdę ja...

Pan Adam poczuł przecię ofiarę, ale nie rozumiał jej potrzeby, i lekko ruszył ramionami.

Dziękuję ci za dobre serce, Jermaszko! zawołał; ale jakże tu żyć potrafisz, i co tu robić będziesz?

— El! panie! jaśnie wielmożny panie!—poprawił się sługa—nie troszcie się o mnie... Prawda, straszno w pierwszej chwili, i mnie się zdało, że oni mnie chyba surowego zjedzą; ale... Te śmiechy ich jak noże szły w serce do głębi, ale się ja już nie boję. Co ja będę robił? No, to się zobaczy: znajdzie się. Taż to i ta służba nie porodziła się w galonach... A, no siadę pilnować pańskiego dobra, a baczyć, aby się paniczowi co złego nie stało... Przecię się przydam jakoś; bądźcie spokojni... Weźcie mnie ino na próbę.

— Ale ty tu nie wytrwasz!

— Ono to, gdyby się słuchało tylko lenistwa, to by się pewnie uciekło na wieś—rzekł Jermaszka;—ono to prawda... ale jak człek czuje, że mu się co robić należy, to ono znowu co innego... Ja ich w parę dni bać się nie będę.

Pan Adam zawahał się jeszcze przyjąć nowego sługę bez wiadomości żony, ale miarkował, że powoli do

swojej własnej woli chcąc dojść, potrzeba było zacząć od małych rzeczy, i rad już nawet był, że mu się zrzeczność nadarzała spróbować.

— „Kto wie? rzekł w sobie: nie wiadomo jeszcze jak pójdą rzeczy. Może człowiek, któremu zaufać mogę zupełnie, okaże mi się potrzebnym. Ale...”

Tu spojrzął na połamaną postać niezgrabną Jermaszki, i dodał: — „Jak on tu będzie, wyglądał?... ha! spróbujemy! musi się okrzesać!”

— No, więc, nim co będzie—rzekł głośno,—zostaniesz tu: pomówimy z sobą wolniejszym czasem.

Starosta zadzwonił. Wszedł kamerdyner z taką miną, jakby mu łaskę robił, że go wysłuchał i na dzwonek się stawiał.

— Panie Biebrzycki—zawołał starosta—jest to dawny sługa mojego ojca, który przy mnie pozostanie... Prosiłbym, żebyś go wziął w swoją opiekę.

Biebrzycki zmierzwił oczyma przybysza z pogardliwą miną, kiwnął głową na znak powolnej zgody, czekał chwilę jeszcze i wyszedł, milczący.

— Przygotuj się—szepnął starosta—że cię tu gorzkie przejścia czekają od tej miejskiej służby, Jermaszko.

— Ono to się im rady da—rzekł powolnie wieśniak—niech się Jaśnie Pan o to już nie troszczy... i schyliwszy się do kolan odszedł.

Starosta podumawszy chwilę nad listem matki, schował go i ruszył z wizytami. Nim jeszcze nowy sługa zszedł ze wschodów, Biebrzycki meldował o nim hrabinie.

— Proszę jaśnie grafini—rzekł—to pan starosta jakiegoś przybłądę, łachmaniarza, jakby tam sługę swojego ojca przyjął i na dworze polecił zostawić...

Przywlokło się to piechotę,* do niedźwiedzia leśnego podobniejszy niż do człowieka; będzie nam robił wstyd, i dworowi Jaśnie grafini i nam. Ja nie wiem co z tem robić.

— Jak to? kiedyż się to stało? spytała hrabina widocznie urażona, że się jej nawet nie opowiedziano.

— Tylko co, przed chwilą, rzekł Biebrzycki. JW. starosta *rozkazał*—na to słowo dał wielki nacisk kamerdyner—rozkazał mi go przyjąć do dworu, i oznajmił, że ma tu zostać.

— Ja *jeszcze* o tem nie wiem—odpowiedziała hrabina—ale proszę spełnić polecenie mojego męża...

Biebrzycki wyszedł, nie rzekłszy słowa.

— A więc to już jakaś systematyczna emancypacya—powiedziała sobie po cichu żona.—Zobaczmy! zobaczmy! Rządzi się w moim domu bez żadnej, jak widzę, ceremonii.

Tymczasem Jermaszka wyszedł z pokoju śmiało i poprosił grzecznie pierwszego spotkanego lokaja, aby mu wskazał, gdzie się ma podziać. Spisek na biedaka utworzył się w jednym mgnieniu oka, a Jermaszka też instynktowo go odgadł, i zamiast się przestraszyć lub oburzyć, postanowił wielką krwią zimną zwyciężyć. Pierwsze wystąpienie było dla niego największej wagi. Na mężtwie mu nie zbywało.

— Co pan raczy rozkazać? spytał go lokaj.

— Prosiłbym pana o wskazanie mi pomieszczenia.

— Pokoje dla pana gotowe, odparł lokaj; poprowadził go do sieni, otworzył drzwi od dużego pieca, i ręką zaprosił do czarnego wnętrza.

Jermaszka popatrzał, kiwnął głową; nie nie rzekł.

— Trochę to ono będzie ciasno i przyciemno, odparł po chwili; ale jak mi każą w piecu leżeć, to się i położę.

Zimna krew, z jaką to wyrzekł, zmieszała służbę, która się tłumnie zbiegła patrzeć na parafianina.

Jermaszka podniósł głowę, krew mu uderzyła do czoła.

— Bardzo to ono koncept ładny — rzekł powoli podpierając się pod boki — moi jaśnie panowie miejscy! Ale pogadajmy-no kiedy chcecie, a raczcie mi objaśnić, czego to wam tak w smak z wieśniaka sobie stroić żarty? Czyście to wy co lepszego odemnie, żeście trochę bruków poszlifowali? czyście to nie pozostawiali tam na wsi matek i braci w takuteńkich siermięgach jak moja? albo ono myślicie, że dla szarą kapoty człek się ma za gorszego od was? Ono to nie... Gniewać się nie mam czego, a dziwować się jest... Pójdę do gospody, i za swój miły grosz znajdę sobie izbę i łóżę, na którym wypocznę... a no potem — zobaczmy.

— Patrzcie-no jaki mowny niezdara! zawołał jeden.

— Należałoby mu sprawić frycówkę, rzekł drugi. Co to on nas tak śmiało ożogiem sięga, i gdyby sobie równych traktuje!

— E! dalibyście mu pokój! powstrzymał inny: gotowa historia i wrzawy narobicie.

— Ja wam ręczę, że paniby nie nie powiedziała, przerwał pierwszy: a że panby się podąsał, to co?

— Bardzo pana dobrodzieja przepraszamy — odezwał się z tłumu drugi — za niepiękny żart; ale ponieważ lokal dla niego nie wyznaczony, może zechcesz w kuchni ze stróżami pogościć?

Wszyscy się zaczęli śmiać. Jermaszka powoli zabrał sakwy i odparł:

— A czemu nie? albo to nie bracia nasi? O! o! z wielką ochotą!

Śmiechy, drwiny, i szarpania szły dalej, gdy w tej chwili zawołano o karetę dla pani, i prawie jednocześnie, do sieni, w której to się działo pod wschodami, zeszła sama pani starościna, zadziwiona zebrany tłumem służby i zbyt głośną wrzawą.

— Co to jest? zapytała.

— E! to nie! to nie! — rzekł jeden z młodszych — to tak.

Jermaszka przebił się przez nich, wystąpił i skłonił się.

— Przepraszam Jaśnie panią — zawołał, do kolan jej naginając się — to nie jest nie, ale rzecz o mnie idzie. Ja tu przyszedłem po służbie z listem do mojego panicza z Wólki Brzozowej, pan mi przykazał zostać; a ci znowu panowie, bo to tu wszyscy panują widzieć, pokazali mi, gdym spytał — mieszkanie w piecu, albo w kuchni... Nie wiem jeszcze gdzie lepiej, to się namyślałem, a z tego śmiech.

Starościna spojrzała na niego bacznie, i ruszyła ramionami.

— Biebrzycki! zawołała surowo: kto tu sobie takich żartów pozwala? co to jest za nieporządek? Pan przykazał, aby go przyjęto, a służba śmie lekceważyć rozporządzenia i stroić żarty? Proszę mi zaraz wszystkich winnych ukarać.

To mówiąc chciała się do karety, gdy Jermaszka schylił się jej do kolan.

— Jaśnie pani, ono to sobie był żart... a ja głupim się uraził i skarżył... Proszę, aby nikt za mnie nie pokutował, lepiej sobie już precz pójdę — ot i kwita.

Starościna kiwnęła głową, nie nie odpowiadając, dała tylko znak Biebrzyckiemu, który się skłonił, i ży-

wo wsiadła do powozu. Jermaszka pozostał z kijem w ręku spokojny i niewzruszony.

— Przy garderobie pańskiej jest od tyłu przedpokój—rzekł kamerdyner do niego, wskazując wschody—tam WPana zaprowadzą.

Wieśniak skłonił się i poszedł w mileczeniu.

— Już ja mu tego lajdakowi nie daruję! zawołał pięść podnosząc zanim jeden z lokajów: nie będzie mu tu bardzo słodko, za to ręczę!

Udał Jermaszka, że nie posłyszał, i powlókł się do kąta ciemnego, który mu z pogardą wskazano... Tak się począł pierwszy dzień jego ciężkiej służby.

Koniec XVIII wieku, jak owo pierwsze tysiąclecie chrześcijaństwa w roku 1000, zamianowany był orgią szaloną, która zwiastowała nową epokę. Nigdy świat tak się bawić nie pragnął, tak za rozkoszami nie gonił, tak nie potrzebował rozerwać się, zapomnieć, upoić.

Nietylko nasz kraj, cała Europa chorowała na tę zaraźliwą rozpustę. W Polsce przybierała ona barwę szczególną, która wydatniejszém czyniła to obłąkane uganianie się za weselem niemożliwém, występniém, dziecinném. Bale, maskarady, fajerwerki, turnieje, pijatyki szalone, zbytek niepomny jutrzejszój nędzy, następowały po sobie, i napęlić nie mogły tego naczynia Danaid, pod którym przepaść może kopało sumienie.

Ani wiek, ani płeć nie wyłączały od téj dziwnéj choroby... Dziesięcioletnie chłopaki poprzebierane za amorki umizgały się już do dwunastoletnich dziewczynek, a starzy i siwi senatorowie Rzeczypospolitéj kochali się na zabój w piętnastoletnich aktorkach. Ludzie wszystkich stronniów jednocyli się przy kieliszku z tą różnicą, że jednym spadała w wino łza, dru-

gim staczał się w nie śmiech szatański; jedni w niém szukali zapomnienia, drudzy nasyceń.

Czasem w pośród tych ucheł uderzał jaki piorun, zabijał jednych, rozpraszał drugich, otwierał przepaść; ale służba zaścielała ją kobiercami i tańczono na przepaści.

Ledwie kilka naliczyć było można domów, w których surowszy przechował się obyczaj: młodzież cała puściła cugle namiętnościom.

To też w rachubach partyi, w polityce, w robotach pokątnych, wielką rolę grały uczyty, kolacye, podwieczorki, przyjęcia: najpoważniejsza narada nie obeszła się bez konkluzyi kielicha i wielkiego—„kochajmy się!”

Do najślawniejszych uchełowników należał ów sławny komandor, o którym mówił Maluta, tak go mocno zalecając. Postać XVIII wieku, coś z Cagliostro, coś z hrabi de Saint-Germain, istota zagadkowa, dworak, uczony, jasnowidzący, spekulant, wytworń, mistyk, sybaryta, niedowiarek, koniec końców tajemnica. Przyjmował w swoim domu po królewsku, a źródła, z których płynął ten paktol niewyczerpany, całkiem świata były nieznane. Świadczył wiele, nosił płaszczy filantropii na ubrylantowanych ramionach i zarywał na małego Franklina, gdy od kart wstawczy rozprawiać począł o losach ludzkości. Wielki wyznawca zasad braterstwa ogólnego ludzi, stroił się jednak tak, aby go nikt wziąć nie mógł za prostego człowieka, a choć ze szlachectwa sobie szydził, miał liberyę herbowną i order na szyi.

Nie rzadkie były w owym czasie owe postacie dwulicowe: nie są one jeszcze osobliwością i dzisiaj. Prawda uznana, nim przejdzie w czyn, zawsze przebywa też same studia, tych samych doznaje przeobrażeń, jest

uczutą, dowiedziona, wypowiedzianą, staje się czynem, a na ostatku prawem. W tym peryodzie XVIII wieku jeszcze ją ledwie przeczuwano, ledwie światała jako myśl, u dojrzałych bolaźliwie zaczynała przeradzać się w słowa: na czyn zebrał się dla niej chyba ktoś gorętszy, i to chwilowo. Czyniono wycieczki w tę stronę, ale z nich szybko wracano do domu.

Komandor należał do przodkujących swojemu wiekowi, ale szedł słowem nie czynem; a chcąc apostołować, musiał do pogan przemawiać ich językiem. Apostołował więc winem, uciechą i wielkimi czechami słowy.

Jako gospodarz wylany dla swych gości, nie miał równego... czy spełniał obowiązek, czy karmił próżność, o tém sądzić nie będę.

W tym roku najmował kamienicę całą naprzeciw kościoła kks. Missyonarzy w końcu Krakowskiego-Przedmieścia, i przerobił ją swoim kosztem: góra cała wybita na nowo, ozłocona wspantale, umeblowana wytwornie, była godna Krezusa.

W kraju, w którym zbytek dobrej próby nigdy nie był rzadki—świadkiem owe opisy Warszawy za Władysława IV,—niełatwo było olśnić. Pamiętano jeszcze przepych Tarnowskich, Sobieskich, Firlejów, Tęczyńskich, Herburtów, Ostrogskich: walczyć z jego wspomnieniami trudno być musiało; wytwornisie musieli na inną rzucić się drogę. Zamiast srebrnych stołów i złotych roztruchanów stawiano mebelki wysadzone misternie, drogie szkła, kunszt zastępował materję, zbytek się idealizował, zamykając w smaku i pracy.

Dom komandora z tą myślą był urządzony; nie świecił, on zbyt, ale był na podziw wygodny, sma-

kowny, wytworny. Podziwiano w nim prześliczne obrazy przywiezione z Włoch i Hollandyi, historyowane kobierce francuzkie, porcelany chińskie i japońskie, wielkie zwierciadła weneckie w rzeźbionych ramach, zresztą sam porządek domowy z kobiecą starannością obmyślany i niesłychaną wygodę. Wszystko, co ten dom miał, było w swoim rodzaju osobiwością, a komuby nie brakło cierpliwości, nasłuchalby się ciekawych historyj z powodu każdego sprzętu i fraszki. Każda z nich miała swe dzieje i wspomnienia, coś co ją odznaczało, czyniło drogą, szczególną, przedziwną.

Maluta malując komandora pośpiesznie, narysował postać jego dosyć trafnie; do jego obrazka to tylko dodamy, że powierzchownie był to jeden z najpiękniejszych mężczyzn swojego czasu, i mógł co do wdzięku fizyognomii i postawy waleczyć o lepszą z najslawniejszymi pięknościami epoki. Gdy ubrany jak laleczka wszedł do salonu, kształtami postaci, nogą, ręką białą upięściowaną a prześliczną, figurą, wejrzeniem łagodnym oczu niebieskich, czarował kobiety.

Obejście jego było pańskie i poufałe zarazem; czuli jednakże bliżsi, że nikt z nich do głębi duszy mu się nie dostał: był serdecznym dla wszystkich zarówno, nie zwierzał się nigdy nikomu. Próbowali go ciekawi badać przy kieliszku, ale komandor pił co cheiano, jak cheiano, i ile kto życzył, a po uczeie nad ranem wychodził świeży, zdrów, przytomny, jakby był na czczo. Mówiono, że pijąc coś miał zwyczaj wachać z jakiejś fłaszeczki.

Życie jego przeszło wielce burzliwie, pełne dziwnych przygód; lecz tém się tylko zdradzało, że czasem wspominał o obcych krajach, o dalekich podróżach,

że niektóre z tych pięknych rzeczy, któremi ubrane były pokoje, widocznie pochodziły ze zdobyczy poczynionych w owych wędrówkach.

U komandora, który słynny był z kuchni i piwnicy, za stołem z podziwieniem znalazłby historyk obok istotnych znakomitości wieku, plugawe jego wyrzutki, wszystkich zarówno wesoło gwarzących i w dziwniej z sobą poufałości...

Przed północą już zaczęły z pochodniami powozy zbierać się przed dom oświecony, a mały placyk przed kościołem wypełnił się w krótko najwykwitniejszymi ekwipażami, które tu jakby rodzaj obozu sformowały. Ludzie pozłazili z kozłów, a gdy panowie zabawiali się w palacu, oni też sobie ucztowali w sąsiednich szynkach.

Salony komandora były wspaniale oświecone tysiącem świec jarzących, które snopami przytwierdzone do ścian, odbite w zwierciadłach, tworzyły iluminację rześistą. W ich blasku obrazy, kryształ, obicia, całe czarodziejstwo zbytku nieco wymuszonego i oryginalnego jeszcze się jaskrawiej wydawało niż we dnie. Pokoje miały różne charaktery. Salon główny był w smaku francuzkim tego wieku, ale dalsze ubrane były umyślnie jeden po chińsku, drugi z grecka, inny wreszcie stylem średniowiecznym, dosyć niedołężnie naśladowanym.

W każdym z nich był stosowny sprzęt, dobrane do niego ciekawostki i zabytki kosztowne, uzbierane po świecie.

W greckim pokoiku stał w pośrodku posąg starożytny Wenery. Oświecała go lampa alabastrowa spuszczone z sufitu i cztery podobne urny po rogach stojące na kolumnach marmurowych. Na tle ciemno-

czerwonóm ścian, w tym pół-mroku lamp, posąg wydawał się jakby żywe wcielenie piękna, któremu starzy sybaryci przychodzili się przypatrywać z cynizmem, na jaki dziś tylko szalona młodzież zdobyćby się mogła.

W chińskim gabinecie pełno było kiwających się mandarynów, pagod porcelanowych, laków, bronzów i osobliwości państwa środkowego. W średniowiecznej komnacie stali u drzwi dwaj rycerze w zbrojach, z hełmami zapuszczone, trzymający chorągwie herbowe, w środku pełno było dębowych szaf, katedr i stolików.

Główny salon odznaczał się świeżością i blaskiem. Nad kanapą wisiał tu portret kobiety, który ścigał wejrzenia gości i zaostrzał ciekawość; ale o wytłomaczenie téj zagadki pytać nie było wolno. Na tle ciemném, ale przezroczystém, rysowała się w bieli uroczą postać niewieścia, cała osłoniąca półprzezroczystymi draperiami, które i twarz jęj pokrywały... Oko kochanka tylko mogło z za nich wyczytać rysy tajemnicze, które artysta cudownie odznaczył; on jeden widział ją przez te zasłony taką, jaką pamiętał: dla obcych była to tytko dziwaczna sztuczka i niezrozumiała wysilek malarza.

Każdy stawał przed tym obrazem, oprawnym w przepyszne ramy, całe z lilij i liści dębowych uplecione; wszyscy szepotali spoglądając nań, i odchodzili zamyśleni. Mniej dyskretni zapytywali komandora co to jest? a on im odpowiadał, że to osobliwszy jakiś portret, który nabył jako *tour de force*... że zresztą nie wie co wyobraża.

Gdy pan Adam wcisnął się w ten świetny tłok pełen gwiazdzistych piersi i orderowych ramion, zna-

lazł już prawie całe męskie towarzystwo stolicy zgromadzone na pokojach; grupy powinowactwem ciągnięte jeszcze się nie były potworzyły, najsprzeczniesze postacie stykały się i ścierały o siebie w tym tłumie. Posłowie zagranicznych dworów, podróżni różnych narodowości, dworacy królewscy, szlachta bogata przybyła ze wsi, wielcy urzędnicy, a obok nich posłowie sejmowi, ubożsi wieśniacy, dostojnicy miasta, artyści, kilku duchownych, słowem skupione wszystkie żywioły społeczne, które gdzieindziej razem rzadko się spotykały, tu najdziwniej były z sobą zmieszane.

Wszystko to ścigał jeden cel, jedna słabość szukania wrażeń i uciechy, potrzeba roztargnienia i zabawy. Niejedno czoło rumieniło się samo od myśli: że zrzuciwszy wieńce, co je opasywały, znalazło się tutaj, na prozaicznej drodze, którą gmin przywykł chodzić do wodopoju.

Obok salonu, wielka biała sala z przystawionym w końcu chórem wspartym na kolumnach, przeznaczona była na muzykę najprzód, potem na grę, która była jedną z namiętności wieku. Grano zapamiętałe na ówczes i zgrywano się do koszuli.

W chwili gdy pan Adam wchodził, witany przez gospodarza, a pilnowany i przeprowadzany przez Malutę, który wziął na się być dla niego, sternikiem wśród tych fal—w białej sali właśnie rozpoczynał się koncert, i część towarzystwa wychodziła, by go słuchać. Inni rozprawiali głośno, śmieli się, rozsypywali po kątach dla cichych jakichś narad i faicyend kryjomych, zwierzeń i wymówek; czuć było w powietrzu po przełatujących słowach, krzyżujące się sprawy różne.

W salonie białym, na fotelu aksamitnym, królowała jedyna tu przytomna kobieta, gospodyni chwilowa,

ulubienica komandora, otoczona gronem wielbicieli, sławna Leonina Tantolini, włoskie dziewczę z Sorrenta, dziwnéj urody, jakby wykradzione z obrazu Tycyana.

Adam, który jeszcze był sobie nie dobrał towarzystwa, coby go w pochodzie wstrzymało, kierowany tylko nieco przez Malutę, zbliżył się do drzwi wiodących do sali białej, i w nich jak w ramach ujrzał to zjawisko uroczne, cheiwe w niém topiąc oczy.

Leonina siedziała wsparta na ręce, trochę zmieszana wystrzałami tyłu oczy skierowanych na nią, trochę dumna blaskiem, jaki ją otaczał, ale w postawie tak wdzięcznej, że najwybredniejszy znawca nieby jéj artystycznemu układowi zarzucić nie mógł. Rzekłbyś, że się jéj gdzieś wyuczyła w pracowni rzeźbiarza, służąc mu za wzór do Psychy.

Wydawała się tak młodziuchną, tak świeżą! Ubrana była dnia tego białą, włosy miała zaczesane po grecku i maleńki w nich tylko dyadem; ale były to włosy owéj barwy gorącej, złocistej która dawne Weneccyanki z taką pracą i znojem wyrabiały sobie dziwnemi sposoby; włosy przy świetle nawet jaśniejące tonami brązu, nieporównanej obfitości, połysku i piękności. W ich oprawie wyglądał owal biały regularny, spokojny, oświecony dwojgiem oczu jak węgle czarnych, ogromnych, poważnie patrzących, a tak przeszywających człowieka, jakby mu się do dna duszy dostać chciały. Dodajmy kibić Psychy, rękę cudownych kształtów i całą postać z pod téj sukni leciuchnej dającą się odgadywać zbytecznie: była to moda wieku, chodzono po grecku, prawie nago. Ci, co mieli słuchać muzyki, wlepiwszy oczy w Leoninę, stali spętani, osłupiali jéj pięknoscia. niemi, oczarowani, odurzeni, nie wierząc prawie oczom, że mieli przed sobą żywą istotę.

I jak Wenere w greckim gabinecie chciało się wziąć za żyjącą, tak Leonina wydawała się ożywionym przez Pigmaliona posagiem.

— Ale to obraz Tycyana! wykrzykiwali jedni.

— Ale to figura skradziona z Pawła Weroneńczyka! wołał ktoś drugi.

— To portret Van-Dyck'a!

— To madonna Francii!

Adam poszedł, zapatrzył się, stanął, i trzeba przyznać, że pozostał jak wkuty. Pierwszy może raz w życiu widział tak nieposzlakowaną piękność, w której oko próżno szukało błędu, niedostatku, uchybienia ogólnej harmonii, skazy na tym dyamencie pełnym blasku.

Śmiałość naiwna i ujmująca słodycz, coś w wejrzeniu ciekawego, wyzywającego, czyniły ją jeszcze pojętniejszą; zdawało się, jakby wczoraj dopiero przybyła z nad brzegów czarownego krateru, na chłodny ład piaszczysty ziemi obwianéj mgłami.

Kapella złożona z najprzedniejszych wirtuozów stolicy, nie tak liczna ani tak huczna jak dzisiejsze, ale dobrana, rozpoczęła uwerturą Rameau; potem popisował się słynny skrzypek z koncertem, potem flecista niemiecki, potem grano symfonię Haydn'a; naostatek piękna Leonina, której przy klawikordzie towarzyszył stary Włoch w popielatym fraczku, zaśpiewała aryę włoską. Była bowiem niegdyś pierwszą śpiewaczką opery króla JM. neapolitańskiego.

Gdy pierwsze tony tego czystego a silnego głosu młodzieńczego rozbiegły się w powietrzu, nagle szmery ustały, zrobiła się cisza, wszyscy wrośli do ziemi i dech w sobie zatrzymali, aby jednę nutę nie stracić. Dźwięki instrumentu, który jéj towarzyszył, zdały

się jakby klekotaniem suchém i niecznośném, przy tój pieśni, co tak ognistym życia strumieniem buchnęła.

Był to głos jaki tylko z piersi młodej Włoszki dobyć się może: jasny, czysty, pewny siebie, wonny młodością, giętki, dla którego nie ma trudności, w którym nie czuć nauki, ani sztywności metodycznej. Najwyższa sztuka musi być największą naturalnością. Łączył się z tém jakiś wyraz żywota i siły, porywający swą potęgą.

Śpiewała pieśń jakąś wesolą, i w duszach wszystkich zrobiło się jasno, jakby wniósł lampę w ciemności; potem zaszła w smutek, boleści, w łkanie i jęki, i powlokła za sobą rozrzewnionych słuchaczy, aż się im płakać zachciało; a gdy z tych ciemności wydobywając się na świat powoli wróciła, jakby wychodząc z Pauzylipu na słońce i pogodę wesela i nadziei, wszyscy wybiegli z nią razem uszczęśliwieni, ocaleni. Ostatnia nота pełna radości, o mało nie wywołała echa w ustach przytomnych... chciało się im z nią zaśpiewać: *Evoe!*

Grzmot oklasków wstrząsł całą salą; niektórzy aż popłakali się słuchając, sami niewiedzieli czego, inni nócili ciesząc się szaleniem. Tak pieśń każdemu z nich powiedziała coś innego, z każdego dobyła co krył i chował, co chciał zapomnieć, co pielęgnował i żywił w głębi siebie, co kto miał najdroższego żalobą i weselem. Jeden znalazł w niej swą młodość, drugi miłość, inny straconą pocziwość, ów uczucie uronione po drodze: bądź co bądź, nie było człowieka, któryby nie uczył, jaką potęgą jest sztuka, gdy ją tłómaczy prawdziwy artysta i uczucie prawdziwe.

— Bravo! bravissimo!

— Cudownie! bozko! niezrównanie! wołali starzy i młodzi.

Leonina skłoniła się lekko, podniosła oczy, i widać było na jej twarzy, że ona także śpiewając była gdzieś indziej: może na wybrzeżach niebieskiego morza swego, może w Wenecyi, gdzie się kształciła później, na Canal Grande, może płynęła na Lido, może z okien domu zwieszonego ze skał nad morze, spoglądała na Neapol wieńcem rozłożony z przeciwnej strony, lub na rumieniące się w oddali Capri... To pewna, że latała gdzieś czarownicza, że ci ludzie bez skrzydeł zerwali się ją gonić, i popadali na ziemię. Wyglądali też teraz wszyscy jak rozbici.

P. Adam w czasie śpiewu, choć w operze paryżkiej słyszał najsłynniejsze prima-donny owego czasu, stał także osłupiały i przejęty. Czuł jak mu dreszcz zimny przelatował od mózgu po plecach, jak w niego lał się strumień to lawy gorącej, to lodu rozpuszczonego i mrozającego... Nie wiedzieć dla czego stanęły mu w myśli kościoły farny w Białej, i pierwsze spotkanie z Julią, jakaś scena wieczorna... potem pogrzeb w Wólce Brzozowej... On, co nigdy nie marzył, poleciał także w swój świat na skrzydłach fantazyi, uniesiony muzyką.

— To coś nadzwyczajnego... rzekł trąc ręką po czole jakby chciał przywołać przytomność: nie rozumiem siebie.

— Prawda? rzekł wspinając mu się do ucha Maluta: to słowik włoski... to śpiew z innego świata! Czuć od niego woń rozkwitłych pomarańcz i jaśminów. Cudownie! cudowna *diva! diva!*... a powiem panu w tajemnicy, że pan nie wiedząc przyczyniłeś się do te-

go wykonania... Leonina wzrok miała w pana wlepiony.

— We mnie!

— Ale cy! to tajemnica! dodał mały—to tajemnica! Brawa nie ustawały, proszono o coś jeszcze, Leonina się opierała. Czula, że takich dwóch pieśni jednego wieczoru pierś wynócić nie zdoła, bo niema w człowieku dwóch dusz, a całą wylać potrzeba na taki śpiew.

Ale gdy jakiś stary amator muzyki ukląkł przed nią, a stojący bliżej naśladować go zaczęli, i ujrzała przed sobą cały szereg peruk pochylonych, rozśmiała się z tych upudrowanych głów, szepnęła coś Włochowi, i przy bardzo prostym akompaniamencie naśladowajacym gitarę, poczęła prostą neapolitańską Canzonę.

Była to piosnka dziewczęcia młodziutkiego, roztrzpiotanego pod tém słońcem Południa, które krew czyni kipiátkiem, rozśmieszzonego, wesołego jak ptaszę; śpiew leciuchny, szczebioczący, szyderski, przy którym chciało się cień gonić, ścisnąć mury i całować ciepły wiatr wiejący z gór, kasztanowemi lasy porosłych.

Szał doszedł do najwyższego stopnia, a Leonina widząc swych wielbicieli w tém rozgorzeniu, zakręciła się, rozśmiała ruladą jak sznur pereł świetną... i uciekła.

I zrobiło się w sali ciemno, chłodno i pusto; wszyscy poczuli, że ona była życiem i słońcem... Pan Adam nawet doświadczył dziwnego uczucia tęsknoty, jakiego w sobie nie znał: żał mu się zrobiło steraniej młodości.

— A! rzekł mimowolnie do Maluty—czy ona się już nam nie pokaże?

— Zdaje mi się że przyjdzie... Poszła tylko spożąć, odpowiedział zacierając ręce p. Floryan. Choćby dla zobaczenia jeszcze z bliska pana starosty...

— Mnie? spytał pan Adam.

— Ale tak! tak! śmiejąc się dodał kusiciel—to wiem autentycznie.

Komandor stał niedaleko przy drzwiach, słuchał i mógł usłyszeć; pan Adam tracił łokciem Malutę, i umilkł. Po chwili gospodarz, który bardzo wydawał się zimny, zbliżył się i zapytał starosty:

— Jakże się panu śpiew jój podobał?

— Nie mogę nawet powiedzieć, czy mi się podobał... bom pijany od niego,—rzekł p. Adam.

— Głos to istotnie przedziwny, rzekł chłodno gospodarz: tysiące ich słyszałem, a nigdy podobnego, któryby tak działał na człowieka. Ale ona dopiero żyje gdy śpiewa, całe jój życie w tym głosie: zresztą pospolita, chłodna nawet istota. Zkąd się tam bierze ten szal, ten urok, ten wyraz, to pojąć trudno. Jój śpiew jest jak wejrzenie wielu kobiet, które więcej mówią oczyma: niż potrafią usta powiedzieć.

To rzekłszy, gospodarz weisnął się w tłum i odszedł. Muzyka, która potem zagrała, skrzypiała tak w uszach słuchaczy, że się powoli z białej sali porochozdzili nie było można wytrwać przy niej po śpiewie, choć w istocie była wyborna.

Był to tylko pierwszy akt tego dramatycznego wieczoru, niby otwarcie jego; zaraz potem lokaje pokazali się we drzwiach, kamerdyner drzwi do jadalni odemknął, i goście poszli na kolację. Zastawa stołu, który cały był w zieleni, w zwierciadłach i porcelanowych figurkach, zdumiewała oczy, ale woń jój przyjemniej jeszcze polechtała nerwy smakoszków. Zapach

kwiatów mieszał się z ulatującymi wyziewy potraw, które odgrywały także w powietrzu pewnego rodzaju koncert dla nosów i podniebień publiczności.

Jakkolwiek wielki był tłum, sala, stoły i stoliczki starezyły na pomieszczenie wszystkich wygodne; cisza żarłocstwa przerywana tylko brzękiem widelców i łyżek rozpostarła się po sali, i trwała aż do pierwszych kielichów, które usta otwarły—uśmiechem.

Dzieje wszystkich uczt podobnych są jednakie. W godzinę połowa gości co przyszli dla wieczerzy tylko, wysunęła się po cichu; reszta zabierała się do walki z koszami pełnymi butelek, przy których szturmie mogła nocować. Kielichy dobywano coraz okazalsze i większe; gospodarzyli gorąco przykładem zachęcając przyjaciele komandora, on sam po trosze, słudzy nawet. Pijatyka poszła okrutnie szybko, namiętne, z przerażającą gwałtownością.

Uszczupliło się tylko grono bachusowych dzieci, gdy niektórzy poczuli, że w sali białej gra się rozpoczyna, część znaczna odbiegła do kart.

Tu na zielonem suknie świeciły się kupy złota, blaskiem swym pociągając serca i oczy.

Maluta, który ciągle miał w opiece starostę i wodził go z sobą wszędzie, pilnując aby wszystkich rozkoszy skosztował,—patrzył w oczy, śledził każde jego wrażenie, ale nie znalazł w chłodnym owym człowieku takiego zapалу, jakiego się po niewytrawnej jego młodości spodziewał.

Stanęli wreszcie przy stolikach gry, od której do tąd p. Adam się wstrzymywał. Nie mógł nawet grać, bo w kieszeni miał zaledwie kilkanaście czerwonych złotych, a stawki były grube i wstyd było z kilku dukatami wystąpić.

— Cóż to, nie próbujesz pan szczęścia? zapytał go Maluta.

— Ja nie grywam, rzekł starosta sucho.

— Jeżeli pana hrabiego wstrzymuje jaka okoliczność chwilowa, paręset czerwonych złotych zawsze się znajdzie w kieszeni jego sługi na rozkaz, a nie postrzeże nikt jak je panu podsunę.

— Ale nie, nie gram, odparł p. Adam.

— To do woli... tylko zrobię uwagę, że możeby wypadało grać—szepnął mały,—to jakoś należy do dobrego tonu, żeby nie było śmiesznie...

— Nawet nie umiem, przyznaję się.

— Gdybyś JW. hrabia pozwolił sobie pomódz.

— Ale nie.

— Juściż tu się zgrać nie można.

— Grasz pan, panie starosto? spytał w tej chwili nadchodzący gospodarz.

— Ja, nie, jestem nowicyuszem w tej sprawie, zwykle nie grywam.

— A! to prześlicznie! jedną słabością mniej... to już wygrana! Jest to na nieszczęście słabość, mierzenie się i walka z losem namiętne... Jak to! starosta nie grałeś nigdy?

— Dotąd, nigdy.

— A! to dla samą ciekawości wartoby spróbować szczęścia swego, rzekł gospodarz. Nikt siebie nie zna, kto nie grał. Jest to studium własnego charakteru. Miałem się zawsze za bardzo cierpliwego, ale istotnie gra dopiero enoty mnie tej nauczyła.

Adam czuł się dziwnie pociągiony ku temu człowiekowi. Komandor miał dla niego urok niewytlomaczony. Uśmiechnął się, zbliżyli się jakoś ku stolikowi.

— Prosimy o miejsce! zawołał gospodarz: oto

przybywa człowiek, który ślepemu fatum przynosi po raz pierwszy ofiarę!... Dziewicza stawka! Ile panie starosto?

— Ja? rzekł zmieszany Adam: jak pan sądzi?

— O! co bądź! fraszkę! pięćdziesiąt dukatów?

W téj chwili poczuł starosta, jak do jego kieszeni przechodziły dwa rulony, z których jednego zaraz dobył. Zawierał widocznie sto dukatów.

— Oto jest co mogę przynieść na ofiarę—rzekł wyrzucając rulon: nie—więcej.

— A więc od razu cały w paszczę potworu! odpowiedział śmiejąc się komandor, i rzucił rulon na kartę.

Pochwili milczenia:

— Brawo! wygrana! zawołano do koła. Pan Adam nie widział i nie rozumiał co się dzieje.

— Niech idzie dalej, na dwieście? spytali

— Tak, na dwieście, rzekł pan Adam.

Karta wygrała znowu.

— Na czterysta!

Starosta obalamucony krzykami zgadzał się na wszystko.

Nowa wygrana.

— A! to już musisz pan trzymać na ośmset: prawdziwe szczęście nowicyusza! zaczęli wołać wszyscy.

— Na ośmset! bacność, na ośmset!

Jeszcze raz karta przeszła, nastąpiło milczenie.

— Cuda!

— Trzymasz pan na tysiąc sześćset? spytał z ukłonem bankier.

P. Adam chciał się okazać, obawiał się i żałował ośmiuset wygranych dukatów, ale kiwnął głową zezwalając.

Stawił na asa... as w następnym pasie wyszedł dla niego.

— Zdziwiałające szczęście! wołano wkoło. Gdyby był umiał z niego korzystać!

— Jesteś pan predestynowany! zaśmiał się komandor, odchodząc żywo od stołu. Bierz pan dukaty i na dzisiaj basta... Ale strzeż się: nie niebezpieczniejszego i bardziej uwodzącego nad pierwszą wygraną.

P. Adam pod naciskiem wrażeń, których raz pierwszy w życiu doznawał, zabastował sam nie wiedząc jak; nie umiał poradzić sobie z pieniędzmi, których mu ponapychano pełne kieszenie, tak że suknie obrywały. Maluta widząc go zakłopotanym, podjął się odnieść mu je do domu.

Chociaż nie stawił już więcej, p. Adam nie odszedł od stolika gry aż dopiero nad ranem; karty go zajmowały, patrzył, rozpalał się, niepokoił, policzki mu płonęły, w piersi kipiało. Muzyka, wieczerza, wygrane dukaty, natłok rozmaitych myśli i uczuć rzuciły go w odmęt dziwny; czuł jakby nowe jakieś rozpoczynał życie... Niepokój i żądza nieznana siadły mu na piersi i ssaly je z szyderskim uśmiechem.

Gdy rano do domu powrócił, kładąc znużoną głowę na poduszkach, rzekł do siebie w duchu:

— Przecież to się musi życiem nazywać!

W snach trochę gorączkowych przelatywały stoliki, karty, stosy złota, bukiety i kobiety... Julia unosiła się nad nim z rozpuszczonym warkoczem, obwinięta nim cała, jak gdyby w płaszczy ognistym... śpiew jej rozlegał się szeroko i wrzał mu w piersi jak wrzątek.

Gdy oczy otworzył bardzo próżno na dzień, ujrzał

przy sobie siedzącego Malutę, i leżący na łóżku zielony woreczek z tysiącem sześciuset dukatami... Z drugiej strony stał Jermaszka z założonemi na piersiach rękami, ze spuszczoną głową, w cieniu, i przypatrywał się paniczowi z wyrazem głębokiej boleści.

Ledwie miał czas wstać i przyodziąć się, gdy kamerdyner oznajmił mu, że pani z nim widzieć się pragnie. Choć przykro mu to przypominało jego poddaństwo, musiał pożegnać Malutę, który z niego ciągnął spowiedź wrażeń wczorajszych, i poszedł do żony...

Pani przyjęła go wcale nie tak jak się spodziewał, lecz z wesołą twarzą i swobodnym na pozór umysłem; spojrzała na niego bacznie, wzrok jej dłużej spoczął niż zwykle na chmurnym jego czole, i spytała:

— A cóż? dobrzeście się bawili wczoraj?

— Doskonale! rzekł starosta, ośmielając się powoli i przybierając ton swobodniejszy niż dawniej, mniej uległy; bawiliśmy się wybornie, ale dziś trochę niewyspany...

— A! bo też zapomnieliście się do dnia.

— A! tak jest.

— Grałeś zapewne? dodała żona z trochę niepokojem...

— Musiałem...

— Wiem, wygrałeś nawet tysiąc czy półtora tysiąca dukatów, *c'est un joli denier*.

— Wiesz więc wszystko! odparł mieszając się starosta: miałem widać szpiegów za sobą...

— Szpiegów? Nie! ale dużo moich i twoich przyjaciół. Powiem ci więc: byłeś zachwycony śpiewem tej nędznej chłopki włoskiej rudowłosej—dorzuciła czerwieniąc się żona. Mogłabym ci prawie wyliczyć ile kieliszków wina wypileś, i ile razyś się obejrzał, wyglądając, czy panna Leonina nie wróci.

— Nadzwyczaj mi to pochlebia, że się raczysz tak mną zajmować, odparł starosta z trochę gniewu, ale zarazem jest to upokarzające... Nie mam więc w niczem woli własnej? nie mam rozsądku do pokierowania sobą, potrzebuję dozoru... zawsze jak małe dziecko?...

Starościna uśmiechając się ruszyła ramionami.

— Wiesz, rzekł pan Adam, że to w końcu najcierpliwszego człowieka znużyć musi.

— A gdy znuży? zapytała spokojnie starościna.

— Ha! to może nabrać ochoty wyłamać się z tych więzów...

— A gdy się wyłamie? odparła znowu żona.

— No! to będzie wolny! zawołał gniewnie starosta—i koniec! Cheesz więc stanowczą rozmowę?

— Pragnę jej bardzo! odpowiedziała kobieta miarkując się, ale z gniewem w oczach.

— Od dawna chciałem ci zrobić uwagę, że sposób życia, jaki prowadzę, jest upokarzający dla mnie.

— Dla czego?

— Nie mam woli, jestem sługą nie mężem.

— Mogłeś to przeczuć, gdy ci oddawała rękę! zawołała dumnie starościna. Brałam cię ubogim chłopcem, gdy daleko świetniejsze znaleźć mogła zamełcie; uczyniłam to nie z miłości, bo o młodego, przystojnego mężczyznę nie było mi tak trudno, ale rachując na

twój rozsądek i powolność. Chciałam mieć w mężu posłusznego wykonawcę mej woli, i mieć go powinienam. Ofiara tu wzajemna. Ja ci daję mój wpływ, opiekę, rodzinę, stosunki, majątek; mogę przecie za to wymagać trochę posłuszeństwa i zastosowania się do mych żądań. Żeniąc się ze mną, alboś mnie chciał oszukać, alboś nie zrozumiał, że nie na świecie nie przychodzi darmo.

Tak jasno postawiona kwestya zdumiała Adama, który zżymnął się tylko.

— Dotąd myślałem—rzekł—iż w małżeństwie są równe prawa obojga małżonków.

— Gdzie równe są ich położenia i ofiary—odparła kobieta.

Przypomnienie było upokarzające... Adam spuścił oczy...

— Nie sędzę—mówiła dalej—byś się chciał ważyć na nieroztropną wojnę: do prowadzenia jej nie masz ani sił, ani sprzymierzeńców, ani umiejętności. Nie sędź, bym była dobroduszną i zawojowaną Julią. Znasz może takie jak ona kobiety, ale nie takie jak ja. Po tych ofiarach, jakie uczyniłam dla ciebie, nie sędź, bym obojętnie dała się porzucić lub podbić. Nie wiesz chyba, czym jest zemsta kobiety i prześladowanie obrażonej: ono cię może w proch zetrzeć... Przedemną nie znajdziesz schronienia, kąta... pokoju... ukrycia... Ale istotnie nie mam cię za tak nierozważnego chłystka, abyś się na to chciał narażać.

Adam pobladł z gniewu i upokorzenia. Zbity, zdeptany nogami przez tę nielitościwą kobietę, spuścił głowę jak przed ognistym mieczem archanioła, winowajca. Młodość nie dała mu dosyć uczucia miłości własnej, dość wiary w siebie i energii, aby z obu-

rzeniem potargał natychmiast więzy, które go opłatywały...

— Mówię to wszystko—powolniej nieco kończyła starościna—nie żebym ci chciała grozić, bo rzeczy nie zaszły tak daleko, bym mogła przewidywać coś podobnego; ale dla twój przestrogi spowiadam ci się z mojego charakteru... nie więcej... Chcę, ażebyśmy jasno pojmowali nasze położenie.

— Tak, ja je pojmuję teraz bardzo jasno—odezwał się pan Adam z bolesnym uśmiechem:—przyjęty zostałem do posługi.

— Nie, na powolnego towarzysza — podechwyciła starościna. Nie zapieram się rachuby, oszukana na niej być nie chcę. Jeżeliś sądził, że mnie zawojujesz jak tę biedną Julię, myliłeś się mocno: ja jestem z tych kobiet, co szalenie kochają, ale dla których ludzie nie szaleją... Teraz się już doskonale rozumiemy...

Po chwili milezenia dorzuciła:

— Widzisz, że wszystko wiem, że się przedemną nie ukryjesz z niczém, że myśl nawet twoją odgadnę, że cię znam do głębi. Nie jesteś stworzony do walki, nie powinienes walczyć, bo będziesz zwyciężony.

— Prawdziwie—odparł Adam—powiedziałby kto, że mnie wyzywasz.

— Nie, bom twoja żona, rzekła chłodno starościna; wiem, że się zrozumiemy i pogodzimy.

Opoliczkowany przez nią w sposób taki, jakiegoby nikt inny znieść nie potrafił, zboląły, upokorzony sam przed sobą, zachwiał się pan Adam, pot zimny wystąpił mu na czoło, ale zmilezał. Nie miał dosyć charakteru, aby zerwać natychmiast, obawiał się złać całą przyszłość swoją, był razem godzien wzgardy

i politowania... Pani starościna uczuła, że depeząc go zaszła za daleko: uśmiechnęła się łagodniej; pochlebilo jej to łatwe zwycięstwo.

— Uspokój się, rzekła: między małżonkami podobne sceny są zwyczajne; są to drobne przechodzące po niebie obłoczki. Nie miej mi za złe szczerości mojej. Tacy przyjaciele jak Maluta, wiedzą cię na bezdroża; ja pragnę powstrzymać i upamiętać. Nie ścierpie, ażebyś mnie oszukując, tarzał się w błocie jak drudzy... Miałam już jednego męża, który zgnił w mych oczach, zjedzony rozpustą i wyżyciem: nie puszcę cię na zgubę; tyle jeszcze cię kocham, że nie dozwolę ci zbezcześcić się i przepaść.

— O! mój Boże! zawołał w duchu przejęty bolem Adam: cóż to za pomsta Niebios mnie śiega! Jak ta kobieta obchodzi się ze mną!

— Nie sądzę, abyś WPan chciał rozbratu i zemsty, dodała kobieta; ale masz zawsze do wyboru: albo tę zemstę, albo posłuszeństwo, które ci przecię ujmy na honorze nie czyni. Świat tego za złe nie bierze, gdy kto kochając jest posłuszny: potrzeba tylko umieć kochać, a choćby dobrze odegrywać wielką miłość dla ocalenia honoru mężczyzny.

I śmiała się szydersko, chodząc po sali, i przyglądała się sobie w zwierciadłach, wlokąc za sobą ogon sukni, poprawując to nieco rozpuszczone włosy, to szal spadający z ramion... Podobna była do zwyciężki Junony, której tylko brakło pawia z rozpuszczonem ogonem...

Pan Adam stał znękany, napróżno chcąc się zdobyć na jakąś siłę. Cierpiał oplwany wzgardliwie przez nią, a wybuchnąć nie mógł, wiedząc, że ona byłaby

najmniejszego sprzeciwienia się nie zniosła, i zgmiotła by go jeszcze nielitościwiej.

Wszystko w tym domu do niej należało: dwór, służby, aż do tej sukni, którą on na sobie nosił... Mogła go swoim ludziom kazać za drzwi wyrzucić, odarlszy do koszuli; a po jej charakterze, nawet podobnego wybryku w chwili gniewu spodziewać się było można.

Adam poczuł, że chwila dłużej, a może skonać z bólu i ucisku...

Machinalnie zaczął szukać kapelusza i myślał uciec; zdawało mu się, że tym jednym sposobem uniknie ostateczności. Usta jego drżały, a obawiał się wyrzec słowa, twarz malowała straszliwą walkę, i wyrażała takie przerażenie, taką boleść dojmującą, że nareszcie i ta arystokratyczna Ksantypa ulitowała się nad zgnicionym przez siebie człowiekiem.

— Dla czegoż milczysz? spytała go: jam szczerą.

— Nie mam nic do odpowiedzi, rzekł cicho pan Adam, ciągle szukając kapelusza.

— Radabym posłyszeć co masz w sercu?

— Powtarzam — rzekł mąż — nie mam nic do odpowiedzi, nie, nie!

— Przecież nie powinienbyś się gniewać na mnie? dodała niemal szydersko.

Adam uśmiechnął się; ręce mu drżały. Znalazł wreszcie kapelusz i gniótł go tak, że poszarpany rozpadł się w kawałki.

— Czy to jest odpowiedź? wskazując na niego spytała żona.

— Droga Krzysiu — rzekł błądy pan Adam, podnosząc nareszcie głowę — idąc ścieżką nieraz ci się pewnie

trafiło zgnieść robaka na drodze: nie uważałaś też kiedy, że zdeptana istota podnosi wówczas głowę bezsilną, szukając obrony? Nie trzeba do rozpacz przywołać nawet robaków.

Dziwny uśmiech przeleciał po trzęsących się jego wargach. Wyszedł żywo, zostawując ją samą, ale z jakimś w duszy uczuciami! Zbiegł po wschodach płonąc od wstydu, bo niemal był pewien, że scena ta miała podedrzwiemi słuchaczy. Zamknął się w swoim pokoju.

Tu padł na łóżko, i w rozpacz porwał oburącz rozgnioną głowę, bijąc ją o mur zimny. Znieważony, wyszydzony, gdy myślą sięgnął po niezależność, po ucieczkę z tego domu, rozbijał się o własną zniewieściałość, o obawy, o stratę wszelkich nadziei, na których przyszłość swą budował. Miłość zesłała mu na marzeniach, sił nie wyrobił w sobie żadnych, prawdziwe nieszczęście znajdowało go nieprzygotowanym, samego siebie się wstydzącym.

Ile razy myśl wpadła na rachubę następstw, jakie zerwanie z tą kobietą pociągnąćby musiało za sobą, przestraszał się walką, osamotnieniem, własną nędzą moralną. Czuł, że temu nie podola, że okuty musi zostać niewolnikiem.

Przeleżał tak kilka godzin, walcząc z sobą daremnie... gdy nagle nastęczyła mu się myśl zobaczenia się z Julią. Serce jej było dla niego dziś jedyne, do którego mógł zakolatać, przed którym czuł, że się uzalić może. Ale strzeżony we własnym domu, nie mógł nawet wynieść, aby go nie śledzono i nie szpiegowano; każdy krok jego był natychmiast doniesiony, wiadomy żonie.

Miało się już ku wieczorowi, gdy twarz pocziwego

Jermaszki pokazała się już może po raz dziesiąty we drzwiach przedpokoju. Pan Adam pierwszy raz ją teraz spostrzegł. Zaglądał on ciągle ku panieczowi, ale wnijsć nie śmiał.

Starosta ujrawszy go nareszcie, pomyślał, że mu los daje choć słabego sprzymierzeńca. Skinął na niego, wskazując mu, by wszedł po cichu, był bowiem pewien, że go pilnują teraz ściślej jeszcze niż kiedy.

— Słuchaj, rzekł do niego: potrzebuję wyjść z domu tak, by mnie nie widziano. Nie pytaj czemu? Chcę, żeby ludzie myśleli, że śpię, żem chory; nie wpuszczaj tu nikogo, pilnuj sypialni, ja się tyłami może wymknę niepostrzeżony.

— Wymkniecie się paneczku, a no prędko,—odpowiedział Jermaszka: oni teraz wszyscy na obiedzie... w bramie nie ma nikogo.

Starosta narzucił płaszcz na siebie, i ostrożnie wśliznął się przez mroki bramy w ulicę... W istocie nikt go nie spostrzegł. Wziął najbliższy powóz i pojechał do Julii. Szczęściem zastał ją w domu, ale była chora. Nakreślił kilka słów na karteczce, posłał przez służącą, i w parę minut wpuszczono go do jej buduaru...

Hrabina istotnie była cierpiąca, a na twarzy jej niedzisiejsza boleść coraz głębsze ryla ślady. Smutna, chwiejąca się na nogach, postąpiła przeciw niemu pełna wzruszenia i litości.

— Cóż cię tu sprowadza? spytała cichym głosem: co? Już ci nie pamięć o mnie, nie litość nademną, mój drogi Adamie! Nie! ja się ludzi nie chcę: ty musisz cierpieć, a jam ci potrzebna, bo wiesz, że kocham ciebie!

Łzy potoczyły się po jej zwiedlonej twarzy; wskazała

ręką portret Adama, który stał przed nią na stoliku, na który patrzała gdy przyszedł, karmiąc się wspomnieniami...

— Siadaj tu—rzekła—i poskarż mi się, dziecko moje. Ja dziś mocniej niż zwykle jestem cierpiąca, z powodu tego wczorajszego nieszczęsnego wieczoru może. Wiem gdzie byłeś, każdy krok twój śledzę... Słyszałeś śpiew Leoniny i byłeś uniesiony!... A! jam jeszcze zazdrośna! nie o tę kobietę, która się zowie twoją żoną, bo ty jej kochać nie możesz, ale o tę Włoszkę, za którą tak tęsknym gnałeś wzrokiem.

— Jak to? już ci doniesiono!... i tu...

— Nie, widziałam to sama własnymi oczyma. Byłam skryta na chórze... bom wiedziała, że ty tam będziesz. Patrzałam na ciebie i omdlewałam z zazdrości! A! ty na nią tak patrzałeś cheiwie temi oczyma moimi!... O!..

I wstrzymała się, piersi uciskając rękami.

— A! ja ani myślę o tém! zawołał Adam. Posłuchaj mnie. Ten wieczór był przyczyną okropnej sceny między mną a Krystyną. Przychodzę ze skargą i prośbą... Julio! ratuj mnie! Tyś mnie wyrwała z tej ciśniny wiejskiej i rzuciła w ten świat okropny, przeciwko któremu stoję dziś bezbronny!

— A! inne ja dla ciebie marzyłam szczęście i życie!

— Tak! jam moją winą wpadł w tę przepaść! Ratuj mnie! Ta kobieta nie ma serca, nie zna litości; nie tai się, że mnie chce mieć tylko niewolnikiem swym i sługą. Wszystko co może obrazić, co może zgnieść bezbronного człowieka, wylała na mnie i rzuciła z szyderstwem za próg, urągając mojej bezsile... Powiedz, co mam począć? Zniosłem to, wycierpiałem, ale przebaczyć nie mogę, i znosić dłużej nie potrafię!

Załamaj ręce. Julia stała zadumana.

— Ona więc śmiała posunąć się do tego! krzyknęła—do tego!

— Więcej niż ja powiedzieć, niż ty się możesz domyślić. Jam zniósł to jak żebrak, którego psami z podwórza wyszczują za wrota.

Julia chodziła wielkimi krokami, chwytając się za głowę i serce... potem ukłękła przed nim, i chwilę płakała milcząca.

— Tak! zawołała wstając: masz słuszość! Jam jedna winna... jam pokutować skazana na nas oboje... jam obowiązana radzić i ratować. Jam cię porwała dzieckiem z pod cienia tych drzew, któreby były ciche ci osłaniały życie i kołysały do szczęścia spokojnego, niezmaconego. O! ja! ja! ja!—dodała, bijąc się w piersi—ja znam Krystynę: ona gotowa na wszystko gdy się zemścić pragnie, gdy ściagać postanowi. Potrzeba milczeć, mam środki, obmyśle, poradzę, dam ci oręż przeciwko niej... Ale powiedz mi—rzekła po chwili—maszże ty siłę, aby ją porzucić i walczyć z nią? Byłaby to wojna, o którą mogłaby się rozbić cała przyszłość twoja. Jój rodzina tak związana, tak jedna, ściagałaby cię nielitościwie... Milez! czekaj, daj mi zdobyć te środki... przygotować ci oręż. Ja także mam z nią rachunek, ale przedewszystkiem szczęście twoje... Jak się scena skończyła?

— Wyszedłem wściekły, upokorzony, przybity.

— Czy wie, lub może dojść, że byłeś u mnie?

— Nie! wymknąłem się niepostrzeżony.

— Co myślisz czynić jutro? spytała Julia?

— Będę jój unikał i milczał.

— Nie, potrzeba chwilowej zgody, zawołała hrabina: nie należy obudzać podejrzeń. Jutro, jeśli będzie

można, przyjdź do mnie. Dałabym życie, aby cię ocalić; ale jak Bóg nie zbawi tego, który nie pragnie być zbawiony, tak ja nie ocalę cię, jeżeli nie znajdziesz w sobie siły do walki.

Adam i tu znów upokorzony, spuścił głowę.

— Masz słuszość—rzekł—jam winien, bom słaby. Czuję to, i siły sobie dać nie umiem; wszystkie pożarła ta żądza wywyższenia się, wielkości, blasku. Jest to szal, namiętność. Żałuj mnie, ale nie pragniń, bym zwyciężył siebie.

— Pomyśl—odparła po chwili Julia, z uśmiechem serdecznego współczucia—pomyśl, czy w obiorze drogi do tego celu nie omyliłeś się. Miłość taka jak moja jest często jasnowidząca... Czyż tylko przez ludzi i wpływy dosięgnąć można szczytu? czy się nie dochodzi bezpiecniej do niego o własnej mocy i zasłudze—przebojem, walką talentu, który w końcu uznany być musi i właściwe w świecie uzyskać stanowisko?

— Być może—zawołał Adam—jest to prawdą zapewne gdzieindziej: u nas i teraz, nie. Trzeba opieki, pleców, stosunków lub zaprzedania. Jam skazany na tę niewolę, ale nie maszże środka na pokonanie jój, na pokonanie téj tyranii? Ty ją znasz?

— Znam ją, i sądzę, że nie jój złamać nie potrafi, odparła smutnie Julia. Są może środki, ale dla ciebie niedostępne; jest jeden niepewny, o którego zdobycie starać się będę. Jest to charakter silny, śmiały, niecofający się przed chwilowym wstydem jak inne kobiety: miałeś tego dowody. Znałam istoty, które, by nie dotknąć łojowej świecy, wołały dać zgorzeć domowi: Krystyna wcale jest inna. Gdy pragnie czego, pragnie całą duszą, gromadzi środki, rozbija zapory, nie nie szczędzi... Takby kochała, gdyby mogła

kochać; ale tak pewno nienawidzić będzie, gdy się w niej nienawiść obudzi... Mógłbyś z nią wieść walkę powolną, cichą, chłodną, nieustającą, wytrzymałą, podkopującą, wycieńczającą ją powoli; ale tyś do niej niezdolny, a Krystyna nie wiem czy czego ulęknąć się może, prócz upadku z tej wysokości, na której ją mieści urodzenie, majątek. Myliłbyś się sądząc, że tracąc cię, uroni łzę po tobie: mścić się zażąda, ale żałować nie będzie.

— Skuty więc jestem z potworem! zawołał Adam, łamiąc ręce.

— Gdybyś nie był człowiekiem ambicyi nienasyconej, powiedziałbym ci: zerwij wszystko, porzuć ją—odparła Julia—uciekajmy za światy! To, co ja własnego mieć mogę, starczy na życie ciche, na kątek zielony choćby w drugim świecie, za oceanami. Sprzedam wszystko, zabiorę swoje, wezmę cudze—dodała namiętnie—jeżeli zechcesz pójść ze mną. Mnie tu nie nie wiąże. Wspomnienia, to zgryzoty... nadziei żadnych... blask, to rozpalona korona, co pali skronie... świat, to męczeństwo na łożu Prokusta, na którym codzień inaczej wyciągają cię jego zwyczaje i tyrania, jego fantazje... A! gdybyś chciał! gdybyś mnie kochał!

Adam spuścił głowę przybity. W sercu jego było pusto; była litość, przywiązanie nałogowe, wdzięczności nawet iskierka, ale nie było tego uczucia, co wszystko rzuca w ogień, byle się przy nim ogrzało...

Julia nie pytała go więc, milczenie było odpowiedzią...

— Wracaj—rzekła,—niepotrzeba ażeby się domyślano stosunków pomiędzy nami. Bądź ostrożny; ja z mojej strony pracować będę, by ci dać oręż na nią. Nie mogę mówić dzisiaj nic więcej. Nie zrywaj, nie

czyń kroku stanowczego, nie naradziwszy się ze mną. Krystyna jest zręczna: da ci jakąś pastwę, abyś o ranie zapomniał; ale jutro ciśnieć jeszcze skuje twe kajdany, gdy o baczności zapomnisz.

Adam skłonił się, pocałował jej rękę gorącą, uczuł jej usta przylgłe na chwilę do czoła, i wyszedł znękany, niepewny, ale z jakimś brzaskiem nadziei. Zawlókł się tak do domu powoli, nie myśląc już ukrywać się z powrotem, bo mu tylko szło o to, aby nie widziano dokąd chodził.

Przyszedszy do mieszkania, zastał tam Jermaszkę na straży u drzwi, rozognionego widać oporem, jaki w obronie powierzonego mu stanowiska stawiać musiał.

— Ono to proszę JWPana, pani przysyłała dwa razy po panicza, ale powiedziałem, że śpi; chcieli budzić, ale nie dopuściłem. Mało się biedy nie narobiło z tym wielkim kamerdurnerem, bo mnie sfukał, a ja znowuż tego nie lubię. To się mu dostało jak należy, i dali mi pokój.

— Dawno to było?

— A może trzy *Ojciec nasz* temu, odparł Jermaszka.

— Jeżeliby znowu kto nadszedł, daj mi wiedzieć, rzekł Adam.

I począł myśląc chodzić wielkimi krokami po pokoju. Ważył pierwszy raz w życiu położenie swoje, i nie widział z niego wyjścia. Był sam, bezsilny, a miał przeciwko sobie nieprzyjaciela, kobietę-żonę, intrygantkę i wszechmocną w Warszawie. Pierwszy raz dało mu się też uczuć zaprzękanie. Ścisnął pięści, łamał sobie głowę napróżno. Nie było wyjścia z tego rozpaczliwego położenia.

Gdy tak dumiał, spostrzegł, że kilka razy uchylono drzwi, jak gdyby go kto szpiegował, i poznał w nich

pocziwego Jermaszkę, który w istocie śledził jego ruchy, przeczuwał jakieś strapienie i frasował się, że nie wiedział jak paniczowi poradzić na nie. Ale cóż znaczył ten sprzymierzeniec w łapciach przeciwko wielkiej pani w paryzkich trzewieczkach? Kaliban wielki przeciwko królowej czarownicy?... Przypomniawszy mu wszakże wieść, cichą młodość, stracony spokój.

— Po co mi było pragnąć zbyt wiele! rzekł w sobie: czyżbym tam nie był szczęśliwszy?... czyżbym tam nie był królem u siebie... gdy tu jestem sługą sług dworaczych? Ale dziś, wygnanemu z raju, niepodobna do niego powrócić... tysiąc przepaści mnie od niego dzieli... nie należę do niego! sprzedałem się! sprzedałem!...

Słabość wyradzała zemsty pragnienie. Zaciśnięte pięści; ale wkrótce opadały mu ręce, czuł się bezsilnym.

Szmer w przedpokoju i rozmowa z Jermaszka przerwały jego marzenia i gniewy; po chwili wszedł prawie przebojem kamerdyner Biebrzycki, niosąc na tacy wielki list.

Sklonił się i rzekł:

— Od JW. Pani.

A podawszy go staroście, odszedł nie czekając odpowiedzi...

Adam trzymał go długo w ręku, nie śmiejąc pieczęci rozłamać. Dziwnie to miało pozór urzędowy, i nie mogło być biletem od żony do męża: była w tém widocznie jakaś niespodzianka tajemnicza. Na wierzchu tylko stał napis z pośpiechem skreślony:

Mon cher Adam.

Zwykle Krystyna pisząc do męża, dodawała ten przymiotnik niezbędny, który po ranniej scenie dziwnie się jakoś wydawał.

Starosta zbliżył się do świecy, rozłamał pieczęć, i dobył najprzód kartkę, na której stały te słowa:

„Ja za złe, dobrém płacę... Gdy *cher Adam* karmił mnie takim smutkiem, myślałam tylko, by mu zrobić przyjemność; a w dowód, że nie zmieniałam uczuć, że nie chcę na jedną chwilę pozbawiać się téj satysfakcyi, jaką moja drobna ofiara uczynić ci może, oto ją masz... *Bonne nuit!* *Cristine.*”

Koperta zawierała w sobie tegoż dnia podpisaną przez króla JMości nominację urodzonego i wielce nam milego hrabiego Adama O... na wakujące kasztelaństwo, wprawdzie *in partibus infidelium*, ale dające tytuł piękny, miejsce w senacie i szczebel do dalszych honorów.

Trzeba przyznać, że wyrobienie tego tytułu, i rzucenie go tegoż dnia w nagrodę za doznana z rana boleść, było mistrzowskie. Adam uczuł się związany, przykuty, zawstydzony i upokorzony ténbardziej, że się o to wcale nie starał, iż jój tylko wpływom winien był tę niespodziankę... i musiał dla niej mieć wdzięczność.

Adam był polechtany przyjemnie: nie marzył tak rychło o tak dostojnym tytule, który go stawiał od razu na równi z pierwszymi dygnitarzami Rzeczypospolitej, dając mu głos i położenie poważne. Wprawdzie wydatki, na jakie nowy ten blask mógł narazić, czyniły go jeszcze zawiślejszym od żony, i to widocznie było z jój strony rachuba; ale miłość własna została zaspokojona... Dała mu uczuć Krystyna, mocniej niż kiedy, że on bez niej nie nie znaczy, że w zgodzie i posłuszeństwie iść tylko może i bezpiecznie stąpać po świecie. W tém poglaskaniu czuć było lwia łapę, która pieszcząc nawet, rozdziera do żywego.

Wypadek ten rzucił go w większą jeszcze niepewność, co począć z sobą, jak dalej postępować? Ale po chwili rozwagi, przyszło postanowienie pojednania się z żoną, czekania, milczenia i noszenia cierpliwie tych więzów, któremi był skuty, dopóki ich czas i okoliczności pomyślniejsze nie skruszą.

Polechtana duma stawiała mu przed oczy obrazy, które dozwalały na chwilę zapomnieć o ucisku, o upokorzeniu. Wracały one jednak z nową siłą i brzemieniem obarczały duszę... Naprzemiany zajęty swém kasztelaństwem i niewolą, szczęśliwy z pierwszego, rozbijał się o drugie, i tulił w dłonie czoło wstydem okryte... Wielkość jego nawet obojętnego świata złudzić nie mogła... była pożyczana i wyżebrana.

Widzenie się z żoną nowo kreowanego kasztelana było jedną z tych scen, które na wielkim świecie nie są wcale rzadkością. Ona była tryumfująca, więc łagodniejsza; on powstrzymujący się, pomieszany, upokorzony i chłodny.

— Spodziewam się, żeś zadowolony,—rzekła Krystyna, kładąc mu rękę na ramieniu poufale. Nie będę się przechwalała ile mnie to kosztowało, nie mówię już pieniędzy, ale zachodów, kłopotu, starania... Mieliliśmy trzech współzawodników zamożnych i dość znaczących, ze trzech stron zaparte drogi; czwarta niedostrzeżona stała otworem dla mnie, i tą się wśliznęłam... *Cher Adam* pamiętać powinien zawsze co napisano na dukacie, a co mi niegdyś wytłómaczył pewny rozumny professor: „Zgodą się idzie daleko, wojna niszczy i rozprzega.” Nie wymagam wiele; ale bronię cię od fałszywych przyjaciół i nieochybniej zguby.

Małżeństwo pogodziło się pozornie. Krzysia tyle była kobietą i tyle miała doświadczenia, że uśmiechu męża nie wzięła za bardzo dobrą monetę; ale spodziewała się, że go ukolysze powoli, że strach, jakiego doznał, powstrzyma go od rzucania się w życie swobodniej-

szę, którego wpływów się obawiała. Jedną rzecz byłaby może tolerowała dla przyszłości: większe zbliżenie się do świata i ludzi; ale młodość Adama, niedoświadczenie, niewyburzone namiętności, raczej wstrzymane niż okiełznane, czyniły i to niebezpiecznym.

I ona też miała niepokój w duszy: bo utrzymanie młodego męża w takich klubach, niepospolitą było zadaniem, wymagało z jej strony nieustannego czuwania.

Na pokoje nowego kasztelaństwa zjechał się zaraz cały świat wieszować im dostojęstwa; karety następowały jedne po drugich, komplementa kwaśne, cukrowe, mdłe, stęchłe, szyderskie, przelykać było potrzeba, choć większa ich część była bardzo niesmaczna i dlawała. Kasztelan nowy czuł mimowoli, że wieszając mu godności, którą otrzymał, uśmiechano się z niego po cichu, że zwrócone nań tym wypadkiem oczy tłumy, dobywały z głębi zapomnienia wszystkie prawdy i plotki o jego przeszłości, młodości, pochodzeniu i t. p.

Zapomniane nieco wracały teraz z przyrostem i dodatkami świeżymi.

Miedzy innymi gośćmi była i Julia. Adam się jej widzieć nie spodziewał: zdumiał się przekonywając, ile miała mocy nad sobą; wiedział ile cierpiała, jak musiała być niespokojna, jakie w duszy nosiła piekło, a jednak przygnana formami świata, przybyła z pogodną twarzą, uśmiechnięta, prawie wesoła, udając zubożniałą i znudzoną. Nikt w świecie z jej powierzchowności nie mógłby się być domyślić, że drżała od stóp do głowy, jakby rzucając się w otchłań piekielną. Była tak panią siebie, tak pewną! Z Krystyną uściskały się jak dwie siostry najczuliej się kochające:

im drażliwsze były ich stosunki, tem żywiej obie podwajały względem siebie grzeczność i oznaki przywiązania. Julia wszakże zabawiła tylko chwilę, a gdy ją do wschodów odprowadzał Adam, wskazując kwiaty i udając rozmowę o kwiatach, szepnęła mu ostróżnie:

— Jutro, wieczorem, mam coś do powiedzenia. Jestem na drodze zdobycia tych środków, o których wspominałam—znajdę oręż przeciw niej.

Potem zwróciła się jeszcze, przyjaznym skinieniem głowy żegnając Krzysię—i wyjechała.

— A! jakże się strasznie zestarzała! odezwał się chór niewieści po jej zniknięciu, przez pochlebstwo dla gospodyni. Ale to nie do uwierzenia! W roku przesłym była jeszcze lub przynajmniej wydawała się tak świeżą; a teraz co za zmarszczki! jakie czoło porane! co za żółtość, zmęczenie! Biedna kobieta! musi cierpieć!

— Ale jeszcze prześliczna! przerwała te okrzyki gospodyni.

— A! ponętna—odezwał się ktoś starszy—wydaje mi się tak jak dobra młodziuchna aktorka przymuszona grać rolę staruszki... Z pod tej przybranej fizyognomii wygląda życie i namiętność.

— Któż tam teraz panującym? eicho spytała pani podczaszyna tryumfującej Krystyny.

— Tajemnica niezbadana! Jeżeli nie pułkownik, to książę... obaj stoją od dawna w szeregach wielbicieli, więc na któregoś kolój przyjść musiała. Książę jest młodszy jeszcze i zakochany widać w ruinach... *il est antiquaire*; pułkownik niedowidzi... Ale eicho! nie go dzi się obgadywać: ja ją, *mimo to wszystko*, tak serdecznie kocham!

Na tem skończyła się rozmowa.

Pan Adam przez dzień cały był w odmęcie. Jeździł dziękować królowi, który popatrzawszy nań jakoś z ukosa, szydersko nieco, prawie z politowaniem, wybąknął jakąś grzecznośćkę zwyczajną; potem sam roznosił prezenta i różne opłaty, przyjmował winszujących, musiał dziękować i odpowiadać na listy. Wracając do domu z jednej z tych wycieczek, spotkał Malutę, który powóz jego w ulicy zatrzymał.

— Ja jeszcze kochanemu kasztelanowi nie powinnowałem—rzekł z rozczuleniem—a Bóg widzi, otworzyć proszę serce moje, jak jest przejęte! To tylko podnożek do czegoś większego, wart jesteś więcej! Ale nie mógłbym parę słów pomówić? rzecz *magni momenti*!

— Panie Floryanie siadaj, pojedziemy w aleje; powiem ci później, dla czego cię z sobą do domu zabrać nie mogę... Zabieraj się ze mną do powozu! a żywo!

— Mnie nie tłumaczyć niepotrzeba—zawołał Maluta po cichu—to się wie. Pani się na mnie gniewa, miałem tego dowody, obawia się o kasztelana. Ale to zwykle dzieje żon zazdrosnych, póki się nie ostrzelają: zważać na to niepotrzeba zbytnio. Co innego mam kochanemu kasztelanowi powiedzieć, że bodaj... bodaj czy nie dwa na raz szczęścia go spotkały.

— Dwa! cóż drugiego?

Maluta się rozśmiał.

— Jeżeli—dodał—szczęściem to nazwać się godzi. Trzeba wiedzieć—rzekł ciszej—że ja jestem u komandora tak jak domowy, i w najlepszych stosunkach z tą bestyjką Leoniną: ona się w panu kasztelanie formalnie kocha.

— Co znowu pleciesz! Raz mnie widział z daleka! rzekł śmiejąc się kasztelan.

— Ale nie plotę! Dziewczyna *habet*, jak to mówili Rzymianie: już ja to wiem, oczarowałeś ją.

— Już nie wiem jak.

— Niemal mi się przyznała; dopytywała o szczegóły.

— Raz-em ją w życin widział bliżej.

— Ale ona pana dziesięć razy: wie wszystko, śle dzi, goni—oszalała doprawdy.

Adam dziwnie potrząsł głową; lechtało to miłość własną, ale serce było zastygłe.

— A! daj mi tam pokój! odparł — czyż ona mi w głowie?

— A przypatrywałeś się jój pan?

— Mało, ale bardzo ładna! śpiew czarujący...

— Co to ładna!—podechwycił Maluta—mało powie-dzieć, dyabeł nie dziewczyna. Głos, coby umarłego z grobu wywołał; wdzięki, jak żyję nie widziałem podobnych; rączka dziecięca, noga niepostrzeżona.

— Gdzieżeś się tak w nią rozpatrzył?

— Codzień ją prawie widuję.

— A komandor przecie musi być zazdrosny.

— O! bynajmniej: kocha jój głos, zresztą—to człowiek rozumny!

Adam westchnął. Był ubogi, wiedział dobrze, iż takie Leoniny nie mogą kochać darmo, że rozpieszczone, nawykłe do zbytku, nie rozumieją innej miłości prócz oprawniej w złoto. Pozór dostatku, jakim był otoczony kasztelan, łudził Włoszkę; lecz pan Adam nie czuł się na siłach walczenia o lepszą z Tepperami i komandorem.

— Nie żartuj sobie, rzekł powoli do p. Floryana: śliczna ona jest, ale to drogie cacko, nie dla mnie.

— *Perche?* spytał Maluta.

— Zastanowiwszy się, sam sobie odpowiesz—dodał kasztelan.

— Zastanowiłem się i odpowiedzi wynaleźć nie umiem... Ale zresztą to się sobie tak gadalo; jak chcecie. Miałem obowiązek ostrzedz drogiego kasztelana, bo to gradka niepospolita. Drudzyby to nie wiem jaką ofiarą chcieli opłacić, a wam samo się rzuca w objęcia.

Nowinka ta mimo pozornie małej wagi, uczyniła pana Adama niespokojnym, i po rozstaniu z Malutą, choć starał się Leoninę wybić sobie z głowy, ciągle o nią myślał, nie mogąc pozbyć się natrętnego jej obrazu. Był to dla niego podwójnie zakazany owoc, a przez to stokroć ponętniejszy.

Nazajutrz wieczorem potrzeba było pójść do Julii. Kasztelan wymyślił jakąś wizytę w domu obojętnym, wymknął się ztamtąd konie zostawując przed bramą, i pobiegł kryjomo do hrabiny. Musiał tego nędznego użyć środka, aby nie być wysłędzonym.

Julia czekała nań w swoim gabinecie, znowu smutna, bo sama, ze zwieszoną głową; była ubrana w szal, miała kapelusz, konie jej stały gotowe w bramie—wyjeżdżała.

— Na dziś — rzekła — mam ci tylko jedno słowo powiedzieć: bądź dobrej nadziei, jestem na drodze wielkiej i ważnej zdobyczy, która ci spokój i swobodę zabezpieczyć może, da ci ją w ręce upokorzona i drżąca. Na teraz więcej powiedzieć nie mogę; jadę—muszę—dam ci znać gdy się uda; jeśli mi się nie powiedzie, zamileczę. Ale nadzieje mam wielkie.

— Nie śmiem o nie pytać, rzekł Adam zaciekawiony.

— Nie mogę mówić, nie, nie! zawołała Julia. Nie

wiem, nie powiem, proszę mnie nie badać, ale bądź dobrej nadziei panie kasztelanie...

A cóż? dodała po chwili; po swój nominacyi poznałeś przecie tę kobietę!

Adam nie odpowiedział, westchnął tylko.

— Zręczna! rzekła Julia — ale są równie zręczni i drudzy. Koniec końców, nie wszystko się zawsze udaje... Do widzenia...

Podala mu rękę wzdychając, ale widocznie weselsza.

— I kochaj mnie choć troszeczkę—szepnęła—gdy ci na to odrobina serca zostanie.

Adam wyszedł, a tuż za nim karetą hrabiny potoczyła się po bruku, i za bramą Krakowską znikła gdzieś w ciemnych uliczkach Starego Miasta.

Każdemu się trafiało w życiu, po kilkudziesięciu latach rozstania, spotkać znowu twarz sobie znajomą dawniej, i znaleźć ją zmienioną ze świeżego kwiatka wiośniatego na stary grzyb jesienny.

Jakże tam dziwnie na niej wypisało się życie! Jak ją poorały ciężary, które po niej przeszły! Cóż się to stało z temi oczyma, co tak jasno w świat patrzyły! z tego czoła, tak gładkiego jak niezapisana jeszcze tablica marmurowa, z tych ust świeżych jak dojrzały owoc, który się roztworzył na słońcu, z téj całości tak świeżej, harmonijnej, pełnej!... Ruina mechami porosła w której każda ściana innemi patrzy ceglami.

Rzadko kto jest tak wyciosany od razu, że się prawie nie zmienia; po większej części dłużej zachowują się ludzie zimni, krócej trwają ci, co się szarpia z sobą walką wewnętrzną.

Najdziwniejszym ze skutków starości jest, że człowiek jak stara kłoda dębowa, na której pleśnie, mech, grzyby i porosty wychodzą nie wiedzieć z kąd — pokrywa się także mnóstwem wyrastających dziwnie plam, znamion, brodawek, które młodość umiała pochłoniąć i pokryć, ta sarość wypycha, zolbrzymia, uwydatnia.

W młodości były to znamiona piękności, ziarna wdzięku; na starość są to nasiona zniszczenia, oszpecające dziwacznie. Znajdziesz takie stare twarze, na których ta wegetacya jesienna buja z dziwną siłą. Brwi rozrastają się krzaczysto, uszy pokrywa mech bujny, zewsząd wytryskują brodawki, nareszcie guzy, i to oblicze, które miało charakter jakiś będąc świeże, ginie pod warstwą pasorzytów.

Z uczuciem, które rodzi ta przykra metamorfoza człowieka, patrzyła Julia siedząc w małej izdebce, na starego w szarą kapocie jegomości, trzęsącego się, zgrzybiałego, a nieśmiejącego usiąść przed nią jeszcze.

Nie było smutniejszej ruiny nad tego starca.

Wylysiała jego głowa, ledwie puszką białym pokryta, zwieszona była na piersi; gdy chciał spojrzeć, nie mogąc jej podnieść, dziwnie musiał wykręcać; od tego wysiłku skurezona, zdawała się ledwie trzymać na karku pofałdowanym, po którym sine i wypięzione występowały żyły. Cała też twarz od choroby i wieku dziwnie była przekształcona, zezerniała, rozpuchła. Brwi na niej ciemne, zrosłe w pośrodku zarostem zdziaczałym, przykro odbijały przy gładkiej czasce; na polieczkach rosły krzaki na kępach różnego koloru... Dodawszy dosyć długie wasy, obwisły podbródek, lica obrzmiałe i osunięte, wargę dolną nieprzyrykającą się już jak zepsuty kuferek — można mieć niejaki wyobrażenie téj zdezelowanej twarzy starca. Postać cała nie była od niej wdzięczniejsza: plecy przygarbione, nogi obwinęte grubo i opuchłe, ręce nabrzmiałe, czerwone, trzęsące się i widocznie bezwładne.

— O mój Boże, coż się to z wami stało! mój kochany cześniku! wołała Julia. Chory jesteś? czemuż się nie radził doktorów, nie dał wiedzieć o sobie?

Ten, którego dawniej znała Julia zdrowym i młodym, pan cześnik, równie ciężko mówił jak stał o swęj sile; słowa z ust jego wychodziły poprzedzane belkotaniem, niewyraźne, jakby je co wewnątrz zatrzymywało. Naówczas oczy i tak wypukłe otwierał jeszcze bardziej z wysilenia, głowa zaczynała się trząść mocniej, ręce dygotały i nogi nawet zdawały się chcieć pracować na wydobyć głosu, który nareszcie odzywał się stłumiony, niewyraźny i nierówny. Cześnik nie mówił, ale wybuchał: wyrazy to się rzucały szybko, to jakby grzęzły w gardle, i dopiero gdy się tam coś odetknęło, wychodziły jak płyn wzburzony z butelki nagle otworzonej. Rozmowa z tym biednym była dla niego i dla słuchacza męczarnią.

— Ale siadajże cześniku, nie możesz stać: proszę cię, siadź—odezwała się Julia nalegając.

Za chorym starcem stał wyrostek lat dziesięciu. Obejrzał się cześnik, bo bez jego pomocy ani wstać, ani usiąśćby nie potrafił; dał mu znak, ażeby go posadził, i z pomocą tą padł w wielki swój fotel wyduszony i otłuszczony kilkoletniem siedzeniem. Ten mały ruch już go zmęczył, zakaszał się, zadychał, lzy mu z oczu pobiegły, musiał się otrzeć. Dał potem znak chłopcu, aby odszedł, co też tamten jak najprędzej spełnił, rad, że się choć na chwilę na swobodę wyrwie.

— Jakże mi też pana żal! mówiła Julia.

— Ale ja—rzekł uderzając ręką po krawędzi krzesła cześnik—nie jestem tak chory, siły czuję, i gdyby nie te nożyska przeklęte, jeszczebym poszedł tańcować.

Julia się uśmiechnęła.

— Tatar, który mnie leczy, powiada, że na przyszłą

wiosnę, gdy mi zada ziola pewne, to wszystko ze mnie wynijdzie przez łaźnię—a Bóg miłosierny.

Jak wszyscy chorzy, cześnik wierzył już w końcu w baby, w zamówienia, w Tatarów i ich sekreta, w rozmaite sposoby tajemnicze, w leki owczarzy i w przyszłą, od lat dziesięciu, wiosnę.

Izba, w której się ta scena odbywała, zdradzała najdolegliwsze ubóstwo: była brudna, ciasna, ciemna, istna komnata szpitalna, w której i łoże niedaleko, i kominek pełny garnuszków z ziółkami i flaszek z lekarstw, i wszystko było na podoręczu, czego stary niedołęga potrzebować może. Przez jedno okno wąskie wpadało do niej światło szare, odbite od murów podwórka, do którego nigdy słońce nie zaglądało. Fizyognomia tego kąta była ponurą, powietrze w nim zamknięte, przesiąknięte stęchlizną, do której łączyły się zapachy różnych medykamentów tatarskich i niedawno wyniesionego jadła. Julia przywykła do lepszej atmosfery wonnych salonów, z ciężkością oddychała w lazaretowej; ale udawała wesołość i swobodę, chcąc starca rozkołysać, choć nieustannie chustką ocierała twarz, aby nie omdleć z tego zaduchu.

Cześnik, był to stary sługa domu, z którego niegdyś wyszła na świat piękna, dziś straszna pani Krystyna. Zwano go niegdyś cześnikowiczem, potem na późniejsze lata cześnikiem jakimś. Marszałkował przy dworze jej rodziców, wieszal się potem przy kasztelaństwie O..., naostatek gdy go słabość zlamiała, schronił się do miasta i dożywował dni swoich w tym kącie nędznym, w nadziei wynalezienia baby lub Tatara, któregooby recepta nareszcie go uleczyła. Cześnik spędził żywot dosyć burzliwie. Za młodu bijąc się po różnych świata kątach, gdzie tylko bić się było można,

potém dworując z szablą zawsze gotową przy magnatach, sejmikując pod ich sztandarami; a że owo życie pracowite nie folgowało człowiekowi, który i chłód, i głód, i razy, i strawę, i napoje różne musiał znosić bez szemrania, z tego wszystkiego wywiązała się w końcu owa choroba, która była wprost podagrą, rozpoznaną gdzie tylko umieścić się mogła, a niedobijającą może dla tego, że jęj siły rozdzielone były na ręce, na nogi, po kolanach i stawach, i nie miała jeszcze czasu wziąć się do szlachetniejszych organów.

Byłać tam winna temu i dola owa szlachecka, co gdy raz człeka w służbę rzuciła taką, miotłała nim bez litości; ale był winien i człowiek może, który jęj okiełznać nie umiał. Cześnik miał jedną srogą wadę: był skąpy straszliwie, był kutwą, a choć nie miał, ani żony, ani dzieci, ani nawet bliższych krewnych, dla którychby zbierał tak uparcie, wiązał się do grosza z zapaleczywością wzrastającą z laty. Przeszło to już prawie w manię, żył może siłą téj passyi, która go przykuwała do stojącego w głowach, wszrubowanego w podłogę, okutego kuferka, od którego klucze na piersiach nosił.

Udawał nadzwyczaj ubogiego, choć nikt dobrze nie wiedział co tam było w jego szkatule zamczystej, która się nigdy w dzień nie otwierała. Gdy kto sobie z nięj pozwolił zażartować, gniewał się i dąsał, żył, utrzymując, że tam chowa tylko ważne papiery familijne, że wszystek majątek przypadł mu na świstkach, rozpożyczony ludziom i tak jak stracony. W istocie cześnik nikomu grosza nie dał, miał znaczniejszy kapitał dawniej ulokowany jeden u Prota Potockiego, drugi u Sapiehów, a procent opłacany

w obrączkowych czerwonych złotych, nocami dołączał do gotówki leżącej w skrzyni.

We dnie przez ostrożność nigdy nie otwierał swego skarbea, ale późno w noc, gdy chłopca odprawiał, drzwi pozarygłowywał, okiennice pozamykał i dobrze się upewnił, że go nikt ani podpatrzyć, ani podsłuchać nie może, mimo trzęsących się rąk, przysiadł się do kuferka, odmykał wieko i napawał się likiem tego, co przez życie uciulał. Począł był w istocie od kilku talarów wyniesionych w węzelku z rodzicielskiego domu; każdy grosz dla niego przedstawiał jego znoje, ofiary, głody, przebyte biedy, przestękanie dni; było to życie zmienione na pieniądze, i może dla tego one się stały tak cenne.

— Dla czegoż cześnik nie sprowadzisz sobie doktora? spytała Julia.

— Co to... co to... tam doktory! odparł stary. Czy poradzą czy nie, a wyduszą z człowieka grosz ostatni. Ot i tak ledwie jest już z czego żyć... Wszyscy zawodzą, bankrutują, krwawica idzie z dymem.

— Ale jabym ci mojego przysłała lekarza, toby cię nie nie kosztowało—odparła kobieta.

— I! nie! nie! te doktory to szarlatany... Dziękuję mojej dobrodziejce, niechaj już tak przekawęczę do wiosny. Tatar byle zioła zbierał, pomoże mi pewnie; ale one rzadko gdzie się znajdują, i daleko po nie w góry jeździć potrzeba... Zioła to najskuteczniejsza rzecz: sam Pan Bóg je preparuje dla człowieka!

— I będziesz zdrow, dodała Julia przypochlebiając mu się: widać jeszcze, że jesteś silny.

— Pewnie, że jestem silny, rzekł cześnik; cała bieda w tych nogach. Jakby mi je odzyskać, jeszcze wszystko będzie dobrze.

— Z kimże się tu widujecie ze starych znajomych? spytała po chwili kobieta.

— A! z nikim! z nikim! nie chcę ich znać od kaszla! stary: to wszystko wydrwigrosze, a człek ubogi i niezabawny. Nie przyjdą oni do mnie darmo; czasem na marysza kto z dawnych przydybie, ale to rzadko! A ktoby tam do starego niedolegi chciał się wlec! Ja dalibóg słów znaleźć nie mogę na wyrażenie mojej wdzięczności, że JWPani byłaś tak łaskawa... czyżem ja się mógł tego szczęścia spodziewać!

— Byłabym wcześniej, ale Pamela dopiero pozawczoraj was odszukała, moj cześniku... Ot i wiecie z czém przychodzę i co myślę wam proponować?

— A cóż droga pani moja? zawołał rozczulony starzec.

— Ty tu pewnie najmujesz to mieszkanie i płacisz je drogo?

— A! drą mnie bez litości! toż to sto złotych na kwartał.

— Jaby ci dała i lepsze, i jaśniejsze, i zdrowsze darmo u siebie; jest ich tam dosyć próżnych, miałabyś u nas stół bez kosztu i lepszą usługę.

— Bóg zapłać! moja ty dobrodziejko—zawołał składając trzęsące się ręce cześnik—o! Bóg zapłać! Ale bo to wynosić się z temi mojemi rupieciami...

— E! toby ci się do tego dopomogło.

— O! złote wy macie serce, Bóg niech wam nagrodzi. Było mi u was tak dobrze, że człek nie zapomni do końca życia, nie tak jak u Krystyny, od której człek salwując życie uciekać musiał.

Julia snadź wiedziała, jak się cześnik rozstał z rodziną jej współzawodniczką, rachować musiała na to, i podchwyciła zaraz:

— Nigdyście mi też nie rozpowiedzieli, jak to było?

Stary okrutnie trząść się zaczął; widać było, że chciał na raz wszystko z siebie wyrzucić, a sił mu tym więcej brakło, im bardziej się śpieszył. Zdusiło go przypomnienie gniewu i żalu, obudzonego przykrém wspomnieniem.

— Długa to historia—rzekł—a nie ciekawa.

— Wiecie też co mnie uczynili? spytała Julia.

— Nie, coś mi tam gadano—odparł stary—ale ja tego nie zrozumiał.

— Wystawże sobie cześniku... westchnęła kobieta—ja przed tobą nie ukrywać nie będę, tyś stary przyjaciel naszego domu... My z kasztelanem wzięliśmy ubogie chłopię jego imienia, rażne i zdadne, na wychowanie; mieliśmy zamiar, nie mając dzieci, przybrać go później za syna; wychowaliśmy go w Paryżu oboje, a ja szczególnie przywiązałam się do tego młodego człowieka, jako do dzieła rąk moich. Będąc w Paryżu, oddałam go na opiekę Krzysi, żył jeszcze naówczas jój mąż. Wystaw sobie, że zbałamuciła mi chłopca, oderwała go od nas i—poszła za niego.

— Ah! a!—tęknął cześnik—kasztelanowo dobrodziejko, znacie ją lepiej odemnie, com ją dzieckiem na rękach huśtał... Piękne to było jak aniołek, a wyrosło na istnego dyabła.

— Wszystko to jeszcze nie, com powiedziała—dodała wdychając Julia—słuchajcie do końca. Poszła za niego, zrobiła go orderowym, starostą, a wczoraj, czy pozawczoraj kupiła dla niego jakieś kasztelaństwo; ale ten nieszczęśliwy człowiek słaby, delikatny, jest znękany i uciśnięty, jest biedniejszy od żebraka. Ona nim pomiata, laje i trzyma w okrutnej niewoli.

— A! moja mocia dobrodziejko!—wybuchnął cześnik, który patrzył oczyma okrutnie wyszczerzonymi na kasztelanową, sapał i słuchał jęj opowiadania z ciekawością wielką—jeśli też mężczyzna kolki sobie na głowie strugać daje, co on wart?

— Tak to ci się zdaje, pochwyciła Julia. Człek od dzieciństwa rozpieszczony przezemnie, sam na świecie, cóż ma począć z tym szatanem?

— A no, porzucić czarownicę—zawołał cześnik—porzucić.

— Nie, jeszcze tego zrobić nie może, odparła Julia; ale ująłby ją w kluby powinien czems i pokromić.

Tu kasztelanowa przysunęła się z krzesłem bliżej, prawie do ucha starca.

— A! pomóż mi mój cześniku—szepnęła—my we dwoje uratować go możemy: pozwól mi mówić.

Cześnik się straszliwie przeląkł.

— Ale, na miłego Boga!—krzyknął co ja? ja nie nie mogę, stary nieszczęśliwy niedołęga!

— Słuchaj—rzekła kasztelanowa—ja wiem wszystko, że mną powineneś być otwartym. Byłeś świadkiem wielu spraw i rzeczy, wiem że XX. prześladowali cię i ścigali za jakieś pochwycone dowody ich domowej sromoty. Gdybyś te dowody miał jeszcze!

Cześnik dziwnie przerażony, cały pobladł, słowa wymówić nie mógł, ale rękami trzęsąc i miotając się gwałtownie, protestował przeciwko domysłowi.

— Przecz czy nie przecz... ja wiem co wiem dodała kasztelanowa. Prześladowania od nich nie masz się co lękać, bo ja cię biorę w opiekę... Nikt wie-dzieć o tém nie będzie co mi zwierysz bo nie użyję tego, aby ich zniesławić, ale dam człowiekowi w ręce

oreź do obrony... Mnie to nie jest potrzebne do z-czepki, ale dla ocalenia. Zresztą—dorzuciła zręcz-nie—tyś ubogi, ja to wiem, tyś bardzo ubogi... (to przypuszczenie nader staremu pochlebialo); ja za ten oreź dam ci co zechcesz.

Oczy cześnika straszne, żabie, zaczerwienione zaw-sze, nabiegły krwią jeszcze bardziej; skraje jego na-brzmiałych, powywracanych powiek czerwienie jeszcze się stały; począł głową kiwać i trząść się cały. Milezał chwilę.

— O! o! rzekł w końcu—to oniby mię zabili.

— Oni ci nie zrobić nie mogą—szybko zawołała Julia—te dowody familijnych sromot i występku Kry-styny... ty jeden masz... prawda?

— Ale nie! nie! nie! bronił się cześnik.

— Oni ci je przecię odebrać chcieli gwałtem, gro-zili życiu twemu... Mówią i głoszą, żeś im to chciał za pewną sumę ustąpić.

— Ale już nie mam..! nie! nie!... rzekł starzec po-nuro.

— Jak to? cożes z tém uczynił? wszakże zerwali potém układy, nastraszywszy cię, prawda? Papiery zostały przy tobie; czuli, że ich nie użyjesz? Dzisiaj nie nieważne, bez niebezpieczeństwa możesz sobie na starość kawałek chleba zapewnić, a spełnisz jesz-cze dobry uczynek. Uratujesz pocziwego człowieka. Mogę ci dać na piśmie i poprząsiadź, że nigdy z tego użytku publicznego nie uczynimy.

Nikt tak zręcznie kusić nie umie jak kobieta, gdy gwałtownie czego zapragnie.

Wiedziała Julia jak trafić do starca, i zachodziła ze wszystkich jego słabych stron. Dawala mu zręczność pomszczenia się na ludziach, do których czuł nienawiść;

dawała pieniądze, zysk, bezpieczeństwo wszelkie... Znać było na twarzy cześnika, że mimo obawy, która go przejmowała na samo wspomnienie wypadków omal nie opłaconych życiem, chciwość powoli nim owładawała. Zatrzymał w myśli słowa kasztelanowej:

— Dam ci co chcesz!

I rozmyślał.

— Wiesz cześniku,—dodała Julia— nie ma ofiary, którejbym nie uczyniła dla ulżenia losu temu wychowawcowi naszemu. Myśmy bezdzielni, o grosz mi nie chodzi; tyś niemający... mógłbyś sobie dobry fundusik pozyskać na starość. Chciój mi tylko dopomóż, myśl! myśl!

— Ale kiedy nie mam nie! nie mam nie!... rzekł broniąc się jeszcze stary, który głos spuścił i oczy schował.

— A! to szkoda! zawołała Julia z uśmiechem: bo dla zdobycia mu niezależności, dałabym co tylko mogę. Tu weale nie idzie o zawstydzenie jój, bo ona jest jego żoną, wstyd spadłby w części na niego owszem zachowalibyśmy najgłębszą tajemnicę; ale gdyby on miał w ręku dowody jój przeszłego życia, jój winy, onaby musiała przed nim uleść, rzec się panowania, poddać, nie znęcałaby się nad nieszczęśliwym.

Cześnik słuchał zadumany. Julia czuła, że wpływa powoli na zmianę jego przekonania, na zmniejszenie obawy, i dorzuciła jeszcze:

— Cześniku! myśl—nie nie ważysz.

— Ale ja, ja!—rzekł powoli—o małym raz już życiem nie przepłacił, że mi się to do rąk dostało. Znasz moja dobrodziejko tych ludzi, dla których nie nowego nie ma: oni gotowi...

Będziesz u mnie, cóż oni ci zrobią?

Cześnik dumal.

— Mów, ile chcesz, a czyni tę ofiarę dla mnie! błagała kasztelanowa.

— Ale ja nie mam, nie nie wiem—belkotał znowu stary co raz ciszej, miotając się w krześle z widocznym niepokojem człowieka, którego panująca namiętność poruszona została.

— Słuchaj cześniku, dodała Julia: za wiadomość szczegółową o tym wypadku, który ty znasz najlepiej, o którym tylko głuche chodziły wieści, za jakikolwiek dowód przeciw niej, ofiaruję ci tysiąc dukatów natychmiast, gotowych, brzęczących, daję ci pomieszczenie, stałe wygody, obronę, doktora mojego, lekarstwa. Nikt wiedzieć nie może i nie będzie, od kogo wychowaniec mój dostał papiery i szczegóły tego wypadku. Daję ci słowo i uroczyste zaręczenie, że tej broni nie użyjemy publicznie ani przeciwko niej, ani przeciw jój rodzinie.

Cześnik stękał, trząsał jeszcze głową, ale myślał głęboko. Zakaszał się mocno, otarł wysiłkiem zalazwione oczy, i odepchnął ręką cisnącą się pokusę.

— Tysiąc dukatów dla ubogiego czelaka, piękny to grosz—rzekł jakby sam do siebie,—ale cóż kiedy ich nie mam jak zarobić!

— Tysiąc dukatów, cześniku, gotówka, nie na papierku... dodała kasztelanowa znowu. Jeszczebym ci dobrała takich obrączkowych, jakich w życiu nie widziałeś, co nieznały rąk i nożyczek, ani zielonego sukna, ani flaszki.

Cześnik aż się uśmiechnął, podniósł znowu oczy wytrzeszczone i krwawe.

— A zkaż teraz takich niewiniątek wziąć? rzekł wzdychając.

— Wprost z mennicy lub banku hollenderskiego, dodała kasztelanowa powoli.

— Wprost z Hollandyi! hm!—powtórzył stary.— I są takie dukaty pocziwe?—spytał z uśmiechem.

— Ja je mam.

Pokusa była straszliwa.

— Ale cóż—dodał po chwili—kiedy ja nie nie mam!

— Mogłabym jeszcze przypuścić z biedy—odparła Julia uśmiechając się—że nie masz w ręku dowodów na poparcie historyi Krystyny, choć o tém wątpię bardzo. Uwierzyć zaś, że nie nie wiesz, niepodobna mi. Przypomnij sobie, żeś mi sam powiedział, iż jedno słowo twoje mogłoby ją zgubić. Ale my wcale gubić jęj nie chcemy, nie myślimy; chcemy tylko ratować z ich szpon nieszczęśliwego człowieka, którego los litości jest godzien. Ta kobieta wyrwawszy go mnie, znęca się, gnębi, gniece, tryumfuje. Idzie tylko o to, aby ją uczynić pokorniejszą.

Cześnik już nie odpowiadał, że nie nie wie; dumał.

— Ale to potrzeba—rzekł z wolna i cicho—potrzeba wielkiego starania i czasu, nim się takich tysiąc dukatów zbierze.

Nadzieja wstąpiła w serce Julii; starzec miękł widocznie.

— Ale ja je mam, całe... wszystkie! odezwał się żywo. Mąż mój pożyczył w hollenderskim banku sumę dosyć znaczną; ja z nięj dla zabawki wybrałam sobie tysiąc takich cudownych dukatów.

— Co to za grosz miły! rzekł zakaszlując się stary; co to za śliczny grosz!

Oczy cześnika coraz bardziej czerwieniały, obracał niemi straszliwie, a że były niepomiernie wypukłe, miały kształt oczu ropuch, i osadzone były w powiekach czerwonych, miejscami obwisłych i krwawych, przeto wejrzanie jego nabierało tak sztrastliwego wyrazu, gdy strzelał z pod czarnych nawieszonych krzaczystych brwi, że Julii słabo się robiło, ile razy je na nią obrócił.

A! a! rzekł w końcu cześnik—może ja sobie co... powoli jakoś przypomnę; ale to nie dla tego, uchowaj Boże, abym za jakimś zarobkiem gonik... tylko gorącą chęć usłużenia JWPani... jedynie... choć jeszcze sam nie wiem... a istotnie mało co pamiętam, i tak mi się w głowie pomieszało.

— Wszakżeś te papiery, o które oni cię ścigali, zachował, dodała Julia; wszak choć wymogli na tobie zeznanie, że je zniszczył, masz je pewnie ukryte.

Cześnik zamilkł jak ściana, odwrócił się z trudnością ku drzwiom, spojrzął na nie, i nie nie odpowiedział, dając do zrozumienia, iż podsłuchywać ich mogą.

— Niechże też JWPani—rzekł—z łaski swęj i dobrotliwości przysze trochę malinowego syropu, choćby małą fłaszeczkę, bo Tatar mój powiada, że niema zbawiennejszēj rzeczy na moje cierpienie nad wodę z syropem, a tu po tych cukierniach nie się nie dokuć... i fałszują wszystko... czystego nie ma nie.

— Jutro albo ci go przywiozę sama, albo przysze przez Pamelę.

Stary dał znak kasztelanowēj, ażeby się zbliżyła, i rzekł:

— Kaźcie jutro warty postawić za drzwiami,—

a potem dodał, — i dajcie mi tam izdebinę u siebie, moja dobrodziejko.

— Zabieram cię zaraz — rzekła uszczęśliwiona kasztelanowa przyszlę jutro jeżeli chcesz, i zaraz cię przewiozą do nas.

Cześnik uderzył się po głowie.

— Zapłacono z góry moja dobrodziejko! — zawołał — jeszcze miesiąc do kwartału, trzydzieści złotych marnie przepadnie. Gdyby czas, możeby się udało komu odstąpić, choćby się parę złotych straciło.

— Już ja ci każę wyszukać kontrahenta, który powróci te trzydzieści złotych. Wyniesiesz się zaraz do mnie.

Cześnik trząsł głową uradowany.

— A jak się będę wynosił — dodał żywo — żeby też ta moja mizerya nie zwracała uwagi, moja dobrodziejko. Gdybyś była łaskawa szkatułkę sama kazala wziąć do karety, i żeby jaki wierny człek wynosił, bo to tam te papierzyska...

Mrugnął na kasztelanową, która się domyśliła, że w owęj szkatułce mogły być tajemnicze dowody sprawy zatartej, teraz jej do ratunku i zemsty tak potrzebne.

— Bądź spokojny, rzekła skwapliwie: jutro się ułoży wszystko.

Pożegnawszy go, Julia wyniosła się co rychlej z izdebki. Cześnik wstał cudem o swęj siłę, aby ją ucieci przyzwoitym respektem, ale się trzymał krzeszła, bo mu się ze znużenia, wzruszenia i wysiłku nogi gorzej trzęsły niż kiedy.

Uśmiechem zegnała go piękna pani; wybiegła z mieszkania, i pełna piersią odetchnęła, wydobywszy

się z tęg atmosfery zgnilęj, w której ledwie wytrzymać mogła.

Cześnik upadł na fotel i zadumał się, zadumał... przyjscia nawet swego chłopaka napowrót nie usłyszał, a gdy wyrostek poczał sprzątajac coś stukać, zadrgał ze strachu, tak był przejęty wypadkiem, który go spotkał.

Dawno zapomniane dzieje przyszły mu na myśl, nie ich snuła się w lata młodsze, dobywając treści życia, na którego mogile wiele już ziemi zsywały lata, wiele bujnych chwastów porosło. Stare te wspomnienia spoczywały od lat długich prawie zapomniane, a uczucia, które budziły, zgasły też przytłumione obawą o życie i cierpieniem. Teraz wszystko to na raz występowało znowu żywe, starzec miotał się w walce z przykreimi pamiątkami przeszłych dni, do których wrócić było potrzeba, aby je sprzedać... rzucając znowu na szalę terażniejszości.

Wszystko, co mu opowiadała Julia, powtarzało się w głowie: ważył, dumał, myślał czy jej uwierzyć można, czy bezpiecznie może podnieść ów kamień grobowy, którym przywalona była tajemnica.

Z historyi owęj świat mało lub nie nie wiedział, zatarły ślady jej lata, późniejsze życie zamazało resztki. Starsi ludzie coś szeptali o młodości Krystyny z oburzeniem i szyderstwem, ale winy tego rodzaju w ogóle znajdowały zbyt łatwe przebaczenie. Grzechami młodości chrzczono zwykle miłostki płoche, których wówczas nikt nie brał za złe, bo wszyscy prawie przechodzili przez nie w tym świecie niemającym serca i zastępującym je zmysłami.

Nazajutrz z całą możliwą ostrożnością odbyła się installacya dawnego domownika kasztelaństwa do

ich pałacu, a że Julia sama szczególną nad starcem chciała mieć pieczę, postawiono go na dole od dziedzińca, w pokoiku, do którego ona łatwo znijsć mogła. Ludzie wychwalali, pod niebiosą wynosząc jej anielskie serce, jej miłosierdzie dla starego chorobą złamanego człowieka, którego gdzieś ginącego z biedy odszukała. Szkatulka cześnika pojechała z Julią i bardzo wierne ręce wniosły ją i postawiły przy nowém łożu chorego. Cześnik wszakże był niespokojny, że jakoś ciężką się wydawała.

— To stare żelaziwo—rzekł do służącego, pokaszlując.

Przenosiny nie przeszły bez kłopotu, bo człowiek taki jak cześnik niełatwo się rusza. Skąpstwo tysiące rodziło w nim niepokojów; obawiał się, aby najmniejszy szczepek po nim nie został, nie zginął; zabierać kazał flaszki od lekarstw, chciałby był niemal zabrać śmieci z izby w obawie, aby się tam w nie coś mogącego mieć jakąś wartość nie wmieszało. Przed rokiem zatoczył się był trzy grosznik nowy, gdy płacił komuś, pod sprzęty; szukano go przez dwa tygodnie i nie znaleziono. Wychodząc teraz z mieszkania, cześnik na nowo kazał po uprzątnieniu szukać jeszcze tego trzy grosznika, i niepokoił się, aż mu Julia kazała inny podrzucić... Rozpatrując się w nim, dostrzegł wszakże, iż był innego stempla i roku; ztąd nowy niepokój i zgryzoty, że trzy groszniki tak po ziemi się walały... Szukano jeszcze!

Mała to była próbka biedy, jaką z nim miano; ale nareszcie wszystko aż do potłuczonych butelek przewiozło się, ustawiło, i wyrostek ucieszony przemianą, dowodził, że tu im daleko lepiej będzie. Julia przyszła obejrzeć, przysłała mu syropu malinowego, życzyła

dobrej nocy, i tego wieczoru nie wyciągała go już na opowiadanie, bo starzec istotnie był zmęczony niezmiernie.

Dobiecie sprawy zostawiono na jutro.

Uprzedziła sługi kasztelanowa, że stary ma pisać testament, iż mu chce dopomódz... Przykazała, aby nikt nie śmiał wchodzić, i zamknęła się z nim na godzin parę.

Niewiadomo było nikomu, jak się to długie posiedzenie zakończyło; słychać tylko było drżący głos starca, to podnoszący się, to słabnący, potem otwieranie szkatulki, szelest przebieranych papierów, wykrzyki kasztelanowej i znowu szept ciche.

Nareszcie Julia wyszła, mając na twarzy wypieczone plamy czerwone, zmęczona, poruszona, niosąc w rogu szalu jakiś zwitek papierów, który, wróciwszy do sypialnego pokoju, starannie w skrzyneczkę angielską, opatrzoną zamkiem stucznym, a niegdy listy pewne zawierającą, zachowała. Chodziła potem dłużej po pokoju samotna, siadła, wstawiała, wstrząsała się, płakała, nakoniec ukłękła, co się jej rzadko trafiało, do modlitwy, i twarz ukrywszy w dłonie, godzinę tak może spędziła na dziwnej jakiejś zadumie.

Wieczorem nie przyjmowała nikogo, ale Pamelę poleciła, aby zwykłą drogą tajemną dała bardzo ostrożnie znać panu Adamowi, iż nazajutrz go czeka u siebie.

O naznaczonej godzinie przybył Adam; drzwi były dla innych gości zamknięte; uprzedzono go zawczasu, aby przybył pieszo; wpuszczono go do gabinetu... i tu znowu parę godzin trwała cicha rozmowa.

Wyszedł z niej kasztelan z dziwnym na twarzy wyrazem; postął w progu, oddychając świeżem powietrzem a po chwili powrócił jeszcze do Julii, do której

drzwi zapukawszy, zastał ją znowu przy klęczniku we łzach na modlitwie.

— Przebac — rzekł wchodząc powtórnie — alem jeszcze tak niepewny co mam począć. Po tém, czegoś się dowiedział, lękam się téj kobiety jeszcze mocniej; ona gotowa jest na wszystko. Mów, radź, co mam robić!

Julia popatrzała na niego, zbliżyła się i smutnie zwiesiła głowę.

— Żywy grzechu życia mojego — rzekła — jakże mi żal, że cię młodość twa nie nauczyła mężstwa, nie uzbroiła w siłę! Dałam ci oręż, od ciebie zależy jak go użyjesz... Cóż ja wiem? Masz w ręku strasliwą broń, nie chwytaj jęj dopóki cię ostateczność do tego nie zmusi, używaj jęj ostrożnie, nie wyczerpuj od razu. Pólsłowami samemi bronić się możesz długo, nie wyrzekając ostatecznego.

— A jeśli się ona domyśli, i uczyni to ze mną, co z innymi próbowała? spytał Adam trwożnie.

— Jesteś mężczyzną! zawołała Julia. Ja lękam się o ciebie i modłę, ty powinienes czuwać nad sobą. Będziesz mógł na najmniejszą oznakę niebezpieczeństwa odsunąć się groźny. Cóż więc, Adamie, poradzić ci mogę? Otrząśnij się z niedoleżności — bądź sobą!

— A! nigdy z sobą nie był i siebie nie miał! odparł z westchnieniem kasztelan. Dla tego gdy mi pierwsze, śmielsze przychodzi stawić kroki, drżę i waham się.

Julia spojrzała na niego z politowaniem, przysła, pocałowała go w czoło, głowę wsparła na jego piersi i zapłakała. Adam odszedł milczący. Na twarzy jego widać było srogą niepewność, tysiące uczuć zmieszanych, natłok myśli i wrażeń nie dawał mu oprzytom-

nieć, siedł nie wiedząc dokąd idzie, nie słyszał co się działo w koło, stawał, śpieszył, oglądał się znajdując nie tam gdzie być sądził... opuściła go pamięć... Tak dowlókl się nareszcie do rogu domu, przy którym stały jego konie; ale musiał wyszukiwać furmana i lokajów, którzy się rozpiechli. Woźnica pił z innymi, lokaje grali w halbecwelbe zapamiętale. Był już wieczór, deszcz kropił drobny i niebo zasunęło się całe chmurą ołowianą.

Smutno jakoś było na świecie, a tchnąć ciężko. Miasto poczynalo się oświecać powoli, ulice ożywiały jakby śpiesząc dożyć, dorobić resztek dziennęj pracy przed nocnym spoczynkiem. Tu i owdzie z przymkniętych drzwi szynkowni słyhać było muzykę prostą, cymbały, skrzypki lub pomrukującą basetłę. Kasztelan spędziwszy nareszcie ludzi, którzy go zwykle nie nazbyt słuchali, miał już wsiadać do karety, gdy poczuł, że go ktoś schwycił za rękaw i przytrzymał.

Był to znowu Maluta, otulony płaszczem, niechęący się dać poznać przed ludźmi pana Adama. Stał on tu pod ścianą od godziny, czekając na przyjaciela; dopiero teraz go postrzegł, i pohwylił właśnie, gdy ten już się zabierał odjeżdżać.

— Cyt — rzekł — słówko, pilne, kochany kasztelanie. Nie wsiadaj jeszcze, odpraw ludzi, powiedz im, że tu jeszcze chwilę zabawić musisz.

— Cóż znowu? dla czego?

— Mam cię z sobą wziąć w pewne miejsce; nie powiem dokąd, ale jechać ze mną musisz.

Kasztelan zawsze miękki, skinął na ludzi, radych z tego postanowienia, bo mogli do rozpoczętęj gry powrócić, a sam wszedł do ciemnych sieni z Malutą.

— Już dalibóg nie wiem, dla czego to czynię —

rzekł ściskając go p. Floryan—dalibóg sam siebie nie poznaje, ale tak kocham drogiego kasztelana, tak go szanuję! a ta waryatka taką ma moc nademną...

— Kto?

— Ale ta—szepnął cicho— Leonina.

P. Adam, któremu inne myśli weale ciążyły na głowie, obruszył się prawie zniecierpliwiony.

— A! cóż mi tam do niej! daj mi z nią pokój!

— Przecież choćby ją zobaczyć warto z blizka! rzekł Maluta. Nie jest to grzech śmiertelny, a dziś to się składa jak nigdy.

— Co się składa?

— Wyjdziemy z tąd drugimi drzwiami, albo i temi samemi, jeżeli ludzie odeszli, siądziemy do powozu, jedziemy. Zastaniemy ją samą w domu. Cheesz kasztelanie jechać czy nie?

— Dokąd?

— Do Leoniny,—jedziesz czy nie?

Adam zniecierpliwiony, znękany, młczał; ale troska, którą niósł z sobą, pchnęła go do użycia jakiegś rozrywki, i odezwał się machinalnie:

— No, to jedziemy!

Maluta poskoczył pierwszy, ciągnąc ją za połę, wrzucił do stojącego opodal powozu, szepnął coś woźnicy i pojechali na ulicę Długą. Tu stanęli przed dosyć oświeconą kamienicą.

Pusto jednak było przed nią, i jeśli się w nią spodziewano gości, jeszcze przybyć nie musieli. W sieniach, do których naprzód weszli, panowała erebowa noc; dopiero na wschodach znaleźli światelko dymiącej się lampki, która bezpieczniej ku górze wdrapać się dozwoliła. Maluta zadzwonił u drzwi, a po chwili stojna dziewczeczka, może dwunastoletnia, otworzyła je

uśmiechając się. Weszli w jakąś atmosferę ciepłą, przejętą woniami. Nie można się było omylić, odgadując w niej kobietę.

Maluta z palcem na ustach stapał cichutko i przeprowadzał pana Adama. Przeszli parę pokoiów pustych, niezbyt wytwornie przybranych; w trzecim świeciło się jaśniej, a z za draperyj we drzwiach widać było dwie postacie niewieście i słychać brząkanie na klawikordzie, któremu smętny głos towarzyszył jakąś piosenką zdrzemaną.

Po dźwięku poznał kasztelan głos Leoniny. Tam wśród blasku salonu, wśród muzyki, woni, wrzawy, brzmiał on całą siłą młodości, lał się jak potok z gór wiosenny; tu ukryty, smętny, brzęczał dziwnym urokiem jakimś rzewnym i łzawym. Kasztelan wstrzymał się w progu i wsłuchał się w to nocenie jakby gazami osłoniętego głosu.

Ale z pośrodku pokoju postrzeżono przybywających, i kobieta siedząca naprzeciw drzwi przy stoliku, wstała zbliżając się na palcach ku nim. Była to druga Włoszka, którą przezwano Beatrix Cenci, z powodu wielkiego podobieństwa do znanego portretu; śliczne stworzenie, któremu nie brakło oprócz... duszy.

Porcelanowa ta piękność zawracała głowy wszystkim, co ją widzieli z daleka; ale kto się do niej zbliżył, kto ją ze snu jej i dziecinnego trzpiotałstwa usiłował rozbudzić, odchodził rozezarowany. Cacko to nie miało nic w piersi i nie w głowie, prócz smutnej czezości. Beatrix śpiewała w teatrze, latali za nią ludzie, szaleli za nią z kolei i zrażali się tak prędko, że biedne dziewczę bardzo było życiem strudzone i znudzone. Ale że z tego wszystkiego zawsze wynikała dosyć jeszcze wygodna dla niej dola, a ona ani

się troszczyć o jutro, ani czuć terażniejszości mocno nie umiała, poziewała więc tylko nieboga i ruszała ramionami.

Zobaczywszy przybyłych, Beatrix położyła palec na ustach uśmiechniętych, różowych i skłaniając główkę przed kasztelanem, dała mu znak, aby wszedł ostrożnie. Maluta chodził zawsze jak kot cicho, nie trzeba go było przestrzegać! Leonina tak była zajęta swą piosenką, że nie nie posłyszała; usiedli zaraz przy drzwiach.

Piękne dziewczę w białej sukience marzyło przy klawikordzie; rączki jej stapały delikatnie po klawiszach ostrożnie, jakby własnego snu przerwać się bały, a usta nóciły jakieś wspomnienie młodości. Z pośrodku mniej wyraźnych westchnień występowało czasami *amor mio, sospiri, dolente poveretto...* a ostatni wyraz powtarzał się ciąglą zwrotką. Wszyscy uważnie słuchali... lecz powoli dumanie zwyciężyło muzykę, struny instrumentu drgać przestały, usta snuć tę przedzę cieniuchną.

— *Bravo! bravo!*— odezwał się nagle i głośno Maluta.

Leonina zerwała się z krzykiem przestraszona, odwróciła i postrzegła kasztelana, który patrząc na nią, bił w dłonie... Cofnęła się, ujęła za klawikord, ale pomieszanie trwało krótką chwilę. Roześmiała się i zbliżyła do gościa, pytając go, czy umie po włosku? Szczęściem dla p. Adama, wyuczono go w Paryżu tyle tego języka, ile opera i świat wymagały. Nie rozumiał Danta, ale mógł się rozmówić z ładną dziewczyną! Język ten uchodził zawsze za jeden z najmiłszych w świecie, tak nim słodko mówi się o uczuci! tak dobrze śpiewa i szepee!

Jak gdyby go znała od wieków Leonina, poczęła rozmowę sadząc kasztelana przy sobie. Maluta skorzystal z chwili swobodnej i zbliżył się do Beatryczy, która gotowa była słuchać kogo bądź, byle jej mówił co wesołego.

Z blizka Leonina była piękniejszą jeszcze może niż w oddaleniu; oczy jej strzelały piorunami, po twarzy chodziło uczucie nie osłaniając się. Jakby od dawna spragniona była widzieć tego, którego miała przed sobą, wlepiła w niego wejrzenie rozplamione z naiwnością dziecka, gdyż przypuścić nie godziło się przy tych rysach zalotności bezwstydną. Ujęła go za rękę, jakby przy sobie przytrzymywała, poczęła śmiać się i szczebiotać.

Pan Adam tak miał ciężki kamień na piersi, że ta pieszczota nie zrobiła na nim żadnego prawie wrażenia; doznał tylko przykrego uczucia, nie mogąc choćby uśmiechem odplacić jej tego serdecznego, jakiegoś sympatycznego pociągu, jaki mu okazywała.

— Wieszcze—rzekła—dla czegoś mi się pódobał?

— Nie wiem czy się podobam nawet! odpowiedział uśmiechając się pan Adam.

— O! bardzo nawet! ale czemu? Miałam tam za górami, w kraju laurów i winnic... kogoś, co mnie pierwszy kochał, gdym nie była ani ładna, ani tak ubrana, anim tak śpiewać umiała... On był bardzo do ciebie podobny.

— O! był niezawodnie piękniejszy! rzekł pan Adam.

— Tak, był piękniejszy, bo mnie kochał—odparła Włoszka puszcżając rękę—kochał mnie bardzo; ale jego już nie ma na świecie... Matka Bozka przyjęła jego duszę czystą i oddała ją Chrystusowi.

Milcząca długo się w niego wpatrywała.

— O! bardzo, bardzo podobny!—rzekła cicho—ale tamten był ogorzały i czarny, tyś biały i smutny... Carlo się uśmiechał, ty jakbyś chciał płakać. Cóż ci to? ciężko ci idzie życie?

Adam westchnął mimowolnie, ale się zmusił do uśmiechu.

— Wiesz—rzekł—że śmiech i płacz nie przychodzą po naszej woli. Spadają z nieba jak słońce i burza.

— *E vero! e vero!* czasem czuję—rzekła Leonina—jak mi deszcz spada na duszę, zimny, jesienny... jak mi na serce słońce zaświeci...

Zadumała się.

Maluta z dala spoglądał, szepejąc na ucho kasztelanowi, odskoczywszy od Beatryczy:

— A cóż nie bóstwo to ta piękność?

Ale pan Adam pozostał zimny. Leonina też więcej na niego patrzeć chciała niż mówić do niego i zbliżyć ku niemu.

Prosili ję, żeby śpiewała.

— O! dziś ja śpiewać nie mogę—powiedziała—chyba którą z tych moich starych wiejskich piosenek, a tych wy nie zrozumiecie.

— Śpiewaj jednak... rzekła druga.

— Dobrze, ale niech *on* tu usiądzie naprzeciw mnie, w cieniu. Zdawać mi się będzie, że to cień *Carla* mnie nawiedził, że żyję znowu w tym naszym innym, cieplejszym kraju, nie pod tém niebem szarém i zamgloném... wśród snujących się dymów.

Kasztelan usłuchał, Leonina usiadła, powiodła rękami po klawikordzie, szukając sobie tonu do piosenki, i zanótowała jedną z piosenek neapolitańskich, które na

Santa Lucie rozlegają się wieczorami. Śpiewając wciąż patrzyła na niego, a pieśń rozpoczęta głośniejszą, powoli marła, cichła, oddalała się, ulatywała, kończąc się jakimś niewyraźnym szmerem.

Leonina krzyknęła i rozplakała się... zerwała się z krzesła i pobiegła płacząc do drugiego pokoju. Beatrix przestraszona wyleciała za nią. Wróciła jednak wkrótce nadąsana, przepaszając za przyjaciółkę, która się uczuła chora i musiała spocząć.

Pan Adam zrozumiał, że powinien odejść. Siedział tu przedstawiając jakąś marę przeszłości dosyć kwaśny, choć Włoszka mu się podobała; nie był rad nawet, że do jego Antinousowskiej figury jakiś nieboszczyk śmiał być tak bardzo podobnym. Maluta zmieszany był również tą tak dziwnie zakończoną sceną. Beatrix pożegnała ich ziewając, i rzuciła się na krzesło przeglądając się w zwierciadle.

Zeszli milczący, Maluta nie śmiał pytać.

— Mielśmy po co kręcić karki! rzekł pan Adam: dziewczyna ma ćwieki w głowie.

— A jednak! to najpierwsza piękność w stolicy.

— Smutna, rozplakana.

— O! o! osuszyłbyś pan te łzy, gdybyś chciał.

— Wątpię.

— Ja, nie. Miłość różne miewa początki—rzekł Maluta,—dobrze kiedy się łzami inauguruje.

— Ale koniec zawsze ma jeden! zawołał kasztelan—to sęk... a powinnyby trwać i być bez końca.

Rozeszli się ziewając i nie kontenci z siebie. Maluta odstąpił już był parę kroków, lecz zawrócił jeszcze do pana Adama.

— A! jeszcze słowo... rzekł: pozwól mi pan uczynić sobie jedną uwagę, zapewne zbyt dużą, ale z głęboko dla niego przejętego serca pochodzącą. Nie wiem czy pan znasz obyczaje tego świata... do którego tylko przez ciekawość kiedy niekiedy zaglądasz. Jest to wprawdzie drobnostka...

— Mów otwarcie, bez przedmowy.

— Gdy mi wolno było zrobić małą uwagę.

— Wolno i rób.

— Otóż powiem, że gdy się wygra półtora tysiąca dukatów, należy do formy przynajmniej stanąć do rewanszu.

— Sądzisz Wpan? rzekł pan Adam—a jeżeli wygram znowu?

— Przecież to do nieskończoności nie obowiązuje; ale po pierwszej i dosyć znacznej wygranej, mnie się zdaje...

— Może masz słuszość, rzekł z wolna kasztelan. Nie chciał wyznać, że się żony obawia.

— Wstąpmy na chwileczkę do komandora, dziś u niego grają... Ja pana zawiozę, postawisz cokolwiek... a przegrawszy parę set dukatów, będziesz mógł odjechać.

Stali w ulicy, pan Adam tarł czoło, wreszcie rzekł zbierając się na męstwo:

— No, więc jedziemy na kwadrans, nie jest jeszcze zbyt późno.

Maluta zdawał się bardzo uradowany, poskoczył sam przodem drzwiczki powozu otworzyć, kazał jechać żywo; nie spostrzegli się, gdy stanęli przed mieszkaniem komandora. Tym razem nie było tu tak tłumno, nie wszystkie salony oświecone, całe życie skupiało się

w białej sali przy zielonych stolikach; grano zajadło, już trzeci dzień nie wstając prawie.

Komandor przy głównym stoliku sam trzymał bank, i powitawszy gościa tylko skinieniem głowy, zajęty grą, zostawił go własnemu przemysłowi.

Wiemy jak namiętnie grano naówczas! Ta passya gry jak we wszystkich namiętnych chwilach, szarpanych, niepewnych, w których życie ze swych granic normalnych wychodzi, pochłaniała niemal wszystkich, była powszechną. Za stolikiem komandora siedzieli ludzie, którychby się nikt tu nie spodziewał, nawet kilku duchownych, lub przynajmniej noszących suknię tego stanu. Nie brakło także wysokich urzędników i wielkich imion. Gra była ogromna, wyteźiała na siebie uwagę wszystkich; sławny ówczesny zapaśnik, co się codziennie z losem ucierał, starosta miał na karcie piętnaście tysięcy czerwonych złotych—summę daleko naówczas znaczniejszą niżeli się dzisiaj wydaje... Odważnie puszczał ją na trzydzieści, a blada twarz jego ani drgnęła, uśmiechał się dosyć obojętnie.

Jakkolwiek przywykli do jego zuchwalstwa w grze, widzowie i bankier w milczeniu trwożnym zdawali się chcieć go odwieść od tak ryzykownej stawki. Starosta przeszedł był wprzód sześć razy, siódmego szczęścia trudno się było spodziewać.

Komandor chłodny, położył karty na stole, przycisnął je złotą tabakierką i zupełnie się do szeptów i narad nie mieszał... trzymał ile chciano. Starosta, któremu ze wszech stron szeptano, aby zszedł ze stawki, namyślał się, ale w twarzy jego znać było, że może mniej przywiązywał wagi do téj kupy złota, niż do wrażenia, jakie mu walka z losem robiła. Był to co się zowie *beau joueur*, na którego twarzy nigdy

straty ani zyski nie robiły widocznej zmiany. Nie szło mu właściwie o pieniądze: one były dla niego tylko narzędziem do otrzymania tego elektrycznego wstrząśnienia, które zamarłą naturę jego poruszało. Los był dla niego jakby tajemniczym przeciwnikiem, którego starał się zwyciężyć.

— Nie pojmują was, odezwał się powoli starosta: wszyscy jesteście starzy gracze, a nie rozumiecie tego, że gdy idzie, to się powinno ze szczęścia, z weny korzystać; gdy nie idzie, naówczas tylko stehórzyć się godzi. To raz, powtóre, powiedz mi o pan—spytał zwracając się do Adama, który stał mileżący z innymi za jego krzesłem—co pan mi radzisz?

— Ja się na grze nie znam, odparł kasztelan—ale... bądź co bądź, cenię odwagę, i jeśli pozwolicie, przystawiam na tę kartę mój grosz wdowi: dwieście czerwonych złotych.

Na trafnie użyte wyrażenie „grosz wdowi,” przypominające, że pan Adam ożenił się z bogatą wdową, kilka ust się uśmiechnęło.

— Zatem idzie! zawołał starosta rzucając karty: ciągnij komandorze.

Gospodarz może odrobineczkę zbieleł, zdjął powoli tabakierkę, ujął karty i pomalu począł odsłaniać.

Stawka była na damie, z tego powodu żartowano dokoła.

— *Souvent femme varie, bien fol qui s'y fie!* rzekł ktoś przypominając Franciszka I-go.

— Mnie żywe często zwodziły—odparł starosta,—o to mniejsza; ale malowane dopisują. A tobie kasztelanie?—dodał jakby od niechcenia.

Pytaniu temu znowu, znana historia młodości i oże-

nienia pana Adama tak dziwne dawała znaczenie, że po twarzach rozbiegały się jeszcze raz źle tajone ironiczne uśmiechy.

— O! mnie—odparł rumieniając się zagadnięty—bywało różnie.

Wyrzekł to cały gorejąc od wstydu, czując, że byłby starostę zdusił, gdyby mógł, bo widział, że za pytanie rzucone było nie bez zamiaru ukłócia.

Zawrzało mu w piersi z upokorzenia.

W tej chwili prawie dama—wygrała. Komandor uśmiechając się pokłonił przed starostą, wskazując mu kupę dukatów... Szczęśliwy gracz poziewnął.

Panu Adamowi podsunęto dwieście dukatów, którychby był wolał nie wygrać, bo usłyszał po za sobą szept:

— Ten zawsze z babami szczęśliwy!

— A no! jeśli tak—zawołał—to jeszcze czterysta na damę!

— Dobrze, a ja do twoich kasztelanie dokładam wszystko co wygrałem. Tak wierzę w twoje szczęście do dam—rozśmiał się starosta.

— O! tego już nie trzymam! rzekł komandor.

— Czego? moich trzydziestu dwóch tysięcy? Wstydź się, to nie po rycersku! a przecie jesteś komandorem maltańskim, i zląkłeś się 64 tysięcy dukatów!

— Nie, ale się nie lękam damy, z nałogu, z tradycyi, i dla tego, że przeciw wam idę — zaczął gospodarz.

Żarciki szły dokoła, jakby grano o fraszkę... Starosta cofnął trzydzieści, ale postawił pięć tysięcy. Nastąpiła cisza długa; po kilku passach dama wygrała.

— Cóż u licha! rzekł pan Adam — już nie rozumiem co to znaczy?

— To znaczy, odpowiedział starosta: że kto w karty szczęśliwy... a no! przyznaj się, coś ci się w serdecznych stosunkach musiało niefortunnego przytrafić?

— Chyba przytrafi, bo dotąd i stosunków tego rodzaju mi braknie.

— Idźmy raz jeszcze na damę!

— Na ostatnią.

— Damy są wszystkie pierwsze — nie ma ostatnich.

Komandor ciągnął kwaśno, stawki drobne przybiegały ze stron wszystkich. Ostatnia dama uparła się i wygrała. Gra się na tém skończyła.

Scena ta, której główne tylko oznaczyliśmy rysy, trwała dosyć długo; zaraz potem kasztelan wymknął się pośpieszając do domu. Maluta podwiózł go do oczekujących na niego na słocie koni, ale tu pojazdu nie znaleźli. Od kogoś w ulicy dowiedzieli się, że rumaki pana Adama spłoszone pochodniami jakiegoś przejeżdżającego państwa, poniosły powóz i potłukły w kawałki. A że woźnica i lokaje siedzieli w szynkowni, ledwie marszałkowscy złapali rozhukane konie na Nowym-Świecie, z resztkami karety, która się potrzaskana rozleciała. Stało to się już przed parą godzin. Kasztelan wziął dorożkę i pociągnął do domu trochę niespokojny.

Było już dobrze po północy, czekał na niego jednak w bramie kamerdyner, i w imieniu Jaśnie Pani prosił na górę. Prośba znaczyła tyle co rozkaz. Pan Adam poszedł na wschody z przykrém wrażeniem swojego poddaństwa.

Historia téj kobiety, która zwała się jego żoną, świeżo mu opowiedziana, musiała być wielce dramatyczna, gdyż na twarzy kasztelana malował się jakby przestach, ale zarazem silniejsze niż wprzód postanowienie.

Zawahał się, namyślił mając drzwi otworzyć, wszedł nareszcie dosyć śmiało. Krystyna chodziła po salonie, świeżo zapewne powróciwszy z miasta. Miała na sobie czarną aksamitną suknię ze złotemi sznurami i ozdobami, z głowy zdjęła już była dyadem, warkocz splątała w węzeł niedbale, na twarzy jęj bladęj malowało się silne jakieś uczucie.

Pan Adam zbladł także zbliżając się do nięj, i uczuł dreszcz przechodzący po ciele. Pierwszy raz wydała mu się tragicznie straszną. I była taką: brew jęj namarszczona, usta zaciśnięte, oczy jaśniejące dziko, zdradzały wewnętrzną jakąś burzę.

— A! witam! zawołała zwracając się ku niemu w postaci królowej — witam! tak późno?

— W téj chwili powracam, rzekł Adam.

— Zkądże to? jeśli mi wiedzieć wolno?

— A! z miasta.

— Domyślam się, że nie ze wsi. A więcéj zapewne nie powinnam wiedzieć?

— Czyż zawsze z każdego mam się spowiadać kroku? odparł kasztelan.

— Nie, na dziś obejdę się bez rapportu, bo wiem gdzie byłeś. Najprzód...

Spojrzała na niego groźnie, ale stał śmielszy widocznie niż wprzód, i to ją nieco zmieszało.

— A! więc najprzód, gdzie byłem? proszę! — rzekł — przypomni mi to samemu!

— Co? zapytała kobieta marszcząc brwi.
 — Słucham z pokorą.
 — Najprzód! no, byłeś u Julii, długo, bardzo długo. Rozmowa snadź musiała się wydać zajmującą? Nie prawdaż?

— Tak, kładliśmy pasyans z kasztelanem.
 — Nieprawda: kasztelan był u ex-podkomorzego.
 Pan Adam ruszył ramionami; złapano go na niezręcznym kłamstwie.

— *El l'on revient toujours!* uśmiechnęła się Krystyna. Mniejsza o to, nie czynię ję tego honoru, że bym o nią była nawet zazdrosną. Przypatrz się tylko: ma siwe włosy, jak ja!—dodała śmiejąc się—bo z łaski twój i ja już siwieję! To ci miłą może uczytnie nadzieję rychlejszego pogrzebu i owdowienia; ale się nie lędz, nie umrę, żyć będę, abys cierpiał.

Kasztelan patrzył w zwierciadło obojętnie.

— Od Julii pojechałeś z p. Floryanem do Beatryczy, u której była Leonina: prawda? Któż z nich pan wybrałeś sobie dla zabawki?

— Dotąd żadnej, rzekł Adam.

— To *dotąd* jest wyborne—wyborne!

Krystyna zaczęła się śmiać dziko.

— Wyborne; ale zdaje mi się — odparł mąż — że jeśli w domu wiecznie spotykać mnie będą wymówki tylko, żale, gniewy i sceny podobne, naturalnie pokój, odpoczynku, wytchnienia szukać będę musiał choćby u jakiej Leoniny.

— A! to już tak! już tak jesteśmy z sobą! zaryczała trzęsąc się Krystyna—tak! ty, ty mi śmiesz mówić!

Kasztelan zamilkł ruszając ramionami.

— Na uwieńczenie tak dobrze użytego dnia — dodała żona — poszedłeś grać w karty do komandora.

— Chciałem mu oddać wygraną, rzekł spokojnie Adam: przyzwoitość kazała.

— Gra cię bawi?

— Niebardzo.

— Ale to raz przecie skończyć się musi! zawołała Krystyna; dla tego cię przywołała tutaj. Ja nie zniosę takiego życia, nie chcę, nie pozwalam.... Wiesz WPan com mu mówiła niedawno.

— Wiesz, rzekł kasztelan posępnie — pamiętam, ale dziwię się, że pani, co masz tak łatwe sumienie dla siebie, tak troskliwa jesteś o cudze.

Krystyny oczy strzeliły ogniem jak piorunem. Błada pobladła jeszcze, zaczęła się trząść i wyjąkała niewyraźnie:

— Proszę jaśniej mówić.

— Jeżeli sobie zaczniemy mówić wymówki, to za daleko zajść możemy, odparł Adam.

— Idźmy jak najdalej, śmieliej rzekła żona: chcę wiedzieć, jak też to nas daleko zaprowadzić może? dokąd?

— A gdyby przyprowadziło aż do młodości, aż do lat zatartych, zapomnianych... do...?

Kasztelanowa przerwała mu głośnym śmiechem:

— A! rozumiem—rzekła — do nedorzecznych potwarzy.

— Są w istocie wypadki, dodał ożywiając się kasztelan—które się aż nieprawdopodobnymi potwarzami wydają, tak są poczarne.

To mówiąc spojrział na nią. Krystyna zatrzęsała się, zmieniła głos, i postępując ku niemu, zapytała:

— Adamie! co to jest?

Chciała go ująć za rękę, cofnął się przerażony.

— To jest — odparł — że powinnaś być dla drugich pobłażająca, sama wiele potrzebując pobłażania.

Zdobywszy się na odwagę wypowiedzenia tych wyrazów, chciał się cofnąć, ale Krystyna zapierając mu drzwi, wyjść nie pozwoliła.

— Na tych dwuznacznych półsłowach — rzekła gwałtownie — nie może się skończyć między nami. Widzę, że ktoś, nie wiem, nie chcę się domyślać, posiał między nami ziarno niezgody, które wyrosnąć może na straszliwą ostateczność dla obojga. Trzeba to złe wytepić od razu. Mów mi zaraz, za co ja mam żądać przebaczenia? za co?

Pan Adam wcale nie miał zamiaru zająć od razu tak daleko, zmieszał się, wyczerpał już odwagę całą, a nie miał zręczności w użyciu tego co mu zostało powierzone. Stał znowu złamany i niepewny. Oko żony śledziło każdy ruch jego, dobywało z niego co miał w głębi duszy; znać było, że badała niespokojna, pragnąc dośledzić, jak dalece był wtajemniczony.

— Mów — powtórzyła — nie wiesz jakiej ostateczności dopuścić się mogę; mów, co mi świat i ty macie przebaczyć? Chcę wiedzieć, chcę słyszeć; nie wyjdiesz ztąd, dopóki mi się do ostatka nie wyświadasz.

— Dla czego chcesz to koniecznie słyszeć z ust moich? nie pojmuję — odparł Adam — obojgu nam to przyjemności nie zrobi... Ja — rzekł stanowczo — wiem wszystko.

Kobieta rozśmiała się znowu śmiechem suchym,

przerażającym, na którego odgłos najśmielszy zadrzećby musiał... Śmiech ten rozległ się po pustym salonie jak szatańska ironia.

— Patrzcie! — zawołała — on wie *wszystko!* wszystko! A! raczże mi to przypomnieć, jam z połowę zapomniała!

— Ustabilę skalę! — krzyknął Adam, i szybko rzucił się do drzwi, unikając dalszego tłumaczenia, gdy Krystyna jak wściekła porwała go oburącz za suknię.

— Nie pójdziesz! rzekła. Mówisz, że wiesz moją tajemnicę? O! tém gorzej dla ciebie! Zdawało ci się może, iż broń przeciwko mnie nabyłeś... ja się nie lękam potwarzy! To, co ty wiesz, mogą wiedzieć wszyscy... ale gdzież na to dowody? gdzie dowody?

— Dowody — odparł pan Adam powoli cedząc po słowie — dowody są w moich rękach... To, co zginęło, czego poszukiwano, co zapomniano wreszcie, sądząc, że nie istnieje... jest w moich rękach — u mnie...

Krystyna zacisnęła usta, ale milczała.

— Nie jestem tak nieroztropny — dodał, abym tu, gdzie nie jestem pewien: ani zamka, ani schronienia, ani ludzi, trzymał tak drogi skarb. Złożyłem go pod dobrą strażą... nie wydrzesz mi go.

Na te słowa Krystyna puściła jego suknię, twarz jej się zmieniła, zapłonęła, padła na ziemię płacząc... Tarzała się po podłodze, rękami bijąc o nią, bijąc głową o posadzkę.

— Stój! — zawołała — stój! w twoich oczach jam grzesznica, jam występna... winnam! masz dowody...

przyznaje, wszystko zdaje się świadczyć przeciwko mnie. Ale przystałoż tobie, któremu podałam rękę i wyciągnęłam z kałuży, rzucać mi w oczy tą haniebną, a tak dobrze usnutą potwarzą? Tobie? Czegożem chciała od ciebie? twojego własnego szczęścia; od czegoż chroniłam cię? od zguby! Szalona! szukałam przywiązania i cnoty, gdzie nie czystego pozostać nie mogło... Sądziśże, iż czysta i niespotwarzona szukałabym w tobie męża, że nieznalazłabym stu ponętniejszych, co by mi się taniej sprzedali, gdyby na głowie mej nie ciążyło to brzemieństwo złości ludzkiej, to piętno występku... ta pamięć dni strasznych! O! dobrem ukarana!...

Mości panie—dodała—po tej rozmowie nie między nami wspólnego już być nie może. W pan masz, jak powiadasz, jakieś dowody moich występków? A więc jak wszystko twoje są na sprzedaż? Cóż za ten towar? Kupuję...

— Nie są do zdobycia—rzekł głucho, dławiąc się pan Adam.

— Jak to! czegożbyś ty nie sprzedał? zawołała—część żony, własną, siebie, sumienie; frymarczysz wszystkiem. Alem jeszcze dosyć bogata, by ci się opłacić... Nie wahaj się, nabywca dobry... namysł się nie będę się targowała, płacę gotówką.

A gdy on stał jak wkuty i milezący, dodała:

— Idź precz z moich oczu! precz! precz!

Przerażony kasztelan cofnął się powoli ku drzwiom. Krystyna padła na kanapę, nie mówiąc słowa... Ścisnęła dłońmi czoło, zapłakała, a po chwili w milczeniu, słaniając się, powlekła ku sypialni.

Zwycięzca w walce podobniejszy do zwyciężonego

wyszedł chwiejąc się i jakby upojony. W duszy własnej nie widział jeszcze jasno, czy cieszyć się miał, czy obawiać? Przyszłość stała chmurą nieodgadnioną; czuł tylko, że zbyt szybko postąpił i doszedł do ostateczności, która się cofnąć nie dozwalała. Przeplynał Rubikon.

Nazajutrz ku wieczorowi rozeszła się po mieście wieść głucha, jeszcze w kształcie nieuzasadnionej i dobrze nierozwiniętej plotki, że pan kasztelan Adam O... miał się rozstać z żoną. Jedni powiadali, że wyjechał z Warszawy; drudzy, że się wyniósł ze wspólnego mieszkania; inni przeczyli jeszcze rozsianej pogłosce, utrzymując, że wszystko jest fałszem.

Było jednak jakieś prawdopodobieństwo w tej gawędzie, gdyż bramy domu stały cały dzień uparcie zamknięte i nikogo nie przyjmowano: ani sama pani, o której mówiono, że chora, ani pan, o którym powiadano, że go w domu nie ma.

Nie dziwiła tak bardzo nikogo ani sprzeczka małżeńska, ani nawet prawdopodobne rozstanie się małżonków, bo naówczas rozwody były pospolite i weszły w obyczaj wieku. Wiemy, iż zawierając kontrakta małżeńskie, miano zawsze na widoku nie tylko możliwość złamania ich, ale prawie nieuchronne zerwanie; opisywały się więc obie strony bardzo troskliwie na ten wypadek. Zresztą samo to małżeństwo dosyć dziwacznie skojarzone, należało z natury swojej do tego rodzaju związków, które nie mają w sobie podstawy

do trwania: wyglądało na dogodzenie fantazyi z jednej strony, na rachubę z drugiej, z żadnej na sakrament. Sposób życia dwojga małżonków, ich nietajne stosunki i sympatyje w dwóch przeciwnych obozach, nadawały rozwodowi wielkie prawdopodobieństwo. Ale że naówczas łączyły się i zrywały małżeństwa dla pokrycia i uprawnienia choć w części miłostek i słabości powszednich, szukano zaraz ze strony pani i pana powodów do rozstania.

Co do pani, znaleziono mnóstwo kandydatów do jej serca, bo się wcale zalotności nie była wyrzekła, a otoczona była starymi i świeżymi różnych stopni czcicielami. Była tam i młodzież namiętna, dla której patent dojrzałości stanowił romans z tak znakomitą pięknoscia, i starsi, co się bawili w miłostki z osobą przyzwoicie wychowaną, znudzili się łatwemi pokątnemi miłostkami z najpiękniejszymi może, ale nie tak wycwilizowanemi a biegłymi w sztuce, byli i piękni mężczyźni, którzy ofiarowali się w widokach protekcyi, karyery i losu i t. p.

Ze strony męża nie słychać było o niczem; domysłano się tylko powrotu dawnych uczuć jego dla Julii, może fantazyi jakiejś mniej widocznej, a obrażającej żonę, bo i tego rodzaju stosunki się trafiały.

Rzecz ta była dla ciekawych łamigłówką, zagadką, z której sobie sprawy zdać nie mogli; a że w próżniaczych salonach zawsze pragną nowości i każdą kostkę rzuconą na pastwę ogryzają skrzętnie i chciwie, boć coś przecię robić potrzeba od tego wieczoru, gdy pierwszą wieść od ucha do ucha sobie podano, zaczęto nad nią najdziksze czynić komentarze, rozesłano gońców na wsze strony, i praca około odkrycia prawdy, z usilnością godną lepszej sprawy, rozpoczęta

została na wielką skalę. Każdego przybywającego w wieczór do salonów, a mającego stosunki z domami, które w tę sprawę wmieszane były, wypytywano i badano jak najumiejętniej. Nie się jednak jaśniejszego zdobyć nie udało; potwierdzała się tylko pogłoska, że coś zaszło ważnego między małżeństwem, że w wigilię wieczorem stać się to musiało, bo z rana już bramy były zamknięte i niezwykle jakiś ruch w domu panował. Odkryto także, iż w przeddzień był kasztelan u Julii, że potem potajemnie gdzieś jeździł, że grał i wygrał u komandora. Głębiej sięgnąć nikt nie mógł, ale pole dla obszernych domysłów i bajek stało otworem, i puszczano się na nie z odwagą niesłychaną... nie zrażając się daremnymi często wycieczkami.

Słabość hrabiny Julii, która tego dnia także nigdzie nie wyjeżdżała, potwierdzała wnioski, że i ona mogła mieć jakiś udział i rolę w tém zawikłaniu.

Dzień przeszedł na domysłach, w oczekiwaniu czegoś stanowczego; nazajutrz już w stolicy wiedziano na pewno, że kasztelan O... wyjechał z Warszawy, a sama pani jest mocno chora... Na tém nie się zerwała, a dalsze badanie odłożone być musiało na później... Nie przestano jednak zajmować się tą sprawą, gdyż na nieszczęście żaden inny skandal świeższy nie odeciągnął umysłów od historii poważnionego małżeństwa.

Kilka śmielszych osób zapukało do drzwi hr. Julii, i po dwóch dniach zastało je otwarte. Julia była nieco słaba, smutna, ale spokojna. Skarżyła się na ból głowy i dreszcze; twarz jej wyrażała wielkie, ale przewyciężone cierpienie... Na zapytanie ostrożne tyczące się kasztelana Adama, opowiadała bardzo naturalnie, nie okazując zbytniego wzruszenia, że o niczém

nie wie... Pytała ciekawie, czy co zaszło? Zdawała się zupełnie obcą wypadkom.

Dnia tego pani Adamowa nie przyjmowała u siebie, ale karetę jej widziano uwijającą się po mieście. Rozeszła się pod wieczór pogłoska, że parę osób spotkało ją i mówiło z nią nawet, ale nie śmiejąc dotknąć drażliwego przedmiotu, wyczytały tylko z jej twarzy ślady przecierpianego bólu, ukrytego gniewu i jakiegoś silnego, odważnego postanowienia.

Tajemnica pozostawała niezbadaną tajemnicą. Kasztelana nie było w mieście. Dopytywania u ludzi samęj pani do żadnych nie doprowadzały wniosków, prócz tego, że się coś kryło w ich nienaturalném milczeniu upartém. Nie dawali się nawet upoić, aby z nich cokolwiek nie wyciągnięto.

W takich razach, gdy najmniejsza pomroka okrywa jaką sprawę, ciekawość bywa zwykle jeszcze silniej drażniona, przeszkody ją zaostrzają, zachęcając do przelamania; brukowi plotkarze mają sobie za punkt honoru rozjaśnić upartą zagadkę. Sława tego co pierwszy potrafi rozbić mroki, wynagradza sownicie jego pracę. Jest to kilkodniowy tryumf: szczęśliwy zdobywca wieści jest lwem salonów na dni kilka, wszyscy z ust jego pragną posłyszeć opowiadanie, następują zaprosiny, grzeczności, i często jeden taki krok szczęśliwy stawia człowieka w tym świecie na poważnym stopniu... Kilku zapaśników stanęło do tego boju z ciemnością, a wszyscy rozbili się o głuche milczenie, o zapory nieprzewyciężone, o jakiś żelazny opór zapowiadający, że to, co tak starannie zamknięto, musi być bardzo szacowne.

Rozdrażnienie rosło co chwila, gdy naostatek powrót pana Adama do stolicy dostarczył chciwym

a głodnym nowego pokarmu. Kilka osób go widziało na własne oczy; powrócił istotnie, a co miało znaczenie wielkie, najął osobne mieszkanie, urządził dom dla siebie oddzielnie. Wieści o rozwodzie były więc już uzasadnione. Niedaleko zamku najęto dla niego pierwsze piętro kamienicy. Maluta zajmował się urządzeniem nowego gospodarstwa i dworu kasztelańskiego bardzo skromnego i niepokąźnego.

Wiadomość o tém piorunem się rozeszła po stolicy, tak, że pani de Rive poleciała już wieczorem do pani Adamowej umyślnie, aby raz stanowczo dotrzeć do prawdy i zbadać co się święci.

Świat, w którym żyła ta pani, wiele się po jej zręczności i takcie spodziewał; stosunki jej z kasztelanową dozwalały wprost pytać i żądać objaśnień dla jej własnego interesu, w imię przyjaźni i t. p. Drżała dojeżdżając do drzwi pani de Rive, aby jej nie odprawiono z niczem; kazała powiedzieć, że ma pilną potrzebę widzenia się i została wpuszczona po krótkim a niespokojnym oczekiwaniu. Po raz pierwszy od lat wielu biło jej serce, gdy na wschody wchodziła, układając, jak ma począć rozmowę, nastroić ją i ciągnąć indagację z obwinioną. Wiedziała, że będzie miała do czynienia z nielada zapaśnikiem; potrzeba się było dobrze na niego uzbroić.

Znalazła kasztelanową w małym saloniku, ubraną bardzo skromnie, w stroju, który badawczemu oku kobiety zwiastował, że pierwsze chwile gorączkowe walki i rozpacz przeszły. Ubranie dla tych, co w niem czytać umieją, sposób, w jaki suknie i szal są zarzucone, zaczesanie włosów, dobór barw, wszystko to są cechy stanu duszy i zdradzają wiele. Inaczej w tę samą suknię ubiera się kobieta szczęśliwa, inaczej

zrozpaczona, inaczej niepewna jutra, zakochana lub gniewna. Pewne zaniedbanie oznacza uczuć gwałtowność, drobne starania wskazują czasem spokój ducha, czasem potrzebę podobania się i kłamania obojętności. Pani de Rive zastała swą kochaną, najdroższą Krzysię, bladą, zamyśloną, ale zupełnie uspokojoną, jakby już wszystko było skończone. Po pierwszych kilku wyrazach o chorobie, o zdrowiu, o pogodzie, o tém i owém p. de Rive zbliżyła się do niej poufalej, przysiadła, wzięła ją za rękę i przystąpiła do *medias res*.

— Moja ty droga królowo, wiesz zapewne nieco, jakie plotki po mieście krążą o was obojgu. Trzebaby temu nadać jakiś kierunek. Ludzie są tak źli, tak chciwi skandalu... Powiedz mi szczerze, co ja mam mówić? Czy to prawda, żeście się rozstali z panem Adamem?

— Byłam pewna, że o tém już mówią w mieście, odparła zimno Krystyna; ale to są plotki nieuniknione. Westchnęła.—No, więc powiem ci szczerze—dodała: nie mogliśmy żyć z sobą, rozeszliśmy się grzecznie i przyzwolicie. Mój pan małżonek leżał mi u nóg, prosząc o zlitowanie, ale napróżno.

— Al więc to prawda.

— Popelniałam omyłkę idąc za męż, rzekła kobieta; świat mi ją darować może, gorsze spotykamy codziennie.

Pani de Rive obawiała się odetchnąć nawet, aby nie przerwać zwierzeń.

— Pan Adam był dla mnie za młody, ja dla niego za nadto wielką panią; humory nasze i obyczaje się nie zgadzały. Oddaję mu tę sprawiedliwość, że czynił co tylko mógł, aby wyżyć ze mną; ja także nie szczędzi-

łam ofiar z méj strony... ale nadaremnie... Ty wiesz moja droga, jak często w małżeństwie zawodzone bywamy...

— A! któż tego nie wie!

— No! rzecz bardzo prosta, trafiło się nam co się trafia mnóztwu innym. Zostajemy dobrymi przyjaciółmi, nie mogąc być dobrymi małżonkami.

— Ty to mówisz tak chłodno!

— Z zupełną rezygnacją, odparła uśmiechając się Krystyna. Cóż chcesz? to nasz chleb powszedni. Wątpię, czy raz trzeci narażę się na próbę, która mi się po dwakroć tak nie powiodła. Mam już tego wszystkiego dosyć. Jestem znowu swobodną, panią méj woli, i taką chcę pozostać.

— No, a kasztelan? Czy to jakie miłostki? spytała ostrożnie p. de Rive.

— O! nie! to człowiek marmurowy, zimny... Nie wiem co z sobą pocznę, nie pytałam go, *il n'a qu'à s'arranger comme il voudra*. Sądzę, że go któraś weźmie; życzę jég szczęścia.

Mówiła to tak swobodnie, tak zimno, że się de Rive pod tą zasłoną nieprzejrzystą nie mogła nawet domyślić ukrytego dramatu. Krystyna umiała pokryć głęboką boleść i chęć zemsty jak najumiejętniej odegraną obojętnością. Nie zaspokoila się tém wszakże indagatorka i rozpoczęła na nowo ubolewania.

— O! ci mężczyźni—rzekła—ci mężczyźni! Jest to ród przebrzydły. Zawsze z nimi toż samo: wieczne zawody i cierpienia... Pewna jestem prawie, że pan Adam...

— Ani gorszy ani lepszy od innych! przerwała Krystyna. Nie mówmy już o tém. Ludzie, jak slysze, bardzo się o nasz los troszczą, dziwnie są ciekawi..

— Niezmiernie... to prawda! Po bytności u ciebie będą i mnie badali pewnie, co mam mówić?

— O! tak jak najprościej, coś widziała, co słyszałaś odemnie. Zresztą nie wątpię, że przez przyjaźń dla mnie ubrać to potrafisz przyzwocioie, i nie przedstawisz dla mnie krzywdząco.

Nastąpiły żywe gorące oświadczenia czułości i przyjaźni, uciski, westchnienia ubolewania. Krystyna jednak zawsze ostrożna, nie rozczuliła się do zbytku i nie dała sercu otworzyć się do głębi.

Napróżno zręczna de Rive zabiegała ze wszystkich stron, pragnąc się czegoś od niéj ciekawszego dowiedzieć; Krystyna grała swą rolę chłodno, dumnie, z rezygnacją zadziwiającą. Całą więc zdobyczą téj rozprawy było potwierdzenie wiadomości o rozejściu się małżeństwa i sprawie rozwodowej wniesionej do konsystorza.

Ciekawość ludzka nienasycona tém, zwróciła się na obie owdowiałe postacie, które tak same przecie, obyczajem wieku, pozostać nie mogły. Ze zbliżenia się kogoś do nich lub ich do kogoś wnosić się gotowano, co spowodowało to tajemnicze zerwanie. Na wszystkich przesmykach zasadzeni łowcy, chciwi prawdy, pokrytéj dziwnie grubą zasłoną, czekali ich z nabitami ciekawością oczami, ale musieli oczekiwać długo.

W domu Julii nie się nie zmieniło. Słudzy, pierwsi szpiegowie, widzieli ją trochę słabą, ale dopełniającą ściśle wszelkich obowiązków towarzyskich, oddającą wizyty, przyjmującą gości, troskliwą o zdrowie męża, zresztą obojętną. Pan Adam ani razu do niej nie przyszedł, na co także bacznie zwrócono uwagę.

Nazajutrz po bytności pani de Rive, która rozsiała po mieście treść swjej rozmowy z Krystyną, ale nie mogąc z niej wiele udzielić światu, udawała się zmuszoną do tajemnicy i wiedzącą więcej niż mówiła, — Warszawa wiedziała tylko że Francuzka posiada sekret, ale go odkryć nie chce... lub nie może. Rolę tę grała zręczna pani, aby nie zostać upokorzona, niewiele będąc lepiej z wypadkami obeznaną od drugich; wolala udawać tajemniczą, niż przyznać się do niepowodzenia.

Zdziwiła się też bardzo hr. Julia, gdy jej o niezwykłej ranniej godzinie oznajmiono przybycie hrabiny Krystyny. Zadrzała, pobladła, ale po chwili niespokojnego namysłu, kazała ją przyjąć.

Współzawodniczka weszła dobrze przygotowana do walki, poważna, smutna, ale całkiem pani siebie; podała w milczeniu rękę Julii, potrząsała głową i usiadła.

— Nie mam ci nic nowego do powiedzenia, rzekła: wiesz wszystko.

— A! wiem! słabym głosem odparła Julia.

— Nie obwiniam nikogo prócz siebie, dodała Krystyna. Tak być było powinno, przewidywałam ten koniec. Pan Bóg skarzał mnie za ciebie, jak ciebie ukarał za ojca i matkę, może znowu chcąc ją uczynić świętą i męczennicą. W tém wszystkiém jest ręka jakiegóś niezblaganéj sprawiedliwości. Ale teraz, gdy się to już nieodwołalnie spełniło, kochana Julio, muszę ci powiedzieć wszystko... wszystko!... Ten człowiek, to potwór bez serca, niegodny ani twojéj miłości dla niego, ani mojego przywiązania i dobroci!... Jam go nie kochała, podobał mi się, chciałam z niego uczynić człowieka i dogodne narzędzie. Za wszystko, com dla niego zrobiła, odwdzieczył mi się najniegodziwszą zdradą... Skorzystał z tego, czego się mógł gdzieś o mojem życiu dowiedzieć, aby się wyrwać odemnie, i sprzedać mi moją wolność i dobrą sławę. Jak się sam był sprzedał raz i drugi, tak dziś sprzedał raz trzeci już nie siebie, ale moją spokojność!... Nie serca!... nie uczciwości!... nie wstydu!... O! to okropnie! I Bóg na tę duszę skamieniałą włożył taką twarz śliczną... takie oblicze spokojne, łagodne, miłe!... Mogłam się spodziewać?... Julio — szepnęła — znasz mnie, i ja nie jestem świętą, ale ten człowiek bez serca przeraził mnie!... To istota, nad którą podlejszój wymarzyć niepodobna.

Gdy Krystyna mówiła tak żywo, mierzając ją oczyma półgniewnymi, napół łzawymi — Julia bawiła się muślinowym końcem chustki, i spuszczonej oczu podnieść nad nią nie śmiała. Dobrze jednak umiała utrzymać się w pozornym spokoju i obojętności.

— Nie mów mi tego, odezwała się po chwili: wiem wszystko, znam go, ale cóż skargi pomogą?

— A! nie bierz mnie za egoistę, nie przyszedłam do ciebie ze skargą, rzekła Krystyna. Chciałam, jeśli jest jeszcze w twym sercu resztką jaka miłości dla niego, wyrwać ci ją i oswobodzić cię. Takiego potwora kochać niepodobna... to występki!...

Julia wstała uśmiechnawszy się dziwnie, twarz jej ożywiła się, z goryczą jakąś tęskną odpowiedziała:

— Krzysiu, posłuchaj! nie mów nigdy o miłości: jest to jedyna rzecz w świecie, o której ty sądzić nie możesz... Czy myślisz, że może powstrzymać od kochania to, że przedmiot miłości nie jest nas godzien?.. Ślepa, namiętna, bezrozumna, cożem ja winna, że kocham? Widzę wady, brzydzę się charakterem, lituję nad ułomnością, a kocham; więc ci powiem, pogardzam i kocham, gniewam się a kocham. Mogę pracować nad sobą, by o nim zapomnieć: próżnobył usiłowała tę miłość zamienić w obrzydzenie i wstręt... Czyż ja go nie znam?

— Nie! tak jak ja, ty go jeszcze nie znasz! Był dzieckiem gdyś go wzięła ujęta jego wdziękiem; teraz jest mężczyzną i postępuje z rozmysłem: gotów ciebie, mnie, świat, podesłać sobie pod nogi, byle iść coraz wyżej a wyżej!

— Lituję się, Krzysiu, ale wiesz jak to się kocha? Być dla niego ofiarą, być mu podnóżkiem, to rozkosz jeszcze!...

— To jest po prostu szaleństwo! odparła Krystyna: ja się będę mściła tylko! Tak! to nie jest cześć słowo. Rozstaliśmy się czyniąc umowę, której warunków dotrzymam; ale nie obowiązałam się do tego, że mu przebaczę, i nie przebaczę!

Słowa te wyrzekła z przerażającą zaciętością.

— Chcesz, ofiaruję ci przymierze! dodała. Ty i ja mamy żal do tego człowieka; weźmy się za ręce, aby go zgnieść. Niech padnie, niech się rozbije, niech zebrze litości, abym mu mogła drzwi zamknąć i rozśmiać się z jego nędzy!

— Krzysiu! zawołała przerażona Julia: za cóż ty na nim mścić się będziesz? za swoją własną omyłkę?..

— Za co? ja wiem! krzyknęła Krystyna namiętnie ze wzrokiem ognistym: za to, że chciał mnie upokorzyć i zwyciężyć. Znasz kobiety naszego domu?... znasz ten ród nasz, który wszystkimi drogami umie dążyć do celu?... Nie skłamię mojej krwi, nie postąpię inaczej. Jak ty nie możesz zaprzestać kochać, ja nie potrafię przebaczyć!.. Mierz moją namiętność swoją własną, one są de siebie podobne: ty tak kochasz, jak ja nie nawidzę.

Obie zamilkły.

— W tém wszystkiém — zaczęła znowu po chwili Krystyna — jest dla mnie jeszcze niezbadana tajemnica, którą odkryć muszę. Ktoś, nie wiem jeszcze kto, dał mu oręż przeciwko mnie, myśl i środki do wykonania tego pięknego planu; on był tylko czyjśm posłusznym narzędziem... Kto? nie wiem dotąd — mówiła Krystyna — kto? czy ten pan Floryan, który pierwszy mi go bałamucić zaczął? czy ludzie, co go za jakieś narzędzie polityczne użyć chcieli, a wiedzieli, że w moich rękach mojem tylko jest, i służyć im nie będzie?... Pozostaje mi dojść jeszcze kłębka téj nici czarnej.

Rzuciła bystrém okiem na Julię, jakby jej chciała dać do zrozumienia, że ją posądza także, ale to przemówienie milczące nie zostało zrozumiane; Julia nie wzięła go do siebie, i odparła zimno:

— Znasz lepiej jego stosunki, nie trudno ci to będzie odkryć...

— Odkryję i pomszczę się—dodała Krystyna. Ten głupiec nadto ufał swym siłom... poszedł z niemi, nie utrzyma się, zginie.

To mówiąc wstała, i zdawała się gotować do odejścia...

— Co myślisz z sobą? spytała Julia: jedziesz?

— Ja? jechać? chybaby on wyjechał... Przywiążę się do jego śladów, gonić go będę, iść za nim: zemsta mój cel i myśl jedyna.

— Tak! dziś! rzekła Julia... ale jutro?

— Jutro i do śmierci! Jam wytrwała! zobaczysz... zawołała Krystyna.

— Żal mi cię! dodała z cicha kasztelanowa: z tém uczuciem i żyć jest ciężko, i zaspokojone, jeszcze dręczyć cię nie przestanie. Niesie ono nieszczęście, ale je w około rozlewa; jest jak naczynie z ukropem, które w czasie obłężeń zlewano na głowy oblegających, ale niemi sobie i obłężeń ręce parzyli.

— Cóż mi ręce? rozśmiała się Krystyna... jam sobie sparzyła życie, ja mam przed sobą tylko to jedno. Chcesz iść ze mną? spytała.

— Nie! stanowczo odparła Julia. Jak ty mojego, ja twego nie rozumiem uczucia. Drogi nasze są różne, Krzysiu moja: zostawże mi choć tę pociechę, żem się uczuciem występniem, ale gorącym oczyściła, podniosła, uspokoiła prawie.

— Tyś dziecko i nie zestarzejesz nigdy! zawołała Krystyna.

I dosyć zimno pożegnały się z sobą przyjaciółki.

Jak w istocie skończyli z sobą małżonkowie, tego nawet opowiadający te smutne dzieje, mimo poszuki-

wań czynionych w tym przedmiocie, ściślej określić nie może...

Nazajutrz po owęj scenie wieczornęj była długa narada, czy targ przy drzwiach zamkniętych. Po rozmowie, wyszła żona z twarzą rozpromienioną aż do chorobliwej czerwoności, pan Adam blady jak trup. Przywołany po obiedzie prawnik, spisał jakąś tranzakcyę na dwie ręce, która pozostała tajemnicą. Tegoż wieczoru pan Adam wyjechał z Warszawy, a gdy powrócił, nie udał się już do domu, który zajmowała żona, ale do kamienicy pod Zamkiem, najętą dla niego przez pana Floryana.

Jermaszka sprowadzony z rzeczami swojego pana przy pomocy dwóch sług najętych, zajmował się urządzeniem nowego lokalu, który wcale wspaniałym nie był. Pan Adam czuł potrzebę wielkiej oszczędności, mimo wygranego grosza i tego, jaki mu z układów był przyrzeczony; rozgospodarowywał się tak, aby mieszkanie ściśle odpowiadało położeniu i nie narażało go na niemożliwe wydatki... Dwór był bardzo szczupły, a nawet wątpiono, gdy do Warszawy powróci, czy będzie trzymał konie i stangreta.

Wyjazd pana Adama z Warszawy niby na wieś, był tylko nieco dłuższym kręgiem dla przyzwoitego przeniesienia się z ulicy na ulicę. Gdy powrócił, zastał swoje nowe pomieszkane w zupełnym chaosie; pantu Floryanowi polecono czekać, i nie też nie przygotował. Jeden pokój przyrządzono tak, aby w nim mógł się przespać, mebli jeszcze nie było, izby stały chłodne i puste, smutne, ciemne... wszystko jeszcze do zrobienia. Gdy pan Adam wysiadł z powozu i wszedł na wschody, przywykły oddawna do wygod i zbytku, do spuszczenia się na opiekę drugich, gdy się obejrzał

dokoła, przejął go jakiś chłód ementarny i smutek... Mieszkanie było dosyć obszerne, ale ponure i zatęchłe; jakaś atmosfera złowroga zdawała się wypełniać je i ciążyć nad niem. Po dawno wyszłym ztąd, podobno z trumną, lokatorze, zostały tylko pamiątki we wbitych gwoździach, w plamach na ścianach, w dziurach i zniszczeniu... Trzeba było z tych gruzów świat nowy utworzyć, zrobić wszystko, zakupić, obmyślić, urządzić...

W przedpokoju zastał pocziwego Jermaszkę ze zwieszoną głową, ze złamaną postawą, skrzyżowanymi rękami, oczekującego na swego panieca.

— A! to wy! chwalić Pana Boga! rzekł mu po ciachu, całując go w nogę sługa. Już jesteśmy u siebie... to i dobrze.

Spojrzał na kasztelana, który był posepny i nie słyszał jego przemówienia.

Jermaszka wprzód prześladowany, tu się czuł jakoś panem, i uśmiechnął się do swobodniejszej przyszłości...

Uprzedzony p. Floryan, nadbiegł zacierając ręce.

— No! *tabula rasa!* zawołał na wstępie: ale z tego zrobimy godne pana pomieszkanie.

— Prawdę mówiąc szkaradna dziura... odparł pan Adam, ruszając ramionami.

— Czekaj pan! przerwał Maluta. Dziura to, nie przeczę, ale są okoliczności nas usprawiedliwiające... Mieszkanie to dla bliskości zamku zajmowali dygnitarze, jest znane z tego, ujmij nie czyni temu, który je najmuje, uświęcone zostało pobytami wielu znakomitych i dostojnych osób. Tłómaczy je zbliżenie się do osoby królewskiej, do izby sejmowej, do ogniska politycznego życia. To pierwsze. Zresztą wydaje się ono ohydne,

ale trochę sprzętu, a przystroi się do niepoznania... Byłem już w kilku magazynach mebli, są drogie, ale gotówką płacąc, otrzymamy je ze znacznym ustępstwem... Tapicer zgodzony... za pięć dni będziesz pan tu mógł przyjąć kogo zechcesz, będzie skromnie, ale *dè bono gusto*.

— A stajnie? a wozownie? spytał kasztelan.

Nadeszły kwestye ważne koni, powozów, kucharza, dworu... Obliczywszy się ściślej z Malutą, pomiarkowali oba, że mimo oszczędności, utrzymanie się na stopie przyzwoitej w tych czasach ogólnego zbytku nie było tak łatwe, jak się zdawało z początku. Kasztelan nie chciał się wydawać zupełnie ubogim, choć takim był w istocie, obawiał się robić długów, a nie było innego sposobu, tylko od niepewnej trochę zapożyczać się przyszłości. Do późnej nocy roztrząsano budżet... Maluta dziwnie jakoś ośmielał i napędzał do wydatków nieopatrznych.

— Panie Floryanie, rzekł długo wytrzymawszy kasztelan: muszę ci nareszcie odkryć całą prawdę... Ja mam bardzo niewiele, żona moja obowiązała się płacić mi pewną pensję, ale ta, jak widzisz, nie starczy... Starostwo moje jest rzeczą lichą i niewiele przynoszącą; majątek ojcowski ledwie na życie starczy matce.

— Pozwolisz mi pan równie być szczerym—odezwał się Maluta, ściskając go i całując powyżej brucha, gdyż wyżej usta jego i głowa nie dosięgały.

To mówiąc, wybiegł, opatrzył drzwi, odciągnął pana Adama na środek pokoju, i począł bardzo zniżonym głosem:

— Nie mamy co w bawelną obwijać, trzeba być otwartym. Świat jest zepsuty, na nieszczęście bardzo zepsuty; ktoby do zbytku chciał być skrupulatnym...

Tu się zakrztusił, badając, jak to zwierzenie zagadkowe przyjmie kasztelan; ale pan Adam ani mrugnął, a Floryan wzięwszy to za dobry znak, mówił dalej:

— Czasy są ciężkie, bardzo ciężkie, okoliczności dziwne... trudne... Pan należysz do patriotów?... nie-prawdaż? dodał cichutko.

— Cóż to pan zowiesz tęp nazwiskiem? spytał kasztelan. Należałem z kolei do Hugonotów, do Prusaków, do tych, i do owych, wszyscy mieniamy i tracimy barwy co chwila... to zależy...

— Jestem właśnie tego zdania, że barwa powinna być zależna. Wypada i panu szukać siły i podpory, wielając się do jakiegoś stronnictwa, oddając mu się duszą i ciałem, nie patrząc na nie prócz własnego interesu...

— Naiwnie i otwarcie mówisz w istocie! zawołał uśmiechając się pan Adam.

— Ale z serca! ale z serca! rzekł bijąc się w piersi mały człeczek. Położenie pańskie dotychczasowe łączy go ściślej z reformatorami... jest to obóz chwilowo tryumfujący, ale krucho stoi w przyszłości... Jak się panu zdaje?

Pan Adam myślał, kiwnął głową, nie nie odpowiedział; nie miał mocnych, a raczej żadnych przekonań.

— Trzeba wybrać jedno z dwojga, rzekł kusiciel: albo mrzeć z głodu i stoicyzmem się karmić o suchym chlebie, goniąc za sławą bohatera, znosić prywatę, lub... lub...

— Radzisz mi więc zmienić barwę? spytał ostrożnie pan Adam.

— Nie! rzekł Floryan... ale mieć nogę w obu obozach, zapewniając sobie przyjaciół i protekcję w mocniejszym; radziłbym po prostu menażować wszystkich.

Nie jest to rzecz bezprzykładna: są bardzo godni ludzie, którzy nieinaczej czynią.

— Ale ja przecie jestem dobrze ze wszystkimi?

— Nie dosyć: trzeba być dobrze ze swymi, a bardzo dobrze z innymi... jakaś się pan Floryan. Ale pocóż o tęp wszyscy wiedzieć mają? Trzeba bywać i tam głośno, i gdzieindziej po cichu; a protekcya posłów i mocarstw zagranicznych... to rzecz jest potężna.

Pan Adam się zachmurzył.

— Wolałbym, rzekł, przejść otwarcie do królewskich...

— Otwarcie, to się na nie nie zdało, odparł Maluta. Co pan im przynosisz? nie nad jedną osobę więcej, a oni tam figur mają dosyć. Tymczasem skrycie działając, jesteś pan drogi.

— Więc po prostu radzisz mi zdradę?

— A! co za słówko szkaradne! miły kasztelanie! obruszył się Maluta. Co za słówko grubiańskie! Nie godzi się tak surowo obchodzić z przyjacielem. Zdradę? zdrada jest wcale czém inném: toż to jest manewr polityczny, dozwolony, przyjęty... Polityka, widzi pan, nie znosi ciasnych prawideł zwykłej moralności; ona ma swą księgę praw, w której stoi „Patrz gdzie ci lepiej!”

Pan Adam już nie nie odpowiedział.

— Wszyscy biorą pensye—rzekł Floryan powoli—dla czegożbyś pan jój brać nie miał? Hetman, wojewoda, ten, ów... są dobrze płatni; król JMość nawet nie gardzi tym sukursem... takie czasy... *Beatus qui tenet...*

— A sprawy kraju?...

— E! rzekł mały szatanek: to rzecz, która od ludzi nie zależy. Napróżno pochlebiają sobie, że oni

na nie wpływają; idą jak im prawo ogólne przykazuje i kwita. Nam potrzeba swoje robić, a o sobie pamiętać...

Pan Adam nie oburzył się wcale, zamyślił się tylko; snadź pan Floryan dobrze wprzód zbadał grunt, na który rzucił ziarno.

— Potrzeba—rzekł, kując gorące żelazo—pozawiazywać ślislejsze stosunki.

Tu ujawszy go pod rękę i wspinając się do ucha, począł szeptać bardzo po eichu.

Wieczór zszedł na tajemniczej rozmowie; ale znać było po twarzach obu, że Maluta wyszedł z niej zwycięzko. Czoło pana kasztelana okryło się lekką chmurką, ale był to raczej obłok głębokiej zadumy, niż smutku lub zgryzoty. Sumienie spało w tym człowieku; ubóstwo i duma dobijały targu przy jego łożu.

Nazajutrz najęta tymczasowo karetą od Dangla, wiozła pana Kasztelana do zamku na przyjęcie uroczyste...

Był to dzień galowy u dworn. Pierwszy raz pan Adam pokazywał się tu po wielkim kataklizmie, który jego położenie odmienił. Pokoje zamkowe były przepelnione, tłum wielki... Przywykły do spotykania twarzy przyjaznych i grzecznie uśmiechniętych, zdziwił się nieco i zmieszał pan Adam, spostrzegłszy zaraz na wstępie, iż się od niego odwracano, unikano go, udawano zajęcie, by się od spotkania i rozmowy z nim usunąć. Przyparci koniecznością, witali się z nim zimno, i co prędzej śpieszyli w inną stronę pod pozorem pilnych interesów. Gdziekolwiek stanął na chwilę, próżnia robiła się w koło. Pan Adam pobladł, ale uśmiech wymuszony skrzywił mu usta: nadrabiał miną.

Ci nawet, z którymi był najbliżej i najlepiej, nagle czegoś złodowaceli...

Gdy Najjaśniejszy Pan wyszedł na pokoje, a pan Adam wysunął się przed jego oblicze, postrzegł z boleścią, że król się odwrócił, i tak zajął się rozmową z jakimś Anglikiem, iż niepodobna było nawet przesłać mu uniżonego pokłonu.

Kasztelan kłaniał się kilka razy napróżno, nie odbierając żadnej na swą grzeczność odpowiedzi.

Położenie stawało się co chwila drażliwsze. Znali go wszyscy, ale był jak zarażony powietrzem: nikt do niego przybliżyć się nie śmiał. Jeden nawet z posłów zagranicznych, ku któremu podszedł pan Adam, dotąd najgrzeczniejszy i uprzejmy dla niego, ledwie raczył kiwnąć głową, i odwrócił się.

Dłużej od innych pozostał na pokojach, ale darmo polował na najskromniejsze znajomości swoje; wszyscy mu się bardzo zręcznie wymykali.

Dla człowieka, który na jedną kartę postawił los całego życia, przegrana wszystkich nadziei jest jakby śmierci wyrokiem. Pan Adam czuł dreszcz zimny przebiegający po ciele, zimny pot oblewał mu skronie, drżącym krokiem dostał się do powozu, który go odwiózł do pustego mieszkania. Cekał tu na p. Floryana, który mu się był przyobiecał na godzinę oznaczoną po audyencyi. Ale pierwszy raz nawet Maluta się nie stawił.

Było to także coś wielce znaczącego.

— Mielizby mnie tak nagle wszyscy opuścić? pytał się sam siebie, drżący wylekły i przybity swém nieszczęściem. Miałaby ta jedna kobieta mieć tyle władzy, wpływ tak wszechmocny, tak nieubłaganą

chęć zemsty?... Czyż nie ma już sposobu żadnego oparcia się jój, zwalczenia? Miałbym być skazany na zgubę, dla tego tylko, że niewolnikiem być nie chciałem? Nie! to niepodobna! fałszywie widzę i przesadzam wszystko... widzę zbyt czarno... może pragnę od razu zbyt wiele!

O dobrą spóźniwszy się godzinę, nadszedł wreszcie pan Floryan; ale na pierwszy rzut oka, kasztelan dostrzegł w nim nawet niesłychaną zmianę. Mały ów, grzeczny, nadskakujący, zręczny, wylany na usługi i pokorny człowieczek, który mu się uśmiechał zawsze i stawał mniejszym jeszcze niż był, przez potulność—wyrósł nagle i skwaśniał widocznie w ciągu kilku krótkich godzin.

Z zafrasowaną twarzą, na którą próżno widział jakiś uśmiech pożyczany, szedł tym razem bez pośpiechu, znamionującego zwykle wszystkie jego ruchy, ciągnął się, wyglądał zakłopotany, jakby przynosił z sobą ciężar jakiegś niespodzianej a złej wiadomości, której wypowiedzieć nie śmiał, z czego mu się wypowiadać było ciężko a potrzeba.

Pan Adam pośpieszył sam na jego spotkanie z wykrzykiem:

— Czekam cię, czekam!

— Nie mogłem być wcześniej! zawołał p. Floryan: jak Pana Boga kocham, nie mogłem! Miałem interes cudzy, ważny, pilny, proszę mi przebaczyć, nie nie winienem.

— Cóż ci się stało?

— Ale nie, to rzecz osobista.

— Byłem u dworu—przerwał kasztelan, mierzając oczyma, aby dobrać, czy już o wszystkiém wie p. Floryan.

Z jego zakłopotanej twarzy poznał zaraz, że mu nie nowego nie powie, że on już dobrze naprzód wie całą historję przyjęcia na zamku.

— Wiesz już? zapytał.

— Nie! nie! jak Boga kocham! odparł mały.

— Jak to?

— Cóż się stało? zapytał zimno pan Floryan, zaniechawszy nawet zwykłych oświadczeń przyjaźni i wylania....

— Skutkiem zapewne zabiegów mojej szanownej małżonki—mówił pan Adam—zostałem przyjęty tak zimno, tak dziwnie... Co mnie najwięcej oburza—dodał—to moi, ci, z którymi dzieliłem przekonanie, którym służyłem, którzy mi dotąd okazywali jeżeli nie gorącą przyjaźń, to przynajmniej uprzedzającą grzeczność. Nie rozumiem co się im stało... Ale bądź co bądź, pomszczę się. Mówiłeś wczoraj o nogach w dwóch obozach: dobrze.... włożyłbym je w trzy, gdybym miał trzy nogi, gdyby był jaki obóz trzeci... Jadę gdzie chcesz, do posła... do dyabła... robię co radzisz... żartuję sobie z nich...

Pan Floryan stanął jeszcze bardziej zakłopotany, opuścił głowę, wzrok utopił w ziemię, zdawał się na nię szukać jakichś tajemniczych do odczytania znaków

— Co mówisz? zapytał kasztelan.

— A! nie! odparł Maluta—nie...

Pan Adam przechadzał się wielkimi krokami, poruszony, gniewny.

— Tak—dodał—potrzeba myśleć o sobie, o niczém więcej. Tak oni wszyscy robią, tak i ja uczynię: myśleć o worku, o intrygach, o zyskaniu grosza, o schwytaniu łupu... Resztę! niech tam dyabli biorą, jeśli chcą.

Zdanie to zdawało się tak zgodnem z niedawno objawianem przez pana Floryana, iż pan Adam spodziewał się gorącego potwierdzenia; ale Maluta stał niemy, poprawiał wysoką fryzurę, przestępował z jednej nóżki na drugą.

— Cożes i ty dziś taki zakuty i milezący? spytał zniecierpliwiony pan Adam.

— A cóż już mam mówić, kochany kasztelanie?... odparł Floryan: a cóż mam mówić? słucham.

— Byłeś u posła?

Chwila mileżenia nastąpiła złowroga.

— Otóż to, że byłem, rzekł wahając się Maluta: byłem, i nie jestem z niego kontent!

— No? dla czego?

— Bo mnie tak odprawił omal, jak pana dziś odprawiono na zamku—rozśmiał się, ruszył ramionami—i już nie chce nawet powtarzać.

— Ale gadajże mi wszystko... wolę od razu wypić wszystko do dna... Co ci powiedział?

— Co? co tam!... at! głupstwo szepnął Maluta.

— Mów... mów! stanowczo tupiąc nogą krzyknął pan Adam.

Ale owo tupnięcie, które przed kilku dniami byłoby w ziemię wbilo pana Floryana, teraz jakiś przesmykujący się uśmiech tylko wywołało na jego usta. Okręcił się, otarł chustką, i rzekł powoli:

— Kochany kasztelanie, zmartwisz się, gdy ci powtórzę, co powiedział.

— Powtórz.

— Gdy mu przyniosł propozycję, uśmiechnął się, i rzekł: „E! kląniam uniżenie... nie staję do licytacji”

Kasztelan poczerwieniał, ale zjadłszy przykrą wiadomość i rozrachowawszy, że p. Floryan w nieszcześciu

nie będzie mu wielką pomocą, odwrócił się prawie pogardliwie od niego.

Dostrzegłszy tego śmiałego ruchu, którego znaczenie nie mogło być wątpliwe, mała figurka spojrzała na kasztelana prawie z podziwieniem. Zmiarkował Maluta, że nazbyt szybko zwinął chorągiewkę, i począł ubolewania.

— Któż to nie zna ludzi!... rzekł ciągnąc powoli. Tak to zawsze: póki doli, póty ich przyjaźni i życzliwości; niechże się noga powinie...

— Ale komuż to się noga powinęła? krzyknął gniewnie kasztelan. Komu? gdzie? kiedy? jak? Opuściłem żonę, jestem tym com był wczoraj.

Pan Floryan skrycie ruszył ramionami. Jakiś teraz stał się całkiem inny; spojrział czy litość go wzięła, czy wstyd jakiś. Zbliżył się do pana Adama, i oglądając się do kola, szepnął po cichu:

— Nie oceniasz pan jeszcze dobrze coś uczynił... Myślałem, że rozstając się z panią, obwarowałeś dobrze: coś tu musiało się jakiegoś baka ustrzelić... Widzę, że jejmość zajadłą zemstę gotuje; a to nie przelewki! to nie przelewki! Znasz pan tę mozną rodzinę, do której ona należy... Tylko na miłość bożą, nie zdradź mnie pan: ona w całym kraju ma rozciągnięte sieci, szlachtę po wszystkich ziemiach, moźnych po zamkach, duchowieństwo po klasztorach, zamek w ręku, posłów za nadrą, króla JMci w kieszeni. To są ludzie straszni, gniazdo os....

— Juźciż—odparł kasztelan—gdyby nawet tak władnęli krajem, sama ich potęga robiłaby im nieprzyjaciół: znajdę ich i połączę się z nimi.

— W tém się mylisz, kochany kasztelanie! Oni się tak urządzili, że nawet w nieprzyjacielskim obozie

swoich mają. Niejeden, co gardlnie i krzyczy przeciwko nim, robi to tylko, aby się lepiej zamaskować, a w istocie im posługuje... W obozie nieprzyjaciół zdradzony będziesz niechybnie.

— Więc cóż? przepadłem i zginąłem! rzekł gwałtownie pan Adam.

— Ale ja tego nie mówię! przerwał Maluta. Nikt nie przepadł póki żyje; coś można i potrzeba radzić.

— Radź! rzekł sucho kasztelan.

— Gdzie tam moja głupia głowa na to prowadzi!... począł cicho, złożwszy ręce Maluta. I mnie już, przyznam się panu, strach bierze: bo jak nie można po koniu, biją po hołoblach; a ja się boję być hołobłą.

— Masz słuszość! odparł kasztelan. Za cóż ty masz cierpieć lub zginąć dla mnie. Zapewne, każdy o sobie myśleć powinien, na to nie ma rady.

Maluta stał jeszcze i dumał.

— Panie kasztelanie—rzekł—trzeba się jakoś zbliżyć. Ja interesu tego nie rozumiem, i dla tego radzić nie potrafię. Wiem, żeście się państwo rozstali, ale jest tyle sposobów zrywania: mogęż zgadnąć z czego? dla czego? jak? co tam się pomiędzy państwem stało? jak do tego przyszło? Kobieta widać wściekła a zemsta niewieścia...

Maluta westchnął ciężko.

— O! zemsta niewieścia! powtórzył.

Obaj na chwilę zamilkli.

Wieczór nadchodził... Kasztelanowi przyszło na myśl, że mógł jeszcze spróbować szczęścia, i pojechał gdziekolwiek, dla samego przekonania się, jak go też przyjmą.

Nic już nie mówiąc, kazał sobie podać karete; zaproponował nawet Malucie, by z nim jechał. Ale gdy

dawniej byłby to sobie pan Floryan za największe szczęście poczytał, teraz wymówił się niezręcznie jakąś pilną sprawą. P. Adam nie ponowił zaproszenia, przebrał się żywo, i ruszył do pani starościny XX., której dom i wieczory ściągały całą Warszawę.

Był to salon neutralny, na którego gruncie spotykały się z sobą wszystkie stronnictwa i barwy w chwilowym rozejmie. Sama pani, osoba w wieku, która nigdy nie była ładną, a pośród ogólnego zepsucia potrafiła wytrwać zącną i czystą, szanowana była i lubiona przez wszystkich, uznana jako wysokiego rozumu, wielkiego dowcipu i serca pani. Nie starając się wcale, umiała sobie zdobyć w społeczeństwie jedyne stanowisko, o które z nią nikt nawet współubięgać się nie śmiał.

Nie była to już owa matrona dawniej Polski XV i XVI wieku, u wiejskiego ogniska modląc się z czeladzią, i nieznająca inną księgi nad modlitewnik i żywoty Św.; był to typ już odmienny, nie dzisiejszy, nie prastary—pośredni.—Zachowała ona zasady dawne, ale przybrane w formę nową; sercem była to jeszcze owa przedwiekowa polska niewiasta, choć mowa i obyczaj czyniły ją córką wieku. Umysłu niepospolicie wykształconego, cheiwa wiedzy i nauki, starościna przeszła przez ogień życia oczyszczona w nim jak złoto, i przez szale wieku, nieporuszona w zasadach, spokojna, pełna godności i powagi. Ale musiała przemawiać językiem, któryby był zrozumiany; natura dała jej dowcip, nauka i pamięć przyozdobiły jej umysł bogato. Trochę niewinnego szyderstwa miała w usposobieniu: przy największej więc grzeczności i wstrzemięźliwości, niekiedy chlostała słówkiem ostrym wydatniejsze wady wieku; słynna była nawet z wypowiedanej naiwnie,

niespodzianie prawdy w oczy tym, do których się to ścia-gało. Za oczy za to broniła ich żarliwie. Przyczinki owe zawsze sprawiedliwe, przyjmowano od niej z pokorą; bo nikt nawzajem niczem ostrem odpowiedzieć jej nie mógł: enota dawała jej prawo wojowania prawdą.... Wszystkie ówczesnej Warszawy odcienie schodziły się w tym skromnym wdowim saloniku, w którym przyjęcie nie było wytworne, ale pańsko skromne, z kądem nikt zszarżany nie wyszedł bezkarnie, ale też pokrzywdzony niewinnie być nie mógł, a każdy za zaszczyt miał przestąpić jego progi. Starościna zwykle przyjmowała swych gości niewiele się o nich troszcząc na pozór, bez zbytecznych ceremonij, równając ich grzecznością dobrego tonu dla wszystkich jednaką. Siedziała na swój kanapie z bonończykiem na poduszce u nóg, i prowadziła rozmowę robiąc pończoszkę przez cały wieczór. Ubiór jej przyzwoity, staranny ale niewytworny, był zawsze ciemny, popielaty lub czarny, skrojony tak, że ani elegancją raził, ani też zaniedbaniem zbytecznym rozśmieszał.

Przed tą kanapką co wtorek i piątek przesuwano się co Warszawa miała najdostojniejszego, a sam król JMość, choć starościny za prawdę, która w delikatny sposób i jemu podawać umiała, nie zbyt lubiał, przychodził tu czasem ucałować rączkę zacnej staruszki... Starościna miała lat z górą pięćdziesiąt; twarz jej nie była nigdy piękna, ale starzejąc dziwnie się stała poważną, wypogodzoną, prawie wdzięczniejszą niż była za młodu. Siwy włos srebrzysty gładko uczesany, i para takichże loczków na czole, bardzo jej były do twarzy...

Oprócz starościny i jej synowej, pięknej pani owdowiałej z kilkorgiem dzieci, których wychowaniu cał-

kowiecie była oddana, milczącej i mało zajmującej się towarzystwem, dom składał się z rezydentki ospowatej i złośliwej, trzymanej na wodzy powagą pani, i jednej z wnuczek, młodej dziewczeczki jasnowłosej, wesołej, miłej, ale straszliwie przez babunię rozpieszczonęj.

Pan Adam, który był pozyskał prawo bywania u starościny, i nigdy go dotąd nie stracił, chociaż zbyt mile tutaj go nie widziano, przyjmowany był grzecznie. Tym razem pojechał w nadziei, że ocierając się o świat, lepiej się przekona, czy w istocie został już bannitą.

Wszedł na pokoje starościny, które jak zwykle pełne były kobiet siedzących dokola, i mężczyzn poskupianych w małe grupy pośrodku. Nadając sobie pewność, jakiej nie miał, czuł, że mu się paliły policzki, ale się uśmiechał wśród tej moralnej tortury. Przywitał parę osób po drodze, z których przyjęcia nie wnieść nie potrafił, i pośpieszył ku tronowi samej starościny.

Ta spojrziała na niego bardzo przelotnie, oderwawszy na chwilę oczy od pończochy, kiwnęła z lekka głową, ale tak szybko potem wróciła do rozpoczętej wprzód rozmowy z siedzącą przy niej marszałkową L..., że pan Adam uczuł się boleśnie dotknięty prawie wzgardliwą obojętnością, która obojętną być nie mogła, bo każdy ruch i słowo pani domu były obrażone. Zostawiony sam sobie, podszedł do kilku znajomych pań, które mu także na jego ukłon odpowiedziały głową skinieniem, ale żywo zajęte sobą, nawet się nie odwróciły ku niemu. Jedna z nich, do której w rozpacz przystąpił bliżej, popatrzyła na niego szydersko, zmierzyla go od stóp do głowy, oczyma pełnemi jakiejś ciekawości dziwnej, i odpowiedział-

szy mu na pytanie półsłówkiem, wstała i odeszła, chcąc widocznie uniknąć dłuższej z nim rozmowy.

Mężczyźni prawie tak samo sobie z nim postępowali, gdy się do nich przysuwał. Mówili do siebie, nie zwracając na niego wiele uwagi; a gdy się mieszał do rozmowy, unikali jęj przedłużenia, rozsypując się lub zbywając go chłodem wyraźnym.

Położenie stawało się coraz przykrzejsze, i pan Adam już prawie nie wiedział co począć z sobą... gdy dobrze znany mu niegdyś głos odezwał się, śmiało przywołując go do siebie.

Była to Julia, której twarz pokraśniała od gniewu na widok tego okrutnego obejścia się ludzi z jęj ulubieńcem. Nie mogła wytrwać i przemódz, aby się nie zwrócić do niego i nie starać przynajmniej dodać mu odwagi, nie spróbować przechylić kapryśnego usposobienia towarzystwa na jego stronę. W świecie dzieje się to często, że wszyscy idą za ogółem, nie wiedząc dobrze dla czego, i dają się z drogi sprowadzać równie łatwo jak na nią weszli. Jedno czasem słowo śmielęj rzucone, nagły zwrot w usposobieniach wywołać może.

Julia czuła, że była powinna poświęcić się dla niego, i odważnie dopełniła obowiązku. Oczy wszystkich zwróciły się na nią: widać w nich było zdziwienie, ale zarazem poszanowanie dla tego mężstwa niewiasty, która ściągala na siebie podejrzenia i sarkazmy, byle ukochanego ocalić... Kilka osób zaraz inaczej już spojrzalo na pana Adama, widząc, że nie jest jeszcze opuszczoną przez wszystkich ofiarą.

Kobiety zaczęły szeptać zakrywając się wachlarzami, i z ukosa rzucając wejrzenia na kobietę, która sama jedna śmiała stanąć przeciw uknutemu spiskowi.

Głos Julii, na który całą siłę, jaką miała, wyszafowała, był śmiały, pewny siebie, prawie wyzywający.

— Zbliź się tu, panie kasztelanie—zawołała do niego—mam ci coś powiedzieć.

Pan Adam z wdzięcznością przysunął się do kasztelanowej, która uśmiechając się, rzuciła mu tylko do ucha:

— W Imię Boże, odwagi! śmiałości! zuchwalstwa! A głośno dodała.

— Długa to historia, a nawet prośba... Chodź pan, muszę tu rozpowiedzieć... pilno mi.

To mówiąc przeszła z nim powoli przeciskając się przez zgromadzenia aż do drugiego salonu, w którym kilka także grup uszykowanych było po kątach; a tu przechadzając się, poczęła półgłosem rozmowę, którą tak umiejętnie płała rzucanemi na głos wyrazami odmiennęj treści i bez związku, że przysłuchujący się jęj, nie z nięj pochwylić ani zrozumieć nie mogli.

— Stajesz do walki—rzekła mu—oblicz się naprzód, osnuj plan jakiś, spodziewaj się wszystkiego, umięj przewidzieć i odeprzeć... Wiem już co się dziś stało na zamku... Dalszym ciągiem rozpoczętego przesładowania jest ten wieczór. Można to było z góry przewidywać, trzeba się było gotować na to... Dobrze zrobiłeś, żeś miał tu przyjść odwagę... To pierwsze napady nieprzyjaciela: jeżeli się nie cofniesz, i nie ulegniesz im... kto wie? po twojéj stronie może być zwycięstwo... To pewna, że na jednego sprzymierzeńca, na mnie rachować możesz... śmiało... Ale cóż ja mogę!...

— Ja także nie wiem, czy tęg śmiertelnęj walce podolam, rzekł pan Adam: siły są nierówne.

— Tak! i dla tego bój ponętniejszy! odparła Julia. Tam spisek szeroko zakreślony, tu zimna odwaga przeciwko niemu. Od czegoż jesteś mężczyzną? Twoja żona ma także nieprzyjaciół skrytych, potrafimy ich rozbudzić... Co myślisz?

— Dotąd nie, jestem osłupiały... rzekł pan Adam.

— To źle! stokroć źle! odparła Julia. Trzeba się otrząsnąć z wrażenia; ja na to nie pozwalam... Nie godzi się tracić tak wczesnie nadziei zwycięstwa... należy myśleć i działać.

— Gdy wszyscy mnie opuścili!

— Nie, bo ja się za coś też liczę—przerwała kasztelanowa.

— Ale z jakąż ty stajesz bronią? zapytał Adam.

— Z najpotężniejszą w świecie, odpowiedziała ciśzej Julia: ja kocham, jest to walka nienawiści i miłości. Nie wątpię, że ostatnia zwyciężyć musi.

Kasztelan milczał, głowa jego spadła na piersi. Julia postrzegła smutne jego oblicze i zawołała:

— Na miłość Boga! wesolą, szyderską, bezczelną przybierz postać; wyglądasz jakbyś z góry już uznawał się za zwyciężonego, dajesz się dobrowolnie na pośmiewisko. Nie uznawać się pobitym, to połowa zwycięstwa. Rozjaśnij czoło gwałtem, tak jakbyś odepnie w twój rozmowie dowiedział się czegoś radosnego. Jestem pewna, że to zrobi zamieszanie w obozie przeciwników... a jeżeli kto cię jutro badać będzie, udawaj nadzwyczajną wesolność, dobrą myśl, nadzieję, żartuj sobie z nich... Dłużej mówić nie mogę... Przemów jeszcze do kogo, a potem odejść śpiwając, nie patrząc, żywo, jakbyś się śpieszył... A! trzebaż stary pieszczochu, abym ja to mówiła tobie, ja cię tego uczyła, jaka stara intrygantka jakaś!

Rozśmiała się boleśnie; ale wśród goryczy, która się przebijala przez ten uśmiech, czuć było wysilek woli i serea, by się ludziom nie dać pojąć i pochwycić.

Widząc pana Adama dość jeszcze zakłopotanym i niepewnym dokończyła umyślnie głośno:

— Proszę cię kasztelanie, idźże zaraz i spełnij moje polecenie. O skutku nie wątpię, w tak dobre ręce powierzając mój interes... Mój mąż ci sam jutro podziękuje, ale usilnie naglił, abym cię o pośpiech prosiła.

Wszyscy słyszeli te słowa, i prędkie odejście kasztelana zostało w ten sposób wytłumaczone. Skutkiem rozmowy z Julią było zaraz to, że w proggu, gdzie już mniej kto widział co się działo, parę osób zbliżyło się do kasztelana, który cały swój humor jakoś jeżeli nie odzyskać, to pozornie przynajmniej przywdziać potrafił.

Są w życiu ludzkim chwile stanoweze, które nowy zwrot nadają nietylko losowi, ale nawet charakterowi człowieka.

Pan Adam był dotąd niesamoistną istotą, rzuconą wypadkami, słabą, niepewną. W głębi jego duszy kryło się jednak nieco energii nieużytej, śpiącej, która w danej godzinie pod bodźcem niewoli obudzić się musiała. Była to właśnie chwila, w której poczuł się igraszką, pośmiewiskiem, istotą jakąś słabą, zależną, wzgardzoną. Instynkt zachowawczy, miłość własna, dobiły z niego dotąd zapartej, nieużytej siły.

Wychodząc z tego wieczoru u starościny, który go oblał gorączką, wstydem i gniewem, a uczuciem wdzięczności dla jednej kobiety, co się nad nim ulitowała, kasztelan poczuł nareszcie, że potrzeba mu samemu myśleć o sobie. Widział już, iż na nikogo

rachować nie może, nawet na tych, których dotąd miał za przyjaciół, którym służył i zdawał się potrzebny. Powiedział sobie, że należy stać się ludziom albo niebezpiecznym, albo użytecznym, aby być przez nich uszanowanym.

Powróciwszy do domu, zamknął się i zadumał nad sobą głęboko... Widział się na rozstajach życia. Jedna z dróg wiodła do góry, do owych blasków, których tak pragnął, druga na dół, do przepaści. Spokojnego gościńca, który prowadził do szczęścia, nie domyślał się nawet: bo szczęście dla niego malowało się zawsze ubrane w purpurę i złoto.

Wskazówki dane mu przez Floryana przypeminały, że ze swego dawniejszego położenia mógł skorzystać, odrywając się od przyjaciół i przenosząc do przeciwnego obozu. Mówiliśmy już, że nie miał przekonania, że brakło mu zasad, powodował nim prawie wyłącznie interes własny. Postanowił więc zmienić obóz z zimną krwią i bez zgryzoty sumienia.

Nie on jeden naówczas tak rachował; wielu z nim było, co nieinaczéj sobie postępowali.

Jakkolwiek zimno przyjęto go w pierwszej chwili z téj strony, której chciał ofiarować swe usługi, nie to jeszcze nie stanowiło. Nie wiedziano, ile mógł być użytecznym, przenosząc z sobą wiadomość o planach i środkach do ich spełnienia obmyślanych. Potrzeba się więc było zbliżyć, dać poznać i ocenić. Wiedział, że daleko mniej nad niego znaczących i udarowanych ludzi chwymano dla zwiększenia stronnictwa.

Po długich rozmyślach, kasztelan nie używając już za pośrednika pana Floryana, na którego wiedział, że się spuścić nie było można, postanowił sam działać, zawiązać bliższe znajomości i ofiarować swoje usługi,

zrywając zupełnie z tymi, którzy go opuścili w krytycznej chwili. Kasztelan przedewszystkiem zajmował się sobą i swoją przyszłością, która mu się groźnie przedstawiała.

Gdy rozgorączkowany myślami własnymi chodził tak po pokoju, snując plany przyszłości i zemsty, przez roztwarte na pół drzwi ujrzał wyglądającą, smutną i dziwnie skrzywioną twarz Jermaszki, śledzącego każdy ruch swojego pana.

Biedny sługa, jakkolwiek jeszcze nie obyty ze swym panem i jego położeniem, prostym rozsądkiem i sercem wieśniaczém odgadywał po trosze ciężkie położenie swego pana, i po swojemu chciał go ratować. Szło mu tylko o to, jak do niego przystąpić i szczerę wywołać wyznanie.

Kilka razy Jermaszka szedł i powracał, chciał rozpocząć rozmowę i nie śmiał, rzucał się ku panu widząc go cierpiącym, potem wstrzymywał się obawą, że go nie rozumie; nareszcie widok téj walki ostatniej, która tak jasno malowała się na obliczu kasztelana, w jego ruchach, zadumie, westchnieniach, pełnęła sługę ku niemu, otworzył drzwi, wsunął się powoli i z pochyloną głową stanął, wlepiając w niego oczy ciekawe.

— Ono by to... zaczął nieśmiało.

— Chcesz czego odemnie? spytał pan Adam.

— Ono to nic... rzekł Jermaszka — alebym prosił pana, jakby my z sobą pogadali? Choć to ja sługa i biedak—dodał—ale to u nas na wsi, choćby i ojciec pański nieboszczyk, czasem o wszystkiém zemną pogawędał, a i u prostego człowieka, to się tam coś znajdzie we środku...

Kasztelan popatrzał uśmiechając się na niego.

— Mój kochany, odezwał się: coż ty mnie poradzisz?

— Zapewne, zapewne... przebaknął Jermaszka—ale choćby największemu rozumowi, z boku zawsze człowiek coś poddać może. Czy to ja nie widzę co się święci?... proszę JW Pana, ono to się rozumie...

— Cóż? jak ci się zda? zapytał kasztelan: myślisz, że tak źle dla mnie rzeczy stoją?

— Źle, ale nie, odrzekł sługa; tylko JW Pan nie wie jeszcze jak one pójdą, to cała rzecz, a po ciemku wszystko straszne... Ale prosiłbym JW Pana, wszak to prawda, że jak se człek pościele tak się wyśpi, a to pora ślać, i na tych, co nam ścielą nie spuszczać się. Czy to ono się oczu nie ma?—dodał—albo co? Toć to się widzi, że z tego cała bieda, że JW Pan zerwał z JW Panią! Pani się dąsa, a ma przyjaciół dużo, i oni naturalnie za nią ciągną, a mścić się pragną. Już to przepraszam, że ja się w to wdaję, ale ja stary sługa domowy, a w sercu mam okrutny żal...

— No, cóżbyś ty zrobił na mojem miejscu? rzek uśmiechając się mimowolnie kasztelan, który stanął i począł słuchać dosyć ciekawie.

— E! co ja bym zrobił, tego JW Pan nie uczynisz, odparł sługa; ale tu idzie o to, żeby wymyślić co JW Panu robić potrzeba!

— A cóżbyś ty zrobił?

— E! ja! ja bym plunął do czorta za pozwoleniem—rzekł Jermaszka,—na ich dwór, na ich miasto, na wszystkie ich roboty, a powrócił na wieś zagon orać, i ani myślał o tém; ale tego przecię to JW Pan nie zrobisz? A! a toby było najlepší! Może i nie wypada JW Panu tak uciec? Powiedzieliby, że go przestra-

szyli, choć ja, ja bym się śmiał z ich głupiego gadania. Co mi tam!

Kasztelan potrząsł głową.

— A jednak—dodał Jermaszka—oj! oj! człek się kręci a szuka czegoś około siebie, a co ma, tego mu nie dosyć! Hej, hej! na czémby to ono zbywało na wsi? Nie bogato, nie dworno, ale zaciszno i zdrowo, i spokojnie, a stara nasza jejmość takby była szczęśliwa! Niechby sobie oni pletli, że nas ztąd wypędzili, coby to nam szkodziło, kiedyby się tam żyło po bożemu!

— Nie! rzekł pan Adam: o tém mowy być nie może...

— A! no, to się wie, że o tém mowy nie ma, odpowiedział smutnie sługa; ono to się wie, i toć bieda cała, że nam innéj trzeba szukać rady.

Chwilkę milczeli.

— Ej! ej, panie, dodał Jermaszka ocierając oczy: po co to, z pozwoleniem, człowiek się marnie miota i rzuca na różne strony, szukając nie wiedzieć tam jakiego szczęścia po za sobą, kiedy ono przy nim rośnie, kiedy je sobie można wszędzie zamiesić, upiec i niém się nakarmić?... Co tu ich do tego miasta wiąże, trzyma?... co tu jest lepszego?... czy ja wiem?...

Ruszył ramionami.

— Gdyby pan powrócił na wieś—dodał po cichu—gdybyśmy wrócili, o! toby się dopiero jejmość ucieszyła!... a jakby nam tam było dobrze i spokojnie!

— A tuby tryumfowano, że ze strachu przed niemi uciekł! rzekł kasztelan. A cóżby ja robił w Wólce?

— Co? to, co robił dziad pański i ojciec... rzekł Jermaszka,—i było im gorzej niż panu?

Westchnął biedny i lzy potoczyły mu się po twarzy.

— Trzebaż to wiele człowiekowi do szczęścia! Jednego serca a trochę pracy, i dokolacze się do końca jako tako; bo czy tak, czy owak, umrzeć potrzeba zawsze.

— Gdybyś to pan chciał powrócić do domu!... dał ciszej raz jeszcze.

— Nie! rzekł kasztelan: mówić o tém daremnie; to być już nie może, już się raz poszło tą drogą, schodzić z niej niepodobna. Potrzeba iść dalej!

— A no! to idźmy — westchnął Jermaszka — to idźmy! ale śmiało a ostro! i — z Bogiem!

Ostatnie to „z Bogiem,” które dla prostego człowieka wyrażało wszystko, dla pana kasztelana było wcale niepojęte. W prostocie swój, sługa przez to „z Bogiem” rozumiał wszystko jasne i dobre na ziemi, cnotę, poczciwość, poszanowanie siebie, sumienie; w tém słowie zamykał wszystko, czego inaczej wypowiedzieć i określićby nie potrafił. Bóg dla niego stał jako cel, jako najwyższa światłość, do której droga jasną też być musi, iść górą po nad ziemią, jęć celami drobnem i troską maluczką!

Dla kasztelana, można rzec, nie było ani tego Boga, ani tych myśli, które ubogi ów człek nosabiał; było tylko jedno *ja*, stojące po nad wszystkiem: piramida ofiar, a na jęć wierzchołku on sam.

Rzucona myśl utkwiała jak strzała w piersi człowieka, któremu jęć dotąd ani młodość, ani późniejsze nie wszechpiło życie. Ale ostudzony wychowaniem, dumą oziębiony, nie przyjął jęć, wyrwał, odrzucił. Przywykł był wszystko widzieć po ludzku i znać tylko człowieka.

Wedle pana Adama, który od dzieciństwa widział w sobie jakąś uprzywilejowaną istotę, Opatrzność, jeżeli była jaka, winna się była nim opiekować, pieścić go, nosić na rękę, wybaczając mu wszystkie jego występki, wszystkie kroki fałszywe naprawiać, i głaskać go za to, że raczył żyć i czegoś od niej zażądać. Nie czuł się obowiązany do niczego, ale wymagał za to wiele. Sfalszowane pojęcia, ostygłe serce, nie dawały mu dostrzedz prawdziwych przeznaczeń człowieka; burzył się na to, co mu przeszkadzało, nie umiał za nie być wdzięcznym.

Bywa tak zawsze z tymi, których los na rękę ponosi i od kolebki upieści. Jermaszka widząc, jak się p. Adam zadumał, pocałował go w rękę po cichu, lzy mu się potoczyły po twarzy.

— A! panie! panie! dodał: tu nie dobrego nas nie czeka... Idźmy ztąd, uciekajmy... Kawalek chleba czarnego nie gorzki gdy swój własny, a dach słomiany stanie za ich blachę. Na cóż nam więcej?

— Ty nie nie rozumiesz! zawołał kasztelan.

— Ono to się nie rozumie, prawda... rzekł wzdychając Jermaszka; ale cóż dalej tu robić? czy głowę mury przebijając?

— Tak — przerwał pan Adam — albo mur pęknąć musi, albo głowa!

I pięścią w stół uderzył.

— Idź spać i zostaw mnie samego.

Pozostawszy sam z sobą, kasztelan siadł i napisał długi i szeroki list do króla, wypowiadał się ze swych losów i oddał się pod jego opiekę, a najpierw prosił o osobne posłuchanie.

Nazajutrz rano, pan Floryan przeciwko swemu zwyczajowi, po raz już drugi nie nadszedł; list został

wysłany, odpowiedź przybyła dopiero w wieczór przez paza, oznajmiająca, że nazajutrz w rannéj godzinie przyjęty będzie przez króla pan kasztelan. Na tém posłuchaniu pan Adam wszystko budował, i przez dzień cały, przygotowując się do niego, z domu nie wychodził.

Nazajutrz po wieczorze u starościny, na którym Julia tak stanowczo w obronie swego wychowanka wystąpiła, bramy jéj domu były zamknięte, nie przyjmowała nikogo. Około południa zatoczyła się przed nie kareta, i choć służący przyniósł odpowiedź siedzącej w niej pani, wysłano go po raz drugi z przygotowanym bilecikiem na górę. Na kartce stały te słowa:

„Chère amie! Niezmiernie ważny interes zmusza mnie narzucić ci się koniecznie i prosić o chwilę rozmowy. Nie odmówisz jéj twojéj Krystynie.”

Lubo teraz wielki wstręt czuła Julia do dawnéj swéj przyjaciółki, nie było sposobu jéj odmówić, musiała otworzyć drzwi, choć niezupełnie skończona toaleta w obawę ją wprawiała, aby potem o nią zbyt niekorzystnych nie szerzyła wieści.

Krystyna weszła z rozplomienioną twarzą, nie rzuciła się jéj w objęcia jak dawniej, stanęła, obejrzała drzwi i zaczęła drżącym głosem:

— Julio! raz jeszcze pomówmy szczerze, może to raz ostatni.... Stajesz obok mnie jako przyjaciółka, krewna, czy przeciwko mnie z nieprzyjacielem? mów!

— Cóż to jest? spytała kasztelanowa, zbliżając się do niej powoli. Prawdziwie nie rozumiem cię.

— Ten człowiek—mówiła dalej Krystyna—ten potwór ślizki i zimny jak wąż, obie nas zdradził. Powinnyśmy podać sobie ręce, aby go zgubić; a ty, ty go bronisz przeciwko mnie, ty mu dodajesz siły i odwagi.

— Ja?

— Tak! wczoraj u starościny... coś zrobiła? Ocalałaś go! Ty mnie wyzywasz!

— Krzysiu! odparła Julia spokojnie: wyzwanie nie od wczoraj istnieje. Ty wiesz, że go kocham i bronić jestem obowiązana... Nie wojnę ci wypowiadam, ale napastowana w nim, bronić się muszę i będę.

— Przeciwno mnie?

— Przeciwno tobie i wszystkim, przeciw światu, ludzior, bratu, ojcu memu, gdyby żył, przeciw losom!

— A! więc tak! krzyknęła Krystyna. Dobrze. Jasno więc położenie nasze okreśmy. Stajesz z nim przeciwko mnie Julio: to rozważ dobrze. Z rówieśnicy, krewnej, przyjaciółki młodości, przechodzisz na wroga? pomyśl... i dla kogo!

— Nie mamże powodów? spytała Julia.

— Nie masz: on cię zdradził.

— Jam przebaczyła.

— Myślisz może, iż do ciebie powróci? ze śmiechem dzikim odparła Krystyna. On! to człowiek bez serca. Kupisz go sobie zapewne, ale w tej piersi nigdy nie bić nie będzie.

— Cóż kiedy w mojej serce bije dla niego? szepnęła Julia.

— Moja droga—zapalając się coraz mocniej wołała Krystyna—kocham cię, szacuję, zdumiewasz mnie

ale cię przestrzegam: jestem niezłagana. Jeżeli bijąc jego, uderzę ciebie, nie będę winna.

— Nie będzie to pierwszy cios.... odparła Julia z uśmiechem.

— Nie lękasz się więc mnie? urągasz?

— Owszem, i lękam się, i żal mi ciebie, że sobie trujesz życie.

— Życie nigdy nie jest słodkie: leję w nie ukrop nienawiści, aby po nim jak po cieplej wodzie nie womi... krzyknęła Krystyna, rzucając się gwałtownie.

Julia zbliżyła się ku niej, a widząc ją drżącą z gniewu, ujęła za rękę; z oczu jej płynęły łzy ciche; przyklękła przed nią, objęła.

— Krzysiu — zawołała — droga moja! pamiętasz, myśmy razem dziećmi niewinnymi biegały w cieniu drzew na Łatoszynie... myśmy usypiały ze spojonami pocałunkiem ustami, myśmy z sobą były szczęśliwe... W imię tych lat świętych, anielskich... przebacz mi! przebacz mi! Słuchaj, chcesz ofiary—oto ją masz... łatwą i uległą. Prześladowaj mnie, zrób ze mną co ci się podoba, zabij—ja już życia nie cenię... ale jemu przebacz! przebacz! Jam wszystkich tych nieszczęść przyczyną! jam jedna winna!

— Widziałas kiedy, żeby kobieta przebaczyła! odparła podnosząc ją Krystyna. Przysięgała niejedna darować winę, ale nie darowała jej żadna! I ja bym ci przysięgała mogła i zdradzić przysięgę! Żółć poleje mi się ustami, bom jej pełna, nie—nie mogę! Tyś heroina—to pięknie; ale jam pospolita, dzika istota, jam barbarzyńca co przebaczyć nie umie, ja nie chcę, ja nie mogę zapomnieć!

— Jesteś chrześcianką? wszak Chrystus przebaczył!

— O! jam tylko zła kobieta! nie więcej; nie potrafię być inną!—zawołała Krystyna—to darmo! Nie przekonasz mnie, ani zwyciężysz!

Julia wstawszy odstąpiła na parę kroków z dumą chłodną.

— A więc? spytała.

— Więc chcesz wojny?

— Nie żądam jej, ale przyjmuję. Mylisz się Krystyno, sądząc się wszechwładną; mylisz się wierząc, że rodzina twoja może co tylko zechce. Znajdą się i w niej tacy, których tak można kupić jak drugich. Macie nieprzyjaciół, macie zazdrosnych: wojna każda jest niebezpieczną.

— Ja wiem co czynię, odparła Krystyna: możecie przedłużyć walkę moją z nim, ale ja zwyciężę. Zgniotę was... i kto mi stanie na drodze, biada mu!

— Tak! to znaczy mnie!

— Choćby tobie—nikogo nie oszczędzę!

— Siadajże Krzysiu, rzekła Julia powoli i zimno masz chwilę czasu?

— Cały dzień, jeśli chcesz! Dni, noce poświęciłam zemście, nią żyję, o niczym innym nie myślę.

— Może potrafię, jeśli nie zmienić twych postanów, to związać ci ręce: posłuchaj.

— O! słucham cierpliwie!

To mówiąc, porwała Krystyna wodę stojącą na stole i szklanek jej wypila duszkiem; potem rzuciła się na sofę i dumnie spojrzała na przeciwniczkę.

— No, mów! zawołała.

— Jeśli jest kto winny, to ja... tylko ja—odpowiedziała Julia. Chcesz zemsty, mścijże się na mnie jako jedynym winowajcy. Wszystkiego złego jam przyczyną i moja miłość dla niego.

— Dawno o tém wiedziałam, to nie nie zmienia.

— Bardzo wiele... Pamiętasz Krzysiu młodość naszą?

— Dzieciństwo! ja nie chcę jej pamiętać.

— Wolisz więc dzieje późniejsze? spytała Julia.

Krystyna mimowolnie zarumieniona spuściła oczy.

— Pamiętaj, że jak ty mścisz się na nim, Bóg może mścić się na tobie: tyżeś bez grzechu?

— Cha! cha! a ty? spytała Krystyna?

— O! ja się przyznaję i czuję cały ciężar win moich.

— Faryzejko! szepnęła Krystyna ruszając ramionami: mów coś mi mówić miała, słucham.

— To ja—dodała Julia—ja, widząc jak dręczysz tego człowieka, jak upokarzasz, za oręż do obrony dałam mu twoją przeszłość. Jam szukała dowodów przeciwko tobie, jam je znalazła i kupiła, jam mu nastręczyła.

Krystyna spojrzała na nią oczyma rozplomienionemi.

— Daléj! rzekła

— Dowody są w moich ręku! dokończyła Julia.

— A! to dobrze wiedzieć! Cóż chcesz za nie? spytała Krystyna.

— Spokoju dla niego. Dopóki on będzie spokojny, ja będę milezała; przysięgam ci, że je zniszczę, jeżeli...

— Mnie już o siebie teraz nie chodzi! zawołała Krystyna; pociągnij mnie choćby pod pręgierz, byłbym się pomścił. Rodzina moja wyrwie mnie nawet z pod pręgierza.

— Ale nie z pod sądu świata.

— Cóż mi ten sąd! On wyrok wydał od dawna, a każdy rok ścierał z niego literę. Cóż dziś pozostało? zamazana karta—posypana złotym piaskiem.

Krystyna może z gniewu, może ze złości zapłakała, a otarłszy łzy, pomyślała chwilę.

— Znasz moją historycę—rzekła—tak jak ją znają ludzie, co mnie potępili, ale nie jak ja ją znam.... Chcesz? wiedzieć będziesz prawdę całą; nie utaję grzechu, osądzisz czym była taką zbrodniarką, za jaką mnie osądzono. Powiem ci wszystko, uczynisz potem co ci się podoba.

Julia milczała. Krystyna wzięwszy to za zgodę, rozpoczęła opowiadanie powoli. Była to jakby spowiedź przed sobą samą, przerywana łzami. Nie patrzała prawie na przyjaciółkę, mówiła z przeszłością. Twarz jej zmieniona, z gniewnej stała się smutną, łagodną i prawie litość obudzającą.

— Znałaś mnie, Julio, dziecięciem jeszcze, szczęśliwém, rozpieszczoném u boku matki, pod jej skrzydłami opiekuńczemi. Potém rozstałyśmy się i ledwie rzadko widywały się z daleka; słyszałaś o mnie tyle i to co drudzy, kochałyśmy się jak się kochają ci, co się nie nawidzić nie mogą, nie zaglądając do głębi sere swoich, zgadując je. Któż wie, czy ty mnie kiedy znałaś dobrze, czy ja ciebie znałam?... Kto wie, czy nie fałszywe świat o mnie dał ci pojęcie? Przekonasz się o tém, gdy ci to biedne życie moje opowiem.

A powiem ci wszystko, bez kłamstwa, bez opuszczeń, jak ta, co już nic do stracenia nie ma, a nie wiele dba czy co zyska.

Po świecie pletli o mnie—dodała ruszając ramionami—co się im podobało, jakieś bajki niedorzeczne, jak o strachach niańki prawią. Wiele w nich było prawdy może, ale więcej jeszcze złośliwości i fałszu, narzuconego przez próżniaczą fantazyę ludzką, która czasem szuka złego, jak pewne robactwo zgnilizny, i tworzy je umyślnie, gdy go znaleźć nie może.

Ludzie już dziś zapomnieli o tém wszystkiém, ale w mém sercu żyje przeszłość i stoi ciągle przytomna,

bo w nią jest całe życie moje. Reszta, to... to zemsta, to zabawka, to igraszka zmęczonego serca i rozdrażnionej duszy.

Ty wiesz jak mnie kochała matka, czém ona była dla ludzi czém dla mnie; ty ję jak ja nie pamiętasz, a może też ją inaczej ci odmalowano niż była. Matka moja był to anioł w ludzkim ciele, dziecię pańskiego domu, które nigdy nie zaznało nieszczęścia, świata nie pojmowało innego nad ten, który widziało przez okna salonu, wykolysane szczęściem, dobre i słodkie jak ono. Pieszczoty i pomyślność zrobiły z niej anioła. Piękna idealnie, nie miała czasu zestarzeć ani sercem, ani ciałem, zeszła do grobu z westchnieniem, ze łzą, z błogosławieństwem na ustach.

Gdyby ona była żyła!... a! i ja może stałabym się była do niej podobna, inne byłoby życie moje, inna dola, inne serce urosłoby we mnie.

Po jej zawczesnej śmierci pozostał mi ojciec tylko, którego ty także niewiele pamiętać musisz. Senator wysoki Rzeczypospolitej, człowiek dobry i zacny, ale słaby, więcej kosmopolita niż Polak, trochę Sas przez przywiązanie do Augustów i nasze z ich rodziną stosunki: postać, która mi się dziś jeszcze przypomina w paradnym stroju, z orderem na piersiach, upudrowana, ufryzowana, uśmiechnięta, a pańska. Ile razy mnie ścisnął, choć po śmierci matki biorąc mnie na kolana, nieraz miał łzy na oczach, zdawał się mimo nich pamiętać nadewszystko, aby pieszczotami zbyt żywymi nie nadwzględę fryzury i nie zmiąć ubrania.

Ludzie go szanowali, był łagodny, ale powagi wielkiej, od losu nieco zepsuty, przywykły do szczęścia i przekonany, że Pan Bóg dając dostatki i znaczenie,

wypłacił mu tylko część należnego z powodu urodzenia długu.

W rok po śmierci mojej matki, którą serdecznie opłakiwał, przyjaciele i rodzina, jakem się później dowiedziała, z powodu iż nie miał syna i dziedzica imienia, namówili go na drugie małżeństwo. Zaledwie wyrastając z dziecka, nie wiedziałam wcale o tem co się koło mnie działo, prawie do chwili, aż gdy panny służące i szचेbioczące i płaczące na przemiany, ubrały mnie w białą sukienkę, zawinęły loczki i niebieską włożyły przepaskę... Wszyscy znajdowali mnie prześliczną, ale ja byłam gniewna i smutna przeczuciami jakimiś.

Przyprowadził mnie sam ojciec do wielkiej sali, i postawił drzącą przed kobietą otoczoną kołem mnóstwa wystrojonych gości i rodziny naszej. Kazano mi ją uściskać i nazywać mamą. Ona rzuciła się do mnie dosyć żywo, ale brylantowa śpilka, którą miała u piersi, mocno dosyć zadrasnęła mi czoło. Pierwszy jej uścisk był dla mnie bolesną raną.

Była to moja macocha.

Nie wystawiaj jej sobie tylko tak, jak ją pospolicie lud nasz pojmuję i maluje. Tyś ją też podobno widywała, ale później, gdy już nie była tak piękna i szczęśliwa jak w tym dniu. Mimo pieszczot nieznajomej, mimo najczulszych wyrazów, poczułam do niej nieopisany jakiś wstręt i odrazę, za to szczególnie, że śmiała chcieć nazywać się matką moją i tego drogiego anioła zastępować.

Nigdy nie zapomnę, jak mnie od pierwszego wejścia uderzyła jej piękność surowa, zimna, ostre rysy, płomieniste oczy i zaciśnięte wargi wązkie. Po-

między brwiami zarysowanemi jak penzlem chińskiego artysty, za najmniejszym wzruszeniem rysowały się dwie przecinające czoło prostopadłe marszczki, dwie fałdy, dziwnie wyglądające na tej białej i jak marmur gładkiej przestrzeni. Była w istocie bardzo piękna, majestatyczna, wzrostu więcej niż średniego, ale już wówczas nie pierwszej młodości. Zdaje mi się, że idąc za mojego ojca, mogła mieć więcej niż lat trzydzieści. Puszek dziewiczy na jej twarzy zastąpił meszek ciemny, nadający jej wyraz prawie męzki. Olbrzymich kształtów, budowy posągowej, ruchów powolnych i obrachowanych, macocha moja mogła się podobać, ale nie umiała do siebie przywiązać. Coś od niej odpychało, odstręczało, wiał chłód jakiś, choć pod temi lody i śniegami gorzała skryta, długimi marzeniami wykoltysana namiętność. Umysłu mało wykształconego, z głową pustą, charakter miała zacięty, upór nieprzełamany. Gdy się rozgniewała, nie czerwieniała jej twarz, ale przeraźliwie bladła.

Tego dnia cała była okryta klejnotami, i zabłysła mi wpośród rzęsistych świateł, obok mojego biednego ojca, patrzącego na nią z uwielbieniem i strachem razem, jakby zlaną rosą dyamentów: W dyademie, naszyjniku, kołcach, bransoletach brylantowych, w sukni osztytów sznurami dyamentowymi, wyglądała jak jakie bóstwo indyjskie. Prześliczne kształty jej popiersia i rąk, wysoka szyja utoczona, biała, postawa monarchiczna, czyniły ją majestatyczną. Ledwie mnie ze swych objęć wypuściła, odskoczyłam od niej z krwawą plamką na czole, przerażona, czując, że mnie żadnymi pieszczotami nie zyszcze.

Odtąd była ona dla mnie dobrą, ale zimną; wychowywała starannie, ale wcale nie serdecznie; byłam

dla niej dzieckiem krewnych, sierotą biedną, nie więcej.

Dwa te lata, które z nią żył mój ojciec, zostawiły mi po sobie wspomnienie męczarni, niedającej się opisać.

Nie było w istocie na co się poskarżyć, ale dla serca brakło wszystkiego czém ono żyje. Musiałam płakać, a z łez tych wytłomaczyć mi się nie było podobna; męczyłam się choć miałam wszystko com mieć była powinna, ale brakło miłości—usychałam.

Ojciec po tych dwóch latach pożycia, z nią, zapadł mocno na zdrowiu jakby jej uścisk i jemu także zadał ranę śmiertelną. Posłano go do wód za granicę. Miałam rok piętnasty, gdy mi po nim kazano przywdziać żałobę.

Płakałam jeszcze mocniej, przeczuwszy zupełne moje osierocenie. Byłam w istocie tém bardziej osierocona, że babka, która mnie od dawna do siebie wzięć chciała, prawie w tymże czasie zmarła; a ciotka, u której mogłam się umieścić, wyjechała do Włoch bezpowrotnie i poszła tam za męża za jakiegoś księcia włoskiego. Bliższej rodziny nie miałam nad macochę, która będąc cioteczną siostrą mojej matki, była dla mnie teraz naturalną opiekunką.

Zostałam więc przy niej, z czego ona może była rada, bo ze mną został jej dochód znaczny przez moich opiekunów na wychowanie i utrzymanie przeznaczony.

Nie kochałam jej już za życia ojca; poczęłam nienawidzić po jego śmierci. Sądzę, że ona także z lichwą mi to oddawała. Ale nigdy ta zobopólna niechęć nasza na jaw nie wychodziła: okrywał ją chłód przy-

zwoitości jak warstwa lodu. Stosunek mój do macochy był zimny, krył odrazę wzajemną, o której wiedziałyśmy obie, aleśmy jęj nie objawiały, i owszem macocha przy obcych udawała dla mnie nadzwyczajną troskliwość, prawie miłość, a gdy nie było świadków, obchodziła się ze mną surowo i ostro. Zostawszy sam na sam, nigdy nie mówiłyśmy do siebie: ona mi dawała rozkazy przez trzecich; jam się cieszyła, ile razy mogłam ich nie spełnić. Formy świata nie dawały na zewnątrz wybuchnąć nienawiści, która się codziennie wzmacniała.

Macocha była zimna, zamknięta, traktowała mnie dorosłą umyślnie zawsze jak dziecko; ja unikałam jęj, nie sprzeciwiałam się wręcz, ale czekałam jak oswo-bodzenia z niewoli chwili, któraby mnie od tęg kobie-ty uwolniła na zawsze.

Zostawiona sama sobie z nauczycielką Francuzką, pędziłam długie godziny na czytaniu, na marzeniach, niecierpliwnieniu się na mój los nieznosny. Siedziałyśmy po większej części na wsi, w rezydencji dziedzic-nej mojęj macochy; a ja choć bogata panna, w isto-cie wyglądałam tu jakby wychowanka i rezydentka na łasce. Macocha, starzejąc, stała się gospodarną do zbytku, skąpą i chciwą; szczędziła sobie i mnie wygód i najpierwszych potrzeb, aby z czasu mojęj małolet-ności korzystać majątkowo. Mówiono głośno, że znacz-ne dochody moje szły do jęj kieszeni, choć koło mnie było ubogo, prawie biednie, a nieraz dawały mi się słyszeć żale na utrapienie, jakie ze mną miała, na mój charakter zimny i skryty, na upór nieprzełamany i t. p.

Doszłam tak do lat szesnastu, byłam piękna i świe-ża, a to może obudziło ku mnie większą jeszcze nie-

nawiść kobiety, która czuła, że jęj wdzięki wiedły, gdy moje codzień rozkwitały. Nie mówię już nawet o tęg, że mnie ubierano umyślnie tak, abym się nie wydała czém byłam, że mnie chowano i ukrywano przed ludźmi. Na zimę pojechaliśmy do Warszawy, ale mnie pod pozorem dokończenia wychowania oddano jeszcze z domu do PP. Wizytek i zamknięto za kraty. Nie wiedziałam co się działo na świecie.

Jednego poranku, karetą macochy zajechała przed fórtę; wywołano mnie do nięg ze sali; oświadczyła mi, że wyjeżdża na wieś i mnie z sobą zabierze, jeśli nie czuję powołania dłużej za kratami pozostać... Do te-go wcale nie miałam ochoty, klasztor wydawał mi się niewolą.

— Ale wiesz już zapewne moja Krzysiu—dodała z uśmiechem—że musiałam pójść za mąż.

O tęg nie wiedziałam wcale, ale na tę wiadomość jakiś mnie dziwny gniew ogarnął: poczułam krzywdę pamięci ojca wyrządzoną, spuściłam oczy, nie odpo-wiedziałam nic. Tegoż wieczoru poznałam męża mo-jęj macochy... Był to znacznie młodszy od nięg czło-wiek, wychowany za granicą, ubogi, widocznie oże-niony z nią przez rodzinę dla pieniędzy, dla majątku.

Mimo uprzedzenia jakie miałam przeciwko niemu, pomimo gniewu, jaki na widok jego uczułam, od pierw-szego wieczoru człowiek ten mnie oczarował.

Nie chcę nic tać przed tobą... Tak! był to jedyny mężczyzna, któregom ukochała namiętnie, może nie-godny tęg miłości, ale przeznaczony, aby całe moje życie pochłoniął... Były chwile, gdym się nim brzydzi-ła, żem go nienawidziła; ale głos jego, ruch każdy, wejrzenie czyniły mnie niewolnicą posłuszną. Odcho-dziłam od pamięci, gdy na mnie spojrzał; słabłam, gdy

mnie ujął za rękę. Gniewałam się na te czary, alem ulegać im musiała. Słusznego wzrostu, oczu ciemnych, miał wiele podobieństwa do Adama ale był nadeń daleko wyższą ze wszystkich względów, doskonalszą nierównie choć podobną mu istotą. Ten nigdy nie miał serca, tamten był żyw, miał chwile namiętności, kochał.

Pierwszego wieczoru, gdym weszła do salonu z gniewem w piersi, gotowa do walki, uśmiech, którym mnie powitał, wejrzenie, które rzucił na mnie, podbiły serce mimo oporu. Jeszczem chciała nienawidzić, a jużem go kochała.

Jużem ci mówiła, że był ubogi, a młodszy daleko od méj macochy, z którą ożenił się dla jój pieniędzy. Nie wiele go to zalecało, ale nie dziwiłam się, że ta kobieta skąpa, cheiwa, zimna, pokochała go i poddała mu się, bo nie można mu było się oprzeć. Miał urok fatalny rzeczy zgubnych, których przeznaczeniem jest na podobieństwo owych oczu węzowych najprzód oczarować, aby pochłonać.

Od naszej podróży na wieś rozpoczął się ten straszny dramat. W drodze już Albert zbliżył się do mnie... do mnie, com jeszcze była na pół dziećciem, dla której świat był zagadką, a miłość tajemnicą uroczą, upragnioną: obudzić ją naówczas w sercu wyschłym od pragnień było tak łatwo! Macocha była zazdrosna, ale nie mogła się nawet domyślać jakiegokolwiek międy nim a mną stosunku. Zręczny i przewrotny Albert, przed nią i przy niej obchodził się ze mną jak z dzieckiem, często nawet trochę ostro; czulej zbliżał się do mnie po ciehu, w chwilach, gdy ona ani tego przypuszczać, ani go o to posądzać mogła.

Rozpoczęło się to z jego strony od grzeczności

i małych przysług; ale oczy więcej mówiły niż usta, a nie rychło nieme te wyznania zmieniły się na słowa, na westchnienia, na wyraźne oświadczenia miłości. Długo milczał, bał się, wahał, bojował. Położenie jego było ciężkie, ale namiętność silna; świeżo ożeniony, wzdrygał się zostać uwodzicielem dziecka powierzonego ich opiece. Na to zdobyć się mógł tylko zimno zepsuty lub szalenie rozkochany człowiek. Takim on był. Nie kochał dotąd nigdy; dwa serca nasze spragnione tego uczucia, rzuciły się ku sobie gwałtownie, nie nas powstrzymać nie mogło. Ale potrzeba było nadzwyczajnych ostrożności, ażeby nikt w świecie posądzić nas nawet nie mógł. Często tygodniami całemi słowaliśmy do siebie nie potrafili przemówić, oboje otoczeni mnożstwem szpiegów, wiedząc, że najłżejsze posądzenie wywołać mogło straszną katastrofę.

Nie—tych dni pierwszych życia nie potrafię i nie chcę opisywać... Mimo wiszącego nad moją głową miecza Damoklesa, byłam szczęśliwa... Szczęście nasze ożywiały, może czyniły droższém jeszcze nieustanny postrach, przerażenie, tajone lzy, niepokój uśmiechem pokrywany, kłamstwem, naostatek walka z sobą i z sumieniem, którego głos głużyła namiętność niepamiętna jutra.

W tym szale dojrzałam. Taki mi upłynął rok. Miłość naszą doskonale tajoną, pokrywaliśmy nieustannymi sporami, które się kazały domyślać prawie nieważności. Rosła ona codziennie... Ale każdy dzień odkradziony zbliżał nas do wrot piekielnych, które najmniejszy wypadek mógł otworzyć, i przepaść czuliśmy pod stopami... Żadna chwila nie była pewna, każda zdawała się zbliżać nieuniknioną katastrofę... Rozstając się na godzinę, potrzeba było żegnać się na zawsze.

Macocha była bliska słabości. Stan jój zdrowia w wieku, w którym spóźnione macierzyństwo bywa niebezpieczne, obudzał wielkie obawy; zalecano jój spokój, odosobnienie, byliśmy trochę swobodniejsi niż dawniej. Ciężko mi to wyznać, ale i ja i on może rachowaliśmy na tę chorobę, na niebezpieczeństwo, na śmierć jój, czując, że ona tylko może nam szczęśliwą zapewnić przyszłość.

Widzisz, przyznaję ci się szczerze nawet do myśli zbrodniczej, do niegodziwych nadziei, których trumna była podstawą. Nie tłumaczę się, nie oczyszczam... obwiniam się sama,—ale słuchaj dalej.

Macocha nad wszelkie spodziewanie przebyła to szczęśliwie. Zaraz po narodzeniu syna i ozdrowieniu matki, wyruszyliśmy do Warszawy. Stan jój wymagał jeszcze pewnych ostrożności, podróż odbywaliśmy powoli, stawaliśmy po dniu i więcej w różnych miejscach dla wypoczynku. Albert był smutny, chmurny, namiętny, widocznie ukrywał coś w sobie.

— To życie—powiedział mi na noclegu, gdyśmy się jakoś potrafiliby wyrwać na przechadzkę—codzień staje mi się nieznośniejszém; nie widzę przed sobą nic... Muszę zerwać ten łańcuch, choćbym go swoją lub cudzą krwią miał oblać. Ta kobieta dusi mnie swoją czułością, nęka zazdrością i przywiązaniem. Krzysiu—uciekajmy oboje.

— Ja? dokąd? o czém? spytałam.

— Ty pytasz! zawołał—i to jest miłość? Jak? pieczo; dokąd? gdzie oczy poniosą; z czém? z dwojgiem sere i rąk, byle razem, byle raz być na swobodzie. Uciekajmy!

— Ale cóż świat, co ludzie powiedzą? rzekłam złękniona.

— Co mi świat! na co mi ludzie? Ja nie wiem, czy jest świat i czy znam ludzi! Jeżeli nie uciekniemy, czuję, że się mogę czegoś strasznego dopuścić!

Targał włosy na głowie, rzucał się w gniewie i szale.

Ledwie go jakoś potrafiłam uspokoić, sama już nie pomnę jakimi obietnicami na przyszłość. Wrócił jednak do gospody z głową spuszczoną, przybity, zrozpaczony, z zaciśniętymi ustami. Z przestachem patrzyłam nań przeczuwając coś okropnego, próżno starając się na nim wymóżyć choć trochę cierpliwości.

Blizsza była katastrofa niż sądziłam.

Macocha nie dając tego poznać po sobie, podejrzewała już nas oboje od dni kilku: nie wiem kiedy pierwszy raz schwytała wejrzenie i uśmiech, co ją nagle oświecił o naszych stosunkach. Nic nie wiedząc, domyśliła się wszystkiego.

Mimo najtroskliwszych zabiegów, nie potrafiliśmy się tak ukryć, aby nas ludzie nie wyszpiewowali, ale dotąd milczeli. Często oboje szydziliśmy już z niebezpieczeństwa, owładnieni szalem, który zaślepił.

Po wyjściu na tę przechadzkę, które było może umyślnie dozwolone podstępnie, macocha wzięła do siebie starą sługę i silnie na nią natarła o odkrycie całej prawdy, której się tylko domyślała, zapewniając ją, że wie o wszystkiém. W czasie niebytności naszej wyznała ona i opowiedziała co tylko wiedziała, a mogła wiedzieć wiele, bośmy się w ostatku i źle i mało taili. Albert nieraz wychodził odemnie po północy, nieraz późno i rano znajdowano mnie u niego; tłumaczyliśmy to niezgrabnie, lub nie wymawialiśmy się wcale.

Gdyśmy weszli prawie jednocześnie do izby gościn-

nój, w której przy oknie siedziała macocha, i ja i on poznaliśmy po jej twarzy straszliwy na nas wydany wyrok. Ujrzelśmy ją bladą, z oczyma od płaczu czerwonymi, ale już oschłemi z łez, ręce jej drżały... Bojąc się wydać zapewne, słowa jednego nie rzekła, zmuszała się do obojętności, do udawania spokoju. Wieczór upłynął w tej obawie nieusprawiedliwionej: spodziewaliśmy się co chwila wybuchu, nie odezwała się wszakże; mówiliśmy o rzeczach obojętnych, macocha ciągle prawie była mileżąca. Mileżenie to jednak czuliśmy oboje jak straszną groźbę; wiedzieliśmy, że ta kobieta przebaczyć nie potrafi, że w ciszy knuje coś okropnego.

Izdebka, którą mi przeznaczono, przedzielała dwie inne: jedną zajęta przez macochę z dzieckiem, drugą przez Alberta. Zgasłam wcześniej światło u siebie, i nie chcąc być słyszana, poczęłam bosą po pokoiku przechadzać się, myśleć i płakać.

Był to widocznie ostatni dzień naszego szczęścia; nie widząc co nas czeka, czułam grożące niebezpieczeństwo blizkie.

Z obu stron było cicho, ale przez szczeliny ścian karczemnych padały smugi światła do izdebki. Mimo wolnie prawie przyłożyłam oko do jednej z nich, szukając jego, chcąc go zobaczyć, odgadnąć jego myśli, bom i jego rozpacz się obawiała.

Było już po pół nocy. Albert chodził jeszcze, gryzł palce, targał włosy, brew miał najeżoną, był straszny... Z drugiej strony, przez źle zamknięte drzwi ujrzałam macochę nad kolebką, tak straszną ze ściągniętymi brwiami, podpartą na ręce, z wyrazem takiej rozpacz, że mi się zdała Medeą gotową zamordować swe dziecko. Po niej jakimś czasem wstała, westchnęła i poszła do

szkatułki podróżnej, szukając w niej czegoś żywo, — żywo przerzucając wszystko... Z pod spodu dobyła pudełeczko, z niego flaszeczkę z jakimś płynem, i pochwyciła ją gwałtownie, wlepiając w nią oczy, aby dojrzeć przeciwko światłu, czy się w niej co znajduje. Tknęło mnie coś, że się chce otruć; patrzałam mileżąca, osłupiała; ale nie znalazłam tej kobiety... Flaszeczkę wrzuciła za gors, uspokoiła się nieco, zaczęła pisać, zajrzała do kołyski, i nadedniem położyła się spać. Świeca zgasała... mileżenie złowrogie.

Z drugiej strony chodził jeszcze Albert, szamocząc się ze zgryzotą, z obawą. Znał on dobrze żonę i wiedział co gniewne jej łzy obiecywać mogły; ten, na którego płakała, nie mógł się spodziewać przebaczenia,

Pochwili Albert porwał się jakby myślą i postanowieniem jakimś stanowczym ukojony, uderzył się w piersi i rzucił pół nieżywy, nie rozbierając na łożo. Pilnując go oczyma, dotrwałam do białego dnia, zmęczona, osłabła czuwaniem i cierpieniem. Zsunęłam się aż na podłogę, i tak na jakiś skrzyni żydowskiej zdrzennęłam nareszcie.

Gdy mnie służące zbudziły, był już wielki dzień. Jasność jego otrzeźwiła mnie nieco; zaczęłam się ubierać, wstydząc się niemal moich gorączkowych strachów nocnych, śpieszyłam, bo mieliśmy wyjeżdżać zaraz.

Ale zaledwie mnie samą z sobą zostawiono, pobiegłam znowu do drzwi Alberta; przez szparę postrzegłam go, chodził bladą po izbie i myślał.

Na stole w jego pokoju przygotowano ranną kawę dla nich obojga, na którą macocha natychmiast przyjsć miała... Albert przechadzał się około stołu z dzikim jakimś wejrzeniem: stawał, wahał się, oglądał, nareszcie ujrzałam z podziwem i przerażeniem, jak do

jedną z filiżanek wsypał coś szybko z papieru, który dobył z pugilaesu, i żywo odskoczył do okna. W tej chwili drzwi zaskrzypiały, i macocha weszła blada, mileżąca, uskarżając się na ból głowy, pochodzący z bezsenności.

Usiadła prędko przed tą właśnie filiżanką, do której Albert coś był wsypał, spojrzała na męża i wysłała go do sieni, aby przyspieszył wyjazd. Wybiegł on raczej niż wyszedł, oglądając się po za siebie oszalały. Widziałam po nim, że go coś nazad ciągnęło, że był przerażony zbrodnią swoją, ale już cofnąć jej nie mógł. Rzuciłam się co żywo do pokoju; ale w chwili gdym wybiedz miała, spojrzałam jeszcze przez szparę, i zobaczyłam macochę, która z pośpiechem do drugiej filiżanki nalala coś z flaszeczki dobytej z za gorsu. Struchlałam przerażona; nie było chwili do stracenia.

Udając śmiech i wesołość dziwną, wbiegłam jak szalona do pokoju, gdzie przygotowana była kawa, którą już macocha brała do ręki, i dosyć zręcznie jak na taką chwilę tragiczną, ściągnęłam serwetę, wywróciłam filiżanki, obaliłam stolik... Wszystko porozlewane stoczyło się na ziemię.

Macocha powstała na mnie z wielkim z razu gniewem i zapalczywością; ale gdym ją zmierzyła oczyma, w których wyczytała, że wiem wszystko, pobladła, zaczęła drżeć i zamilkła.

Przez otwarte w tej chwili drzwi wpadły dwa ulubione psy Alberta, i rzuciły się na porozlewane szczątki śniadania, od których napróżno starałam się je odpędzić...

W chwili później skonały oba w straszliwych konwulsjach...

Byłam tak drżąca, przejęta, obłąkana, że ani wiem

już co się później stało; czułam tylko silne ściśnięcie dłoni Alberta, gdy mnie wsadzał do powozu, i odepchnęłam rękę jego z oburzeniem.

Dwa psy wydały tajemnicę śniadania, któraby może ukryła się była przed dworem, gdyby nie mdłości, choroba i lzy macochy. Dojechaliśmy do Warszawy w ponurem milczeniu. Na trzeci dzień potem, po krótkiej słabości, macocha zmarła; konając odepchnęła mnie, a pomieszane wspomnienia zgryzot własnych i wypadków z ust jej dobyły słowa, które na mnie niewinną rzuciły podejrzenie o truciznę. Co gorsza, w ostatnim liście, który czując się już chora, zaraz po przybyciu skreśliła ręką drżąca, obwiniała mnie przez zemstę, o zamiar otrucia jej... prawie o dokonanie tej zbrodni!

Byłam naostatek w położeniu tém przykrzejszém, że ukrywać się musiałam, aby dać życie dziecięciu, które ledwie godzin kilka przeplakało na świecie... Obwiniono mnie także o odebranie mu życia umyślne, kładąc wszystko na te barki złamane.

Wszystko to staraniem mojej rodziny zatarte zostało. Alberta widzieć nie chciałam więcej; oddalił się natychmiast na zawsze. Jam została przy rozkwicie życia jak kwiat wyschły na lodydze, sama zbezczeszczona, odarta ze złudzeń, przelekła, w rozpacz... Wydano mnie za męża jak chciano; nie mnie już nie obchodziło, bo nie wierzyłam w nic na świecie.

Oto masz—dodała Krystyna—wierną spowiedź z mojej przeszłości... Mogliście dostać list, lub kopię listu macochy. Prawdopodobieństwa wszelkie są przeciwko mnie, ale zaklinam się na tego Chrystusa, w którego ty wierzysz, że jestem niewinna... Winą jedyną, winą

moją jak twoją była miłość wielka, szalona, niepomahowana, którą noszę w sercu jak żalobę.

Tak jest, nie taję nic, byłam występna... Ten człowiek uniósł z sobą resztę moich nadziei; zostałam trupem... Sądź mnie i rzuć kamieniem jeśli chcesz... wiele ich już wytrzymały te piersi rozbite...

Ujrzawszy Adama, który mi przypomniał Alberta, nie pokochałam go jak ty, ale chciałam tym cieniem przeszłości rozbudzić zgryzotę, wspomnienia i choćby boleść dawną, byle z nią życie dawniejsze; ale się boleśnie zawiodła tylko: przeszłość nie powraca... Trafiłam na istotę bez serca, bez uczucia i bez sumienia. Nie mamże się pomścić? O! nie znasz serca ludzkiego: pierwsza miłość jak pierwszy ból przebacza może; ostatnia, nigdy! Po za nią nie ma już nic! nie!

Obie przyjaciółki długo po tym wyznaniu milczały.

— Nie kochana Krzysiu, odezwała się po chwili Julia: ja ciebie jeszcze nie pojmuję, tak jak niepojmuję nigdy rozkoszy zemsty... Zemsta to dowód siły, którą pogardzono i zaparto, to dowód miłości i żalu po tym, co ją wywołuje... Ty go ani kochasz, ani żałujesz, i cóż ci ona przyniesie? na co ci się ona zdała? czy się ona uspokoi?

— Nie, ale wzdrygam się myśląc o tym człowieku; chciałbym tę potworę usunąć z oblicza ziemi... upokorzyć go... On śmiał chcieć mnie zwyciężyć! mnie!

Julia uśmiechnęła się.

— Droga moja—rzekła—spytaj lepiej serca twojego; ono samo nie wie czego pragnie, chcąc zemsty.

— Jak to! zdradę, podejście, niewdzięczność miałabym mu darować? Nigdy! nigdy!

Julia nic nie odpowiedziała, twarz jej oblała się

krwią, usta ścięły, stanęła naprzeciw dawniej przyjaciółki i odezwała się powoli:

— Tak... winnam ci spowiedź za spowiedź, jeszcze raz. Adam nie przewinił przeciwko tobie: ja, ja tylko! Mścijże się na mnie. Tych dowodów ja mu dostarczyłam... Jeżeli cię ma nasycić czyje nieszczęście, masz gotową ofiarę, która ci się opierać nie będzie, bylebyś go nie prześladowała.

Krzystyna spojrzała i rozśmiała się szydersko.

— Wiem to wszystko od dawna, rzekła; nie było to dla mnie na chwilę tajemnicą. Ale ty odplaciłaś mi tylko cios tobie zadany: nie mogę się mścić na tobie; na nim—muszę.

— Nie! odparła Julia—mścić się na silnym, to jeszcze rozumiem, ale na słabym? On co się nie potrafi oprzeć! chcesz gnieść robaka?

— Zgniotę choćby był tylko robakiem... Ani słowa więcej o tym... Jesteś ze mną czy przeciwko mnie?

— Jestem zawsze z nim, z nim zostanę, choćby przeciwko całemu światu. Idźmy każda swoją drogą, ty zemsty, ja obrony: zobaczymy po czyjjej stronie będzie Bóg.

— Bóg! rozśmiała się z dzikim wyrazem Krzysia, obwijając się szalem i zabierając do wyjścia—Bóg!

W tym jednym wyrazie, powtórzonym kilka razy z niewysłowionym szyderstwem, był cały ów wiek... Dreszcz przejmował słysząc, jak go wymawiały usta kobiety, istoty wdzięcznej, młodej, której serce bić jeszcze mogło do Nieba i niebiańskich myśli.

Julia cofnęła się, zbladła. Występna, znękana, wychowana w obojętności, była jeszcze do tyła kobietą, że czuła Boga nad sobą; przeraził ją ten uśmiech dziki, który towarzyszył wymówionemu słowu.

— Jakichże środków myślicie użyć przeciwko mnie? zapytała Krystyna.

— Wszystkich, jakie się nam ku obronie nastreczą. Krzysia ruszyła ramionami.

— Nie opuścisz go? spytała raz jeszcze.

— Nigdy!

— Chcesz z nim ginąć?

— Byle z nim razem.

Krystyna była już na progu, gdy Julia jeszcze się ku niej rzuciła z błaganem.

— Krzysiu, na Boga! na litość! na przyjaźń! rzuć te myśli zgubne! odepchnij to uczucie! przebacz! Ja mu zamknę usta... on się oddali...

— Tyś wyrzekła swoje: nigdy,—i ja powtarzam ci moje: nigdy! Obieśmy kobiety! Bądź zdrowa.

I wyszła.

Od strony Wisły przed pokojami królewskimi był balkon, pokryty lekkim daszkiem nakształt namiotu na lato. Tu Stanisław August spędzał czasem poobiednie godziny w poufaleń towarzystwie.

W chwili gdy na tym chłodzie, w wygodnym fotelu oparty siedział zamyślony i samotny, znajdujemy go znużonym i smutnym. Oblicze to było łagodne, rozumne. Usta uśmiechały się, bo były przywykłe do uśmiechu, ale bez uczucia pociechy i radości; błąd ten promyk, co je rozjaśniał, nie mógł oszukać nikogo: chmurna jak późny dzień jesieni omglonej twarz była w sprzeczności. Oba rękami wsparty na poręczach krzesła, z głową na piersi spuszczoną, siedział tak chwilę, wpatrując się w ogród przed sobą, bez myśli, zdrętwiały i zastygły, jakby pragnąc a nie spodziewając się odpoczynku. Lekki szelest od przytykającej do ganku sali, obudził go, zmusił do przybrania innej fizygnomii, weselszej nieco, pogodniejszej, bardziej urzędowej. Zwrócił oczy na drzwi: stał w nich szambelan służebny i szeptał, że przyrzeczona audyencya hr. Adamowi O..... miał przerwać jedyną wolniejszą chwilę spoczynku.

— Czy już przyszedł? spytał król.

— Jest i czeka.

— A no, to go wprowadźcie, proszę,—odparł Stanisław August—i nie wypuszczajcie tam już nikogo, dopóki się go niepozbędę.

To rzekłszy, król ujął się za czoło, jakby się namyślał i frasował, co pocznie z natrętem? Ale nim miał czas powziąć jakiekolwiek postanowienie, kasztelan wszedł i z ukłonem stanął przed nim. Na twarzy jego widać było cierpienie dni kilku; król je postrzegł i uczuł politowanie.

— Proszę cię, siadaj kasztelanie, rzekł król wskazując krzesło. Szczęściem jesteśmy sami, możemy się poufnie rozmówić. Ubolewałem mocno nad rozrwanem W Pana małżeństwem; domyślałem się, że mi tu o niem chcesz mówić.

— Najj. Panie, odparł kasztelan: już mi nie idzie o żonę, ale o prześladowanie, jakiego od niej doznaję. Skutki jego są nadto widoczne, niepodobna się ludzi. Jestem z powodu tego rozvodu wypchnięty z towarzystwa, wszyscy mnie odstępują; skryte jakieś działania wymierzone przeciw mnie, niedające się pochwycić ani odeprzeć, grunt mi pod stopami podkopuje.

Król spojrział i pokiwał głową

— Cóż ci mogę na to poradzić? spytał cicho.

— Opieka otwarta W. K. Mości, chociaż mało zapewne zasłużyłem na nią, mogłaby mnie osłonić skutecznie.

— Moja? rzekł Stanisław August z uśmiechem bolesnym: moja?

— Panujesz N. Panie...

— Tak! tak! przerwał król: panuje, to prawda;

ale słowo szlacheckie, niewielem ja silniejszy od W Pana! wierzaj mi. Jak ty, nie mam przyjaciół; jak ty, otoczony jestem niechętnymi. Czegoż chcesz odemnie?

— WK Mość słowem jednym położyć możesz koniec temu prześladowaniu.

Ja? ja?... i znowu król się uśmiechnął spuszcza-
jąc głowę na piersi—ja? Widać kochany kasztelanie, żeś nowicusz na dworze... Cóż ja mogę? Wszyscy są mocniejsi nademnie; a rodzina, którą sobie naraziłem...

Tu król zatrzymał się nieco.

— N. Panie, właśnie przeciwko tej rodzinie opieki twój się dopraszam.

— Ale cóż ja mogę! co ja mogę! powtórzył Stanisław August, wstając i poczynając się przechadzać po balkonie. Patrz W Pan tylko nieuprzedzonymi oczyma, co mnie otacza? kto mi daje siłę? kto jest za mną? Kilku pocziwych ludzi, ale myślących żal się Boże, nietylko o mnie co o sobie, nietylko o kraju co o sobie. Podparł mnie to kiedy szczerze? Proszono mnie o wiele, nikt nie był dla mnie przyjacielem prawdziwym.

— N. Panie, moja wdzięczność... przebąknął kasztelan.

Król spojrział na niego tylko, jakby mu dawał czuć, że tu wcale nie o nim i jemu podobnych mowa, i ciągnął dalej:

— Co ja mogę! co ja mogę!

— Słowo królewskie N. Panie—rzekł p. Adam—będzie miało wielkie znaczenie, wstawienie się twoje. N. Panie, gdybyś przyjął ofiarę ubogą! gotów jestem żyć na usługi WK Mości poświęcić.

Król znowu spojrział na niego milczący.

— Nie gardzę wcale ofiarą dobrego serca W Mość

ci, rzekł po chwili; ale jużem się nauczył nie wierzyć w poświęcenia bez miłości i interesu. Miłości Waszój, panie kasztelanie, nie mogłem pozyskać, znasz mnie za mało; interesu mieć nie możesz. WPan przecie należałeś do tych...—Tu przerwał sobie król i dodał:—Byłeś podobno do redakcyi nowych praw użyty, znasz Zamoyskiego. Ignacego Potockiego, Malachowskiego, Sapiehę, Kollataja.

— N. Panie, byłem przez nich użyty nie do redakcyi, ale do tłómaczenia, i to krótko. Dziś jestem wolny od tych stosunków, które się same rozwiązały.

Król znowu chodził zamyślony.

— Byłżebyś WPan gotów służyć krajowi—dodał ciszej—wedle méj myśli i wedle możliwości?

— Jest to moje najgorętsze życzenie.

— No, tak—rzekł król—spróbujemy czy się co zrobić nie da.

— Zdaje się w zupełności na to, co się WKMości podoba uczynić dla mnie i ze mną... odpowiedział kasztelan. Widzę z przestachem, że ginę... Dostojeństwo, którym raczyłeś mnie WKM. zaszczycić, imię, które noszę, zresztą sama niewinność moja, powinnyby mnie osłonić od prześladowania, które dotykając mnie, dotknie zarazem to, co ja w sobie przedstawiam.

Król na te frazy ruszył ramionami.

— Cóż mi WKMość rozkażesz i jaką dasz nadzieję? spytał kasztelan.

— Nie WPanu nie każe, rzekł Stanisław August: bo ja prócz moich sług, nikomu tu nie rozkazuję, a często się trafia, że oni mnie, nie ja im dysponuję... Co do nadziei, pomówię z N. N., jeśli się podejmie pośrednictwa i ukołysania rodziny obrażonej. Ale po-

wiedz mi tak otwarcie, co zaszło między tobą a kasztelanową?

Król stanął i patrzył mu w oczy.

— N. Panie—rzekł p. Adam—tylko przed WKMością spowiedź tę odbyć mogę. Położenie moje, niewola, w którą popadłem, były tak niezdolne, że w przeszłości mojej żony szukać musiał broni dla wywalczenia spokoju domowej przestrachem.

Król brwi namarszczył.

— Co! tknąłeś WPan zapomnianych dziejów! nastąpiłeś na gniazdo os!

— Zdawało mi się, że to był jedyny środek odzyskania niepodległości.

— Myślałeś, że się ciebie zlekna? spytał król uśmiechając się; a tylko śmiertelnie ich uraziłeś! Co za krok fałszywy! Kobieta nigdy nie przebacza takićj zbrodni, chęci panowania nad nią! Co za błąd! co za niezręczność. Kto ci to mógł doradzić!

Z politowaniem popatrzał król JM. na kasztelana, który stał przed nim zmieszany.

— Aleście się przecie pojednali rozstając, na pewnych warunkach? rzekł Stanisław August.

— Tak jest, N. Panie, ale ja osobiście ubogi. Starostwo, które winienem łasce WKMości, niewiele mnie bogaci; to, co mi żona płacić się obowiązała, na uczciwe utrzymanie domu nie starczy. Choćbym zresztą oszczędnie i skromnie żył, cóż pocznę, kiedy widocznie jest spisek, aby mnie ztąd wygnać! kiedy ludzie wszystkich stronnictw, przekonani, przyjaciele i niechętni, jak od zapowietrzonego odsuwają się odemnie!

— Ha! w istocie, odezwał się król: położenie trudne, bardzo trudne, nie wiem czy na nie zaradzić po-

trafimy, ale pomyślimy... spróbujemy... Zecheesze WMość pamiętać mi to przynajmniej, że go chciałem ratować?

— Życie moje składam u stóp WKMości.

— Stój, stój, panie kasztelanie. Formułę tę słyszałem niejednemu raz od tych, co mnie później poświęcili przy pierwszym niebezpieczeństwie... Powiedz lepiej, że mi dasz w potrzebie pocziwe słowo i rękę, na którejbym się mógł oprzeć... to wolę... Bez egzageracyi! Jutro przyjdź WPan do mnie—rzekł w końcu.

Właśnie odchodził od króla Pan Adam, zmieszany i smutny, gdy ujrzał karetę żony zataczającą się przed małą bramą zamkową. Lokaj pobiegł do znanych sobie dworaków, aby swą panią wyjednać chwilę posłuchania na osobności.

Na wschodach skrzyżowali się z sobą: kobieta, w której oczach pałała nienawiść, i mężczyzna, na którego twarzy widać było obawę, zniechęcenie i upadek ducha. Tryumfująco uśmiechnęła się, spoglądając wzgardliwie na niego. Zdawało się przez chwilę, że się zatrzyma, jakby słowem jakimś, niby policzkiem chciała go uderzyć; lecz potem nagle odwróciła się niby go widzieć nie chcąc, i nie oddała mu nawet skinieniem ukłonu, którym ją przywitał.

Pan Adam zbladły, gniewny, zszedł powoli i odjechał do domu. Tymczasem drzwi gabinetu otworzyły się dla pani, a Stanisław August, któregośmy widzieli przed chwilą zafrasowanym i smutnym, witał ją z galanterią młodzieńczą, blady ale uśmiechnięty, na pozór wesoły i swobodny.

W obyczaju wieku była zalotność płci obu. Nieprzyjacielem nawet umizgali się do siebie w przerwach wojny zaciętej. Ten rodzaj pochlebstwa był oznaką

dobrego wychowania, był holdem oddawanym piękności, a gdy ona znikła, słodko ją przypominał. Wydawałoby się to dziś śmiesznie dla nas, cośmy przywykli obchodzić się z kobietami poufale, grubiańsko lub obojętnie, ale ta komedia barwę szczególną dawała epoce.

Młodzi, starzy, stare i młode udawali zalotnych, jeżeli z natury nie byli takimi, tak jak puder sypano na włosy, aby dla wszystkich siwemi uczynić. Należało do dobrego tonu być niezmiernie czułym i okazywać kobietom miłość i żądze płomienne; udawano namiętność nie mając jej, paliły się nie serca, ale głowy.

Najwywiedlejsze wdzięki pań, których róż i bieli-dło krajały napróżno wyciągane zmarszczki, uśmiechały się do skrzepłych adonisów, wysnurowanych i wyperfumowanych; dzieci umizgały się do dzieci, miłość była godłem społeczności, która weale kochać nie umiała.

Król, który wśród zepsutej Polski jak sultan w seraju uśmiechał się secinom podbitych piękności, do których dla rozrywki wzdychał z kolei, w każdej z tych twarzy uśmiechniętych do niego znajdował wspomnienie. Zbliżył się do kasztelanowej z gracyą podstarzałego adonisa.

— Jakaż szczęśliwa gwiazda—rzekł—sprowadza tu kochaną panią do mnie? Czemużem winien chwilę tak miłą?

— NPane — odpowiedziała żywo Krystyna, rzucając się na krzesło z wyrazem prawie gniewu,—odgadujesz WKM. łatwo przyczynę mego przybycia po tym, który mnie tu poprzedził przed chwilą. WKMość przyjmujesz tego człowieka? myślisz się nim może opiekować? znaszże WKMość tę... poczwagę?

— Droga kasztelanowo dobrodziejko—rzekł król siadając przy niej i biorąc jej bladą drżącą rączkę w swe dłonie miękkie i blade — nie unośmy się! Cóż on WMości winien? To człek godny tylko litości, że skarbu, który mu losy dały, ocenić nie umiał.

A! i zdeptał go nogami! dodała kobieta. Nie litości on godzien, ale wzdardy... Czy WKMość wiesz co uczynił?

— Nie, domyślam się tylko.

— Więc nie znasz rany, jaką mi zadał za to, że go wyciągnęła z nicości?

— Kochana kasztelanowo, niewdzięczność jest w porządku spraw codziennych naszego życia; potrzeba być zawsze do niej przygotowanym. Ale dla czegoż nie chcesz przypuścić, że on się opamiętał? że żałuje swęj winy, że mógł być podmówiony?

— To bynajmniej nie zmniejsza winy. Człowiek, który śmiał targnąć się na kobietę, co dla niego była wszystkiem, powinien zniknąć, ustąpić... przepaść... Ja nie chcę go widzieć!

— Gdybyś umiała po łacinie — rzekł król literat z uśmiechem—powiedziałbym ci:

„Tantaene animis coelestibus irae?”

Godziż się tak pragnąć zemsty?

— Godzi się, gdy obraza jest tak wielka jak moja!

— Kasztelanowo, ja muszę przemówić za nim...

— NPane, ja przyszedłam się skarżyć na niego.

— Jak to! ty pani nie dałabyś się przebłagać?

— Ja? Nigdy!

— Zostawże go przeznaczeniu... dosyć jest ukarać, że taki skarb postradał.

— O! o!—zawołała zszyderskim śmiechem kobieta—nie on serce ocenić potrafi. Nie miał go nigdy.

— Mylisz się pani: on jest w rozpacz...

— Bo się lęka! odpowiedziała kobieta.

— Żałuje za winę swą i cierpi.

— A! tém lepiej, ale to nie dosyć. WKMość musisz mi podać rękę i przyrzec, że się nim zajmować nie będziesz, że go zmusisz, aby stolicę opuścił.

— Słówko tylko—przerwał król chłodno:—to zła rachuba kochana kasztelanowo. Zmuszasz go do odalenia... poniesie z sobą po świecie żal i urazę, rozgłosi ją, rozpowie... może coś przedsięwziąć. Tu masz go na oku, wiesz, że nie jest niebezpieczny, możesz go pilnować, potrafimy mu zamknąć usta. Zostaw go lepiej pod tym dozorem...

— Nie, NPane! uchybiłabym sobie i mojęj rodzinie, gdybym bezkarnie dała się obrażać. Jeśli ja mu przebaczę nie darują mu moi...

— Ale cóż chcecie od niego!... Jużcie nie poszlecie mu rozkazu, aby sobie śmierć zadał?

— Niech zejdzie nam z oczu i wróci na śmieci, z których wyszedł.

— Ale cóż ten człowiek pocnie z sobą?

— Niech sobie poczyni co chce, niech włoży sukmanę i orze zagon pana rodzica, z którego nie powinien był nigdy się oddalać.

Gdy to mówiła, oczy kasztelanowej pały, twarz jej gorzała, łono się podniosło, brwi marszczyły. Król cofnął się nieco przestraszony gwałtownością tego gniewu, a przynajmniej ostygły.

— Jesteś nieublagana, rzekł po chwili; przejdzie wszakże to pierwsze zemsty uczucie. Ja widząc, że czas lepiej odemnie portafi tę sprawę załatwić umygam od niej ręce...

— To nie dość, przerwała wstając Krystyna: WKMoś dasz mi słowo...

— Mościa pani, rzekł król obrażony trochę: spodziewam się, że po mnie żadnych zobowiązań wymagać nie macie prawa. Inne mam obowiązki jako człowiek, większe jako panujący. Tam gdzie pierwsze z drugimi się godzą, wiąże się chętnie przyrzeczeniem; gdy nie pewien, mam za правило zostawić moje postępowanie przyszłości, która mu drogę dalszą wskaże.

Słowa te wyrzekł Stanisław August prawie z energią. Kasztelanowa uczuła, że ją zapal zbyt zawiódł daleko, i zamilkła gryząc usta. Popatrzyła w okno, po ścianach,—oboje byli w przykrém położeniu. Narreszcie ochłonawszy, kobieta zwróciła się do króla uśmiechnięta, odzyskała władzę nad sobą.

— Mam więc słowo WKMości—dodała,—że przynajmniej jako człowiek nie weźmiesz strony naszego nieprzyjaciela. Zresztą na monarszą Jego sprawiedliwość się spuszczam.

Król milcząco skłonił głowę i uznał za właściwe wrócić do zalotnej roli.

— Piękna dziś jesteś—rzekł do kasztelanowej — jak Juno lub Minerwa. Łatwo ci będzie oczarować kogo zechcesz, pociągnąć za swym wozem zwyciężkim tłumy wielbicieli; cóż znaczy strata jednego śmiertelnika, dla takiej jak ty bogini? Bóztwa są wspaniałe, przebaczą...

— Jam tylko kobieta i nie umiem—odparła cicho kasztelanowa—chciałabym, nie potrafię... mszczę się, nienawidzę, ale mam za sobą niejednego przykład Junony i Minerwy, do których WKMoś tak niewłaściwie porównać mnie raczyłeś.

I skłoniwszy się zdala ceremonialnie, zabierała się wynieść, gdy Stanisław August zbliżył się i szepnął po francuzku:

— *Chère Castellane!* proszę, nie miejże do dawnego a wiernego wielbiciela twych wdzięków urazy. Oddaję ci twego zdrajcę... *pieds et poings liés*, rób z nim co chcesz, a mnie w serduszku swém zachowaj kącik przytulku...

— WKMoś tyle masz podobnych schronień w sercach swych poddanek, że ten kącik, zdaje mi się, stałby pustkami, bobyś do niego nigdy nie zajrzał—odpowiedziała Krystyna z trochę urazy.

W chwili rozstania, na obu twarzach, mimo uśmiechów, znać było niepokój, a może nawet odrazę wzajemną; ale król przeprowadził kasztelanową do drzwi z ukłonami, pocałował ją w rękę i pożegnał z pozorami najgorętszej życzliwości. Dopiero gdy się za nią drzwi zamknęły, wstrząsnął się i usiadł w krześle znużony i zamyślony.

Kasztelanowa powróciła do domu. Na wschodach po cichu, ogłędnie, szepnął jej kamerdyner, że ktoś na nią oczekuje na górze. Z samego tonu, jakim te słowa wymówił, znać było, że osoba oczekująca nie była pospolitym gościem.

Z widoczném zadowoleniem skinęła głową pani, i pośpieszyła do salonu.

— A! WPan tutaj! drogi hrabio!—zawołała rzucając się żywo ku mężczyźnie nie pierwszej już młodości, w cudzoziemskim stroju, oczekującemu na nią przy oknie—jakże się ciesze!

Rysy twarzy gościa ogorzałe, orli nos, włos na wąsach czarny, typ fizjonomii odrazu dawał w nim poznać Francuza, rodem z południowych prowincyj.

Nie był on pięknym wcale, ale wiele namiętności i ognia opromieniało tę twarz pospolitą i mocno przywiedła, na której wyraz odwagi mieszał się z trochę sztyderstwa. Znać było, że w piersi jego wrzała jeszcze resztką młodzieńczego ognia, obok niewiary i sceptycyzmu, które w nią wniosło życie, że umiał kochać chwilami i wątpić o sobie i kochance. Przedwcześnie oblicze to w pracy czy namiętności przepalone jak w ogniu, straciło młodości znamię, ale je odzyskiwać umiało. Życie nie uciekło z niego jeszcze, ale się kryło jak słońce za grubą mgłą i obłokami.

Nie piękny, nie był przynajmniej podobny do wszystkich. Miał fizyognomię i odznaczał się w tłumie.

— Ty tutaj! — zawołała kasztelanowa podając mu obie ręce z uśmiechem nieklamanej radości—ty tu kochany Ludwiku! w tym kraju lodów i niedźwiedzi!

— Jak mnie pani widzisz, ja sam, żyw i cały! rzekł przybysz. Szczególniej dla tego przybywam umyślnie, aby przed mojem bóztwem czołem uderzyć.

— A! pamiętałeś jeszcze o mnie?

— Ja? możnaż o was zapomnieć?

— Doprawdy, to i wdzięczności i podziwu jest godne — odpowiedziała kasztelanowa, — zwłaszcza, że szybki twój wyjazd, zaraz po śmierci mojego męża... dał mi twe serce w podejrzenie...

— Mój Boże! odparł Francuz: rozkaz króla powołał mnie nagle w odległe kraje, do Gwadalupy, byłem w służbie.

— Wiesz o moich losach? przerwała Krystyna rzu-

cając się na kanapę i wskazując mu miejsce przy sobie—słyszałeś?

— Jedno tylko wiem, co mnie najsrożej zabolalo, żeś pani powtórnie poszła za męża.

— A! i srodze za to odpokutowałam... ale już z tym zdrajcą nie żyję. Wypędziłam go.

— Jak to?—zapytał pułkownik, a dziś nie vice-hrabia, ale hrabia de St.-Géron, dawny kasztelanowej ulubieniec męża pani?...

— Rozstaliśmy się.

— Rozwodem?

— Jest właśnie sprawa w konsystorzu; była to potwora.

Zamilkła i zamyśliła się chmurno!

— Biedna kobieto! rzekł Francuz: ucierpiałaś więc wiele.

— A! nad wyraz, odparła cicho. Wyciągnęłam tę istotę z błota, dałam mu wszystko, złożyłam w nim nadzieje moje. Człowiek ten nie godzien imienia ludzkiego, najpodleń mnie zdradził.

— To kara za to, żeś o mnie i mém sercu zwątpić mogła! szepnął St.-Géron.

— Pozory! odpowiedziała kasztelanowa.—A zresztą mogłażem ufać, że będąc dzieckiem kraju najpłochszego w świecie, potrafisz kochać stale i pamiętać?

— I krajowi mojemu, i mnie czynisz pani krzywdę, rzekł Francuz z westchnieniem. Jesteśmy płosi w obyczajach, ale stali w uczuciach.

Krystyna czule spojrzała na niego, ścisnęła mu rękę, uśmiechnęła się smutnie, i po cichu rozpoczęła opowiadanie znanych już nam wypadków. Hr. de St.-Géron słuchał z wielką uwagą i gorącym współczuciem, dając znaki oburzenia i zgrozy; a kasztelanowa

widząc go na nowo rozplamienionym dla siebie, nie szczędziła wszystkiego, co uczucie jeszcze podbudzić mogło.

Po godzinnej prawie cichłej, poufnej rozmowie, Francuz wstał z siedzenia gniewny.

— Przybywasz mi w samą porę, dodała Krystyna: możesz mnie uratować. Ten człowiek nie ma kropki odwagi w sercu. Ja na niego patrzeć nie mogę... Zaopiekujesz się słabą istotą, będziesz mi radą i pomocą. Z twoją pomocą będę mogła może pozbyć się tej natrętniej twarzy...

— Rachować pani możesz na mnie, jestem na jej rozkazy! zawołał Francuz gorąco; uczynię co zechcesz!

— Czekaj! szepnęła kasztelanowa: na początek potrzeba, ażebyś wszedł w towarzystwo nasze, abyś się w nim dał poznać, porobił sobie przyjaciół i stosunki; reszta przyjdzie sama. U nas cudzoziemcy są wielce lubieni i przyjmowani mile; każdym z nich cieszymy się i chwalimy, i nie łatwiejszego niż stać się gościem stolicy rozrywany na wszystkie strony. Król się nudzi: dla niego każda nowa postać z dalekich przybywająca krajów jest pożądana i miła; cóż dopiero człowiek taki jak ty hrabio! Za królem idzie miasto, kraj; nie wątpię, że cię wszyscy wkrótce chwytają i wydzierają sobie będą... O! tylko i ty mnie nie zdradź, gdy tyle piękniejszych oczu nad moje polować na ciebie zaczniesz!

— Piękniejszych! co za szyderstwo! rzekł Francuz. Alboż są na świecie piękniejsze nad te dwie gwiazdy mojego życia! Sąż, któreby mi mówiły tyle co twoje o szczęściu minioném z obietnicami przyszłości? w którychbym czytał tyle, co w tych czarnych źrenicach?

Po zapale, z jakim to mówił Francuz, łatwo było poznać, że Krystyna miała u stóp swych gotowego na rozkazy szermierza. Sprzymierzeniec ten przybywał jej w samą porę; nigdy potrzebniejszy jej nie był. Opuszczona przez męża, zyskiwała w nim najprzód świadectwo potęgi swych wdzięków, potem obronę, rycerza i poddanego swym rozkazom zapaśnika.

— Bacznie! powoli! odezwiała się żegnając go. Na długo przybyłeś do Warszawy?

— Ja! jestem wolny, choćby na zawsze—zawołał Francuz. To, co się w naszym kraju teraz dzieje, nie-podoba mi się. Wyjechałem, aby nie patrzeć na gotujący się zamęt, któremu zapobiedz nie mogę; szukam służby wojskowej.

— Znajdziesz ją tutaj najłatwiej, żywo przerwała Krystyna; ale nie mów o projektach, bądź z razu ciekawym tylko podróżnym, nie zwieraj się nikomu, zostaw mnie starania. Nie ty powinienes żądać i prosić, ale oni starać się o ciebie... Czy widziałeś już kogo?

— Nikogo, prócz naszego rezydenta.

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem, poznam cię z moją rodziną, z krewnymi, dam ludzi co cię poprowadzą. Potrzeba się zaprezentować królowi, być u ważniejszych urzędników, wiele się pokazywać w pierwszych domach, a mało zwracać uwagi na mnie... Przed obcymi powinniśmy być zaledwie dobrymi znajomymi. Widywaliśmy się w Paryżu, nie więcej... nie prawdaż?

Francuz przystał na wszystko. Na twarzy kasztelanowej, której z nieba czy z piekła spadł ten sprzymierzeniec, malowała się radość piekielna, tém większa, że przychodziła niespodzianie, że dawała jej w rę-

ce posłuszne narzędzie i pomagała zemście, którą wyrzucić chciała.

Ile razy los sprzyja chwilowo choćby najczarniejszym zamysłom, w duszy tych, co je powzięli, rodzi się uczucie dziwne zwycięstwa i dumy; zdaje im się, że niebo opiekuje się nimi. Uzuchwaleni, rozpasani, idą dalej, często do niepostrzeżonej przepaści.

Gdy się to działo u kasztelanowej, p. Adam wezwany karteczką przesłaną mu przez Julię, pośpieszył wieczorem do niej... Była sama, spłakana, drżąca, przeleżała; od rana czuła jakieś dziwne dreszcze, senność, ból gardła, symptomata słabości nieznaną, którą przypisywała wzruszeniu. Doktor wezwany wśród dnia, nie mógł się zbadać co to było; ale widząc gorączkę, przepisał spoczynek i środki ochładzające. Julia czując się potrzebną, mimo coraz zwiększającego się cierpienia, upornie trzymała się nie chcąc położyć w łóżko.... Wśród dnia sam nawet kasztelan, porzucając na chwilę pasyans, przybiegł się o jej zdrowie dowiedzieć; ale to były odwiedziny urzędowe, ceremonialne, chłodne. Stary popatrzał na żonę nie widząc jej, oczyma roztargnionemi, spytał co ją boli, poradził jej swojego doktora, zaręczył nie wiedzieć na mocy czego, że z tego nic złego wyniknąć nie może, i wyszedł ziewając... Spełnił obowiązek: żona się zawsze dowiadywała o jego zdrowie, gdy cierpiał; potrzeba było też tamą grzeczności monetą jej odplacić.

Gdy pan Adam przestąpił próg pokoju, uderzyła

go zmiana twarzy Julii, rozgorączkowanie jój, czerwoność, głos ochryply i niepokój malujący się w oczach zaognionych.

— Jestem jakoś chora... odezwała się, siadając z dala. Chciałam cię widzieć koniecznie; jakieś przecucie, obawa odejmuje mi siły; sama nie wiem dla czego przerażam się tém niezdrowiem... O! nie idzie mi o życie, dawno mi ono cięży; ale potrzebuję żyć, aby walczyć z tą kobietą...

Adam wziął ją za rękę chcąc pocałować, ona mu ją wyrwała.

— Któż wie — rzekła — może to co zaraźliwego: nie dotykaj mnie, nie zbliżaj się do mnie...

I pochwyciła się za głowę, w której coraz większy ból czuła.

— Widziałam się z nią, rzekła: nie ma co spodziewać się od niej przebaczenia i zgody; trzeba stanąć do nierównej walki, staniemy. Wyznałam jój, że sama tylko winna: nie to nie pomogło, ona pragnie zemsty... Należałoby może, abyś się z jój oczu na jakiś czas usunął; ten gniew się uśmierzy, wiele się rzeczy zapomina... Jedź za granicę... unikniemy zemsty... Wrócisz, gdy inne uczucie w jój piersi ten szal zastąpi...

— Ale dokądże się udam? spytał kasztelan.

— Nie wiem, jedź dokąd chcesz, choćby na wieś... za granicę, gdziekolwiek... gdzie zamarysz. Trzeba uciekać. Ani ty, ani ja, ani my wszyscy razem nie poślamiem téj kobiecie. To furja zemsty...

Mówiła to Julia przerywanym głosem, chwytając za skronie, przerażona gwałtownie wzrastającym cierpieniem. Adam się także przestraszył: ostatnią opiekę, jaką miał, mógł utracić. Nie tyle miłość co obawa

przybliżyła go do niej; z wyrazem boleści przyszedł a twarz jój mimo cierpienia rozpromieniała... Ten ruch troskliwy, serdeczny przypomniał jój szczęśliwsze chwile, złudził ją wyrazem przywiązania; objęła go za szyję i zaczęła płakać i jęczeć.

— Uciekaj! zawołała: uciekaj, schroń się przed tą kobietą, zostaw mnie samą jój na pastwę. Ja czuję, że Bóg za grzechy wymaga ofiary, że śmierć moja jest bliska w chwili, gdy dla ciebie najbardziejbym żyć chciała, drogi mój. Gdy umrę, niech w twój pamięci zostanie dla mnie choć szczupłe miejsce. Daruj mi swój los nieszczęśliwy, przebacź winy moje. Ode-rwałam cię od spokoju i szczęścia, uprowadziłam w ten świat zgnilizny i zepsucia, strulam ci życie... Winnam... przebacź! a pamiętaj o mnie! Gdybyś ty wiedział, jak to serce, które wkrótce może bić przestanie, kochało ciebie, jak je ta miłość występna, szalona oczyściła, jakie chwile szczęścia prześniłam przy tobie! O! jak mi ciężko będzie porzucić świat i ciebie, teraz...

Tu oddech się jój zatrzymał, a rozplamieniona twarz zalana łzami w mgnieniu oka zapalała jakby odrodzoną młodością. Stała się idealnie piękną... Adam upadł przed nią na kolana, a choć nie był czułym weale, i on zapłakał pochwycony jój cierpieniem!

Julia zadzwoniła żywo.

— Doktora! doktora! zawołała do kamerdynera, który się we drzwiach pokazał. Niech natychmiast jada po doktora... czuję się gorzej...

Widać było jak rozpaczliwie czepiała się życia, którego strata napełniała ją obawą. Chodziła po pokoju, biorąc na przemiany to wodę zimną, to krople to różne napoje, jakie znalazła pod ręką, przeglądając

się w zwierciadłach, przykładając dłoń do serca, które było coraz gwałtowniej.

— Nie, ja nie mogę umrzeć! wołała; ja żyć muszę, ja ciebie nie ocale, dopóki nie odpokutuję... póki o los twój jestem niespokojna...

— Idź! idź! ja się muszę położyć, siły mię opuszczają, gorączka się wzmacnia, powrócisz później.... Chciałabym widzieć cię jeszcze... co mówię?... ja jutro muszę być zdrowa!

— Pozwolisz mi poczekać na doktora?

— Nie, idź do domu, myśl o sobie, dam ci znać... zostaw mnie samą.

Adam odszedł powoli, a ona długo jeszcze patrzała za nim złożwszy ręce jak do modlitwy... Zaledwie drzwi się zamknęły ostatnie i szelest kroków jego ucichł, siły ją opuściły, pochyliła głowę, a szum w niej zwiastował, że choroba przemożona na chwilę, znowu odzyskiwała przewagę... W skroniach były pulsa jakby krew je przerwać i wytrysnąć z nich miała, gorączka ukropem oblewała twarz i piersi, ręce i nogi stygły... W oczach latały czarne i jasne platy, jakby powietrze napelniło się przebiegającymi je istotami niewyraźnych kształtów; myśl nareszcie nieowładnięta już wolą, wybiegła na manowce, szalejąc w świecie marzeń nieujęta.

Gdy doktor wszedł, hrabina już prawie była bezprzytomna. Na chwilę tylko poznaawszy go, chwyciła za rękę i krzyknęła:

— Wszak mnie uratujesz?

Lekarz stary odpowiedział coś niewyraźnie i począł badać stan jej, wcale mu dotąd niezrozumiały.

Po chwili jednak tajemnica tej dziwniej choroby się odkryła rzutem oka na ręce, które jakieś czerwone

poczęły okrywać wyrzuty zaskórne... Łatwo w nich było poznać ospę, która się objawiła z niesłychaną gwałtownością.

Panowała ona naówczas w Warszawie, napadając zarówno starszych jak dzieci; w późniejszych tylko latach nierównie była do przebycia trudniejsza... Nie bez trwogi upewnił się lekarz o rodzaju choroby, ale zamilczał o niej przed hrabiną, kazał tylko położyć się w łóżko, uspokoić, zalecił spokój, ciepło i cierpliwość.

W sieniach czekał nań Adam, cierpliwie chcąc się dowiedzieć o chorobie hrabiny.

— Co to jest? spytał niespokojnie.

Stary lekarz z pod brwi zwiśłych rzucił nań wzrokiem surowym.

— Nie wiem, rzekł; zdaje się to być ospa, z której jeżeli wyjdzie, za co ręczyć niepodobna, twarz przynajmniej nosić będzie straszne ślady... Byłby cud, gdyby ocalała... a na cuda nie zwykliśmy rachować.

— Ospa? powtórzył zdziwiony kasztelan.

— Tak jest, ale o tém mówić nie potrzeba: może się mylę jeszcze... Czekajmy do jutra; zostawić ją trzeba w spokoju.

— Ale ospa w tych latach bywa niebezpieczna? spytał Adam.

— Bywa śmiertelna — potwierdził powoli doktor z obojętnością właściwą powołaniu, zażywając tabaki, — bywa śmiertelna...

Adam pobladł; palec boży zdawał się wypiętnowany w tej nagłej chorobie.

W chwili gdy gorączka Julii przenosiła ją w światy fantazyi i marzeń, w salonie Krystyny hrabia de St.-Géron opowiadał zgromadzonym gościom o Francyi, o stanie umysłów, o symptomatach ducha wieku, jed-

nając sobie oklaski i uwielbienia, któremi kasztelanowa rosła i dumniała.

Nazajutrz miał tyle zaprosin natrętnych, że przy najlepszej chęci połowie ich podolaćby nie mógł. Świetna jutrzienka powodzenia zdawała się rokować mu w Polsce losy, których we własnym kraju nigdy się nie mógł spodziewać.

W pokoju chorój wszystkie firanki były zapuszczone; cisza i ciemność otaczały ją. Wśród tego głuche go milczenia, straszniejsze jeszcze były wyrywające się z ust jej niekiedy wyrazy, gorączkowe wspomnienia przeszłości, to wesołe, to smutne, to rzewne, to rozpaczliwe, modlitwy i uśmiechy, miłosne szepty i płacze.

Ta przędza różnobarwna wyobraźni na czarnym wątku grobowego milczenia tém jaskrawiej odbijała; przytomny lekarz domowy, mąż siedzący z dala w kątku z chustą zlaną wonnościami, bo się lękał zarazić, pan Adam i Pamela rozplakana, nie mogli słuchać bez bólu tych ostatnich oznak dogasającego życia, z których łatwo było odgadnąć mnogie cierpienia przeszłości, udręczenia, i walki, i błyski utraconego szczęścia.

Stary lekarz wsparty na lasce, miał postać chmurną zrozpaczonego bezsilnością swoją człowieka; poruszał ramionami, myślał, jak gdyby szukał jeszcze w głowie jakiejs rady, gdzie w istocie nie było żadnej: natura tylko zwyciężyć mogła samą siebie, Bóg jeden uratować chorą.

— Czy nie odzyska na chwilę przytomności? pytała po cichu Pamela—posłałibyśmy po księdza?

— Nie wiem, odparł doktor; bardzo wątpię. Dal-
szy bieg choroby przewidzieć się nie daje; lękam się
uderzenia na mózg. Potrzeba czekać cierpliwie, sztu-
ka jest tu bezsilna.

Mąż, zawsze z chustką na ustach i nosie, oddalił
się na palcach, zlany potem z przestachu, o siebie;
reszta pozostała u łóża. Chora wołała napoju; oba-
wiano się go jęj podać, przynoszono ciepły i oszczędnie.
Gorączka zdawała się wzmacniać.

Po kilku wesółych, dzikich śmiechach, które jak
piorun rozległy się i urwały krzykiem bólesci, nastą-
piło długie milczenie: chora zdawała się usypiać. Wi-
docznie następowało jakieś przesilenie, którego koń-
ca przewidywać nie było można. Wszyscy pozostali na
miejscach nieruchomi, tylko lekarz wysunął się do
innych pacjentów, zapowiadając powrót rychły, a w ra-
zie pilnej potrzeby wskazując, gdzie go szukać miano.

Był wieczór, w dali po kościołach były dzwony po-
woli, grobowe dzwony na pacierze za umarłych; w po-
koju panowała ciemność i snu ciężkiego oddech tylko
jakby ostatnimi pulsami życia oznaczał chód powol-
ny czasu. Godziny wlekły się żółtym krokiem leni-
we; do północy, dla czuwających przy łóżu bólesci zda-
wało się, że wiek cały upłynął. Ilekroć w walce ze
śmiercią bije się człowiek, a towarzysze i świadkowie
jego doli czekają zwycięstwa lub klęski ostatniej,—
czas zdaje się naumyślnie w pochodzie nieublaganym
wstrzymywać, minuty przeistaczają się na lata.

Od zmierzchu do północy, dla Adama, wśród tego
milczenia i ciemności przewlekła się jakby wieczność
tęsknych myśli. Ciężkie westchnienie przerwało wresz-
cie tę nieskończoną ciszę, i głos słaby, zmieniony, za-
brzmiał powolnie:

— Gdzie ja jestem?

Przebudzona z pół-snu Pamela zbliżyła się, py-
tając:

— Jak się pani teraz czuje?

— Co się ze mną stało? szepnęła Julia.

— Jesteś pani trochę słaba.

— Jakże to długo trwało? Cała się czuję zbolała,
skóra na mnie jakby jedna rana bolesna. Gdzie dok-
tor?

Pytania te zwiastowały przynajmniej powrót do
przytomności; ale głos był słaby, ledwie z bliska do-
słyszany. Po chwili dodała:

— Nie! nie! po cóż doktora? Czuję, że żyć nie mo-
gę: poproście lepiej księdza. Kto to jest przy mnie?
Nikogo więcej? nikogo?

— Jestem ja... rzekł Adam z cicha.

— A! ty! o! dobrze, dziękuję ci, zbliż się... ale nie,
nie! nie przystępuj: to musi być jakaś straszna za-
rażliwa choroba... Pamelu... na chwilę oddal się, zo-
staw nas samych, a poszlęj po księdza. Mam coś jeszcze
powiedzieć. Wszak nie ma tu więcej nikogo? Czy
ciemno, czy ja nie widzę?

— Jest ciemno, jesteśmy sami.... odpowiedział
Adam głosem drżącym.

— A! chciałam cię tylko pożegnać raz jeszcze,
prosić, abys mi przebaczył.

— Nie myślcie o niczym złém... choroba się prze-
siliła.

— Tak, i śmierć nadchodzi—przerwała Julia,—ży-
cie ucieka, gorączka powróci jeszcze i dobije. Korzys-
tać potrzeba z ostatka przytomności, z chwili ostat-
niej. Papiery i to, com przygotowała dla ciebie, mój

Adamie, weźmiesz ze stoliczka pod oknem. Wszystko jest razem w tém pudelku, które znasz, które ja tak lubiłam. Weźmiej to zaraz, i pamiętaj o nieszczęśliwej, co cię bardzo kochała. Bóg chciał może skarać mnie jeszcze na ziemi cierpieniem, abym mniej miała do odpokutowania na tamtym świecie. Żegnaj mi, żegnaj... ale nie łudź się, uciekaj ztąd, nie walcz z tą kobietą. Ona ci nigdy nie przebaczy, a ja ci w pomoc nie przyjdę, chyba duchem.

Adam zapłakał.

— Nie płacz—rzekła—wierzmy, że co Bóg uczynił, jest dobre. Wspomnij czasem dawne szczęścia chwile... Gdzie on?... gdzie kasztelan?

— Był tu niedawno, i kazał dać znać, gdy się pani przebudzisz.

— A! nie! nie! dajcie mu spoczywać, cóżbym mu w ostatniej powiedziała godzinie? chyba wszystkie winy moje. Która? noc czy dzień? przerwała żywo—czy to wczoraj jeszcze czy jutro? A ksiądz? ksiądz? czemu nie przychodzi?

Głos podniesiony i pośpiech zdradzały gorączkę powracającą. Prawie w tejże chwili otworzyły się drzwi powoli, i wpuszczony przez Pamelę staruszek ksiądz zbliżył się do łóża. Wszyscy ustąpili.

Spowiedź trwała dosyć długo, a gdy razem z Sakramentami wniesiono światło i wzrok przytomnych mógł paść na twarz chorąg, okrzyk mimowolny wyrwał się z ust wszystkich: szlachetne jej rysy zmienione straszliwie przerażały, oblicze było jedną krwawą raną. W gorączce i niepokoju zdarła z siebie skórę zbolalą, piękności jej nie pozostało śladu, bo rysów nawet rozpoznać nie było można.

Rozkazawszy Adamowi zabrać co dla niego przeznaczyła, chora jeszcze raz głosem cichym odezwała się, aby poproszono kasztelana.

Ruch się zrobił w ciizbie, która otaczając łóżę płakała, a po chwili obudzony ze snu, przywłókł się mąż do niej, zawsze z chustką na ustach, blade, drżący i wylekły. Wejrzenie na żonę tak go przeraziło widokiem skutków choroby, której się obawiał dla siebie, że cofnął prawie nieprzytomny.

— Mój drogi—rzekła zwracając się nieco ku niemu—jeszcze nim umrę, mam cię prosić o przebaczenie win moich. Były one wielkie, były ciężkie: zapomnij, pomódl się za mnie, a zachowaj w sercu trochę litości i przywiązania dla twój Julii.

Kasztelan, jakkolwiek zimny i obojętny, zapłakał; ale scena ta wprędce przerwana została przez lekarza, który przypominał, że choroba potrzebuje spoczynku. Wszyscy po cichu wysuwać się zaczęli z pokoju, i znowu cisza, i znowu ciemności ogarnęły umierającą.

Pamela i Adam sami tylko jeszcze przy łóżu pozostali; lampka nocna w oddalonym kącie gorejąca, blade rozświecała tę posępną, grobową scenę boleści.

Julia kazała przed sobą postawić krzyż, którego już w zbolale ręce ująć nie mogła, i szeptała jej cichy świadczył, że się modliła... Adam siedział jak wkuły do krzesła, ale o niego nie spytała już więcej, ani się ku niemu zwróciła.

Po krótkiej chwili wypoczynku i skupieniu ducha, zawołała pić. Żądanie to zdradziło powracającą gorączkę. Z uśmiechem odezwała się do Pameli:

— Nie prawdaż? jaki on piękny? Tak śliczne rysy nie mogą pokrywać złej duszy i zepsutego serca!

I nie czekając odpowiedzi dodała:

— Pojedźmy do Włoch z nim razem, za Alpy, za Apeniny, daleko, tam aż nad brzeg Sinego morza, do kraju kwiatów i słońca, nad szumiący cicho Adryatyk... Wśród gaju pomarańcz i cytryn, pod cieniem laurów kwitnących siadziemy marzyć i przemarzemy lata aż do starości,—sami, sami... Nie trzeba tylko mówić Krystynie; dokąd się przed nią skryjemy. Przeleciałaby przez Alpy i przez Apeniny, spadłaby na nas jak jastrząb, i serceby nam wyjadła. Pamelol! każże prędkiej zaprzęgać cztery wiatry do białej chmury.... Kasztelan ciągnie pasyans, nie odwróci głowy i nie zobaczy gdy wyjedziemy.

Potém chciała zaśpiewać jakąś dziecinną piosenkę, ale zabrakło głosu w rozranionej piersi: rozśmiała się i rozplakała... Potém okrzykiem bóleści i zgrozy strasznym rozległ się pokój, zatrzęsło się łóże, chora porwała się jakby chciała uciekać i upadła na pokrwawione poduszki... I było długie milczenie; silny oddech je przerywał czasami, jakby stłumionym płaczem utrudniony... Chciała krzyżeć, nie było siły... rzuciła się jeszcze, i zdrętwiała... Życie płochości, cierpień, nadziei, miłości, skończyło się jednem westchnieniem bolu...

Ani Pamela, ani Adam nie domyślali się jeszcze tego, siedzieli z dala; cisza zdawała się im odpoczynkiem, może nowém i błogosławioném przesileniem choroby... Długich kilka godzin, w ciągu których już ani oddechu, ani głosu dosłyszeć nie było można, upłynęło w niepewności. Nareszcie stara sługa zbliżyła się powoli do łóża, i wiedzona przecuciem jakimś dotknęła ostrożnie zastyglęj już ręki. Krzyknęła... klękała i zaczęła się modlić.

Z drugiej strony łóża padł na kolana Adam i uderzył czołem o podłogę. W jego duszy nareszcie otwarło się także zamknięte dotąd źródło bóleści; poczuł, ile w niej utracił... Jedyna przychylna mu dusza uleciała, zostawiając go samotnym i bez opieki na szerokim świecie.

Leżał tak jeszcze na ziemi, gdy poczuł, że go ktoś targnął za rękę i głos cichy szepnął mu:

— Chodź pan! chodź...

Był to Jermaszka wierny, który nań czekał w przedpokoju noc całą, a widząc po ruchu w domu, że wszystko już skończone, odważył się weisnąć, by swego pana wyrwać. Adam nie wiedział sam jak wyszedł osłupiały pod ciężarem bolu i uczucia osamotnienia.

Łzy lały mu się po twarzy, myśl nie mogła spocząć na niczem, leciała niepowstrzymana w przeszłość, szalała, związała się jak ptak raniony.

Jermaszka wiódł go pod rękę, chcąc uprowadzić do domu, i przeciskał się przez ciżbę ludzi ku drzwiom wychodowym, gdy nagle nad uchem Adama dał się słyszeć głos rozkazujący:

— Za pozwoleniem, niech-no się pan zatrzyma...

Przedpokój pałacowy w chwili zgonu kasztelanowej pełen był ludzi, których śmierć zawsze przyciąga. Gwarno w nim było i tłumno: wszystka służba dworu dość liczna, ksiądz, który jeszcze nie miał czasu odejść, kobiety zapłakane, sąsiednich domów mieszkańcy zwabieni ciekawością i pobożnym obowiązkiem modlitwy, gromadzili się tu rozpytując i szepejąc, przypatrując się i ubolewając. Kilka światła tu i owdzie rozproszonych rzucało blask słaby na tę scenę zamieszania. Słysząc było opowiadanie przerywane, szepty, szlochania, wes-

technienia, nawet uśmiechy tłumione, a niekiedy głośniejsze nieco wyrywały się narracye gadułów i w tej chwili nieumiejących powstrzymać języka... Dziwnie tu odbijała wsparta na kulach, załamiona, rozpaczająca postać owego podagryka chorego, którego przytuliła Julia... Zwłóknął on się (z łoża z pomocą chłopca, aby o swém nieszczęściu się dowiedzieć.

Adam prowadzony przez Jermaszkę już miał wyjść z sieni, gdy nad uchem zabrzmiało mu owo:

— Niech-no się pan zatrzyma!

Podniosłszy głowę odrętwiałą, postrzegł kasztelan męża Julii w oddaleniu z chustką przy twarzy, podtrzymywanego przez dwóch kamerdynerów i mającego u boku jakiegoś nieznajomego, o wywiędłej, kościstej twarzy, z oczyma świecącemi blaskiem dzikim. Wdowiec wywijał niecierpliwie ręką, którą miał wolną, a na odsłonionym skrawku jego twarzy widać było i gniew i niepokój... Powtarzał za owym chudym towarzyszem swoim szybko i niewyraźnie:

— Niech-no się pan zatrzyma... ale zatrzymajcież go...

Z razu wychodzący już Adam nie mógł sobie tego wytłumaczyć; ale nagle krew mu oblała czoło, gdy przypomniał, że za suknią miał owo pudełko, które umierająca zabrać mu kazała koniecznie i odesłała natychmiast przez Pamelę. Jakiś instynkt ostrzegł go, że tu zapewne idzie o niego, ale o to, co mu nieboszczka ofiarowała. Nie wiedział z pewnością co było w pudełku, ale ciężar kazał się domyślać więcej niż papierów i listów. Tłum świadków, w obec których zatrzymano go jak gdyby uchodzącego, zwiększał jeszcze przykre tej sceny wrażenie. Adam mimowol-

nie sięgnął do boku, szukając broni, i postrzegł, że jej nie ma... Głosy, któremi go zatrzymywano, były natarczywe i nieprzyjazne.

— Niechże się pan zatrzyma! wołał suchy jego mość.

— Zatrzymajcie go! dodawał tupiąc kasztelan.

Niepodobna było iść dalej, bo tłum obstąpił ich i cisnął dokoła. Jermaszka osłupiał, nie rozumiał nic, pobladł tylko jak ściana i trząsł się podnosząc pięści.

— Czego chcecie? pan mój chory, prowadzę go do domu, rozstapcie się! wołał.

— Za pozwoleniem! odpowiedział chudy: nie się twojemu panu nie stanie; słówko tylko powiedzieć mamy.

— Tak jest, słowo tylko powtórzył kasztelan, gospodarz domu; niech mu pan powie o co chodzi.

— Możebyśmy odeszli na osobność, przebaknął Jermaszko, rzucając wzrokiem po otaczających.

— Co? po co? na co? zawołał wdowiec żywo. Ja się nie potrzebuję kryć z tém co robię; nieboszczka była nieprzytomna, gdy...

— Za pozwoleniem! rzekł przerywając gospodarzowi jego towarzysza: świętej pamięci nieboszczka miała podobno umierając wręczyć panu kasztelanowi klejnoty domowe i rozmaite rodzinne precjoza; my się o nie, jako o należące do spadku, upominamy.

Kasztelan oprzytomniał od gniewu...

— Mości panie, zawołał trzęsąc się: nieboszczka, dla której mam obowiązki wielkie, przed zgonem zaufanej swój przyjacielce rozkazała mi wręczyć, jak sądzę, papiery, dla mnie przeznaczone. O żadnych pre-

cyozach nie wiem, a papiery są moją własnością, i tych nikomu w świecie wydrzeć sobie nie dam...

— Tu o nie żadne papiery idzie! z dziecinną natarczywością, tupiąc nogami, przerwał kasztelan, którego energia nadzwyczajnie wezbrała, — nie o żadne papiery... Bierz sobie asindziej papiery, ale oddaj moje precyza... Gdzie jest to pudełko, które mu wręczono? gdzie? gdzie?

— Na Boga! zakrzyknął Adam: za kogoż to mnie pan masz?... Ja od was nie chcę... godziź się napastować mnie w ten sposób?

— Wszystko się godzi, gdy idzie o odzyskanie swojej własności! — zawołał kasztelan — to spadek! to moje! ja sobie też wydrzeć tego nie dopuszczę!...

— Za pozwoleniem! słodzić dodał chudy jegoś; prosiłibyśmy tylko o tę skrzyneczkę; opiekujemy ją jako depozyt, a arbitrowie polubownie wybrani osądzą komu się ona ma dostać.

— Zgoda na to, rzekł Adam; ale papierów ani arbitrom, ani nikomu do przezierania nie dam...

— Jakto... nie dam? zakrzyczał przyskakując gospodarz.

— Ale pozwól! przerwał nieco go powstrzymując suchy: to się ułoży.

— Nie mam przyjemności znać pana, rzekł Adam; z jakiego tytułu pan tu stajesz?

— Z tytułu umocowanego od rodziny hrabiów O... zawołał suchy, któremu oczy się iskrzyły, z akcentem szyderskim. Moim tytułem najlepszym jest wola przytomnego tu kasztelana, który w swym domu jest panem.

— Ale to przemoc niesłychana! to gwałt!

— Wszak przeciw niemu są trybunały! odparł suchy. Pan możesz pozywać, skarżyć, procesować... nie sprzeciwiamy się...

— Tak! i z grobu tę biedną, zasnęłą niewiaścę wy ciągać.

— Ha! jeżeli mu się podoba.

— Panie kasztelanie — dodał dotknięty Adam — jeżeli w pudełku, które mam przy sobie, są jakie klejnoty, ja je panu z chęcią oddaję...

— Są! są! naszyjnik brylantowy, spadek po babce; wartujący pół miliona, i wielki soliter familijny, za który poszedł klucz nad Dniestrem...

— Więc wejdźmy do pokoju, zobaczymy... śpiesznie rzekł Adam...

— Co to do pokoju? po co? tupiąc nogami z niecierpliwości i ściskając pięści krzyknął gospodarz, mimo wieku przypominający rozgrymaszone dziecko: daj mi to zaraz co niesiesz... dawaj!

Wkoło stojąca ciżba słuchała i patrzyła; byli tacy, co się uśmiechali. Jermaszka nie puszczał pana, ale załamał ręce i płakał.

— Panie mój! wołał, oddaj im co zechcą, oddaj wszystko. Ludzie patrz — uciekajmy.

Pan Adam upierał się.

— Siłą chyba wydrzeć mi to, co dla mnie stanowi pamiątkę! zawołał. Nie dam obcym oczom ani obcym rękóm robić inwentarza uczuć zmarłej mojej opiekunki.

— Niech mi zaraz oddaje! krzyczał kasztelan; wydrzeć mu! Dosyć się ja nacierpiałem, póki żona żyła, od tego jegomości; jeszcze mi będzie klejnoty zabierał! A to co? jeszcze czego?

— Życzę i proszę niedopuszczać do ostateczności,

dodał suchy zimno i stanowczo: jesteście przeważnie silniejsi.

Tu i owdzie parskaly szydercze śmiechy w ciżbie naciskającej się do koła. Pan Adam czuł, że uległszy w oczach wszystkich, da na siebie oręż nieprzyjaciół, więc uparł się.

— Albo siły użycie, przeciw której bronić się będą do ostatka, albo odejdziemy gdzieś w przyzwoltsze miejsce dla ukończenia tej sprawy, profanującej świętym zgonem uświęcony dom.

— Na rany Chrystusa Pana! odezwał się ksiądz, który dotąd stał z dala: panie kasztelanie, zwłoki obok spoczywają, nie czynicież skandalu, nie uwłaczajecie pamięci nieboszczki! Nie wiem o co wam idzie, ale się nie godzi!

Gospodarz, który w wielkiem wzruszeniu chustkę od twarzy odjął, zwrócił się nagle, pochwycił za rękaw pana Adama, i sam go pociągnął gwałtem do sąsiedniego pokoju. Bezprzymorny z gniewu i przestachu, nie opatrzył się, że go wprowadził z sobą do sali, w której leżały zwłoki umarłego; aż gdy stanęli w pośrodku i ujrżeli ciało martwe, około którego sługi się krzątały zajęte ubraniem, kasztelan wylekły cofnął się puściwszy Adama.

Ale zaraz w progu oprzytomniał, pochwycił znowu zbiega i pociągnął do drugich drzwi. Odbyło się to w mgnieniu oka. Pocziwy Jermaszka na krok nie odstępował pana. Popychano go, starano się ich rozdzielić, on oddawał sturchnię heroicznie, nie patrząc komu się dostawały, i cisnął się bojąc, aby pan jego nie pozostał na łasce nieprzyjaciół.

Drugi ten pokój, do którego weszli, pełen był jeszcze lekarstw, zapachu kadzidel, spirytusów i przyborów,

jakie ciężka choroba wiedzie za sobą. Jedna świeca jarząca żółta, z fizygnomią grobową, paliła się na stole, zarzuconym szarpami, flaszkami i słoikami.

— No! dawaj! naszyjnik i solitera! zakrzyknął kasztelan, znów tupiąc nogami.

Pan Adam dobył pudelko z zanadrza, rzucił je na stół, ale popatrzał ostro na zbliżających się, grożącym, coby przystąpić śmieli.

— Klnę się — rzekł — uczciwem słowem szlacheckiem, że nie wiem co się tam znajduje; przysięgam na to... A teraz (nacisnął sprężynę, i wieko odskoczyło) patrzajmy.

Najprzód wypadł papier złożony we czworo, potoczył się po stole, i kasztelan pochwycił go chciwie, Chudy stanął za nim czytać.

Była to poświadczone kopia ostatniej woli nieboszczki Julii Z... O... sporządzonej tajemnie, ale przy wiarygodnych świadkach, której oryginał złożony był w rękach duchownego... Rozporządzała w niej całą swą własnością osobistą na rzecz wychowawcy Adama O., legując mu wszystko aż do najdrobniejszych ruchomości, klejnoty, precjoza i t. p. Kasztelan pobladł i począł bełkotać.

— To nieważne! nieważne! *subrective, dolose* zrobione! Tak? spojrzal na suchego.

Suchy miał minę chłodną i mileżał, ale kwaśny był jakoś.

W pudelku, które przed sobą trzymał spadkobierca, widać było istotnie klejnoty, a pod spodem papieru, ale gospodarz obawiający się procesu tknąć ich nie śmiał mimo chciwości, jaka w jego oczach błyskała. Poczul, że nie miał słuszności, że napastował i zelżył człowieka, który jeśli niedelikatnie to prawnie swą własność odbierał.

— Gdy ś. p. nieboszczka pisała to—wybelkotal,—nie była przytomna... w chorobie, wiadomo wszystkim, zwaryowała, było delirium...

— Testament—szepnął suchy—jest namiesiąc przed chorobą sporządzony, ale może być antydatowany.

— Tak! oczywiście! antydatowany!

— Tylko że są świadkowie—dodał poradca, chcąc kasztelana wycofać i trącając go łokciem.

Kasztelan rzucił o stół papierem ze złością.

— Testament jest ważny! zakrzyczał burząc się z gniewu pan Adam; jest ważny i święty... Pójdziemy z nim przed sądy, a gdy go sądy uznają, bo muszą, naówczas ja go sam zedrę, bo nie od was nie chcę, prócz żebym ztąd wyszedł czysty... Nie przyjmę daru żadnego i nie potrzebuję.

To mówiąc wyrzucił na stół naszyjnik brylantowy, spinę z soliterem jak orzech laskowy i inne kosztowności, wytrząsł pudelko, w którym zostały tylko papiery, zamknął je, odebrał testament i dodał:

— Temi precyozami, panie kasztelanie, rzucając o stół, rzuciłem ci w twarz—policzkuję cię niemi! Słyszysz?

Wszystcy umilkli, rozstąpili się, a Adam z Jermaszką powoli, z powagą, jakiej nigdy nie miał w dobrej doli, wyszedł z pokoju... Po drodze spoglądający nań ludzie nie śmieli się już, ale truchleli...

— Niech go tam dyabli wezmą tego chłystka! odezwał się z płaczem dziecienniały kasztelan—ja nie chcę! oddajcie mu to, zanieście za nim! To impertynent, grubianin, on mnie będzie prześladował i nękał. Gońcie za nim.

Ale nikt tego podjąć nie chciał, i gospodarz zapłakany wysunął się do swych pokojów, wyrzucając

suchemu doradcy, że go w taką biedę wprowadził i na wstyd naraził.

Chociaż z honorem wyszedł z tego p. Adam, scena wszakże różnie bardzo opowiadana i tłómaczona rozeszła się po mieście, a nieprzyjaciele Adama starali się mu zaskodzić opisem wypadku... Większa część łatwowiernych utrzymywała, że klejnoty, które potajemnie zebrał i unosił po śmierci Julii, siłą mu odebrano.

Na pokojach Krystyny tego wieczoru właśnie było świetne zgromadzenie, zawsze z powodu przybycia dostojnego gościa hrabiego de St.-Géron. Wszystko co miał dwór i miasto najokazalszego, najświetniejszego, zebrało się na kolację do kasztelanowej. Kolacje były naówczas bardzo w modzie we Francji i w Polsce.

Pani domu od dni kilku wyglądała jak odrodzona, jaśniała znowu młodością, wdziękami, dowcipem i umysłem, dla którego najpoważniejsze kwestye nie były niedostępnymi. Podziwiano ją i szeptano sobie, że z temi darami łatwo potrafi sobie męża utraconego zastąpić kim zapragnie. Było już nawet kilku wzdychających, ale dawny ulubieniec jako przybylec z pewnemi prawami pozyskanemi do serca bogini, wszystkich teraz wyprzedził i odsunął. Pierwszeństwo, które mu dawano, było widoczne. Zazdrośni wzdychali, patrząc na piękną Krzysię, która tak się zdawała spokojną i wesołą, jakby wąż zemsty nie opasywał i nie gryzł jęj piersi. A w téj saméj chwili uśmiechając się do gości i kochanka, myślała tylko o zemście; jęj

piękność, blask oczu, odmłodzenie, wszystko to rodziło się z tego ognia namiętności, co ją trawił.

Po długiej i ożywionej rozmowie o krajach obcych, o podróżach, zwyczajach ludów, w której hrabia dowiódł ile widział, przeżył, przewędrował i jak dowcipnie opowiadać umiał, najmniejszej drobnostce nadając charakter właściwy i znacznie,—zeszli jakoś na współczesne sprawy, na stolicę, dwór, znajomych. Ktoś się odezwał z nowiną o niebezpiecznej słabości kasztelanowej Julii.

— Biedna zagrożona jest, co najmniej zupełną strata wdzięków, albo może nawet życia...

Krystyna spytała sąsiada, dosłyszawszy tych wyrazów.

— Cóż to takiego? ospa? Ale czyż to być może? Któż może na ospę chorować?

— Masz pani słuszość, odrzekł głos mężki z daleka: na ospę w tym wieku już się nie choruje, ale umiera.

— O! mój Boże! na cóż tak straszne przepowiadać rzeczy!

— Nie jest to już przepowiednią! zawołał ktoś z cienia niepostrzeżony.

— A cóżby to było? spytała z uśmiechem gospodyni.

— Jest to fakt spełniony... Hrabina Julia przed godziną żyć przestała...

Wiadomość o każdej śmierci przeraża, tém bardziej gdy przychodzi niespodzianie wśród wesela; nateczas bywa cebrem zimnej wody wylanéj na głowy rozgrzanym swawolą.

Głuche milczenie ogarnęło salon przed chwilą jesz-

cze tak ożywiony; anioł śmierci przezeń przeleciał, i chłodne za nim po sercach powiało powietrze.

— Jak to być może! drżącym głosem ozwała się Krystyna spuszczać oczy; ale jeszcze dziś rano...

— Jeszcze żyła przed godziną... dodał głos z kąta.

Oczy wszystkich zwrócone były na panią domu, która zarumieniwszy się z razu, pobladła... Goście poczuli, że po tym dzwonie pogrzebowym wszelka dalsza rozmowa będzie niepodobieństwem, i w milczeniu rozchodzić się zaczęli.

Krystyna zadumana pozostała na kanapie.

Gdy po chwili obejrzała się w około, zobaczyła tylko jednego opodal u okna stojącego hrabiego St.-Géron'a, który zdawał się oczekiwać na odprawę.

Wstała żywo z siedzenia i podeszła ku niemu.

— Palec boży zawołała jakby w gorączce: ostatniego obrońcę Pan Bóg mu odbiera; teraz go zgnieść i upokorzyć potrzeba... Pamiętaj—dodała—dałeś mi słowo, oto ręka moja... Nazajutrz po jego śmierci jestem twoją na wieki; ale on musi zginąć, albo zniknąć i pójść precz z tego świata, w którym ja żyję.

— Dość mi twojego rozkazu; rzekł Francuz z dziwnym uśmiechem; spełnię com przyrzekł, ale na to potrzeba czasu. Jestem tu człowiekiem nowym, nie mogę wprost przyjść do niego i położyć mu miecz na gardle; rzecz byłaby nadto widoczna, zbyt wyraźna, żeś pani mnie nasłala na niego. Przygotuję trochę, naprowadzę... zresztą przyjść powinno samo.

— Przyjdzie samo! przerwała Krystyna, bijesz się jak nikt, a o pojedynek łatwo.

— W istocie biję się nieźle! uśmiechając się rzekł Francuz—ale potrzeba wynaleźć powód do spotkania.

— Chciój tylko...

— Będę go szukał...

— Masz rękę moją... serce od dawna do ciebie należy...

— Bądź spokojna.. człowiek ten także umarł dzisiejszej nocy...

Nazajutrz, gdy po bezsenności ciężkiej na łożu, które nazwać było można istotnie łożem boleści, dźwignął się pan Adam, ujrzał z podziwieniem u nóg swych na ziemi siedzącego Jermaszkę, z książką od nabożeństwa, a oczyma w niego wlepionemi. Sługa pocziwy czuwał i płakał... Ta postać pokorna, niepozorna, prawie śmieszna swą naiwnością i prostotą wiejską, pozostała sama jedna przy odepchniętym i pomiatanym człowieku, który już nikogo nie miał na świecie, prócz oddaloną i zapomnianą matki, Adam poczuł, że jedyne dziś węzły co go jeszcze łączą ze światem, z życiem, są te właśnie, które on sam portargał; jedynym dla niego schronieniem był dom rodzicielski, jedynym przytułkiem łono odepchniętej macierzy. W szczęściu, a w powodzeniach, zapomniał był o niej; teraz ta postać sługi, wysłańca cichego domu, przypomniła mu całą straconą i zatartą przeszłość. Zastygły, zobojętniały, poczuł jakby promyk słońca rozgrzewający mu serce. Czego dokazać nie mogło szczęście, zrobiła niedola: człowiek ten zaczął czuć i kochać. Wczorajszy gniew i doznane upokorzenia wyrwały go z fałszywej kolei, wyrzuciły ze świata obcego mu, i choć jeszcze nowych dróg dla siebie znaleźć nie umiał, już ich myślał szukał.

Z wejrzeń Jermaszki widać było, że pocziwy sługa zgaduje myśl swojego pana. Przy najniewdzięczniejszej postaci, która w nim pokrywała umysł żywy i łatwo przenikający, Jermaszka miał złote serce. Niewtajemniczony w życie swego pana, z drobnych oznak potrafił je odgadnąć: wiedział o zadanych mu ranach, patrzył na upokorzenia, na prześladowanie, nie śmiał się odzywać nigdy, ale z prostotą serdeczną szukał na to lekarstwa i znajdował, że jedno wiejskie zacisze, wyrzeczenie się widoków ambitnych, mogły pana uleczyć. Ale między nim a panem przestrzeń była ogromna: nie śmiał się odezwać, uważano go zawsze w domu za wcale podrzędną istotę, dobrą do posługi, ale głupowatą. Powierzchność nieszczęśliwa źle o nim uprzedzała; zaczynał od tego każdy, że się z jego niezgrabności naśmiewał. Trzeba było żyć z nim, patrzeć z bliska, aby dobyć z tej bryły nieokrzesej drogi kruszec, który we środku był zamknięty.

Kasztelan pierwszy wcale go nie odgadywał: wierzył w serce, nie domyślał się nawet rozsądku i przenikliwości w tym słudze, dla którego świat większy, ludzie tej sfery musieli być nierozpłatanymi zagadkami... Trafia się to nieraz na świecie, że ludzie różnych pojęć zmuszeni są żyć obok siebie, i ze swego stanowiska sądzą o towarzyszach podróży; bywa często, że niżsi nietrafnie wyrokują o rzeczach przechodzących ich wyobrażenia, ale szkielet domowego życia, ogólny plan jego, oni często widzą jaśniej niż ci, co go tworzą. Z wysokich stanowisk życia o niższych sądzi się fałszywiej, niż z niskich o wyższych—dla czego? bo na dole sądzi się wedle instynktowych ogólnych zasad i praw natury ludzkiej, gdy z wysoka bierze się rzeczy raczej z umówionych konwencyonalnych punktów

widzenia. Skala ta ledwie starczy na to, do czego jest zrobiona, a do innych spraw zastosowana, miarą jest całkiem fałszywą. Jermaszka mógł zrozumieć kasztelana, gdy Adam nie był w stanie pojąć swego sługi.

Blady, drżący wstał z łoża p. Adam; przypomnie nie wypadków dnia wczorajszego piekło go straszliwie, rumieniło mu czoło, rzucało sercem w piersi jakby ją rozszarpać miało. Po tém, co się stało, niepodobna było pozostać w Warszawie; ale wprzód należało hardo postawić czoło potwarzy, i uchodzić z placu dobrowolnie, obronną ręką, nie zaś wypędzone mu haniebnie. Adam czuł potrzebę wygadania się, uzalenia; potrzebę kogoś, komuby się zwierzył, kogoby spytał, z kimby położenie swe rozważył... Zostawał mu jeden tylko Jermaszka—niestety!

Spojrzał na niego. Bojaźliwy wzrok sługi spotkał smutny wzrok wywołańca.

— Czyś nie chory panie? spytał po cichu.

— Nie—rzekł Adam—ale m znużony i zesłabły.

Westchnął, trąc ręką czoło.

— Nie był tu wczoraj pan Floryan?

— A gdzieżby on teraz przyszedł! odezwał się Jermaszka. Ci miejscowi przyjaciele, to do półmiska dobre: idzie to na dymek kuchenny, ale od cierpiącego ucieka. Ani pana Floryana, ani żywej duszy nie było.

Obaj zamilkli, mierząc się oczyma.

— A! panie mój, panie! rzekł po chwili Jermaszka: gdybyś pozwolił po staremu sobie powiedzieć, jako wiernemu słudze—co my tu robić mamy? po co siedzieć? do czego się męczyć?

— A cóż chcesz bym uczynił? spytał kasztelan.

— Ja to myślę, onoby najlepiej było powrócić do chaty... szeptał sługa. Małeć to swoje, ubogie, ale

spokojne. Po co panu te złociste progi i tyle zabiegów, aby sobie kupić zgryzotę? Ludzie nas nie chcą, i my ich nie pragniemy.

Dziwnie spojrzał pan Adam na Jermaszkę, i blady uśmiech przesunął się przez jego usta.

— Mój kochany—rzekł—nie byłeś nigdy żołnierzem!...

— Nie, ono to się nie było, proszę jegomości; ale dużo znałem i widywałem żołnierzy różnych, i ono to się nasłuchiło od nich o różnych różnościach, co się tyczy wojny... odpowiedział Jermaszka.

— Więc wiesz może—zawołał pan Adam—że gdy żołnierz wyjdzie na plac, a stanie do boju, choćby siły nieprzyjaciela były wielkie, nie godzi mu się uchodzić; potrzeba się bić i ginąć... a przynajmniej szablę zakrwawić, nim się życie ocali.

Jermaszka słuchał z uwagą.

— Nieboszczyk stryj matki mojej—rzekł—bo niko go bliższego nie miałem, proszę jegomości, powrócił bez nogi do domu; o toż gadywał dużo o wojnie. Powiadał, że choć się bił dobrze, to nieraz uchodził, gdy nieprzyjaciół przeważał... Onoby się też zdawało—dodał—że potrzeba nam także iść powoli odstrzeliwając się, ale rejterować, panieku... rejterować!

Kasztelan popatrzaawszy na niego, głową tylko dał znak, że na jego zdanie przystaje.

— Tak jest—rzekł—ujdziemy i my bijąc się, ale pierzechnąć z placu nie wolno.

— Ani się poddać, i z nieprzyjacielem, który sięga, wchodzić w układy.

— Bądź spokojny! odparł Adam. Ani oni ze mną, ani ja z nimi w żadne traktaty nie wejść. Dopókim im jako ubogi szlachcic służył po pańskiej myśli, pó-

kim im schlebiał, dworował, przyjmowali mnie za swojego; gdym zapragnął być sobą, swobodnym, popełnił mnie!...

Kasztelan mimowoli z żalem się wygadał, ale spojrzawszy na Jermaszkę, zdziwił się sam sobie i powstrzymał. Zdawało mu się, że popełnił niedorzeczność, tak wzniosłe prawdy rzucając człowiekowi, który zrozumieć go nie mógł. Sługa dech wstrzymał, tak był szczęśliwy z tego zwierzenia; instynkt go ostrzegł o myśli pana—spuścił głowę, zamilkł, i po przestanku dopiero zebrał się na odpowiedź.

— Nieboszczyk jegomość—rzekł—zawsze mawiał, że strzelbie, koniowi, kobiecie (z pozwoleniem) i panom nigdy się dowierzać nie godzi. Jedno może wystrzelić, drugie ponosić, trzecie zdradzić, a czwarte... opaskudzić człowieka (z przeproszeniem) kiedy się najmniej spodziewa. I daćby im już spokój!

— Tak! mój pocziwy przyjacielu, szepnął pan Adam; sam jeden, bezsilny, muszę ustąpić. Ale—dodał nawpół do siebie—pragnąłbym dziś jeszcze więcej niż kiedy wniknąć między nich, zrównać się z nimi nie wiem jaką ofiarą, aby z kolei upokorzyć—i pomścić się!...

— E! proszę jegomości, podchwycił Jermaszka: on to zemstę lepiej na Pana Boga zdać, a plunąć na tę sprawę. Co nam z niej przyjdzie? to szatanowi świeczka, a duszy ledwie polizówka. W świecie to ono tak idzie, że co złe, to się samo na sobie mści... Już nie nam tylko uciekać... proszę jegomości! Albo to nam w Wólce tak źle będzie? albo to chleba a choćby i pieroga zabraknie? albo to głód, albo co? Spokój, święta cisza i swoboda; nikt tam kółków nie przyjdzie ciosać na głowie.

— Mój kochany... począł kasztelan, ale się zaraz wstrzymał. Rzekłbym ci coś, ale ty mnie nie zrozumiesz....

— To nie, proszę jegomości, niech się jegomość wygada, zawsze to lżej, jakby się w kaszlu flegmę zrzuciło. A może ja też co i skmetuję.

— Wam, mój kochany, takie życie starczy, i chleb ten smakuje; ale mnie, com już do innego przywykł, com zakosztował innego... ta cisza, i ten spokój, i te wiejskie rozkosze...

Machnął ręką pan Adam.

— Ono to się trochę rozumie odparł Jermaszka; ono to i prawda po trosze... Ale co to, proszę jegomości! od prostych a zdrowych rzeczy to choć człek odwyknie, łatwo się do ich przyzwyczai. Na polewkach pańskich przyjdzie rychlój niesmak i znużenie, a chleb razowy zębów nie połamie i nie przeje się nigdy... Warto spróbować.

I zbliżył się Jermaszka, ściskając go za kolana prawie ze łzami.

— Człeczysko to głupie—rzekł cicho—ale są takie rzeczy, że się ono rozumie, jak nie głową to sercem, proszę jegomości. Ej! ej! posłuchajcie dobrej rady choćby od głuptaska, wracajcie na swój zagon, do stariej matki: zobaczycie, że wam się serce uleczy, a pamięć wyzdrowieje... Cóżecie tu mieli za szczęście? a ile bólu!

W tej chwili zapukano do drzwi. Pan Adam zdziwiony, bo się już nikogo nie spodziewał, z jakąś iskierką nadziei zwrócił się ku drzwiom; prysnęły przed nią wszelkie postanowienia, z pośpiechem gorącym zawołał:

— Proszę!

Blady jak ściana weisnął się raczej niż wszedł do pokoju pan Floryan zwany Malutą, ale.... o! *quantum mutatus ab illo*—jak zmieniony do niepoznania! Owo pokorne czlecze, co się w szczęśliwych czasach tak nizko kłaniało panu kasztelanowi, w progu już znać było, że za łaskę i ofiarę miało sobie to, iż go teraz przyszło opuszczonego nawiedzić. Jakiś snadź ważny powód napędził go pod drzwi niedoli. On, co z taką wymuszoną pokorą zawsze spotykał Adama, stał teraz zafrasowany nie wiedząc od czego począć; ale gdy się Jermaszka czując, że im zawadza, wysunął—pokłonił się i odezwał głosem, którego nastroić do okoliczności nie umiał:

— Cóż się stało *kochany* kasztelanie, wczoraj tam, u ciała nieboszczki? Jakaś brzydka awantura? Całe miasto mówi o jakiejś scenie, ażem się tu przybiegł poinformować!... Mówiąc szczerze, *zawsze* mnie obchodzi wszystko, co *go* dotyka.

— Nie mam ani co taić, ani się z czego tłómaczyć, odparł pan Adam. Rzecz bardzo prosta: byłem wychowawcem, jakby przybranym dziećciem kasztelanowej nieboszczki; powzięła ona myśl niepotrzebną zostawienia mi po sobie resztek swojego majątku, których mąż jeszcze nie zmarnował. Była bezdzietna i w prawie rozporządzania tą częścią fortuny, jaką mi legowała... W chwili jej zgonu, oddano mi nieprzytomnemu prawie szkatułkę, którą kazała mi wręczyć natychmiast. Nie wiem kto podszezuł kasztelana, by mnie pod pozorem, iż przywłaszczam sobie jakieś jego mienie, wychodzącego zatrzymał. Stało się to publicznie i w sposób niegodny człowieka, który się tego dopuścił w obec niezastygłego jeszcze ciała swój żony... Dobyłem sam ową szkatułkę, nie wiedząc co w niej jest. Okazał się

formalny testament, ale go zdarłem i odrzuciłem. Nie przyjmę nie!... nie nie chcę!...

Floryan słuchał zdziwiony i niedowierzający.

— Tak to było? zapytał zwolna.

— Tak jak ci mówię, ani mniej, ani więcej.

— A cóż pan myślisz począć z sobą dalej... potem?

— Zapewne opuszczę Warszawę...

— Ale dokądże?

— Tego jeszcze nie wiem; namyśle się.

Pan Floryan podumał także chwilę.

— Życzliwym jego sługą *zawsze* będąc, nie wiem co już radzić—rzekł. A król?

— Król w tej chwili nie ma dosyć siły, by jednego prześladowanego poddanego swego wyratować—odparł pan Adam.

— Więc kwitujecie z naszego świata, i myślicie już więcej szczęścia próbować? spytał Maluta.

— Nie myślę, rzekł kasztelan. Ale czekajcie! nie sądźcie, abym znowu tak stehórzywszy miał uciekać... Zostanę tu jeszcze czas jakiś, pożegnam was, odejdę, gdy wybije moja godzina, którą sobie sam naznaczę...

Wyrazy te wyrzekł z pewnością siebie, która zastanowiła Malutę. Pan Floryan domyślał się pod nią skrytą jakąś siłę, nie mogąc zrozumieć jej pochodzenia. Spojrzenie badawcze w oczy kasztelanowi nie go nie nauczyło. Pierwszy raz w tym człowieku dobawszy się energii, spokorniał przed nią. Zwykł był wszelką siłę szanować.

— A no, tak! zawołał. To bardzo dobrze! to wybornie! należycie! ślicznie! Ja zawsze utrzymywałem, że pan kasztelan potrafisz z tego wybrnąć z honorem!...

— I możecie być o mnie spokojni, odparł dumnie pan Adam: potrafię się wyrzec wszystkiego i wzgardzić tém, co mi wczoraj wysokiej zdawało się ceny.

— A nie byłoby innego wyjścia nad wzgardę? spytał kusiciel z uśmiechem.

— Nie widzę, rzekł pan Adam.

— Chwytając się tych, co ludzi potrzebują—podała Maluta.

— Kogo? mów jaśniej! Kto mi wyciągnął rękę? kto mi dał dowód, że na niego liczyć mogę? Nikt!...

— No! no! o tém potem, jeszcze może—zabelkotał Floryan—swojego czasu pomówimy.

Kasztelan zamilkł obojętnie. Chłód jego pozorny, ale dobrze odegrany podrażnił Floryana; nie rozumiał już nic, widział jakieś nadzieje, których odgadnąć nie umiał. Spróbował odgrzebywać, zaczął w rozmowie o parę rzeczy, o króla, o ambasadatorów, ale p. Adam miledzał posepny.

— Cóż tu tak WP. Dobrodziej siedzieć będziesz sam w domu? odezwał się w końcu. W światby wyniść należało, jeżeli mi radzić wolno.

— Po co? zapytał kasztelan.

— A no, choćby się rozerwać i czarne myśli rozpedzić...

— Nim nawet ta, której winienem wszystko, została pogrzebiona?

— Zdaje mi się, że niepotrzeba, aby go ludzie posądzali czy to o żal zbyt wielki, czy o stosunki zbyt ścisłe—cicho odpowiedział Maluta.

Kasztelan ruszył ramionami.

— Niech sobie myślą i mówią co chcą... Ona stanęła przed sądem bożym, ja powinienem znieść wszystko... Zostaw mnie pan samemu sobie.

Słowa te wyrzekłszy z goryczą, kasztelan padł w krzesło, a Maluta widząc go pogrążonym w zadumie, wysunął się po cichu. Był on widocznie szpiegiem wysłanym na wzwiady, ale się o niczym nie dowiedział prócz smutku, którego się mógł łatwo domyślić, nie widząc go nawet.

Długą chwilę ciszy przerwał mały szelest, w którym się łatwo było dorozumieć Jermaszki. Po pierwszój z nim rozmowie, kasztelan czuł dla niego jakąś ufność; on jeden jaśniejszą drogę wśród tych manowców mu wskazywał. Zwrócił się do niego, ale oczyma tylko; sługa także poglądał na niego z niewysłowioną czułością.

— Panie! ach panie mój! ozwał się po chwili: jedźmy! wracajmy!

— Pojedziemy, powrócimy! rzekł Adam. Czekaj! wybije godzina, stanie się czegoś chciał; nie miłoby mi tylko było, aby sądzili, że uciekł przed nimi.

— Niechby się ono sobie myślało coby chciało! westchnął sługa; a nam co po tém, co się tam tym trudniom w głowie kręci!

Zamiledzał pan Adam. Sługa także zamilkł z pokorą, i po chwili znowu się wysunął, zostawiając go w samotności, której potrzebował.

Łatwo się dorozumieć, jakim plotkom i powieściom wypadek w domu kasztelana O... dał początek. Opowiadano sobie na ucho całą scenę u łóża śmierci, malując ją najjaskrawszymi barwami. Otaczający Krystynę najgorliwsi byli w roznoszeniu wiadomości przykrojonych do ich usposobień, i nie żałowali w nich Adama, którego rolę starano się jak najpoczwarniejszą uczynić. A tak niewiele potrzeba, by prawdę nawet zachowując w osnowie, zmienić jej znaczenie!... Przyjaźniejsi Adamowi milczeli, nie mieli czém zbijać tych baśni. Żona tryumfowała.

Nadszedł dzień pogrzebu Julii, na który nawet zapraszającej karty nie posłano panu Adamowi, ale karetę jego poszła wszakże za żałobnym orszakiem, i on sam w niej pojechał, smutny, przybity... Widzieli go ciekawie; to dało znowu powód do różnych tłómaczeń i gawęd.

W ogóle wszystko się teraz odsuwało od Adama. Opuszczali go jedni po drugich, a staraniem Krystyny pustynia roztaczała się coraz szerzej; codziennie przekonawał się mocniej, że mu już nikt nie pozostał prócz zajadłych nieprzyjaciół i garstki obojętnych. Od

śmierci Julii nikt do drzwi jego nie zapukał, p. Florian przyszedł raz, chciał wybadać i nie pokazał się już więcej.

Pan Adam siedział w domu, był parę razy w zamku, ale nie miał szczęścia oglądać twarzy królewskiej, a na listowne domagania się audyencyi, król odpisał wprowadzić bilecikiem własnoręcznym; obwinawszy gorzką pigułkę pięknymi słówkami, ale dał mu do zrozumienia, że nie mogąc nie zaradzić, nie chce go próżnemi ludźmi nadziejami.

W przypadkowych przechadzkach spotykał ludzi co mu się z daleka kłaniali, ale wszyscy prawie szybko uchodząc, zdawali się unikać rozmowy i zbliżenia, lub znacząco odwracali głowę, aby nawet nie oddać ukłonu...

P. Adam gorzko się uśmiechał. Zrozumiał wreszcie że mu tu nie nie pozostało do robienia.

Tak zbiegło kilka tygodni... W gazetach holenderskich ukazał się (bez nazwisk osób wprowadzić) opis jego historii i historii miłości Julii dla niego, krzywdzący dla niego szczególnie i widocznie przesłany z Warszawy. Nie wiadomo czyja ręka podrzuciła mu ten numer niby pocztą przesłany, aby poczuł cios, który mu zadano.

Rozdrażniło to Adama do tego stopnia, że natychmiast ukropem i żółcią napisaną odpowiedź przesłał do tej samej gazety, i sowiecie opłaciwszy umieszczenie, gdyż takich przysmaków druk na wagę złota okupować było potrzeba—miał przyjemność czytania wkrótce swjej odpowiedzi, której liczne egzemplarze sam po Warszawie rozrzucić się starał. Nie spodziewano się w obozie przeciwnym, aby mógł tak śmiało

wystąpić. Artykuł Adama podyktowała rozpacz: odsłonił on wiele rzeczy niespodzianych, i strasliwą wrzawę wywołał między przyjaciółmi Krystyny, która udawała, że o zaczepce wcale nie wie. Adam nie kryjąc się wcale z autorstwem odpowiedzi, zapisał swoją ręką egzemplarz dla żony przeznaczony, i swoją go zamknął pieczęcią.

Kończył się on temi słowy: „Smutna ta i wstrętna historia, której prawdziwy rys podajemy dla odparcia zupełnie fałszywych powieści, przez interesowane do ukrycia istotnej prawdy osoby rozgłoszonych po dziennikach. Nie dajemy jej obszerniej z dowodami i szczegółami tym razem; jest ona tak rozciągnięta i tak nieprawdopodobna, że potrzebuje być koniecznie popartą usprawiedliwiającymi aktami. Jeżeli okoliczności wymagać tego będą, aby prawda w całym blasku odkryta została, a oszczercy zawstydzeni, wydrukujemy ją naówczas w Amsterdamie, i jesteśmy ku temu przygotowani. Posłuży ona za dowód zepsucia społeczeństwa młodego, pełnego życia i gwałtownemi poruszane namiętnościami i t. d.”

Nazajutrz po wysłaniu tego numeru gazety hollenderskiej do Krystyny, pan Adam cały dzień spędził samotnie, nikogo do siebie nie kazał wpuszczać, co Jermaszka jak najściślej spełnił do wieczoru. Późno już dosyć zafrasowany przyszedł wszakże oznajmić panu, że Floryan domaga się gwałtownie widzenia z nim konieczne i bez zwłoki.

Z tego jednego już wniesć było łatwo, że Maluta, który wprzód inne miał rachuby na kasztelana, teraz przeszedł do obozu żony i stał się jej narzędziem; zrozumiał to pan Adam, lecz postanowił udawać.

że się niczego nie domyśla... Istotnie Krystyna go znowu wyprawiła dla wyszpiewywania dalszych zamysłów męża.

Floryan chcąc się koniecznie do dawnego wkraść zaufania, wszedł pokorny; domyślał się, że pokorą z człowiekiem tak dumnym jak kasztelan, wiele w chwili opuszczenia i zaparcia przez wszystkich zrobić można.

Sklonił się po staremu bardzo nisko, począł go ścisnąć, wpatrywać się w jego zbladłe lice, użalać nad wymizernieniem.

— O mily Boże! jakże to pan kasztelan wyglądasz! zawołał łamiąc ręce; doprawdy, aż mi strach o jego zdrowie... Trzebaby się przejechać, rozerwać.

— Nie tylko przejechać, ale wyjechać, odparł kasztelan. Jak tylko pokończę co tu jeszcze mam do czynienia, wyruszam.

— No! a nie możnaby wiedzieć pokornemu słudze—dokąd?

— To moja tajemnica.

— A! jeżeli tajemnica, nawet dla oddanego mu całą duszą człowieka, to się już nie śmiem domagać.

Mimo tego zapewnienia p. Floryan wyglądał na dziecko, które dla tego się tylko nie napiera i mówi o swą grzeczności, aby mu upragnione dano ciasteczko.

Oczy jego błądziły po papierach rozrzuconych na stoliku kasztelana, i padły zaostrome ciekawością na ów numer gazety, zawierający ustęp, o którym wspominaliśmy.

— A! a! widzę, że i pan to już masz, rzekł biorąc w rękę. Dużo o tém mówią w mieście. Cóż pan sądzisz?

— Rozumiesz, iż za nadto interesowany jestem w tej sprawie, nie mogę bezstronnego dać zdania; ale cóż mówią ludzie?

— Różnie różni. Świat jest zawsze rad skandalom... to łakocie.

— Wywołano to zaczepką nieprzyzwoitą, rzekł kasztelan. Musieli się wyzwani bronić jak mogli... Nie trzeba było wilka wywoływać z lasu.

— Najwięcej wszystkich intryguje ta w końcu obietnica—dodał uśmiechając się p. Floryan—owej książki całej o... wypadkach już zapomnianych... Miało by to w istocie przysięść do skutku?

— Dla czegożby nie?

— Więc to nie próżna groźba tylko?

— A na cóżby się ona przydała?

Maluta chodził po pokoju, zaglądając po wszystkich kątach niespokojny.

— Skazałeś się kochany kasztelanie na taką samotność... rzekł w końcu. Tego, jeżeli przyjmiesz moją głupią, ale serdeczną radę, nie pochwalę. Chcąc walczyć, potrzeba czoło nastawić, a nie kryć się w kącie. To zła rachuba i rzecz sama z siebie deńerwująca. Ludzie zawsze łatwiej obwiniają tych, których nie widzą, którzy się im nie bronią, słuchają jednej strony tylko. Łatwiej ich nakłonić niż się zdaje, ale potrzeba na to pracować.

— Wiem ja to wszystko, rzekł pan Adam, ale jeszcze sobie wymódlę nie potrafił powrócić nieco do tych ludzi, którzy tak łatwo obeszlę się i obchodzą bezemnie... Żywęj duszy nie widziałem, nikt się nawet o mnie dowiedzieć nie przyszedł.

— A! przepraszam, przerwał Floryan! komandor sam mi mówił, że tu parę razy kartę wyrzucił.

— Nie o tém nie wiem.

— Zdaje mi się, że ten nieokrzesany niedźwiedź litewski, którego kasztelan trzymasz na straży, odprawia wiele osób, nie dając nawet o nich znać panu kasztelanowi.

— To być może, i wdzięczny mu za to jestem, bo ten jeden niedźwiedź mnie kocha.

Pan Floryan się uśmiechnął.

— Szanowny panie — rzekł słodziuchno — jesteś niesprawiedliwym, nie mówiąc już o innych, choćby dla swojego sługi wiernego, jakim ja mam być zaszczyt...

Kasztelan odpowiedział ust skrzywieniem dwuznacznym, skłonił głowę, wiedział co trzymać o tém przywiązaniu.

— Nie śmiałem być zbyt natrętnym, ale w sercu...

— O! dziękuję, dziękuję ci, kochany panie Floryanie.

— No! a do komandora też nie myślicie choć zajrzeć? Mnie się zdaje, że należałoby, wypadało i potrzeba... rzekł Maluta widząc, że oświadczenia i czułości nie idą.

— Już cię zapewne będą z pożegnaniem...

— Chodźmy dziś, jest mały wieczorek przyjacielski...

— Jakoś nie mam ochoty...

— Namawiam, rozrywka, dystrakeya, potrzebne, konieczne.

— Nie chce mi się.

— Potrzeba się przemódl.

— Później... kiedyś... zobaczymy.

— Będę natrętnym, rzekł pan Floryan: przyjadę pod wieczór i zabiorę pana gwałtem. Leonina zaśpiewa, a tęskni biedaczka po panu.

zdawał. Napróżno usiłował przywieść na pamięć, kiedy go i kiedy mógł widzieć? Drażnił go sobą jak zagadką, nie było się kogo zapytać o niego. Pan Floryan wprowadziwszy na pokoje kasztelana, zaraz się jakoś zaszył w kątek i odszukać go już nie było podobna.

Wzrok pana Adama niespokojnie badał tę twarz, której oczy nawzajem szukać go i mierzyć się zdawały.

Po kilkakroć usiłował spytać o tego cudzoziemca, którego obejście, śmiałość, głośnie przechwałki i dowcipy zwabiały nieustannie ciekawych do koła. Po stanowiwszy wreszcie mordującą go przebieć tajemnicę począł kasztelan szukać pana Floryana, i znalazł zamysłonego, w cieniu, smutnego, z miną stworzenia, które popełniwszy psotę jakąś, czuje, że go za nią czekają razy.

— Dobrze—rzekł—żem cię przychwycił nareszcie. Mówże mi, co to jest za figura nieznosna, ten—ten, widzisz go tam, ogorzały jakiś Gaskończyk? Przyśląlbym, że go już gdzieś widziałem.

Francuz stał bardzo blisko, ale Maluta udał na przód, że go nie zna, co było zupełnym niepodobieństwem, bo pan Floryan znał wszystkich. Było to jego powołaniem.

— Jak to! ty? tybyś kogo tu nie znał i siedział spokojnie? zaśmiał się pan Adam.

— Ale to nowy jakiś przybysz... dalipan, nie wiem, chyba pójdę na wzwiady.

To mówiąc wymknął się pan Floryan, ale już więcej nie wrócił, a kasztelan zniecierpliwiony, musiał zadać pytanie jednemu ze znajomych, który nazwiska cudzoziemca nie pamiętał, wiedział przecie, że od

niedawna jest w Warszawie, że chce wstąpić w służbę Rzeczypospolitą, i że król JM. Niezmiernie go polubił.

Na tém badaniu przeszedł czas do wieczery, która na chwilę tylko poprzedziła grę, w krótkie rozpoczętą w salonie białym.

Kasztelan, który tu parę razy wyszedł wygranym, nie mógł się teraz przyzwyczaić uwolnić od gry choć niewielkiej, i przystąpił z innymi do stolika.

Z razu gospodarz sam ciągnął bank, ale po niejakiem czasie dozwolił przybyłemu Francuzowi zastąpić siebie, aby mógł pokazać pewną w grze modyfikację świeżo przyjętą we Francyi. Hr. de St-Géron (gdyż on to był nie kto inny) wyrzucił na stół tysiąc czerwonych złotych i rozpoczął grę.

Kasztelan, który stał przy stole, wyzwany urągliwym spojrzaniem Francuza, nie mógł się wstrzymać od walki. Pierwszy raz w życiu żyłka w nim do gry zadrgała, obudziła się chęć upokorzenia tego impertynenta, który go widocznie swym wzrokiem i postawą zaczepiał i wywoływał. Obliczył myślą tą co miał w domu, i rzucił na kartę 500 czerwonych złotych.

Nieznajomy przypatrzwszy się stawce dziwnie przymrużonemi oczyma, uśmiechnął się szydersko, co jeszcze bardziej rozjątrzyło kasztelana. Zarumieniony ręką drżącą podsunął swą kartę, ale St-Géron udawał jakoś, że jej nie widzi. Po kilku przeciągnięciach, kasztelan nie miał przy sobie więcej gotówki, zerwał się i pobiegł do gospodarza.

— Niespodziewając się grać—rzekł do niego—nie wziąłem z sobą więcej nad pięćset czerwonych

złotych, które już przegrałem. Będiesz łaskaw zrobić mi kredyt na drugie tyle?

— Al z największą chęcią, zawołał komandor, śpiesząc do trzymającego bank, któremu coś począł szeptać na ucho.

Z wielkiem podziwieniem pana Adama, St.-Géron zmierzył go wzrokiem dumnym i potrząsł głową, wyraźnie odmawiając kredytu. Komandor pobladł przybiegł do kasztelana.

— Jestem w rozpacz, rzekł; mój chwilowy wspólnik odmawia kredytu, nie panu, ale z zasady wszystkim; a ja... *le croiriez-vous*, w tej chwili jestem *a sec*... Co tu począć?

Kasztelan zadrżał dotknięty boleśnie, ale się zbliżył do stołu, szukając około niego pana Floryana, aby go do domu posłać po pieniądze... Maluty nie było, i nikogo lepiej znajomego, do którego by się można zwrócić; jechać sam nie mógł, boby to i zbyt wiele czasu zabrało, i wyglądało na jakąś ucieczkę. Opierając się więc o stół, odezwał się głośno do Francuza:

— Za pozwoleniem... przegrałem pięćset czerwonych złotych. Mogę pana prosić o godzinę kredytu na sumę równą pierwszej przegranej?

St.-Géron zdawał się z razu nie chcieć nawet zrozumieć, że pytanie do niego się stosowało; potem usta ułożył pogardliwie, potarł czoło i rzekł sucho:

— Nie mam zwyczaju przy grze dopuszczać kredytu, to zdaleko prowadzi. Tém mniej kredytuję tym, których nie znam... lub—dodał ciszej—co mi są nadto znani.

Ostatnie słowa, wyrzeczone zniżonym głosem, wysys-

cy wszakże usłyszeli. Była to wprost obraza honoru; kasztelan nie mógł tego puścić bezkarnie.

— Mości panie, rzekł: za takie słowa krwią się płaci. Ja także nie myślę mu kredytować.

— Krwią?—podechwycił Francuz obojętnie — *c'est selon*, jeżeli się ma do czynienia z ludźmi, których krew naszój jest warta.

Adam zawrzał, i jak stał, garścią kart rzucił Francuzowi w oczy; ale w téjże chwili St.-Géron rękawiczką drasnął go po twarzy.

Rozruch w mgnieniu oka powstał niesłychany, ale tłum natychmiast rozdzielił zwaśnionych, nie dopuszczając starcia, które się gotowało. Francuz krzyczał i śmiał się odgrażając, kasztelan miotał się jak opętany, chcąc go rozedrzeć natychmiast.

— Co mi tam WPanowie mówicie o pojedynku! krzyczał St.-Géron: są ludzie, z którymi się przeciwieć nie pojedykuje... Wyzwanie! nie pojmuję wyzwania tego jegomości. Kijem go pacholkom obić każę na rynku, i będę miał satysfakcyę, ale bić się z nim!

Słowa te dosyć głośno wyrzeczone, do wściekłości przywiodły Adama, który już sam potem nie wiedział jak się znalazł w powozie, i pędem odwieziony został do domu w stanie ducha, którego odmalować niepodobna. Był na pół szalony. Wrywał sobie włosy z głowy, pisał się, rzucał, nabijał pistolety, mierzył niemi w piersi własne, wybiegał na ulicę, nie wiedząc co czyni. Jermaszka ledwie go od ostateczności jakiejś potrafił utrzymać.

Nierychło potrafił oprzytomnić, i choć noc była, namyśliwszy się pojechał do mieszkania jednego z tych ludzi, którzy z pojedynku czynili rzemiosło, i czekali

tylko jakiegoś zajścia, aby w niém grać rolę pośredników i popleczników więcej dającego.

Człowiek, do którego udał się kasztelan, słynny był sam z szermierki i strzelania, służywał dawniej wojskowo we Francyi i Saksonii, a na starość z odwagi swój i znajomości praw honorowych uczynił professyę. Nie było spotkania, w którémby pólkownik Ballandier nie miał jakiegoś udziału. Z powierzchowności i obyczajów był to pospolity bardzo awanturnik, z czerwonym nosem, z wąsami pół-lokeiowemi, suchy, barczysty, ogromny, trzymający się prosto, z rękami jak dwie patelnie. Pokorny z możnymi, Ballandier nie robił ceremonii z tymi, dla których worka i stosunków nie czuł poszanowania. Historya kasztelana już jakimś cudem do niego była doszła, tak, że gdy pan Adam dobił się do niego prosząc o radę, znalazł go choć udającego niewiadomość, ale już widocznie uprzedzonego.

Ballandier przyjął go siedząc na łożu, rozebrany, z krótką fajeczką w ustach, okryty tylko koldrą welnianą, z pod której wisiały nogi obnażone, muskułarne, okryte bliznami i niedźwiedzim włosem... Wyglądał zupełnie na Don Kichota.

— Co począć? pytasz mnie panie kasztelanie, — rzekł zimno — tu nie ma co robić: jutro pójdę do hrabiego spytać, czy przyjmuje pojedynek? a jeśli odmówi...

— Jeśli odmówi? podchwycił kasztelan.

— Możesz go pan kazać obić na ulicy.

— A on?

— A on broniąc się, może panu w łeb strzelić.

— Jednakże odmówić nie powinien, nie może... zmusimy go, jest przecie trybunał honorowy, przed

który go pozwać mam prawo, aby się tłómaczył dla czego mi odmawia.

— Tak jest; mogły być urządzony podobny trybunał honorowy, rzekł Ballandier. Ale wprzód trzeba się z nim rozmówić. Więć jutro.

— Nie jutro, ale natychmiast! odrzekł kasztelan, kładąc rulon studukatowy na kolanach pólkownikowi, bo z nim żadnej nie było ceremonii co do oznak wdzięczności. Brał co mu dawano, nie marszcząc się wcale... z tego żył.

Ballandier podjął rulon, zważył go w dłoni, wsunął pod poduszkę i powoli rzekł zimno:

— A no, to i zaraz, jeżeli każecie.

— Czekać będę na odpowiedź u siebie, naprzeciw zamku... Jeżelibyście nie zastali go w domu, pojedziecie szukać; jeżeli się zamknie, każecie wybić drzwi na mój rachunek, ja odpowiem... Sprawa nie cierpi zwłoki... trzeba się obmyć, aby brud nie przyrósł.

Rzuciwszy fajeczkę na stół, pólkownik wsunął ogromne swe łapy w pantofle, obwinął się koldrą i począł natychmiast odziewać naprędce.

— Pólkowniku — zawołał odchodząc kasztelan — spraw się tak jak proszę, a będziesz ze mnie rad.

— Nie wątpię o panu, chcecie nie wątpić o mnie.

Kasztelan przynagliwszy jeszcze o pośpiech swego wysłańca, odjechał do domu, ale tu nie spoczął, chodząc od okien do drzwi, od drzwi do okien, wysyłając sługi, wyglądając z najżywszą niespokojnością powrotu pólkownika.

Nierychło go się doczekał, a usłyszawszy ciężki i powolny chód jego, wybiegł naprzeciw niemu aż na wschody.

— Cożeś zrobił? zakrzyknął.

— Czekaj pan, odrzekł Ballandier: chwila cierpliwości; należy mi się naprzód szklanka wina.

Zadzwoniono o wino, Ballandier siadł w fotelu, nogi wyciągnął, głowę spuścił na piersi.

— Czekam, cożeś pan zrobił?

— Otoż nie! odezwał się po długim milczeniu półkownik: ten szaleniec stanowczo odmawia nam pojedynku, w sposób taki, że nawet słów jego powtórzyć nie mogę. Pozostaje więc kij, nie więcej.

— Ale przyczyna?

— Mówię, że nie potrafię powtórzyć przyczyny

Kasztelan zaciął usta. Ballandier siedział, pił, ale już rozmowy nie było. Do kogo się udać? co począć? Adam nie wiedział już, w głowie mu się mąciło i zawracało. Z kąta ciemnego patrzył na te boleści Jermaszka i szarpał sobie włosy z głowy, nie umiejąc nie na to poradzić.

Po długich gorączkowych rozmyślach, kasztelan nagle otworzył szkatułkę, wysypał z niej złoto, które brzękło w pole jego sukni, i podszedł niosąc je do Ballandier'a.

— Patrz! zawołał drżący: jest to wszystko co mam... Cheesz mi dopomódz, abym się pomścił... daję ci...

— Jest to bardzo piękna rzecz—odparł awanturnik, mierząc kupę okiem cheiwém,—jest to rzecz bardzo piękna, ale gdy idzie o datek i pieniądze, potrzeba rachunku, kochany panie... Ile mi tedy pan dać możesz?

— To co mam, jest tu przeszło tysiąc dukatów.

— Cóż to jest tysiąc dukatów? odparł Ballandier. Tysiąc dukatów?... Procent od tysiąca dukatów wy-

nosi, jeżeli się nie mylę, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt... ja potrzebuję najmniej pięćset, żebym żył; a jeżeli panu pomogę przeciwko temu człowiekowi, stracę całą klientelę.

— Dla czego?

— Dla tego, że tu nie o tego jednego kiepskiego Francuza chodzi—odparł rozgrzany winem i pobudzony do szczerości półkownik,—tu idzie o całą familię rozjątrzoną na pana, której szampionem jest ów Francuz... A jeżeli panu było trudno się jój oprzeć, cóż mnie?... Pozabijać ich wedle reguł, wszystkich do nogi nie mogę. Schowaj pani te pieniądze...

— Cóż mi radzisz? rzekł kasztelan, dolewając drżącą ręką wina machinalnie, a złoto wysypując po stole i po podłodze.

— Co radzę? Radzę mu jak psu w łeb strzelić; a że to kryminał, zwłaszcza pod boki króla i sejm, więc potem z tém złotem, którego niewiele jest, uciekać w świat... Ja od pana już grosza nie wezmę więcej, bo miałbym na sumieniu. Trzeba to zebrać skrętnie... na złą godzinę. Szezerze mi żal, żem nie nie zrobił, że z téj sprawy z honorem i czysto wyjść nie można... Adieu!

To mówiąc, dopiwszy wina do ostatniej kropelki Ballandier włożył czapkę na głowę i powoli odszedł; a kasztelan pozostał jak wryty w ziemię. Jermaszka pełzając po podłodze, po jednym zbierał dukaty.

W parę godzin potem kasztelan otulony płaszczem wymknął się z domu, kryjąc dwa pistolety pod połą. Jermaszka niespokojny wybiegł za nim, śledząc go z dala mimo zakazu.

Pan Adam błądził z razu po ulicach bez celu, potem siadł gdzieś w progu kamienicy trąc czoło, i cho-

dział znowu i zaglądał w różne miejsca, aż na ostatek nie wiedząc dobrze co czynić, zapukał do drzwi Leoniny, która mu na myśl przysła... jak? sam nie rozumiał.

Godzina była bardzo spóźniona, ranek prawie, niełatwo dostukał się do bramy; bicie wszakże gwałtowne rozbudziło stróżów, a pieniądze pootwierały drzwi i doprowadziły aż do mieszkania Włoszki.

Slugi poprzestraszane niełatwo się zgodziły dać wiedzieć pani o tak niespodziewanym gościu, któremu z razu odmówiono przyjęcia. Kasztelan napisał na kartce, że sprawa gardłowa, że idzie o życie, i zmusił Leoninę, aby wyszła do salonu. Cała ta scena przeciągnęła się do białego rana, bo Włoszka, gdy już postanowiła wyjść, musiała się ubierać, a ubiór kobiety, której sen przerwano, która chce być piękną, trwa długo.

Po nieskończeniu długim oczekiwaniu, ukazała mu się nareszcie. Pan Adam żywo pobiegł do niej.

— Przychodzę do ciebie z dziwną prośbą—rzekł;—ale powiem ci wszystko w dwóch słowach, aby cię długo nie męczyć. Jestem śmiertelnie obrażony przez człowieka, który mi najpodléj odmawia zadosyćuczynienia... Byłaś dla mnie zawsze dosyć przychylną... chcesz mi dopomóc do zemsty? tyś Włoszka, ty ją musisz rozumieć?

— Do zemsty?—spytała drżąc kobieta—ja panu? w jaki sposób?...

— Najłatwiej—rzekł kasztelan, który widocznie był na pół obłąkany, co z samej myśli, jaką powziął, najlepiej się okazywało, — oto tak: tyś cudownie piękna, twym wdziękowi nikt się oprzeć nie potrafi...

Leonina polechtana uśmiechnęła się.

— A wy?... spytała.

— A! i ja niemi jestem zachwycony, oszalały... ale cóż z moich zachwyków i szalów! Ja kochać nie mogę, a miłość moja na nieby się nie zdała kobiecie.... Chcesz mieć we mnie sługę, przyjaciela, opiekuna.... a być moim dobroczyńcą?

— Chce! ale jak? odparła Leonina.

— Ja ci wskażę człowieka — odrzekł pośpiesznie kasztelan,—ty go przywabisz, a ja... zabiję!

Mówiąc te słowa, błysnął dziko oczyma. Włoszka wzięła go za szalonego, porwała się z krzesła wystraszona.

W rozpaczy, z jaką to wyrzekł jako rzecz najnaturalniejszą, z niewinnością dziecka lub waryata, było coś przerażającego; przytomny, chłodny człowiek nigdy tak dziko, tak surowo nie śmiałby wypowiedzieć swęj myśli.

— Jak to? chcesz mnie uczynić współniczką swęj zbrodni?

— To będzie kara nie zbrodni? odparł kasztelan...

— Chcesz, by ta krew przysła na mnie, człowiecze! wzdrygając się zawołała Włoszka. Jakaż ja rolę w tém grać będę? Zastanów się...

Kasztelan rozśmiał się dziko.

— Nie chcesz więc? spytał.

— Nie mogę...

— Prawda, chciałem rzeczy niepodobnej. Niel zrobimy to inaczej: ja go nie zabiję; ale go zmuszę, aby się bił ze mną... a wówczas on mnie zabić może...

Leonina przerażona tym szaleem, poglądała na niego przestraszona, usiłując się go pozbyć.

— Uspokój się pan na Boga! rzekła. Pan mówisz od rzeczy...

Kasztelan obejrzał się, dzień jasny bił już w okna, ruszył ramionami, czuł się znużonym. W płaszczu, jak stał, rzucił się na kanapę, i na chwilę jakby omdlały i zdrętwiały pozostał tak milczący. Włoszka przemawiała do niego kilka razy, ale na próżno: stracił był, pogrążony w myślach, słuch, przytomność, niemal życie. Litość poruszyła serce kobiecie; otarła mu skroń, podała wody, poczęła usługiwać jak umiała biednemu, i dwie łzy błysły na jej powiekach. W niezepsutych zupełnie sercach widok nieszczęścia budzi miłosierdzie, w złych szyderstwo tylko i gniew jakiś zwierzęcy.

Ale pan Adam nie czuł i nie wiedział, co się z nim działo. Po długim osłupieniu, nagle obudzony blaskiem jasnego dnia, jak przerażony porwał się i wybiegł nie spojrzawszy na Leoninę. Jermaszka, który u drzwi na niego czekał, postrzegł jak się przemknął, i nagonił go dopiero zaczajonego w kątku bramy Krakowskiej, wpartego w ciemny załom muru, z oczyma wlepionemi w postacie, które się wtedy ku zamkowi przesuwały.

Chciał on wyciągnąć ztąd pana, ale Adam odepchnął go, i na tych czatach spędził kilka godzin. Warszawa rozbudziła się ze snu, ruch żywy w tej części miasta zastąpił ranną ciszę. Piesi, jezdni, powozy, przeciągali nieustannie mimo kasztelana, którego oczy jednego tylko człowieka szukały. Twarz jego stała przed nim ciągle, widział ją jeszcze taką jak u stolika gry mu się ukazała.

Okolo godziny dwunastej, od Krakowskiego-Przedmieścia nadjechała karetą dosyć znana panu Adamo-

wi, bo go nieraz wozila. Zobaczywszy powóz, konie i ludzi swęj żony, zadrzał i rzucił się naprzód.

W środku, wyświeżony, z kapelusikiem pod pachą, siedział sam jeden Francuz, uśmiechnięty, z miną zwycięzką, widocznie rad z siebie, zdając się marzyć o przyszłych powodzeniach... Poglądał w stronę zamkową kręcąc wąsika, gdy nagle świsnęło mu coś żartko koło ucha; wstrząsnął głową, a wtém drugi strzał dał się słyszeć, i kula czerwoną plamę zostawując na czole, na miejscu go ubila... Padł krwią oblewając powóz, głową na przednie szyby, które roztrzaskał...

Strzał Adama był trafny, przebił czaszkę i uwiązał w mózgu... Śmierć jak piorun szybka przerwała różowe marzenia.

Wielka kupa ludzi otoczyła powóz, który konie spłoszone unosiły aż na plac Zamkowy. Tymczasem zabójca niepostrzeżony wymknął się, i gdy marszałkowska straż i pachołkowie nadbiegli, już nie było nikogo w bramie. Domyślano się łatwo sprawcy... otoczono mieszkanie, ale tam nie było go od wieczoru, i nikt o nim nie wiedział.

Jermaszka znikł także.

Na pokojach królewskich z trwogą rozpowiadano sobie na ucho o wypadku. Strzał pod boki króla, tak blisko zamku, był zbrodnią, która bezkarnie ujść nie mogła.

Tego wieczoru gdy hrabia St.-Géron miał na grę jechać do komandora, jadł obiad u Krystyny. Rzeczy już były ułożone z góry w ten sposób, aby kasztelan także się tam znajdował, aby go do kart wciągnięto, i starano się o kłótnię, pojedynek lub publiczne upokorzenie, któreby go zmusiło Warszawę opuścić.

Hrabia St.-Géron bił się doskonale i nie obawiał pierś nastawić dla pięknej Krystyny, która za dopełnioną zemstę ofiarą swą ręką nagrodzić go miała. Widzieliśmy jak rzeczy poszły. Francuz był pewien, że mu ujdzie bezkarnie; zdawało się, że Adam nie będzie poszukiwał obrazy i ustąpi. Krystyna czekała dosyć niespokojna wieści o obrocie całej sprawy, została u siebie w domu, i przechadzając się wielkimi krokami po salonie; wyglądała posłańca, oznajmienia, listu przyobiecane.

Nie kochała ona Francuza, ale go lubiła bardzo: dowcip jego, chłód, praktyczność doskonale się godziły z jej pańską obojętnością, zamilowaniem szyderstwa i wystygnięciem. Nie obawiała się weale o niego; lękała się tylko, żeby ofiara z rąk jego w jaki sposób się nie wyśliznęła, żeby St.-Géron nie osłabł, nie

przyjął jakiego przeproszenia, układu, nie uląkł się u obcych tej roli zaczepnej, żeby ktoś nie ujął się za Adamem przeciwko zuchwałemu cudzoziemcowi. Wszelkie możliwe przypuszczenia czyniąc, spędziła wieczór niespokojnie.

Godziny płynęły leniwo, nikt nie przychodził. Około północy wreszcie nadbiegł młody kuzynek Krystyny, któremu zleciła przyniesienie wiadomości o wieczorze u komandora; był zdyszany i blady.

— Mówże, co się tam stało? zawołała biegnąc przeciw niemu.

— Stało się—rzekł paniczek, który się zasługiwał kuzyńce nie bez pewnych młodzieńczych nadziei,—stała się rzecz okropna... Hr. de St.-Géron śmiertelną obelgę wyrządził kasztelanowi... Kasztelan rzucił mu w oczy kartami, on na niego rękawiczką, ledwie ich tam rozjąć potrafił, i kasztelana do domu gwałtem wyprowadził... Wyniesiono go na rękach wściekłego, szalonego.

Było dużo osób? zapytała Krystyna.

— Więcej niż potrzeba na świadków awantury.

— Nikt się za kasztelanem nie ujął.

— Nikt, ale na Francuza oburzeni wszyscy.

— Cóż się z hrabią stało?

— Nie wiem, odjechał zmieszany, ale pojedyнку odmówił w sposób okrutny. Krystyna zamyśliła się chmurno.

— Biegnij mi zaraz dowiedzieć się, co się z nim stało? zawołała. Nie powracaj mi bez niego: niech tu przyjedzie, potrzebuje się z nim widzieć.

Chłopak, którym piękna kuzyńska miotała jak chciała, znając nad nim swą władzę, poleciał na skrócenie karku, chociaż ani wiedział gdzie Francuza po nocy

wśród Warszawy, jak igły w stogu siana szukać będzie i znaleźć potrafi. Ale młodość ma instynkta szczególne i jakąś opiekę losu nad sobą: kuzynek niedaleko odjechawszy, zetknął się zaraz w ulicy z hrabią St.-Géron'em, przyczepił się do niego jak pijawka, i nie dał mu pokoju, dopóki go do Krystyny nie przywiózł.

Zastali ją jeszcze ubraną, choć noc była późna, zawsze chodzącą po sali i niespokojną. Hrabia wszedł sam, a młody chłopak, na dany znak, posłuszny zbiegł na dół do wyznaczonego mu pokoiku, oczekiwać na rozkazy swój pani. Biedny wyrostek był niewolnikiem jój wdzięków, ona robiła sobie z niego posłuszne swych intryg narzędzie.

Gdy się ujrzeni sami, hrabia zbliżył się do Krystyny i rzekł:

— Spełniłem twe rozkazy, sprawa była gorąca, ale po niej kasztelan oczu już nigdzie pokazać nie może.

— Jakże się to stało? mów!

Usiadła, wskazała mu miejsce tuż przy sobie, a gdy St.-Géron opowiadał z przechwałkami, słuchała go z zarumienionemi policzkami, radość malowała się na jój twarzy, zdjęła powoli pierścionek z ręki i podała mu go gdy dokończył.

— Oto mój pierścień i ręka—rzekła;—jestem twoją, dziękuję.

Hrabia upadł do nóg z żywością wielką, i na dany znak powstał równie szybko. Krystyna nie miała czasu na czułości, których zresztą знаła formę i wartość, niesmakowała w nich, uważając je za stratę czasu; śpieszyła badać dalej, nie nasycona będąc szczegółów najdrobniejszych wypadku. Twarz jój promieniała.

Francuz też coraz był widoczniej tryumfujący, choć popisując się i przechwalając tym wielkim czynem, czuł trochę niepokoju o dalsze następstwa, ale się z tém krył i brawował.

— Ale kasztelan? jak uważałeś? przerażony? przybity? spytała żona.

— Nie tyle ilem się spodziewał, ale wściekły... Zdaje mi się, i tać nie potrzebuje przekonania, że na tém nie koniec, będzie się pewnie próbował podnieść lub zemścić: czekam na to.

— O! nie, znam go — odparła ze wzgardą kobieta:—uciecze jak tchórz i podły... a zgody żadnej proszę nie przyjmować.

Po krótkiej rozmowie rozstali się: Francuz pojechał do swego mieszkania z dodanym sobie dla straży młodym chłopcem, który odraportował, że go zdrowego i całego do domu odwiózł.

Wkrótce po odejściu kuzynka, zjawił się przemocą wcisnąwszy do hrabiego Ballandier. Krystyna nie o tém już nie wiedziała.

Nazajutrz rano, z jój rozkazu, St.-Géron miał żądać u króla audyencyi, przed którą przyjaciele powinni byli przygotować Stanisława Augusta i uprzedzić go; tu Francuz miał się wytłómaczyć ze swego postępowania. Właśnie na drodze do zamku, spotkała go kula kasztelana, której się wcale jakoś nie zdawał spodziewać.

Krwawego trupa z powozem razem zawieziono z przed zamku do domu, w którym stał.

Krystyna po bezsennej nocy już była ubrana i gotowa wyjeżdżać na miasto dla dalszego popierania sprawy nieublaganej zemsty, gdy z włosem rozczochra-

nym, w sukniach naprędee narzuconych, wpadł do jej salonu młody kuzynek.

— Ciociu! zawołał z daleka z pośpiechem dziecięcia: nieszczęście!

— Cóż takiego? spytała; pewnie stłukłeś wazon japoński?

— A! nie godzi się żartować! Coś okropnego się stało, słowa mi mrą na ustach — ze łzami w oczach dodał chłopak, załamując dłonie, — coś okropnego, najokropniejszego.

— No to mów, ale nie cedź po kropli! coż się stało? tupiąc nogą spytała Krystyna.

— Ciociu, nie śmiem!

— Po cóżes przyszedł? Nie męcz mnie, mów!

— Hrabia St.-Géron...

— Co hrabiemu?

— Zabity!

Nad wszelkie przewidywania, ten piorun, który powinien był ją uderzyć ciosem śmiertelnym, nie sprawił żadnego prawie wrażenia. Krystyna pobladła nieco i spytała żywo:

— Czy schwytano zabójcę?

— Nie.

Stała chwilę zamyślona, zagryzła wargi, zmarszczyła czoło i zadumała się głęboko jakby nieprzytomna; spojrzała na palec, z którego wczoraj jeszcze zdjęła dla niego pierścionek, podniosła głowę powoli i spytała:

— Gdzież i jak się to stało?

— Hrabia St.-Géron jechał do króla, gdy w Krakowskiej bramie spotkał go strzał celny. Kula ugodziła w sam środek czoła — padł na miejscu. Druga strzaskała okno i ścianę w powozie

— Nigdy się nie spodziewała, żeby tak dobrze strzelał... odpowiedziała zimno Krystyna. Szkoda tego pocziwego Francuza... Ale coż mówią? czy szukają? czy gonią zabójcę?

— Szukano i nie znaleziono... Mówią, że widziano kasztelaną w zasadzce, że to on strzelił, że potem uszedł zaraz w oczach wszystkich, ale go nikt wstrzymać nie śmiał!

— Tchórze! zawołała kobieta ruszając ramionami z pogardą. Cóż mówią? co mówią?

— Przyznam się cioci, że ci, z którymi rozmawiałem, wszyscy zgodnie powiadają, iż kasztelan był w swém prawie, bo Francuz pojedynku ofiarowanego mu nie przyjął.

Kasztelanowa potrząsała głową; znać było gniew, który na twarz jej wytrysnął rumieńcem.

— Głupcy! zawołała — biedny St.-Géron! żal mi go...

Tyle było słów mowy pogrzebowej po zmarłym słudze i przyjacielu. Kasztelanowa zniosła tę śmierć bardzo stoicznie. Żal jej było nieco pięknego solitera, który był oprawny w pierścień oddany wczoraj Francuzowi, klejnotu familijnego ofiarowanego z pośpiechem wdzięcznego serca, ale później mającego się zamienić. Teraz z trupa i trumny trudno go było wyrywać nazad.

Łatwiej było zresztą o drugiego St.-Géron'a, niż o taki piękny brylant.

Zamyślona wyszła do swego pokoju.

— Bądź co bądź, rzekła w duchu po namyśle: wszystko to jeszcze nie tak bardzo źle się składa. Francuz na męża mógł być nie bardzo dogodnym. Kasztelan żyje, ale jest już tak jakby go na świecie nie było... szkoda tylko, że przy ukrywaniu się jego,

rozwód może się przewlekać. Zbytniej czułości dla zabitego okazywać nie mogę: tém lepiej, byłoby mnie to męczyło... Pojadę do miasta... posłucham.

Zadzwoniła o powóz, i konie stanęły na zawołanie.

Wsiadła do karety z twarzą prawie pogodną, i kazała się wieźć z kolei po znajomych sobie paniach; ułożyła nawet po drodze, jak tę całą historję w opowiadaniach przedstawiać miała.

Chciała dać do zrozumienia, że St.-Géron z panem Adamem znał się jeszcze z Franeyi i mieli do siebie dawną urazę... o jakąś tancerkę sławną pięknosc teatralną...

Na wieczery u pani hetmanowej polnej, gdzie cały czas o tém tylko jednem mówiono, była i kasztelanowa. Dopilnowała się dobrze, aby w oczach ciekawych widzów wszelkie posądzenie o jaki udział w tej sprawie odepchnąć — i wyszła z próby zwyciężko. W istocie patrząc na nią, niepodobna się było domyślić, że straciła narzeczonego; śmiała się szczerze, a białe języczki z koralowych ustek świeciły tak wdzięcznie! Cały zresztą wieczór służył języczkowi siostrzeńczyk, dla którego okazywała wielką, może przesadzoną czułość i troskliwość. Chłopcu paliła się głowa; nie domyślał się nawet, że był konduktorem do odciągnięcia podejrzeń użytym.

Na wybrzeżu lasów, które naówczas dokoła niemal otaczały Warszawę szerszym daleko pasem zielonym niż dziś, stała jedna z rzadkich porządniejszych gospód „pod Kogutkiem,” na traktach ku Siedlcem wiodącym.

Otaczający ją krajobraz nosił tę cechę smutku, którą w naturze przybiera każda okolica płaska, ciasniejszym horyzontem zamknięta. Jest w niej coś klasztornego, więziennego, tęsknego, co dla skołatanych życiem wystarczyć może, ale młodszą wyobraźnię przeraża niewolą i cięży nad nią całym brzemieniem zawodów, zapór i trudności żywota. Patrząc na ten kraj tak ciasny, tak szczelnie zewsząd zaparty, taki niemy i ponury, mimowolnie przychodzi na myśl, iż taka jak on, będzie i być musi dola człowieka, choćby tam stały pałace, zamki i świątynie. W istocie nie tej tęsknoty rozwiać nie jest w stanie: ani dzieła ręki ludzkiej, ani praca nad przeistoczeniem tego kraju na wspomnienie weselszych, na ich odbicie. Owa Placencya pod Kodniem i Arkadya w Sochaczewskim są tego najlepszymi dowodami. Napróżno tu gromadzić wszystko co przypomina Włochy: bez słońca włoskiego, bez tamtego powietrza, bez gór i morza, bez tych

barw, które tysiąc zwierciadeł odbija, mnoży i miesza w paletę niesłychanego bogactwa i różności—nikt nie stworzy włoskiego krajobrazu. Wśród gór, skał, przy szumie fal rozbijających się o brzegi, wszystko wyzywa do życia, do ruchu, do szukania czegoś choćby po za szrankami dróg powszednich. Tu wszystko więzi, przykuwa i mówić się zdaje: „Nie masz iść po co, wszędzie jedno cię spotka—grób... a tu spoczniesz ciszej i nikt twych kości nie poruszy.”

Pomimo że dokoła austeryi murowanej wycięto już wtedy sporo lasu, wytrzebiono wiele pola obrzuconego płotami z kół sosnowych, choć przy murze świecił się ogródek, wśród cebuli i kartofli istniejący małwami i astrami, nie było tu wiele weseliej niż w lesie.

Szedł tedy trakt wielki, i gospoda „pod Kogutkiem” równie jak uprzejmy jej gospodarz, stary siwobrody Mejer, dobrze byli i daleko znani, na wiele mil dokoła. Wszystkie furmanki dążyły tu na noclegi, i ślady ich szeroko pod gospodą były widoczne w wygasłych ogniskach, w szczątkach siana i słomy, które kozy i krowy po odjeździe gości skrzętnie dogryzały. Ziemia ubita szeroko, drzazgi połamanych kół i osi, pozostałości wozów i popasów świadczyły, że wiele więcej przybywało tu gości niż się w gospodzie pomieścić mogło. Arendarz też opłacał kilka tysięcy rocznie suchą ratą, oprócz cukru, kawy i mięsa, które tytułem poręczawczego do spiżarni i apteczki jejmościnej dostarczał. Dobrze jeszcze wychodził na dzierżawie i miano go za bogatego.

Pańskie też dwory ciągnących z Warszawy i do Warszawy magnatów, dążyły zawsze „pod Kogutka” na noclegi, rachując na parę porządnych stancyj osobnych, umyślnie utrzymywanych dla gości, na niektóre za-

pasy gospody, i usługność starego Mejera, który znał niemal całą arystokrację polską osobiście, nieraz z księciem generałem rozmawiał, nieraz pana hetmana przyjmował, a nawet miał szczęście podawać JKMoście chleb i sól na srebrnej tacy, gdy Stanisław Augusti zaproszony do Siedlec, przejeżdżał tedy i tu sobie kawę podać kazał „pod Kogutkiem.”

Owe dwie izby gościnne, w których Stanisław Poniatowski przez pół godziny odpoczywał, zwano nawet pospolicie pokojami królewskimi, a Mejer dostawszy sobie sztychowany przez Foligna wizerunek króla, oprawił go za szkło i zawiesił w pierwszym pokoju, uprosiwszy sekretarza p. hetmanowej, aby mu datę bytności u spodu pięknie wykaligrafował.

Każdy z gości dowiadywał się z tego, że miał szczęście spoczywać pod dachem poświęconym pamiątką wielkich odwiedzin. Pod ścianą stał nakryty serwetą wzorzystą ten sam stolik, na którym JKM. pił kawę; rozlana trocha czarnego płynu pozostała wspomnieniem przyjemnym, o autentyczności faktu świadczącym. Wszystkie szczegóły tego pamiętnego poranku Mejer, pani Mejerowa, syn jego Dawid, córka Ruchla (którą król pod brodę poglaskał, bo była bardzo ładna), po części nawet służba gospody, umieli na pamięć. Redaktorem urzędowej relacji był sam p. Mejer, który najmniejszego szczegółu nie pominął; mówił nawet jaki był stan powietrza... z kąd wiał wiatr, gdzie królewskie stały powozy, jak król nieco się wysiadając na ślizkim stopniu ośliznął, jak wszedł schylając głowę przez drzwi dla ostrożności zbytecznej, w czym był tego dnia ubrany, o co pytał i jak mu odpowiadano.

Powtarzając to opowiadanie wszystkim po tysiąc

razy, Mejer nauczył się go na pamięć, i stało się ono tradycją miejscową, której tekst zupełny na nieszczęście zaginął, a doszły nas tylko nieforemne ułamki, tak jak Cycerenowskich ksiąg *de Republica*.

Mejer był człowiekiem uczciwym, poważnym i rozsądnym, żył życiem kraju, a jaśniej może w jego sprawach widział, niż wielu, co od niego wyżej stali; musiał wszakże swą mądrość zachować przy sobie, bo nie było bezpiecznie dawać rady, ani być rozsądniejszym nad drugih.

Dnia tego, gdy zajrzeliśmy „pod Kogutka”, chmurno było i wilgotno, właśnie jak owego ranku, gdy król JM. raczył tu zstąpić na kawę; horyzont cały zaciągniony był szaremi chmurami, zabierało się na długi deszcz, bo to jakoś miało się ku pełni. Mejer po śniadaniu wyszedł na próg, ręce włożył za pas, i myślał czegoś zadumany, patrząc na drogę od lasów i Warszawy, gdy ujrzał dwa powozy zbliżające się ku gospodzie. Jednym z nich była żółta bomba bardzo paradna i świeża, drugim koczyszek lekki musztardowy. Gospodarz znał na okół wszystkie ekwipaże sąsiedzkie, ale ten widział po raz pierwszy, i napróżno starał się odgadnąć, kogoby mu one niosły?

Wiedział dobrze, iż z téj strony jadąc, pominąć go nie mogą, bo od „Kogutka” do najbliższej karczmy, w której jako tako odpocząć koniom było można, liczone cztery dobre mile drogą w części piaszczystą. Jakoż oba powozy zatrzymały się przed wrotami, a lokaj impetycznie przyskoczył domagać się pokójów.

— Jest tylko jeden—rzekł Mejer wskazując ręką w głąb gospody.

— Jak! tylko jeden! powinno być dwa?

— Nu, a jest tylko jeden.

— A kiedy w karczmie niezylich koni i powozu nie widać?

— Nu, ale pokój jest tylko jeden! rzekł flegmatycznie Żyd.

— Ja potrzebuję dwóch.

— A cóż ja na to poradzę?

— Któż zajmuje drugi pokój?

— A wa! kto! to moja rzecz, ale jest tylko jeden, zawołał raz jeszcze arendarz.

— To pojedziemy dalej.

— A no! to jedźcie z Bogiem dalej! odpowiedział Mejer, ruszając ramionami i wcale nie zdając się żałować ani żółtej bomby, ani musztardowego koczyska.

Sługa pobiegł do powozu nie nie rzekłszy, a wkrótce z pierwszego z nich wysiadła czarno ubrana kobieta, z drugiego dwóch mężczyzn.

Razem poszli zająć jedyny pokój z portretem króla JM., a słudzy wzięli się natychmiast do przygotowywania śniadania dla jaśnie państwa. Widoczném było, że to wszystko jechało z Warszawy, bo przybory kuchenne, zapasy spiżarniane wykwintne, różne wymyślne przysmaki pochodziły ze składów stołecznych i znamionowały ludzi przywykłych do wygod, którzy się obawiali, aby im na wsi nie zabrakło nałogowych tych pieszczotek.

Drzwi tylko drewniane, dosyć nieszczelne, przedziały tę izbę obszerniejszą, królewską zwaną, od bocznego o jednym oknie alkierzyka, który był szczelnie wewnątrz na zaszczipkę zamknięty.

Goście, którzy tu weszli, obejrzeli najprzód cały pokój, skarżąc się na zatechle w nim powietrze i na jakiś zapach dziwnych lekarstw, który tu panował; potem poszli aż przez szczeliny drzwi zaglądać do alkierza,

ale do nich przypierał właśnie tapezan zasłany kilimem, a przez szpary widać tylko było ciemności drugiej izby, z której oddech ciężki i stękania dochodziły.

Ten bolesny jakiś głos, powracający jak bicie pulsu, ciężki jakby symptom niespokojnego snu gorączkowego w wielkiej boleści, kazał się u drzwi domyślać chorego... Przybyli wpadli na domysł, że to być może jaka słabość zaraźliwa, i jeden z nich zaraz poszedł do gospodarza rozpytywać, bo się naówczas lekano morowego powietrza, które grasowało na Ukrainie około Bałty.

Mejer ruszył tylko ramionami i nie odpowiedział nawet.

W chwili gdy powozy zaszły i krzątać się żywić po karczmie poczęto, ze drzwi alkierza nagle otwartych wyjrzała głowa z dziwnie rozczochranym, sterczącym na nią włosom; ale rzuciwszy spojrzenia bardzo szybkie, zamknęła za sobą i na haczyk je zarygnowała.

W przejezdnych—o których Mejer, częstując szabasówką ludzi, zręcznie a powoli rozpytywał się woźniców i lokajów—łatwo nam będzie poznać panią kasztelanową, pana Floryana Malutę i młodego kuzynka, nieodstępного jęj towarzysza. Jechali oni wszyscy do dóbr pani, więcej dla uniknienia na czas jakiś Warszawy, w której od zniknienia pana Adama jakoś z ukosa i kwaśno na panią Krystynę patrzano, niżeli dla interesów, choć sama pani tak utrzymywała.

Chciano się też nieco rozwieźć o panu kasztelanie, który po zabiciu Francuza wpadł jak w wodę. Krystyna choć niewiele ucierpiała na tych wszystkich przygodach, mimowolnie jednak była niemi dotknięta.

Wiele miała zmartwień z tego powodu, straciła dużo świeżości,—nie wyrzekła się wszakże projektu zamążpójścia, a właśnie stał na przeszkodzie znikły małżonek, którego potrzeba było koniecznie odszukać, bo bez niego lub dowodów jego śmierci rozwód był niepodobieństwem.

Kasztelanowa zostawała w tém jakimś wątpliwém położeniu ni wdowy, ni rozwódki, ni mężatki. To szczególnież skłaniało ją do zarządzenia pilnych poszukiwań męża, których podejmował się p. Floryan, i dlatego on pani Krystynie towarzyszył. Młody chłopak zawsze mocno zakochany w cioci, która wyśmienie mogłaby była być jego matką, pędził za nią; miał w niej ideał pierwszej wcale nie platonicznej miłości, i ofiarował się na usługi w wiejskiem zaciszu, pod pozorem odwiedzenia dalszej rodziny.

Pani kasztelanowa jechała ani smutna, ani wesół. Drażniło ją nieznośne położenie i nienasycona jeszcze zemsta; ale z pogodą na twarzy godziła się z nieodzownymi ciężarami żywota, i nie straciła ani apetytu, ani snu dla tych fraszek.

Gdy w królewskiej komnacie zastawiono śniadanie, przezedrwi owe w alkierzu, wśród ciszy i mroku odgrywała się inna wcale scena tegoż samego dramatu.

W ubogiej izdebce, której całym sprzętem były: stół, tapezan i ława, z oknem na wpół okiennicą przymkniętą, szare tylko światło dnia niepogodnego przepuszczającym, na tapczanie sianem i płaszczem narzuconym, leżał człowiek chory z głową w górę zwróconą, z otwartymi, gorączką spalonemi ustami. Na kominku palił się małeńki ogieniek, przy którym służga siedząc w kuczki coś z wielką troskliwością w gar-

nuszkę gotował. Na stole, na ławie, na podłodze rozrzucone były drobne tłomoczki i węzłki podróżne, świadczące, że niespodzianie choroba wędrowca wśród drogi schwyciła.

Czytelnik łatwo się domyśli, że chorym tym był pan Adam, który po dokonanych zabójstwie na hrabi de St.-Géron, uszedł pieszo ze stolicy, razem ze swym nieodstępny Jermaszka. Rozgrzany gorączką, z początku biegł nie wiedząc dokąd i gdzie idzie, czuł w sobie niesłychaną siłę; ale błaganie się po lasach, głód i chłód, niedostatek, trudność ukrycia się, zlamaly go prędko, i gdy w końcu dobili się do karczmy „pod Kogutkiem,” kasztelan już dalej iść nie mógł. Jermaszka wyprosił mu tu kątek dla spoczynku.

Zaledwie legł na łożu, z którego za kilka godzin wstać się spodziewał, już z niego powstać nie mógł pan kasztelan. Dostał silnej gorączki, trzeba go było dzień i noc pilnować, zdając kurację na naturę, gdyż wzywać doktora nie zdawało się rzeczą bezpieczną Jermaszce. Lękał się ściągnąć oka i zdradzić zbiega, na którym poszukiwano pod boki króla popełnionego morderstwa.

Tajenie wszakże dłuższe przed gospodarzem było niemożliwe. Jermaszka zeznał uczciwemu Mejerowi przykre położenie i nazwisko kasztelana, gdyż inaczej gospodarz nie byłby się zgodził na przyjęcie pod swój dach nieznanego i podejrzanego włóczęgi. Szczęściem Mejer dobrze znał niegdyś ojca kasztelana, a całe opowiadanie taką było napiętnowane prawdą, że Żyd ulitowawszy się, odstąpił alkierza i ofiarował pomoc, jaką tylko w tém ustroniu znaleźć było podobna. Co większa, Mejer wziął na siebie sprawozdanie lekarza (który przejeżdżał właśnie z Warszawy do pani hetmanowej

do Siedlec), spłótszy mu jakąś bajeczkę dla pokrycia istotnego położenia chorego. Lekarz ów, jeden ze sławnych praktyków stolicy, raczył zajrzeć do alkierza, obejrzał chorego i zawyrokował, że wypoczynek i dyeta będą dostatecznym lekarstwem, że choroba mogłaby być śmiertelna, lecz tak jeszcze nie jest, a pomoc lekarska nie jest nieodbita, gdyż w uzdrowieniu siły natury największą tu rolę grać muszą.

Na zdanie to wpłynął może ubogi tapezan i odzież chorego; bo natura w ogóle leczy bardzo dobrze tylko tych, którzy za inne leki płacić nie mogą; na nią więc zdaje się pacjentów niezdatnych do troskliwszej kuracji fakultetu.

Pomimo tych pocieszających obietnic starego Niemca, kasztelan od dni już kilkunastu leżał bez wielkiego polepszenia, ledwie biorąc w usta trochę rosółu, który dlań sam Jermaszka gotował; leżał w pół śpiący, a ciągle przez sen domagał się wody, palony jakąś wewnętrzną gorączką. Niekiedy w nocy trochę majaczył, zrywał się i miewał jakieś widzenia ojca i matki, Julii, zabitego Francuza, porzuconej żony; odzywał się do nich, oburzał, gniewał, i nierychło potem, ukołysany przez Jermaszkę, uspakajał się i usypiał znowu. Paroksyzmy tych krzyków i widzeń stawały się coraz rzadsze w miarę jak słabł, a ostatnich dwóch dni kończyły się na niewyraźnym bełkotaniu, w którym co chwila powracało jedno:—pić!—goreję!—pić!—wody!

Jermaszka miał przygotowaną wodę, bo ówczesna medycyna nawet popularna wzbraniała czystej i świeżej; poił go więc przestając, ciepłą, która nie koila pragnienia, ale też zaszkodzić nie mogła. Można sobie wystawić przestrach pocziwego sługi, gdy usłyszawszy w sieniach szelest, wyrzwał i poznał ludzi

kasztelanowej, swoich prześladowców, p. Floryana, konie i powozy... Zamknął co najrychlejsz drzwie, zaszczerpnął je i przysiadł drżący u komina, modląc się, aby przytomność ich w karczmie jakim przypadkiem się nie wydała. Kasztelan mógł krzyknąć ze snu, po głosie łatwo by go poznano, a wówczas... Bóg wie co by mu zagrozić mogło. Na wszelki przypadek Jermaszka postawił przy sobie kij podróżny okuty, z którym do Warszawy przywędrował; władał zaś nim potężnie. Postanowił nie otwierać ani się odzywać, ani wychodzić przez cały ciąg trwania popasu.

Na nieszczęście kasztelan leżał przy samych drzwiach, a najłżejszy okrzyk jego mógł być w sąsiedniej izbie słyszany, gdy z drugiej strony znany i nienawistny mu głos żony dojsz do niego, obudził i przywieść do szalu. Nie dziw więc, że Jermaszka przed garnkiem rosółu klęczący z założonemi rękami, cały we łzach się modlił, spoglądając to na pana oddychającego ciężko, to na kij ów okuty.

Ale od drzwi, przez które słychać było jęki, odsunęli się podróżni ze strachu morowej zarazy i choroby jakiej niebezpiecznej, a kasztelanowa dotąd jakoś dosyć cicho gadała. Że jednak posłyszany ów ciężki oddech przerażał zwłaszcza p. Floryana, oraz kuzynka troskliwego o życie i zdrowie swego bóstwa—wezвано do śledztwa gospodarza Mejera.

Obyczaj też wymagał, aby arendarz dostojniejszych gości osobiście witał. Wszedł wezwany starzec w aksamitnym żupanie okładanym aksamitem, z założoną za czarny pas chustką barwistą, w jarmulce wysokości nowiej, którą zdjął witając piękną panią.

— Mówiono mi—odezwiała się kasztelanowa, zbliżając się do niego—że tu u WPana goście znakomici

stają; a widzę, że jedną tylko masz stancję, i to jeszcze przezdrzwi jakiś tam chory jęczy...

Mejer już był wszystko zbadał, a wielu się rzeczy domyślił; odklonił się pięknie i począł, nie odpowiadając zrazu na pytanie:

— Proszę jaśnie pani, wszakże i samego króla JMości miałem tu szczęście mieć u siebie...—I wskazał na portret. — JW. hetmanowa odpoczywa tu zawsze; księżę generał, ile razy jedzie, nie pominie starego Mejera; księżna wojewodzicowa mściławska, księżę marszałek litewski...

— Ale zapewne dla nich masz WPan obie izby wolne, a dla mnie jest tylko jedna... Któż tam zajmuje tę drugą?

— W drugiej leży znajomy mój szlachciec ubogi, który z przeziębienia w drodze ciężkiej febry dostał.

— Ale czyż tylko febry? zapytał kuzynek niespokojnie.

— Już proszę wierzyć, że tu żadnej innej choroby, broń Boże jakiej niebezpiecznej, nie ma,—odpowiedział Mejer, kładąc rękę na piersi. Mamei ja też żonę i dzieci tobym się przecie o własną skórę troszczył.

— Ale bo ten człowiek dyszy jak w największej gorączce! przerwał pan Floryan.

— No! bo ma ciężką gorączkę—rzekł Żyd—co dziwnego?

— Więc po co go tu trzymacie? spytała kasztelanowa.

— Albo to się godzi chorego wyrzucić? zapytał Mejer. Tego ani u was, ani u nas nie wolno.

Zawstydzona nieco kasztelanowa, wzgardliwie oddeła piękne usteczka, kuzynek się namarszczył, a p. Floryan głową pokiwał. Rozmowa na tém się skończyła.

czyła. Mejer skłonił się i wyszedł poważnie, uchylając jarmulki; towarzystwo siadło do przygotowanego obiadu, który w pół gotowy przywiozło już z sobą.

Był nawet dosyć wytworny, a wino co się zowie dobre, gdyż kasztelanowa nieobojętną być poczyniała na kuchnię. Wpół uczyły też humory znacznie się poprawiły; usta rozwiązały, i śmiano się dosyć ochoczo, gdy—nagle z za drzwi dał się słyszeć krzyk i westchnienie razem tak straszliwe, tak bolesne, tak głośne, że wszyscy porwali się z miejsca. Kasztelanowa pobladła i trząść się poczęła, Floryan skoczył do drzwi, a kuzynek ręce rozciągnął, jakby chciał skarb swój otoczyć i ratować.

— A! to ten chory, nieznosny! zawołała ochłonawszy nieco kasztelanowa, spoglądając na p. Floryana, który stał w progu jeszcze drżący i wylekły,—to ten szlachcie chory...

Dźwięk tego głosu dziwny przypomniawszy Krystynie męża, a p. Floryanowi znajomego i przyjaciela tak silnie, iż Maluta wyszedł zaraz na wzwiały. Miał wielkie podejrzenie, a choć się z niem kasztelanową nie zwierzył, porozumieli się oczyma.

Wszedł Maluta naprzeciw do izby gospodarza z mocnym postanowieniem dobadania się prawdy, ale trafił na człowieka równie jak on kutego na cztery nogi i wytrawnego.

— Jakaś to tam dziwną febrę ma ten człowiek! rzekł do Mejera: bo krzyczy z gorączki. Ja się trochę na medycynie znam, możebym mu co poradził, a te jęki nam obiadu spokojnie zjeść nie dają.

Mejer zwąchał o co chodzi.

— A co nam tam do tego starego szlachcica! rzekł obojętnie. To człowiek już wcale niemłody

i schorzały; kto wie co z niego będzie? Jemu już podobno ani wy, ani żaden doktor nie pomoże.

— Co? tak stary? spytał ciekawie Maluta.

— Dosyć stary, a jeszcze gorzej schorzały — odparł Żyd poufnie — i biedny. Ma przy sobie tylko jednego młodego chłopaczka... Posłałem już do rodziny, aby go ztąd wzięli, żeby mu się tu nie zmarło, bo trup w karczmie na długo odstręcza gości.

Kłamstwa te z taką pozorną naiwnością wypowiedział stary Żyd, że pan Floryan zupełnie strapiiony odszedł, pewien będąc, iż się omylił.

Tymczasem kasztelan pod jego niebytność drugi raz zakrzyczał.

— Wody! wody!

Głos był tak znany, że kasztelanowa porwała się z krzesła, przerażona straszliwie. Jermaszka także ulękł się, i nie myśląc już o przygotowanej ciepłej, podał zimnej czerpakiem z wiadra, byle tylko co najprędzej niebezpieczne wołanie przerwać.

Powracający uspokojony Maluta, spotkał we drzwiach kasztelanową bladą i wylekłą.

— Na miłość Boga! odezwała się po cichu, aby kuzynek nie słyszał: w tym alkierzu jest on! Słyszałam tylko co po raz drugi głos jego. Ja się mylić nie mogę — to on! to on!

— Ale i mnie się tak z początku zdawało, rzekł p. Floryan. Chodziłem śledzić, pokazało się, że stary jakiś szlachcie niedołęga. Całą jego historię opowiedział mi Żyd: imaginacya!

— Żyd kłamie! jest w znowie... to on! zawołała Krystyna.

— Ręczę pani, że nie.

— Ja czuję, widzę, pewna jestem! ja się nigdy nie mylę! odpowiedziała kasztelanowa, trzęsąc się cała.

P. Floryan zachwiał się, poszeptał coś z nią i powrócił do gospodarza.

Tym razem dał mu znak, by wyszedł z izby, i choć drobny deszczyk kroił, wyciągnął go z sobą aż na przyzbę.

— Jakże panu na imię, mości gospodarzu? rzekł słodziuchno.

— Mnie? Mejer Richtig—odparł kłaniając się staro—do usług pańskich.

— Panie Mejer, panie Mejer! odezwał się Floryan: pan mi prawdy nie powiedziałeś, gdy go z troskliwości o tego podróżnego wypytywałem... Pojmuję, że nie znając mnie, ufać mi nie możesz, i może masz powody słuszne a uczciwe do obawy; ale ja daję Wpanu szlacheckie słowo honoru, że się go pytam o to nie w chęci szkodenia, ale w intencji służenia temu, którego się domyślam ukrywającego w alkierzu. Mów mi Wpan prawdę.

— Jaką prawdę? co za prawdę? odparł Mejer alboż jój nie powiedziałem?

— Ale tam jest wcale kto inny!

Mejer oburzony, ruszył ramionami.

— Proszę już mi dać pokój, kiedy mi pan nie wierzy... rzekł i chciał odchodzić.

— Bardzo przepraszam, ale tu są ważne okoliczności.

— Któż to ma być? co to ma być? zawołał Mejer nieco gniewnie—kogo ja mam tu chować? co Jpanu się przywiduje? na coby się to mnie przydało? proszę mi powiedzieć.

P. Floryan heroicznie zdobył się na wyciągnięcie

z zielonej kieski dukata oberzniętego, za który spodziewał się odebrać trzy od kasztelanowej. Wybrał zręcznie palcami taki, który mu się wydawał najcieńszy i najmniejszego wzrostu a nieco pogiętym staruszkim, i szacowny ten zabytek numizmatyczny podsunąć chciał arendarzowi.

— Za popas? spytał Mejer.

— Nie, nie, proszę to przyjąć, a być mi przyjacielem—z uśmiechem dodał zdrajca.

Mejer się skłonił.

— Bardzo dziękuję—rzekł—ale jak to rozumieć?

— No, już mówcie mi prawdę!

Żyd zabrawszy dukata, zaczął się okrutnie śmiać.

— A wej! zawołał: ja tego nie rozumiem, co Jpan chcesz odemnie? co ja mam powiedzieć? co tu ma być? A! a! czy to żart jaki, czy zakład?

— Ale panie Mejer, tam się ukrywa ktoś, poznaliśmy go po głosie.

— Na uczciwość ja nie rozumiem: starego szlachcica znam jak siebie... dajcież temu pokój!

Pan Floryan tém mocniej dotknięty, że sądził, iż darmo owego kulfona stracił, miał już odchodzić, gdy Mejer obejrzawszy dukata, oddał mu go kłaniając się. Ale tuż przypadła sama kasztelanowa, błada, drżąca rozgorączkowana.

W czasie niebytności Maluty chory krzyknął po raz trzeci, i wybelkotał słów kilka. Kasztelanowej zdawało się że usłyszała nawet imię swoje; wybiegła więc struchlała, sama badać gospodarza. Mejer odbywszy parę indagacyi, już był na dalsze przygotowany.

— Kto tam jest? kto się tam ukrywa?! na Boga! zawołała przypadając do Żyda.

— Co to takiego? stary szlachcic, któż ma być!

odparł Żyd spokojnie. Niechże się JPaństwo przekonają sami, proszę mi tylko pozwolić wejść zobaczyć co się u chorego dzieje, a będziecie mogli wejść i zobaczyć sami.

Ta nagła determinacya Mejera zachwiała p. Floryana i kasztelanową.

— Już ja muszę państwa przekonać—rzekł Żyd,—abyście państwo wiedzieli że stary Mejer nie kłamie, tylko proszę o kilka minut.

Plan w głowie poczeiwego arendarza był osnuty. Z alkierza wychodziły drzwi do trzeciej izby zajmowanej przez jego syna; wynieść przez nie chorego łatwo było z tapczanem, a starego Żyda belfera owinąć odzieżą i koldrą na jego miejscu położyć. Myśl ta przyszła Mejerowi, któremu żal się zrobiło prześladowanego, bo o całych jego losach wiedział od Jermaszki.

Dobry kwadrans upłynął, nim powrócił do kasztelanowej.

— Musiałem—rzekł—chłopaka, który przy chorym siedzi, uprzedzić, a niełatwo go było namówić, żeby drzwi otworzył, aż dopiero gdym mu przyrzekł, że państwo może co na tę chorobę poradzić.

Pan Floryan i kasztelanowa poczuli się zawstyżeni swą podejrzliwością, poszli jednak powoli, zaczęli stukać do drzwi, nierychło im je powoli otwarto. Zaduch przykry bił z izby. Maluta obawiał się nawet bardzo zbliżyć do chorego; ale kasztelanowa weszła śmiało, zbliżyła się do tapczana, i popatrzała długo na twarz nieznana sobie, starego bladego człowieka, przykro wykrzywioną i dziwnego wyrazu..... Odeszła potem razem z Malutą co najprędzej. Konie stały już zaprzężone; siedli więc i ruszyli mileczący

w dalszą podróż. U kominka tylko, przechodzący Maluta machinalnie spostrzegłszy jakiś papierek na ziemi leżący, podniósł go i schował do kieszeni. Przypomniawszy sobie że nocą w drodze, i oddał kasztelanowej, która żadnej do niego nie przywiązując wagi, wrzuciła jednak do woreczka. Spoczywał tam ten świstek aż do przybycia na miejsce. Dopiero gdy rzeczy swe porządkowała Krystyna, wyrzucić go myśla, spojrzawszy przypadkiem: — wzdygnęła się i zatrząsała, poznaawszy dobrze sobie znane pismo pana Adama.

Przypomniałszy głos, który słyszała w karczmie, najmocniej już teraz była przekonana, że ją oszukano, że nie omyliły jej przeczucia, że kasztelan w istocie w tej karczmie leżeć musiał chory i ukryto go przed nią. W godzinę po tém odkryciu, wezwany p. Floryan, pewnie nie na ratunek pośpieszył z sekretnymi poleceniami do owej karczmy; ale mimo wielkiego pośpiechu, dniem jadąc i nocą, dobił się już za późno „pod Kogutka.” Tym razem z ludźmi, których wziął z sobą, zwiedził gospodę od strychu do piwnic, ale nikogo tam nie znalazł.

Mejer ręce wzięwszy za pas, śmiał się prawie z tych próżnych zabiegów, ani przecząc już, ani potwierdzając domysłów o bytności kasztelana, nie wypierając się wreszcie nadto udziału, jaki miał w jego ukryciu i ucieczce.

— Mój panie, rzekł do Maluty: kiedy kto drugiego człowieka z niebezpieczeństwa wybawi, nigdy się tego wstydzić nie powinien, jeżeli to przez poczeiwość, nie dla zysku uczynił. Gdybym ja mu dopomógł schować się albo ujsć... no to co?

— Ale to jest zbrodniarz! zabójca! rzekł p. Floryan.

— A! a! niech jego Pan Bóg sądzi! odparł Żyd. Słyszałem ja o tym wypadku: zabił człowieka, co go pokrzywdził... a to u was tak idzie przecie... ale nie był podobno dosyć bogaty, żeby bezkarność opłacić.

— Zresztą—poprawił się Maluta—ja mu też nie życzę źle; chcieliśmy mu tylko ucieczkę do obcych krajów ułatwić.

Żyd się uśmiechnął.

— No! to już teraz może i niepotrzebne; on sobie może sam dał radę.

Gdy Maluta z relacją o wyprawie powrócił, kasztelanowa chmurno go przyjęła. Nigdy ona tyle energii w mężu nie przypuszczała. Znalazłszy jęj daleko więcej niż sądziła, zaczynała się niepokoić o siebie, a choć z tą myślą nie zwierzyła się nikomu, jakaś dziwna bojaźń owładowała nią chwilami, i wpłynęła może na zmianę usposobień jęj dla p. Adama.

Kasztelanowa odzywała się kilkakroć półgębkiem, że gotowaby była do jakiejś zgody, przejednania, układów, byle rozwód otrzymać; ale o kasztelanie nigdzie powziąć języka nie było można.

P. Floryan, który w porze letniej mniej miał snadź zajęć dyplomatycznych i potajemnych robót w mieście, pojechałszy z panią Krystyną na wieś, ofiarował jęj swoje usługi, zawsze je razem ubarwiając przyjaźnią dla pana Adama, któremu, jak mówił, życzył dobra i spokoju.

Po jakimś czasie, gdy się dobrze rozpatrzył i rozgadał na wsi, przybył raz pod wieczór do pani kasztelanowej, którą już kuzynek tak był znudził, że go codzień na polowanie wysyłać musiała, aby się go trochę pozbyć.

Życie Krystyny płynęło jednostajnie, smutnie, a drob-

nostkowe zajęcia interesami, którym się coraz więcej oddawała, nie starczyły ruchawemu umysłowi i przywyknieniu do intrygi. Była zmęczona, zamysłona, znękana.

Pan Floryan z jakąś minką wesołą wszedł zacierając ręce, siadł z dala na krześle, i począł rozmowę od pogody, ale ze szczególną żywością, która zwiastowała, że po za tym kommunalem coś się ukrywa ważniejszego.

— Pani kasztelanowa dobrodziejka — rzekł — nudzi się na wsi. Istotnie, patrząc na jęj pracę, na to poświęcenie dla rodziny, człekby pragnął, aby się J.Pani i dla siebie jeszcze tak jęj przynależnego szczęścia doczekać mogła... A tu te węzły dla obojga ciężarem będące...

Kasztelanowa westchnęła, patrząc w okno.

— Wie pani, co mi na myśl przyszło? spytał pan Floryan.

— A! cóż tam nowego?

— Kasztelan, przynajmniej jak mi się zdaje, nie mógł gdzieindziej się ukryć tylko w domu, za Bugiem, w tęg wiosieczce, w tęg żyła i żyje podobno jego matka.

— To być bardzo może... odpowiedziała obojętnie kasztelanowa.

— Należałoby to sprawdzić. Wie pani? dodał po chwili mileczenia: ja gotów jestem tam jeszcze sam pojechać. Dawne stosunki łączą mnie z panem Adamem: ofiarując się chętnie za pośrednika, obu stronom przez to uczyniłbym może przysługę.

— Nie jestem temu przeciwna, żebyś pojechał, rzekła; ale mnie się zdaje, że to będzie nadaremne.

Kasztelan nie może się tam ukrywać, gdzie wie, iż go najłatwiej szukać będą.

— A któżby go tam miał szukać?

— Ja! zawołała kasztelanowa: między mną a nim rachunek nieskończony. Ma także do zdania sprawiedliwości kalkulację z krwi przelaną.

Maluta zamilkł.

— Ale cóżby to szkodziło, gdybym ja pojechał? rzekł po chwili.

— Jedź WPan, dadzą mu konie; ale w razie gdybyś go znalazł, to go spłoszysz i nie więcej.

— Może mi pani da jakie zlecenie, upoważni?

— Żadnego, ja nie nie żądam... odparła znowu zacinając się Krystyna. Niech on prosi o przebaczenie i układy, jeśli chce.

W parę dni po tej rozmowie, pan Floryan wyjechał za Bug na Podlasie, i ciche jakieś miał instrukcje do Wólki Brzozowej, do której my go poprowadzić musimy.

Słońce zachodziło jaskrawo; dzień cichy kończył się jak zwykle w czasie żniw, śpiewem powracających z pola robotników. W Wólce na ganeczku siedział pan Baltazar i półgłosem nucił piosenkę.

Na twarzy jego i włosach znać było ubiegłe lata; trochę nawet za pośpiesznie postarzał. Zostało mu coś jeszcze żołnierskiego w obejściu, resztką żywości, ochota do pieśni i do polowania. Ale pieśń, którą dawniej tak głośno nucił, teraz kończyła się na mruczeniu i odchrząkiwaniu, w ostatku na uznaniu, że tego dnia nie ma głosu; na polowanie też wybierał się co rano, czyścił fuzję, kazał się budzić, potem rozmyśliwszy się jakoś, znajdował powód odłożenia na dzień inny.

Trafiło się jeszcze, że gdy mu zając wszedł w drogę, strzelił do niego i nie chybił; ale już za kusym nie chodził daleko, nie upędzał się za nim, a rankami chłodnemi na toki ciężko mu wstać było. Spowolniał, sypiał dużo, mówił mało, ponure myśli z dymami fajki ulatujące trzymały go całymi godzinami na jednym miejscu.

W Wólce zresztą mało co się zmieniło. Płoty gdzie niegdzie postawiono nowe, młode laski popodra-

stały, na starych drzewach i na starych ludziach nie bardzo znać było lata ubiegłe. Jak owe zegary wieżowe, które idą wieki, życie w tym zakątku szło sobie powolnie, nietknięte obrotem rzeczy ludzkich, zmieniających się dokoła.

Wiadomości z zewnątrz rzadko tu dochodziły. Czasem w święto jeździł pan Baltazar do kościoła, a czego się na plebanii dowiedział, stanowiło zapas na długie czasy do wniosków, dumań i przeżywania.

Pomimo starań o dobry byt wioski i gospodarstwa, wszystko po trosze podupadało. Są tajemnice niezbadane nawet w rzeczach powszednich; nie się czasem na pozór nie odmienia na oko w robocie, w staraniach, w pilności, a upadek przychodzi powoli, gdy jednego zabraknie człowieka.

I tu nie brak było gorliwości, a wszystko szło jakoś leniwo i opacznie. Ale któż się tam miał zajmować gospodarstwem zbyt pilno i dla kogo?

Teraz tylko na Wólkę patrzali stryjeczni Melchior i Kasper, z pewną nadzieją, że ona się im kiedyś dostać powinna. A że Baltazar był najbliższy wdowy, robiono mu grzeczności i nadskakiwano. Melchior zupełnie był swój klótni z nim zapomniął; pani mu się uśmiechała wcale zalotnie. Kasztelana, z tego co o nim wiedziano, miano za straconego; nie sądzili, by cało wyszedł z tarapat.

Położenie pana Baltazara tém się stało przykrejsze na tém cudzém gospodarstwie; że od roku prawie wdowa po panu Krzysztofie niezupełnie jakoś zdawała się być przytomną. Nie można tego było nazwać obłąkaniem, ale z pełną dawnego rozumu też nie było.

Zaczęło to się nie wiedzieć jak.

Jednego ranka wstał pan Baltazar do dnia, gdy go przeciwko obyczajowi na kawę do siebie zaprosiła pani Krzysztofowa. Nie wiedział coby to miało znaczyć. Zastał ją wystrojoną w czepek odświeżony, w suknię jedwabną, uśmiechniętą i ożywioną nad spodziewanie. Kawa była podana wykwintniej; filiżanki chińskie otarte z kurzu, które tylko zwykle nudziły się nieboraczki na komodzie, teraz wystąpiły na tace; w pokoju było weselę, bukiet z kwiatów, okna otwarte. Ale nad wszystko dziwiła go twarz odmłodzona, spokojna Anusi, jakiej pan brat dawno nie oglądał. Wysłała przeciwko niemu promieniejąca jakimś weselem utajonem.

Pan Baltazar ledwie ję nie posadził, że się w jego siwych wąsach zakochała; ale mu to przypuszczenie tak zdawało się nieprawdopodobne, że je jak szatański podmuch odepechnął.

Pani Krzysztofowa wskazała mu miejsce.

— No, cóż? jakże? odezwała się: nie prawdą, że dziś, albo najdalej jutro Krzys z Adasiem pewnie przyjadą? Ależem się na nich wyczekała! Rachuję, że już są w drodze i niedaleko.

Pan Baltazar otworzył usta, osłupiał, nie wiedział co odpowiedzieć.

— Tak, dziś, jutro—rzekła pani Krzysztofowa—jestem tego pewna... I potrzebaby pomyśleć, panie bracie, gdzie pana Adama postawimy; boć to teraz wielki pan z niego: a gdzie ja go pomieszcę? Właśnie po to tu kochanego brata wezwałem, abyśmy się naradzili, jak go tu ulokujemy? gdzie? Pan Krzysztof zajmie swój pokój, ale pan Adam?... Toć to mu potrzeba, żeby było i obszernie, i porządnie co się zowie: człek już do wygod przywykły... i taki to dygnitarz...

Uśmiechnęła się sama do siebie jak anioł niewinnym weselem macierzyńskim, i spojrzała niebieskimi oczyma wypłakanemi na brata, który stał gryząc wąsy...

Pan Baltazar, choć żołnierz stary i z niedźwiedziem a z dzikiem gotów był jeszcze dziś w potrzebie pójść za bary, okrutnie się wszakże obawiał waryatów.... Wstrząsł się cały i pobladł, pomiarkowawszy, że pani bratowej zmysły się pomieszały. Cofał się nieco ku drzwiom, poglądając na nią. Ona się uśmiechnęła łagodnie, i to go nieco uspokoiło, że do żadnej furii nie widział podobieństwa.

— Ale siadajże, mój Baltazarze — rzekła — siadaj i radźmy, gdzie my go tu postawimy, tego pana kasztelana naszego... Kasztelana!!! ha! ha! Ja zawsze mówiłam, że go to nie chybi; jemu z oczu patrzyło, że się do tego urodził.

Pan Baltazar siadł z przeciwnej strony stolika, ale blady, drżący, kawy mu się odechciało, a po grzbiecie ciarki chodziły. Jak w tęczę patrzył w bratową, gotów na najmniejszy znak gwałtowniejszego poruszenia drapnąć z miejsca. Pot zimny oblewał mu skronie.

— Więc jak myślisz, panie Baltazarze?

— Ja? ja? ja jeszcze nie wiem, ja sędzę — ba! — kał stary, rzucając spojrzenia bojaźliwe — ja myślę, ja nie jestem jeszcze pewien czy on przyjedzie?

— Ale jakże nie przyjedzie, kiedy ojciec po niego pojechał, kiedy już pewną mamy obietnicę!

Pan Baltazar pokręcił wężą, ruszył ramionami, ale postanowił potakiwać jój, aby nie jątrzyć.

— Więc jak tam pani bratowa myśli?

— Ja tu nie widzę dla niego stosownego pomiesz-

czenia; byłabym za tém, żeby naprędce domek zbudować w lasku: ot powiem ci! tak! Przypominam sobie, że oglądając niegdyś rezydencję w Siedleach, widziałam w ogrodzie taką cudowną chatę, co to po wierchu wyglądała niby prosty dworek chłopski, a wewnątrz była pałacem, pieścidelkiem... Gdyby to co podobnego budować dla kasztelana?

— Ale to rzecz kosztowna, przerwał p. Baltazar, — a i czasoby na to potrzeba, gdy bratowa go się spodziewa tak prędko.

— Widzisz, odrzekła spokojnie pani Krzysztofowa: na wszystko są sposoby. Co się tycze pieniędzy, wiem, że pod starym dębem za ogrodem jest kocioł miedziany pełniuteńki złota; pilnuje go tylko jeden stary kot. Można by go zabić... ty tak doskonale strzelasz. Mnie się też zdaje, że Św. Józef jako z rzemiosła cieśla, gdybyśmy się do niego pomodlili, jednéjby nocy to zrobił ze swymi robotnikami... Wiadomo ci, że ma pod swoją władzą wszystkich bogobojnych cieśli, którzy pomarli od Narodzenia Chrystusa Pana, więc gdyby z nich przyprowadził stu... półtora...

W ostatnich słowach tak widoczne było pomieszanie, choć łagodne i pewnéj jeszcze logiki własnej się trzymające, że pan Baltazar nie wiedział już co odrzec, i począł smutnie potakiwać głową.

— Jakże się pani bratowa czuje? rzekł po chwili, odwracając rozmowę.

W istocie, na twarzy pani kasztelanowej, pomimo nieco obłąkanego wejrzenia, był spokój i zdrowie osobliwsze. Piła kawę z apetytem, zajmowała się, krzątała, kilka razy wspomniała o mężu jako o nieboszczyku; ale to nie przeszkadzało jój wkrótce potem, w téjże chwili mówić o nim jako o mającym powrócić.

Odzywała się nawet w ten sposób: „Gdy św. pamięci mąż mój przyjedzie...”

Po długiej dosyć rozmowie, której skutkiem było, że uprosiła Baltazara, iżby drzewo na budynek do lasku wożono koniecznie, odszedł stary żołnierz, i polecał natychmiast do proboszcza poradzić się co robić. Przyjechał proboszcz, rozplakał się, powzdychał, ale widząc ją z tém obłąkaniem tak szczęśliwą, wesolą, spokojną, tak prawie rozsądną, rzekł tylko:

— Dajże Wpan pokój biedaczce! Bóg litościwy zesłał jęj tę pociechę, nie odbierajmy jęj... zostawmy ją jak jest.

Mimo tajemnicy, jaką z tego czyniono we dworze, przez ludzi rozeszła się wieść po sąsiedztwie, a pan Melchior i Melchiorowa zaraz objawili zdanie, ażeby staruszkę w klasztorze gdzie osadzić, Wólkę zaś zagarnąć pod swój zarząd. Myśl ta wszakże z takiem oburzeniem została przyjęta, że się jęj wprędce wyprzeć musieli, dziwując się tylko po cichu, że tak naturalna rzecz tak źle zrozumiana została.

Krzysztofowa tak nieustannie dokuczała bratu, że wreszcie chcąc nie chcąc, musiał trochę drzewa zwieźć na domek w lasku, nie myśląc go wcale budować; ale się omylił sądząc, że tém bratową zaspokoi. Pilnowała sama roboty, chodziła, napędzała, trzeba było na seryo wziąć się do budowania o kilku pokoikach folwarczku. Budynek ten mógł się zawsze przydać, bo i nieboszczyk jeszcze myślał o oficynie: zdecydowano się więc postawić ją w lasku.

Codzień rano wdowa chodziła na obrane miejsce, siadała na kłodzie przy cieślach, odmawiała modlitwy do Św. Józefa patrona dobrej śmierci i ciesielstwa, karmiła ludzi, poila, prosiła, aby pośpieszali, a domek ten

wielec ją zajmował. Ale chociaż budowa ciągnęła się, zawsze jednak nazajutrz oczekiwała męża i syna; nie zrażało jęj to, że jutro nie przybywali, przywykła była nie *dziś* ich mieć, ale spodziewać się *jutro*.

Tak szczęśliwa zmiana w jęj twarzy, zdrowiu, humorze dokonała się przez to obłąkanie, że ledwie jęj nie winszować i cieszyć się było potrzeba. Pan Baltazar nawet widząc, że jest zupełnie spokojna, oswoił się z tém i potakiwał, ale niekiedy patrząc na biedaczkę wystrojoną odświętnie, uśmiechniętą do tego szczęścia, którego nigdy kosztować nie miała, łza mu wilżyła źrenice, i wzdychał ocierając ją rękawem.

— Oj! ludzka dola! mówił do siebie: ale któż wie gdzie szczęście? czasem w utracie rozumu i pamięci! Ot! jak Bóg zechce, czasem i utrapieniem pocieszyć potrafi, zsyłając jakby sen ciągły na człowieka... Dolo! dolo!... powtarzał p. Baltazar—oto są sztuki twoje!..

Już się ów domek dobrze podnosił i zrab stał prawie pod dach gotowy, z porządnie na mech kładzionych kłód grubych sosnowego drzewa... gdy jednego wieczoru, kiedy sobie Baltazar podśpiewywał a dumał, psy podwórzowe wybiegły za bramę i dziwnie ujadać zaczęły.

Próżno je z ganku przywoływał pan Baltazar, świstał, wołał, nie nie pomogło; ile ich było, aż do stariej ulubienicy pana Krzysztofa nieboszczyka, która się zwała „Wierna” (a była już od wieku podeszłego głucha i niemal z włosów wypełzła, i sypiała zwykle w piekarni pod piecem, w popiele, żyjąc na łasce),—wszystko wysforowało się za bramę, stanęło w rząd, i nuż szczekać a wyć.

— Ani chybi, wilka gdzieś czują nieopodał, rzekł Baltazar.

Ale psy pozwracały się w stronę wioski, posiadały, i zawodziły straszliwie.

Poszedł nareszcie sam Baltazar. Popatrzał, i zobaczył dwóch ludzi pieszo idących powoli od wioski... Wziął ich zdala za dwóch Żydów z kramikami.

Gdy się więcéj zbliżyli, jeden zatrzymał się pod krzyżem, około którego bywało pan Krzysztof modlił się wieczorami, drugi pośpieszał do dworu.

Psy wybiegły aż ku temu miejscu, ze starą Wierną na przedzie; ale o cudo! Wierna podszedłszy, powąchała, i przychodniowi zaczęła się łaścić. Reszta młodszych, z dala idąc, nie śmiała przystąpić, naszczekiwała, gderała, ale dając do zrozumienia, że przez gorliwość popełniła omyłkę.

Niezmiernie to zaciekawiło Baltazara, który już w bramie pozostał i czekał. Ktoś szedł do niego wprost czapkę zdjawszy, ale trudno go jakoś było poznać przeciwko światłu, aż się ozwał:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki!

Ale Baltazar choć rękę do czoła przyłożył, nie nie zobaczył.

— Ej! czy pan mnie nie poznał?

— A! toć ty! Jermaszka! Jezus, Marya! a ty tu co robisz? krzyknął Baltazar, dopiero go rozeznawszy. Jakesz ty tu przyszedł?

Sługa ruszył ramionami, odwrócił się do krzyża, wskazał milcząco na stojącą tam postać.

— No? a toż kto?

— A! kasztelan...

Pan Baltazar załamał ręce.

— Jak to? pan Adam?

— A on-ci to sam!

— Cóż? pieszo? jak może być?

— Czyż nie nie wiecie?

— A cóż mamy wiedzieć?

— A no! co się stało, to się stało! zawołał Jermaszka, kiwając głową. Krótko mówiąc, rozwód, prześladowanie: zabił Francuza, i musieliśmy uciekać.

— Jakiego Francuza? spytał Baltazar.

— A no! ono to tego, co na nas jejmość nasłała.

Stary żołnierz nie rozumiał. Mało tu wiedziało o sprawach kasztelana; potrzeba było dłuższego opowiadania, aby te zmiany losu stały się im zrozumiałe. Nie troszcząc się wcale o to, co i jak zaszło, poczuł Baltazar, że należało co rychléj pójść przegarnąć pana Adama.

— A! a! zawołał: co to będzie z nią? z matką? jak to jój powiedzieć? co tu począć?.. On się ich spodziewa... ale inaczej! inaczej!

Jermaszka nie znowu o stanie umysłu staréj jejmości nie wiedział, nie zrozumiał obawy pana Baltazara, który stał, czapkę zdjął, i włosy sobie targał na głowie.

— Do jutra go potrzeba ukryć, a tę nieszczęśliwą przygotować. Tak go od razu wprowadzić niepodobna... mogłoby ją to zabić.

Pośpieszył Baltazar z Jermaszką do stojącego opodal jeszcze kasztelana. Znalazł go pod krzyżem zadumanego, z usty zaciśnionemi, do niepoznania zmienionego i strasznego po przebytéj chorobie. Niewczas, osłabienie, podróż pełna niewygód i długa, okrutne ślady wyryły na tém piękném, młodém jeszcze, a już zwiędłym obliczu. Gdy stryj zbliżył się, uścisknęli się w ponurém milczeniu.

— Matka? spytał krótko pan Adam.

— Żyje, zdrowa, odparł Baltazar;—ale tu się nieco wstrzymał—potrzeba jój cierpienie, jój stan poszanować. Nie możecie wniść tak nagle, musimy ją przygotować. Do jutra odłożymy widzenie się z nią.

— Dajcie mi więc kąt jaki—rzekł kasztelan—byle łoże i spoczynek... Trzebaż było, abym po latach tyłu wrócił tu obcym, pieszo jak żebrak! Tak chciała sprawiedliwość... tak być było powinno...

Szczęściem, że gdy ta scena odbywała się przed wrotami, Krzysztofowa była już w swoim pokoju; można więc było przeprowadzić pana Adama do izby w oficynie, którą zajmował Baltazar, chętnie mu jój odstępując. Kasztelan rzucił się na posłanie, a że był bardzo znużony, nie ściągnął nawet sukni, i z gorzkiem uczuciem; jakim go poilo to przybycie do domu rodzicielskiego, pozostał w pół osłupiały, lży jedną nie mogąc uronić. Jermaszkę otoczyli ludzie dworscy, badając, rozpytując; od nich dopiero dowiedział się o stanie samej pani. Włosy mu powstały na głowie; począł biedny płakać i ręce łamać.

— Ale nie, nie, to być nie może! gdy go zobaczy, oprzytomnieje... zawołał pełen nadziei—pozna...

Namówili się więc z panem Baltazarem, aby kasztelanowi nie mówić nic o obłąkaniu matki, przygotować ją powoli, i potem wprowadzić go do niej. Nie bez obawy jednak to przedsiębrano. Któż mógł przewidzieć, jakie wrażenie mógł uczynić widok syna na biednej staruszce?

Noc upłynęła na radach. Baltazar wzdychał, nie bardzo wiedząc co począć; ranek mu dodał otuchy, ale że oka nie zmrużył, czuł się straszliwie zmęczonym... Zwykle teraz, od czasu jak budować počęto, zapraszała go na kawę pani Krzysztofowa,—i tego dnia też

przysłano po niego. Cekał tylko téj chwili; przeżegnawszy się, wszedł do jój pokoju.

— No, mój kochany Baltazarze—rzekła—dom dla pana kasztelana się kończy; dziś, jutro, aniołowie gotowy dach przyniosą i postawią. Niezadługo i on będzie.

— A! bratowo dobrodziejko! zmienionym głosem rzekł Baltazar. Bardzo to być może, ale on podobno przybędzie sam... Słychać, że na świecie go tam jakieś kłopoty spotkały, i powraca dosyć biedny.

— Coci się śni! rozśmiała się Krzysztofowa. On biedny? Jak możesz takim plotkom ludzi niechętnych dawać wiarę? Jak Adamowi może być źle na świecie? dla czego? Wstydź się! on pan, magnat, ulubieniec króla!

— Aleć to bratowo, ta łaska i to szczęście na pstrym koniu jeździ.

— No! no! już się ty o niego nie obawiaj; da on sobie radę.

— Obawiać się nie ma czego—rzekł Baltazar—boć to wszystko w ręku bożych. A choćby i biednym był to go tu przytulimy.

— Ale co mi WPan prawisz o jakiejś tam biedzie! ofuknęła Krzysztofowa. Co to jest? dodała z gniewem widocznym—zkaż te plotki do waszmości doszły? kto ci niemi głowę nabił? Wstydź się! to jakieś złych ludzi szeczekania.

— Powiem więc bratowej, że ja coś więcej niż gawędy słyszałem—rzekł Baltazar—bom sam pana Adama widział.

— Gdzie? co? kiedy? porywając się, zawołała staruszka.

— Muszę już wyznać prawdę: on przybył i jest tu od wczoraj—jest tu...

Pani Krzysztofowa pobladła, ale szybko dodała:

— Gdzież konie? ludzie? dwór?

— Co tu mówić już o ludziach, dworze i koniach! Przywlekli się obaj pieszo z Jermaszka; on mizerny i chory...

— Ale co się waszmości śni! oburzyła się staruszka, i krzyknęła: To bajki! to wierutne bajki!

W tej chwili właśnie gdy to wymawiała, otwarły się drzwi, i pan Adam się ukazał.

Matka patrzała na niego długo, długo, ale zupełnie obojętnie. Było widoczne, że wyobrażnia jej śniła innego syna, i że ten biedny, blady, znękany, ubogo odziany człowiek, nie był wcale do tamtego we snach długich widzianego podobny.

Pan Adam powoli począł się zbliżać.

— Któż to taki? spytała zimno Krzysztofowa.

— To ja, to ja, matko! rzekł kasztelan.

Ale i głos go jej nie przypominał.

— Któż to, ten ja? zacinając usta, odezwała się, odsuwając z krzesłem wdowa. Kto to, ten ja?

— Adam twój!

Mileczenie trwało kilka sekund. Krzysztofowa mierzyła go zimno oczyma, z pogardą prawie, i kiwała głową.

— Mój panie! rzekła w końcu: to jest prawdziwie albo bezwstyd niepojęty, albo żarcik bardzo głupi... Między waćpanem a synem moim panem kasztelanem, nie ma nawet najmniejszego podobieństwa... Takie szalbierstwo udać się nie może. Prawda, że go nie widziałam od dawna, ale serce matki pozna i poczuje dziecko swoje... Jeżeli waćpan żadasz jakiej pomocy, jałmużny, to mu się da; ale proszę tu nie przybierać wcale tych fałszywych pozorów, bo się mogę pogniewać. Syn mój jest wielkim panem,

kasztelanem, starostą — a nie jakimś tam odartym włóczęgą.

I uśmiechnęła się tryumfująco, poglądając po twarzach przytomnych, gdy p. Baltazar stał blady i trząsł się, Jermaszka ukryty za drzwiami ręce łamał. Sam Adam, spuściwszy głowę na piersi, stał jak posąg, skamieniały.

— Panie Baltazarze! odezwała się po chwili pani Krzysztofowa: proszę wziąć tam tego jegomości na folwark, dać mu wygodę, wspomódz, ale niechże mi nie śmie na mocy tego, że dawno syna nie widziałam, brać na siebie jego roli, bo za przybyciem s. p. mojego męża i pana Adama, może być srodeż za to ukarany — i wart! o wart! Proszę, co za zuchwalstwo! to nie do wiary... czego to się ludzie dopuszczają!

Przytomnym słów brakło. Pani Krzysztofowa zdawała się chłodna, zimna, rozważna, patrzała w oczy synowi, ruszała ramionami, śmiała się, a w końcu wskazała mu drzwi dosyć rozkazująco. On nie miał siły się ruszyć... Baltazar i Jermaszka bojąc się rozdrażnienia biednej wdowy, wzięli go za ręce i wywiedli.

Krzysztofowa dopiero teraz gdy wszedł, postrzegła Jermaszkę, i natychmiast go poznała.

A ty tu co robisz? zapytała.

Ten mileząc, padł jej do nóg, i wskazał na syna.

— No! no! dosyć tych tam głupich żartów! odparła. Toście sobie widzę ułożyli mnie starą chcieć zwodzić; ale mówię wam, jak nieboszczyk powróci z Adamem, dadzą wam za to! Ale żebyś też i ty, mój Jermaszko, do takich spisków należał! Patrzajże sam — dodała — gdzie tu jakie najmniejsze podobieństwo do Adama, do mojego ślicznego chłopaka, do

tego pana, co całemu światu głowę zawraca! Co wy mi pleciecie!

To rzekłszy, żywo do ogrodu odeszła z kluczami.

Wrażenie, jakie tą przykra scena uczyniła na przytomnych jój, szczególnie na samym kasztelanie, nie daje się opisać. On jeden nie był uprzedzony o stanie matki, dla niego wydało się to niepojętą, ale sprawiedliwą karą bożą. Gdy pani Krzysztofowa oddaliła się, pozostał jak wkuty w ziemię, nie wiedząc co począć z sobą. Nalegać na nieszczęśliwą nie było podobna; trzeba było wszystko zostawić czasowi.

Baltazar starał się dla pocieszenia go wmówić w kasztelana, że inne usposobienie powoli przyjsć musi, ale odzywał się do słupa; pan Adam nie słyszał nic, nie widział. Nie rzekłszy słowa, dał się uprowadzić Jermaszce, który sam rozplakany, nie znajdował wyrazów, by mu jego cierpienie osłodzić. Jeszcze nie byli w dziedzińcu, gdy pani Krzysztofowa przez służącą kazała do siebie przywołać Jermaszkę.

Biedne człeczysko z jakąś nadzieją pobiegł raczej niż poszedł do pani. Zastał ją z twarzą surową, siedzącą na kłodzie przy budującym się domku.

— Cóż to tam za komedję gracie ze mną? po co ty do niej należysz? odezwała się do niego surowo pani Krzysztofowa.

— Pani! rzekł powoli sługa: na nieszczęście, to nie jest komedya, to nie udanie, to szczerą prawdą... Nikt to inny, tylko twój syn, pani moja; ale syn nieszczęśliwy, wygnaniec biedny, bannita... Tyś go się spodziewała ujrzeć inaczej, ale Bóg tak chciał... Cóż my poradzimy przeciwko woli Jego? Czyż możesz go pani nie poznać?

Pani Krzysztofowa aż wstała na te słowa.

— Cóż ci się śni? Oszukali cię ludzie! Gdzież to mój Adam?... to stary, bladej jakis oszust, któremu źle z oczu patrzy... Ale to być nie może, to nie jest... Zobaczycie, gdy przyjedzie *nieboszczyk*...

I pogroziła mu palcem na ustach.

— Dać mi z tém pokój, i więcej nie wspominać. Tylko co nie widać, jak oni nadjadą. Ja ci to przebaczam, ale już dość, dość... bo się gniewać będę... Nie pokazywać mi się więcej z nim na oczy.

Jermaszka westchnął, wstał z ziemi, i stał jak winowajca z rękami założonemi, ze spuszczoną głową. Widział teraz, że na to obląkanie nie ma ratunku— odszedł powoli.

Cały ten dzień prawie przesiedziała u robotników pani Krzysztofowa, trochę smutniejsza niż zwykle. Pan Adam leżał na łóżku milczący i pogrążony. Baltazar sądząc, że zaśnie, zostawił go samego.

Słońce już zachodziło, gdy kasztelan porwał się, oglądając wkoło, i wybiegł na podwórze. Znał z dzieciństwa jeszcze pamiętne sobie kąty; wpadł do domku i przetrząsł cały, napróżno tu szukając matki. Nie znalazłszy jój, wybiegł do ogródka, ale i tam jój nie było. Ubitą ścieżynką trafił do budującego się domku przy lasku. Robotnicy już się byli rozeszli, staruszka z różańcem w ręku sama jedna modliła się zadumana na kłodzie, gdy pan Adam powtórnie zbliżył się do niej.

Widać, że mało mu się przypatrzyła z rana, lub go już była zapomniała, jak zwykle obląkani, gdyż wcale go nie poznała; a gdy się przybliżył, wstawszy dygnęła mu jak obcemu, którego by po raz pierwszy spotkała.

P. Adam wzruszony, rzucił się przed nią na kolana.

— Matko! matko! zawołał — matko moja!... czyż ani głos, ani twarz... tego nieszczęśliwego syna ci nie przypomniał? Matko, czyż i ty mnie nie poznasz?

Pani Krzysztofowa cofnęła się nieco nastraszoną; ale ruszyła ramionami, nie okazując, aby poznała Adama.

— Cóż się to WPanu Dobrodziejowi stało? odparła. Jakież jest podobieństwo między nim a synem moim panem kasztelanem? Syn mój jasny był jak słońce, wesół, świeży, młody, niepodobny do niego ani z twarzy, ani z głosu. Jeśli nie oczy, to poznałoby go pewnie serce macierzyńskie... Ale proszę sobie ze mnie nie żartować.

— Matuniu! rzekł z wyrazem rozpaczony p. Adam: to ja! to ja! twoje dziecię jedyne, nad którego głową tyś śpiewała piosnkę nadziei... który uszedłem od ciebie niewdzięczny... Winienem, występny byłem i srodcie ukarany zostałem. Przychodzę do ciebie wygnanym, ubogim, biednym, cierpiącym — czyż podobna, abyś ty mnie nie poznała?

— To jakiś biedny waryat! szepnęła do siebie po cichu Krzysztofowa. Potrzeba z nim być ostrożnie i nie drażnić.

Pokiwała głową, nie nie odpowiadając; po chwili tylko przebaknęła:

— Tak! tak! mogło być coś podobnego... zobaczmy... Ale proszę WPana Dobrodzieja do pokoju... chłód wieczorny...

To mówiąc, powstała z wyrazem przestrachu na twarzy, i powoli posunęła ścieżką ku domowi. Kasztelan zamilkł, i zaciąwszy usta, powłókł się za nią nie śmiejąc się już odzywać. W duszy jego było tak czarno, jak niegdyś w sercu tej kobiety, gdy jechała

zobaczyć syna utraconego... a zastała obcego jęj prawie człowieka.

Na pół drogi niespokojny dognał ich p. Baltazar, dopatrzawszy, że mu uszedł Kasztelan. Pani Krzysztofowa mrugnęła na niego, pokazując mu idącego za sobą, i ruszyła ramionami, jakby mu dawała do zrozumienia, żeby go sobie zabrał. Ale kasztelan pozostał w dali, nogi mu drżały, padł na ławkę u płota ogrodowego, i głowę w dłonie ująwszy, nie płakał, ale krwawo bolał. Gdy ujrzała, że go już blisko nie ma, p. Krzysztofowa odezwała się po cichu do Baltazara:

— Ale to jakiś waryat! mój bracie! Weźcież go sobie... bo ja się go boję. Uroił sobie nieborak, że jest synem moim. Trzeba go pilnować biedaka, wyraźnie ma zmysły pomieszane. Gdy jegomość nieboszczyk z p. Adamem przyjedzie, przykróść im to zrobi. Pilnujcież go proszę, aby mnie nie nachodził.

Pan Baltazar nie na to nie odpowiedziawszy, skłonił się tylko i zwrócił do kasztelana. Znalazł go na ławie, w pół żywego ledwie, z suchemi oczyma, pogrążonego w jakimś strasznym, niemym dumaniu.

— Panie kasztelanie, rzekł: nie zrażajmy się tém. Jestem pewien, że to przejdzie, — to lekkie pomieszanie, skutek dotkliwych długich cierpień... trzeba znosić mężnie i czekać. Po jakimś czasie, jestem pewien, sama się spyta, oprzytomniawszy... ale trzeba być cierpliwym.

Kasztelan nie nie odpowiedział.

— Jest rzecz druga, poniekąd gorsza, z którą przychodzę, dodał pan Baltazar. W tej chwili proboszcz przysłał do mnie z przestrogą, abyśmy, jeśli się tu kasztelan znajdujesz, starali się go ukryć, gdyż zdaje się, że go poszukiwać mogą. Wydane są listy gończe;

nieprzyjaciele łąco się domyślą, gdzie najprędzej i najprawdopodobniej go znajdą. Trzeba się ukryć lub uciekać.

— Dla czego? zapytał kasztelan. Czy myślisz, że mi tak życie drogie? że mi jeszcze pozostało co, czego bym żałował? Niech mnie pochwyć; cóż mnie gorszego czekać może nad to, co jest? Życie mi obrzydło, mogą je sobie wziąć.

— To chwila, kochany kasztelanie, to chwila! Jakiś się wszystko zmienić może i musi. Życie zawsze ochraniać potrzeba, bo los poprawić się może, a śmierć zamyka wrota wszelkiej nadziei, prócz... niebieskich... Zresztą, choćby to życie stało się tobie obojętnem, obowiązkiem jest drugich starać się je tobie ocalić.

— Róbcie ze mną co chcecie!

— Poszukiwać was mogą tylko tu — rzekł Baltazar — lub u moich braci; wątpię, żeby śledzili zbyt ściśle... po okolicy. Jermaszka zaprowadzi was do strzelea w borze, który nie znając kasztelana, przecho-wa go, dopóki nie rozpoznamy niebezpieczeństwa. Ja tymczasem będę się starał matkę powoli wywieść z tego przykrego stanu.

Stało się tedy, że tegoż jeszcze wieczoru, kasztelan w towarzystwie nieodstępного Jermaszki, manowcami przedarł się w lasy do chaty strażnika. Nocą zjechali sądowi z pachółkami do dworu, i śladów jego nie odkryli nigdzie.

Pani Krzysztofowa przy wieczerzy już ani wspomniała o tym mniemanym synu, ani spytała o niego, wróciła do pierwszego humoru, zaczęła mówić o przedkiem przybyciu nieboszczyka z synem, o dokończeniu dla niego domku, i pożegnała pana Baltazara pełną najweselszych myśli.

Stan ten ję umysłu i serca tak był dziwny a przejmujący, że brat nie mógł na nią patrzeć bez łez i wzruszenia. Ocierał ciągle twarz pod pozorem kręcenia wąsów, a im wesołość biednej obląkanej była większa, tém pan Baltazar częściej z wąsami miał do czynienia; odwracał twarz zasępioną szepcząc:

— Palec boży! palec boży! Przebacz mu Panie!

W kilka dni potém, przybył dobrze teraz podstarzały, ale zdrów Dyogenes Kapustyński, który przez poszanowanie boleści pani Krzysztofowej chował tu swą skrzypkę i od śpiewania się wstrzymywał. Potém nadjechał proboszcz, dla rozpytania się o to, jak się odbyło poszukiwanie kasztelana w Wólce Brzozowej.

Właśnie im z żywością całą tę przygodę opowiadał pan Baltazar, gdy przed ganek bardzo niespodzianie zatoczyła się kolaska niekryta, porządną czwórka małych, ale tęgich i zwinnych koników ciągniona. Wyskoczył z niej małego zwrostu, ale bardzo wytwornie przyodziany mężczyzna, z wielkimi drygami i ukłonami pytając o gospodarza.

Pan Baltazar chowając swą fajeczkę po za siebie, wystąpił, jakby pytać chciał, co tego nieznajomego tu za lichu przyniosło?

Po kilku tancerskich ukłonach i ustawieniu się w pozycyi bardzo wymuszonej, Maluta, którego łatwo nam poznać, zaprezentował się jako przybyły z interesem poufnym do pana kasztelana.

— Ale niestety!—odezwał się pan Baltazar po-

dając mu krzeszło—pana kasztelana nie ma tu... i nie było.

— Jak to? nie ma? może to być? Nie ma tu kochanego mego kasztelana dobrodzieja? a ja sądziłem... Jak to? więc i nie był? spytał pan Floryan, patrząc w oczy Baltazarowi.

— I nie był! rzekł przelykając z trudnością kłamstwo stary żołnierz.

— A gdzieżby się podział?

— Ubolewamy nad tém, że niewiemy... rzekł Baltazar chłodno.

Gdy ten początek rozmowy półgłosem się między nimi odbywał, Dyogenes z kąta ponuro i szydersko przyglądał się gościowi, kiwał głową, a usta kręciły mu się śmiechem jakimś bolesnym, ledwie powstrzymwanym.

Oczy Maluty latały tymczasem niespokojne dokoła, jakby wyszpiegować chciały, co się w sereach i głowach zgromadzonych osób działo. Przeleciały one raz i drugi po twarzach wszystkich: i z dziwną w ostatku zawziętością zatrzymały się na Dyogenesie, który tak-że z oka przybysza nie spuszczał.

— No, jakże ci się zda... panie Floryanie?—odezwał się długo milezeniem go wytrzymawszy Dyogenes—nie prawdaż, że to siurpryza zastać tu, zamiast kasztelana, takiego jak ja wujaszka? Albo ja, czym się spodziewałem takiego wierepiętego siostrzeńca tu zobaczyć... przerobionego na lalkę niemiecką?

— A! jak mi Bóg miły... to wy! ale na honor...

— Stój, stój! nie rzucaj się w moje objęcia, mógłbyś popsuć fryzurę i tupet, a ja cię chcę w pełni twe-go blasku oglądać i nasycić się obrazem twój wiel-

kości, składającą się z korków i czuba... Stój z daleka! ślicznie wyglądasz.

Pan Floryan posłuszny, kryjąc pod uśmiechem niepokój, wstrzymał się na pół pokoju. Dla przytomnych ta scena niełatwo zrozumiana, zaczynała być mocno zajmującą. Dyogenes przypatrywał się, smutnie kiwając głową.

— Co się to z waszeci stało! westchnął. Zamiast orać domową skibę, poszedłeś w rynsztokach łowić brudy. Panie Floryanie, *proh horror!* patrzę i oczom nie wierzę!

— Ależ kochany wuju!

— Stój! Wuja twego zwa Dyogenesem, nie dla tego, że stary, przygarbiony i lachmanowaty, ale że prawdę surową mówi bez przyprawy. Ostrożnie więc! wuj jegomości rodzony, choć wieśniak peregrynujący o kiju ze skrzypką, tak dobrze wie gdzie się co dzieje, jak gdyby siedział w pewnym domu w Warszawie, do którego się zbierają wiadomości różnemi mniej więcej brudnemi rynsztokami. Wuj twój zna cię panie Floryanie na wylot, choć ty go nie znasz nawet z lupiny; a że mamy świadków, możebyśmy familijną rozmowę odłożyli sam na sam.

Floryan się mocno zarumienił, ale nadrobił śmiechem. Dyogenes mu pogroził, i z powagą wojskową rzekł:

— Czegoś ty tu przyjechał? Nie kłam, mów szczerze:

— Słowo honoru—odparł Maluta szybko—w interesie pana kasztelana, dla jego dobra, bo go kocham, szanuję i nad losem jego boleję. Słowo uczeiwe.

Z kądże to słowo wzięłeś? trzeba by je obetrzeć, gdy z twoich ust wychodzi—dodał wuj ciszéj.—No, dalej!

Pan Baltazar podsunął krzesło, sam nieco z proboszczem usuwając się na stronę, za co Maluta trzema ukłonami i ściśnięciem ręki gorącym mu podziękował.

— Rzecz się tak ma, rzekł pan Floryan:—Kasztelanowa syta zemsty... ale wuj może nie wie całej historii?

— Wuj wie wszystko—odparł Dyogenes,—nawet to, czego by nie rad wiedzieć. Mów asindziej bez objaśnień.

— Kasztelanowa ani wdowa, ni rozwódka, ni mężatka, a między nami mówiąc, pragnie pójść jeszcze za mąż.

— Który raz? zapytał Dyogenes.

— Dopiero trzeci.

— Tak, kanony nie bronią, a dla możliwych to dyspensy się znajdują. Do trzech razy sztuka, zresztą... Mów dalej.

— Otoż pragnie ona stanowczo ułożyć się z panem kasztelanem, wywieść go z tego niebezpieczeństwa, w jakim się obecnie znajduje, i raz skończyć zgodnie.

— Tak, aby nie obawiając się jój kasztelan wpadł w łapkę.

— Sądzę, że nie.

— A ja sądzę, że tak. Ale czegoż on chce?

— Zgody, za którą gotowa zapłacić, jak myślę.

— A Wpan panie Floryanie podejmujesz się faktorstwa, i myślisz znękanemu człowiekowi rzucić w twarz workiem złota, kupić go sobie! cha! cha!

Pokiwał głową. Pan Floryan spojrział na mankietki u rękawów.

— I WMości tu przysłano? spytał Dyogenes.

— Jako przyjaciela domu.

Kapustyński, którego gęste brwi zaszyły były na oczy, począł spuściwszy głowę tęsknie wzdychać, obejrzał się, chwycił wreszcie Malutę za rękę.

— Słuchaj-no! rzekł: poszedłeś złą drogą, złą, złą! Ja wiem wszystko: możesz zejść prościuchno do... szubienicy. A na zagonie WMość, spokojniejszy byłbyś i szczęśliwszy. To sromota! ohyda!

Pan Floryan cały drżał, i tak mu to humor popsuło, że milezał, wargi tylko dygotały, a słowa wymówić nie mógł.

— Widzisz waćpan siostrzeńcze, jak to źle być gałganem! dodał Dyogenes, Stój daleko odemnie, bo choć brudny jestem, boję się powalać od twych elegancyj i zasmrodzić twojemi wonnościami. Wszystko to kupiono za gotowe sumienie.

Niewysłowione było zakłopotanie człowieka, który wpadł na tego wujaszka nieokrzesanego jak na gniazdo os.

— Ale proszę WP. Dobrodzieja—odparł po chwili—to są wszystko potwarze! Jabym się ze wszystkiego wytłómaczył, gdyby nie to, że wuj jest uprzedzony. Kalumnie nieprzyjaciół... Przyjmuję to od brata matki mojej jako przestrozę... Ale co się tyczy pana kasztelana, dalibóg! przecie stając tu jako pośrednik, nie grzeszę.

— Do takiego układu? spytał Dyogenes. Prawda, że to się jeszcze u was za zasługę uważa kusić brata pieniędzmi, bo wam byle pieniądz, to już nie nie braknie.

— Ale słowo honoru...

— Nie plujże mi tym honorem siostrzeńcze... dość tego! Kasztelana tu nie ma, aniśmy go widzieli; ruszaj sobie, jakieś przyjechał, z kwitkiem, i nie waż mi się więcej zaglądać do tego domu. Ja tu stoję na straży. Jest to dom uświęcony wielkim cierpieniem, śmiercią mego przyjaciela, który zmarł z rozpacz, obłąkaniem matki strutą tęsknotą... samą niebytnością dziecka, które tuła się bez dachu i schronienia... Jakże ty możesz z myślą jakichś targów przystępować te progi?

— Ale w najlepszej intencji, niechże wuj łaskawie rozważyć raczy. Maż on na wieki zostać tułaczem, prześladowanym, a ona?...

— Niech ją weźmie szatan, któremu duszę sprzedał! przerwał porywezo Dyogenes. O nią mi nie idzie. Jestżeś choć pewien, że ona chce zgody?

— Najpewniejszy, bo to jest jój interesem: chce wyjść za męża.

Dyogenes się zamyślił.

— Cóż na to radzić—rzekł—kiedy go tu nie ma!

Pan Floryan skromnie się uśmiechnął, nabrawszy nieco ducha.

— On tu musi być—odparł—tu a nie gdzieindziej, bo gdzieindziej być nie może.

— A no, to szukajże go sobie.

Właśnie tych słów domawiał, gdy weszła pani Krzysztofowa, strojna, uśmiechnięta, grzecznie witając gościa. Pan Floryan, na widok sukni kobiecej, poprawił tupeta i bardzo się jój zgrabnie uklonił. Ona długo, długo patrzyła na niego.

— A! wiem! odezwała się, pan zapewne jesteś marszałkiem dworu mojego syna?

Maluta obraził się nieco, ale załatał gniew poprawiając żaby.

— Kiedyż nareszcie doczekam się jego i *nieboszczyka* mego męża?

Pan Floryan na to wyrażenie szeroko oczy otworzył. Był bez przesądów, jak na ów wiek przystało; ale jednakże wspomnienie o nieboszczyku, o którego przyjeździe on miał wiedzieć, jako złe *preasagium* go dotknęło. Ci, co w ośmnastym wieku nie wierzyli w Boga, wierzyli w przepowiednie i czary.

Uśmiechnął się tylko, ale pani Krzysztofowa powtórzyła pytanie:

— Domyślam się już wszystkiego, rzekła: chcą mi zrobić siurpryzę... W Pana nieboszczyk wysłał na wzwiaży... tak? Nie wolno ci mówić kiedy ś. p. mój mąż przyjeździe, ale wolno może powiedzieć, jak się ma syn mój pan kasztelan?

— Mów co chcesz, ale gadaj zaraz! podszeptął trącając go łokciem Dyogenes. Winniśmy poszanowanie dla wielkich boleści i ich skutków. Czołem przed nią... mości panie!

— Ale cóż powiem?

— Mów co ci się podoba, bylebyś ją pocieszył.

— No, jakże? zapytała Krzysztofowa — tajemnica?

— Tak jest, Pani Dobrodziejko, odezwał się wreszcie p. Floryan: nie wolno mi o tym mówić.

— Może chcesz W Pan obejrzeć dom, który na prędce kazałam wybudować na przybycie pana kasztelana. Weale będzie wygodny.

— Wierzę zupełnie, i niepotrzebuję się o tym przekonywać.

— Ponieważ kasztelan będzie miał zapewne z sobą

z dziesięć koni, nie zapomniałam i o stajni—dodała matka—i o izbie dla jego dworu. Co się tyczy W Pana Dobrodzieja, który musisz być marszałkiem dworu jego, postawimy go na lamusiku; weale tam jest nieźle... trzeba ubogiej szlachcie wybaczyć... Powiedz tylko pan, proszę, nieboszczykowi mężowi memu, niech się śpieszą, bo czy wypatrzyłam oczekując na nich.

— Panu kasztelanowi powiem to przy pierwszym widzeniu się—odpowiedział Floryan, który zaczynał wierzyć, że istotnie kasztelana nie ma.

I dygnawszy z wielką powagą, jak przystało na matkę dygnitarza, pani Krzysztofowa posuwisto, powolnie wyszła z pokoju. Przez dosyć długi czas panowało milczenie.

— Przekonałeś się choć z tego, że kasztelana tu nie było? zapytał Dyogenes.

— Nie ma! wierzę! odparł pan Floryan, którego widok obłąkaną poruszył i zmieszał, — wierzę już we wszystko co chcecie! ale to rzecz okropna... na to niepodobna patrzeć!

— Tak! tak! wy pieszczochy, na żadną wielką a świętą boleść patrzeć nie możecie! rzekł Dyogenes. Czułe serca! wolicie zabawki i fatalaszki wasze... psuje wam to apetyt! Biedaki! chcielibyście, żeby wszystkie biedy zwięź do jednego szpitala, aby się wam na oczy nie narzucały, nie prawdaż?

— Cóż odpowiem pani kasztelanowej? szepnął Floryan. Istotnie nie państwo o nim nie wiecie?

— A gdybyśmy i wiedzieli—przerwał p. Baltazar, jakoś nabierając odwagi,—chcesz W Pan, abyśmy byli Judaszom podobni i wydali tularza w ręce tej zacnej pani, której zemsta go ściga?

— Ale tu & zemście już mowy nie ma, potrzeba go ratować.

— Kto WPanu zaręczył, że ta kobieta nie udaje, że pod pozorem układu nie myśli o zdradzie? nie znaszże jój?

Floryan zadumał się nieco.

— Nasadziła na niego Francuza, może nasłać zbiorów, nie ma nic niepodobnego, rzekł Dyogenes. Więc widzisz, że gdybyśmy nawet coś i widzieli, to ci powiedzieć nie możemy. Na dowód zaś, że go tu nie ma, obejrzyj kąty, pytaj ludzi.

— Bądź co bądź, cóż pocniemy? spytał Maluta. Chować się tak całe życie nie może, ona też jest nie-szczęśliwa, trzeba to raz skończyć.

— Nie mamy żadnej rękoi jój sumiennosci... odparł pan Baltazar, — słowo u niej nie nie znaczy, przyrzeczenia łatwe, ale nie ciągną za sobą do-trzymania. Nienawiść trwa; musimy więc to zo-stawić Bogu i losowi, aby rozwiązali jak się im podoba.

Maluta widząc nareszcie, że tu nie nie dokaże, za-bierał się do odjazdu, gdy go w ganku jeszcze Dyoge-nes zatrzymał.

— Miejsze odwagę być szczerym—rzekł—i powiedz jój, że słowu danemu przez nią nikt nie wierzy; może się przyczynisz do poprawy. A tobie jeżeli mam dać jaką radę—chcesz? powracaj do Warmii, wdziej kubrak, órz zagon, a rajfurem być zaprzestań. Żadne złe tajemnicą nie pozostaje, a sprawiedliwość bozka i ludzka prędzej lub później ściga winnych... *Diawi*. Życzę ci tego na co zasłużysz,—bywaj zdrów!

Gdy pan Floryan powrócił za Bug do wdowy i roz-gościł się znowu w oficynie, długo nie było go widać

na pokojach. Przysyłała po niego pani domu parę razy, ale się namyślał, nim nareszcie poszedł powol-nym krokiem do kasztelanowej. Przestrogi wuja, heroiczne lekarstwo, poskutkowały mocno. Pan Flo-ryan pomiarkował się, i rad był istotnie dwór, stolicę i ich nieprawości porzucić. Jakaś niespokojność go opanowała.

Spojrząwszy na niego, kasztelanowa zmiarkowała zaraz, że wyprawa nie poszła najlepiej.

— Już W Pana nie pytam, odezwiała się: bo widzę z twarzy, żeś albo z niezem, albo ze złem powrócił.

— Ani jedno ani drugie, odparł pan Floryan. Nie mogę powiedzieć, by z niezem, a trudno mi wy-znać, że z dobrém... At—ni to ni owo, złego też nie ma.

— Cóż tam przecie przynosisz? bądź W Pan szcze-rym.

Kasztelana nie ma w Wólce, sama tam tylko matka, obłąkana, która się go spodziewa. Widzenie jój przejęło mnie strachem, i prawdę mówiąc, litość. Spodziewa się codzień męża, który zmarł przed kilku laty, i pana kasztelana. Dla syna buduje dom, roi o jego losach świetnych i wielkości. Zdaje mi się, że familia o nim wie, ale mówić nie chce. Gdym zaproponował układy, odpowiedzieli mi tak ostro istotnie, że nawet powtórzyćbym tego nie śmiał.

— Mów W Pan wszystko; wiele słyszałam w ży ciu—rzekła kasztelanowa z uśmiechem,—nie zlekne się i nie zmartwię.

— Odpowiedzieli mi, że w dobrą wiarę tych ukła-dów ufności nie mają, że chcesz pani tylko dowie-dzieć się o nim, aby go łatwiej zgubić... i że z panią w traktaty wchodzić niepodobna...

Kasztelanowa zarumieniła się.

— Może mieli słuszość, rzekła. Cóż więc?

— Reszta—odpowiedział pan Floryan— była dla mnie; miałem i ja kasek smaczny do przelknięcia.

Kasztelanowa szydersko prawie spojrzała na niego, i zrozumiała, że tym razem nie kłamał.

— Ciężka to była missya, dodał pan Floryan; drugi razbym się jój nie podjął, zwłaszcza wiedząc, że tam wuja mojego znajdę, który jest najstraszniejszym weredykiem jakiego ziemia nosi. Niech go kaci porwą!

— Nie powiedziałaś im też Wpan, że odrzucając układy, zmuszą mię do jeszcze prędszój zemsty, bo się przecię z położenia fałszywego wyzwolić potrzeba.

— Przyznam się pani, że języka w gębie zapomniał, tak mi tam głowę myto.

— O biedny panie Floryanie!... Więc koniec końców, co?

— Zdają na losy i Boga rozwiązanie sprawy...

— Niechże ją Bóg i losy rozplączą! marszcząc brwi dodała kasztelanowa. *A la guerre comme à la guerre*, przecież są ludzie, co szukać umieją i znaleźć potrafią.

Słowa te jakiś tajemniczej groźby pełne, tak przeraziły pana Floryana, że odsiedziawszy tydzień w oficy milezacy, pożegnał kasztelanową i wybrał się pod pozorem pilnych spraw do Warszawy.

Kilka miesięcy upłynęło od opisanych wypadków; w położeniu osób należących do naszej powieści nie się prawie nie zmieniło; stan tylko pani Krzysztofowej nieco się pogorszył. Od niejakiego czasu widocznie podchmurniała, niecierpliwiła się, a że dom był już z gruba dokończony, codzień dopytywała p. Baltazara, kiedy goście nadjadą.

P. Baltazar milezał, lecz w końcu postanowił pozwoli próbować wywieść ją z błędu. Zwykle potakiwał jój milezacy; teraz począł stopniami starać się o sprostowanie jój wyobrażeń. Nie było to łatwe, ani nawet tak bardzo potrzebne, ale p. Baltazar czuł, że sam zwaryuje jeżeli dłużej tak rzeczy zostaną. Wziął się więc do téj niewdzięcznej pracy,—niewdzięcznej, gdyż pani Krzysztofowa uśmiechając się, zostawała przy swoim, a jeśli na chwilę zamyślona umilkła zdając się być przekonana, nazajutrz nie było śladu, nie pamiętała nic—powracała do swych marzeń.

P. Baltazar się nie zrażał.

— Kochana bratowo—rzekł jój jednego rana—pani z tego przywiązania do syna roisz sobie, że on jest szczęśliwy, a tak wcale się nie ma. Ożenienie ze złą

kobietą zgubiło go. Całą tę historię ukrywaliśmy przed panią ale nareszcie trzeba, żebyś pani wszystko wiedziała, aby tego nieszczęśliwego człowieka pocieszyć.

— Jakiego nieszczęśliwego?

— A no, syna, pana Adama.

— Co mi Wpan mówisz? on musi być szczęśliwy, na tośmy go oddali O...

— Ta pani, co się nim opiekowała, zmarła—rzekł Baltazar;—ta, z którą się ożenił, zerwała z nim; musiał uciekać, tuła się biedny, sierota.

P. Krzysztofa pogniewała się mocno.

— Idź mi Wpan precz z oczu z takimi kłamstwami! zawołała.

P. Baltazar zamilkł i odszedł.

Ale w kilka godzin służąca przybiegła do niego, oznajmując, że pani jest chora, że czegoś płacze i że możeby należało posłać po lekarza do Kodnia. P. Baltazar pobiegł i zastał ją na modlitwie, ale się przeraził zmianą twarzy straszliwą. W kilka godzin stała się niepodobną do siebie; nadzieja, która ją trzymała przy życiu, została zachwiana; uśmiech, spokój, blask oczu, pogoda czoła, wszystko to zmieniło się i zgasło; twarz była znekana, blada, oczy wypłakane, kobieta zgarbiona, drżąca, biedna... Baltazar poskoczył ku niej z uczuciem litości i przestrochu.

— Co to bratowój? zapytał.

Nie, mój bracie — odpowiedziała — nie wiem, ot coś; ale mi się jakoś męci w głowie... czuję, że mi czegoś bardzo źle.

— Możeby bratowój essencyi, co uspakającego?

— Modlitwa mój bracie, to najlepsza essencya.

Głos, którym te słowa wymawiała, był tak różny do

przybranego w ostatnich czasach, że przestraszył Baltazara wzrósł jeszcze bardziej. Lzy nabiegały jej ciągle do oczu.

— Nie wiem, dodała, dobrze nie pamiętam, coś mi to Wpan z rana mówił, że pan Adam, mój syn, jest nieszczęśliwy bardzo, że się tuła... czy mi się to może przydało tylko? powiedz, miałażby to być prawda?

P. Baltazar w ciężkiem się znalazł położeniu. Bolesć ta tak go zmieszała, że nie wiedział czy ją w pocieszającym utrzymywać błędnie, czy mówić prawdę całą. Wyrzucił już nawet sobie, że jej mówił o synu... że pragnął jej tę szczęśliwą zdjąć z oczu ślepotę. Zmieszał się i milczał.

— Mów, mów mój bracie—dodała—ja chcę wiedzieć prawdę. Mnie się zdaje, że ja przez jakiś czas bałamucila... darujcie mi: wiecie co cierpiałam... Mów mów, śmiało.

— Kochana bratowo, rzekł nieśmiało stary żołnierz: powiedzcie wy mi najprzód, ile wiecie o synu? na czém się kończy dla was jego historia? potem ja wam resztę choć łzami dopiszę.

— Otoż to bieda, rzekła smutnie p. Krzysztofowa, spuszczać oczy: że ja jakoś teraz niewiele przypomnieć sobie mogę. Zdaje mi się, jakbym długo spała, roila o czémś, i dopiero się obudziła... Chodzą mi po głowie jakieś czarne i białe postacie, nie mogę sobie nie uporządkować. Przez litość nad starą... pomóżcie mi! nie dobrze nie pamiętam.

Wyciągnęła ku niemu białą swą maleńką rączynę, chudą, drżąca, a p. Baltazar ucałowawszy ją ze łzami, poczuł, że mu tchu do mówienia zabrakło. Tak mu się teraz wydawała inna, tak zmieniona, smutna, że przed własnem dziełem cofał się przerażony trwożył

Co tu było począć? klamać czy mówić prawdę—nie umiał sobie poradzić. *Pia fraus* zdawała mu się koniecznością i występkiem razem; na świętą prawdę brakowało odwagi.

— Kochana bratowo—odezwał się—uspokóje się tylko, połóżcie, nabierzcie sił, a ja wam tę historię całą opowiem, ale przynajmniej nie dziś, nie dziś, na to potrzeba więcej zdrowia i meztwa.

— To tak jakbyś rzekł, że tam jest dużo do przecierpienia.

— Nie dziś nie powiem.

— Powiedziałaś już wszystko... szepnęła cicho. Niech Bóg ma miłosierdzie nad nim i nademną!

I rozplakała się biedna.

— Jeśli bratowa czuje się źle, możeby kazala pośłać po doktora?

— Po doktora, nie, odpowiedziała; ale księdzabym zobaczyć rada.

— Ksiądz jutro i sam przyjedzie, rzekł Baltazar; bo co wtorek ze mszą świętą przybywa, a jutro...

— No, to poczekamy.

Widoczne było nagle jej oprzytomnienie, ale im bardziej się jej przypatrywał p. Baltazar, tém się niem więcej przerażał. Jakieś przeczucie mówiło mu, że po długim obłąkaniu, mogło to być znakiem nie-dobrym. Całą noc spędził chodząc, dowiadując się, śledząc co robiła. Położyła się w łóżko staruszka, ale siedząc w niem odmawiała pacierze, i dopiero nad rankiem usnęła.

Nazajutrz chciała wstać, ale sił jej brakło; duch, co ją trzymał dotąd, uszedł, a sztuczne podbudzenie i życie to fałszywe wyczerpało ją tak, że teraz od razu, bez przejścia, uczuła się całkiem bezsilną.

Przed południem nadjechał proboszcz. Przywołano go do łóża, gdyż żądała się spowiadać; a gdy dopełniła tego obowiązku, znacznie się uspokoiła. Proboszcz także był wylekniiony tém uzdrowieniem umysłu tak nagle i osłabieniem niezmierném ciała.

P. Baltazar smutny przypadł do niego na radę, obwiniając się o niegodziwe przyczynienie się do straty złudzeń, które ją przy życiu trzymały.

— Mówić prawdę, czy klamać? zapytał.

— Jako duchowny nie mogę nigdy poradzić fałszu, rzekł ksiądz; ale jako człowiek życzylbym milezenia. Dziś już może za późno,—wola boża, bądź co bądź, niech wie jak rzeczy stoją; osłodzi tylko o ile się da ten kielich goryczy.

Po południu wezwano do łóża p. Baltazara. Przywłókł się jak winowajca smutny i pogrążony.

— Otoż mój bracie—rzekła zobaczywszy go—usiłowałam sobie wszystko przypomnieć o ile sił. Wiem, że Adam był nieszczęśliwy z żoną, że się rozstać mieli, ale dalej nie już sobie nie przypomina.

— Kochana bratowo—odparł Baltazar—krótko ci tylko powiem, że się z tą kobietą rozstali, że ona go prześladowała, że uciec musiał i musi się ukrywać przed jej zemstą, że jest w istocie bardzo biedny.

Umyślnie zamilczał o zabójstwie Francuza.

— Gdzież on jest? gdzie jest? spytała matka zrywając się.

— Był nawet tutaj, rzekł p. Baltazar; ale jakoś, ale... Tu uczuwszy potrzebę niewyjawiania całej prawdy, dodał:—Ale się nie śmiał pokazywać.

— Tak... oszczędzaliście mnie, bo byłam chora; ale

teraz, gdy jestem już zdrowa—bo jestem zdrowa, nie prawdą?—wszakżebym go mogła zobaczyć?

Pan Baltazar się zawahał.

— Gdy bratowa odzyszczesz nieco siły... spodziewamy się go tutaj...

— Ale niechby to było zaraz... ja mam siły, wiele... zobaczycie, ja wstanę.

Przestraszony Baltazar powstrzymał ją obietnicą.

— Poszlę po niego natychmiast—rzekł—ale potrzeba cierpliwości i uspokojenia.

— A! będę cierpliwa, poszlęcie, niech go zobaczę. A! póki był szczęśliwy, mogłam go nie widzieć; teraz gdy biedny... jam jedna, co go przytulić powinnam i osłodzić niedolę.

Stary żołnierz wyszedł, ocierając oczy i przyrzekając, że poszle zaraz po Adama.

Posłano w istocie po kasztelana z kartką pewnego posłańca.

Tymczasem zbliżał się wieczór,—a gdy w parę godzin przywołano znowu pana Baltazara, chora miała widocznie bardzo silną jakąś gorączkę. Jedna myśl snuła się jęj ciągle po głowie i powtarzała na ustach:

— Ja się go muszę doczekać, ja go muszę zobaczyć...

Ilekoć drzwi skrzypnęły, przeszedł ktoś, pies na podwórzu zaszecekał, zrywała się i pytała o niego, patrzała rozpaczliwie na wchodzących. Ale przy największym pośpiechu kasztelan ledwie mógł być nad rankiem, bo z chaty leśniczego, około której uwijało się wiele ludzi, radzono mu się przenieść do szlacheckiej osady o mil trzy od Wólki.

Noc była ciężka do przebycia, stan choręj się pogorszał; o północy przyszło znowu toż samo oblakanie, z tą różnicą, że co chwila już spodziewała się

męża i syna, ale nie tryumfujących i szczęśliwych w orszaku dworzan, ze swiatą, tylko prześladowanych, gonionych i ściganych przez nieprzyjaciół. Ksiądz, który pozostał na noc na wielkie i usilne prośby pana Baltazara, wezwany około drugiej po północy przez samą panią Krzysztofową, pośpieszył z modlitwą, która się zmieniła wkrótce na nabożeństwo przy konających i zakończył ją Anioł Pański...

Świtało, gdy z uśmiechem na ustach, pytając o męża i syna, staruszka oddała Bogu ducha.

Leżała już z krzyżykiem w dłoni, na tapezaniu, gdy wózek się zatoczył i kasztelan nadjechał.

Nikogo nie zastawszy w ganku, wszedł do izby pierwszej, i z progu ujrzał głową do obrazu Chrystusa zwrócone ciało, przy którym kilka świec jarzących płonęło, a ksiądz stojący w komeżce i stule czytał nad niem modlitwy.

Pochylił się p. Adam i padł jak stał w progu na kolana; przybył za późno po ostatnie błogosławieństwo matki, ale mógł choć twarz jęj, uświęconą wyrazem spokoju, jaki wkłada śmierć na ludzkie oblicze, zobaczyć raz jeszcze.

Dziwna rzecz, że rysy, które choroba tak szybko była zmieniła i uczyniła blademi, wyniszczonemi, zgon znowu przywrócił do pierwotnego stanu, do pogody anielskiej, ubrał je w uśmiech, otoczył aureolą męczeńską. Nie było na niem śladu cierpień; był wyraz błogiego spoczynku jakby po ciężkim znoju; zdawała się spać lekko i marzyć błogo.

W chwili gdy p. kasztelan upadł na kolana w progu, szmer się zrobił jakiś, kilku ludzi niepozornych weszło w ganek, kilkunastu otoczyło domostwo. Pan Baltazar przerażony postrzegł, że pacholkiwie za-

bierali się ując pana Adama, którego ktoś zdradzić musiał.

Dekret zaocznie ferowany skazywał go za zabójstwo popełnione na Francuzie, na karę główną; ale spełniony dotąd być nie mógł... Gdy kasztelanowi sługa sądowy wręczył papier z pieczęcią i oznajmił, że go przytrzymuje, p. Adam wielką zdjęty boleścią nie drgnął nawet, życie zdawało mu się rzeczą obojętną.

— Weźmiecie mnie sobie po pogrzebie—rzekł—jeśli gwałtu nie chcecie robić. Potem wszystko mi jedno, co się ze mną stanie...

Ludzie mieli trochę litości, a może trochę względu na nieszczęśliwą rodzinę. Otoczono tylko dwór, pilnując pana kasztelana, który przy ciele matki pozostał aż do wyprowadzenia go z Wólki.

Gdy orszak pogrzebowy ruszał z podwórza, pacholkiwie na drugim powozie wywieźli p. Adama do grodowego więzienia.

Baltazar i Kasper pośpieszyli za nim z kościoła zaraz, niekryjąc przed sobą niepokoju o los nieszczęśliwego, nad którym dekret mógł być spełniony, nimby potrafieno o zmianę jego i nowy sąd należyte poczynić starania. Nieprzyjaciele mogli wymódz ten pośpiech, aby się go pozbyć i ulaskawienie niemożliwem uczynić.

EPILOG,

Łatwo się dorozumieć, czyjém staraniem kasztelan był ścigany i ujęty. Krystyna nie zasypiała; pragnienie zemsty z każdym dniem w niej rosło i niecierpliwszym się stawało nasycenia. Użyła ona wszelkich środków dla odkrycia pobytu męża, rozsyłała zręcznych szpiegów, wysledziła naostatek schronienie jego, i zmusiła prawie władzę wykonawczą do uwięzienia. Jakkolwiek skazany zaocznie, bannita, kasztelan jak wielu innych, mógł mieć wszelką nadzieję zmiany wyroku i ulaskawienia. Przykładów podobnych było wiele. Sprawa odsądzona była bez obrony z jego strony, pod naciskiem nieprzyjaciół i wpływem przemożnej rodziny; ale wcale inaczej mogła się wydać sędziom bezstronnym, przy pilniejszym rozbiornie towarzyszących jej okoliczności, które popełnienie zabójstwa poprzedził. Nikt go też po tym wyroku ścigać nie myślał, ani się upominać o jego spełnienie, oprócz zjadlęj na zgubę jego żony; nikt nawet z razu przypuszczać nie chciał, aby dekret ten mógł być wykonany: do ostatniej chwili niebezpieczeństwo nie było widoczne. Rzadko podobny wyrok spełniał się na szlacheicu,

a tém mniej na dygnitarzu, człowieku imienia głośnego, za przewinienie w sprawie honorowej, w obronie cześci własnej. Znajdowały się zawsze wpływy, instancje, poparcie silne, które albo przesądzenie sprawy, albo ulaskawienie królewskie wyrobić mogły.

W niektórych okolicach kraju nie pamiętano już kary głównej wymierzanej na szlachciu, a więzienia nawet przeznaczone dla szlachty, stały pustkami od dawna. Nie żeby zbrodnie bezkarnie uchodzić miały, ale w istocie zuchwałe występki stały się rzadkie, a oboje, wyzywania, rany a nawet zabójstwa między szlachtą, nie mogły się uważać za rozmyślane morderstwa, raczej za walki, które były wszędzie w obyczajach czasu, w zwyczaju, który im wcale inny nadawał charakter.

Podstępnych zaś czyhań, zasadzek i mordów na bezbronnych, można powiedzieć nie było przykładu, szczególnież za Stanisława Augusta, gdy coraz do spokojniejszego nawykano życia.

Gdy takim jak tu wypadkiem trafiło się, że więźnia przywieziono do grodu, często nie wiedziano co z nim począć. Szlacheckie wieże wszędzie winny być były oddzielne, odsiadawano je gdziekolwiek, bo to co się dawniej zwało niemi, mało gdzie już było mieszkalne. Jedne zajęto na archiwę, drugie *in fundo* wody zalały lub gruz zasypał.

Staraniem potajemném kasztelanowej zawieziono pana Adama do Brześcia; ale tu też zameczysko stare u ujścia Muchawca i Buga wystawione, dawno było upadło, a wieża, w której sadzono szlachtę, obaliła się. Wcześniej jednak zapobieżono temu niedostatkowi, wyprosiwszy izbę sklepioną w wieżycze narożnej klasztoru kks. Dominikanów.

Rodzina Krystyny należała do fundatorów miej-

scowych; mieli dla niej duchowni obowiązki dawne: choć ze wstrętem więc musieli uleść naciskowi, ustępując na więzienie komnaty z dawna niezajętej, opustoszałej, ale położeniem swém warownej, z której więźniowi wymknąć się nie było łatwo. Sam klasztor w pośrodku miasta, od przypadkowej napaści i gwałtownego odbicia bezpieczniejszy był niż inne miejsca ustronne. Wszystko zdawało się zrzecznie, za czasu obmyślane; szeptano nawet z cicha między mieszczany, że kata umyślnie pocztowymi końmi sprowadzono z Warszawy (co było dotąd bajką), że urząd ujęto i z wykonaniem wyroku nie miano się ociągać, aby nie dać czasu do starań i zabiegów rodziny O..., która dla uniknienia wstydu, jaki na nią też spadał, mogłaby ująć się za imiennika swego.

Gdy z jednej strony stała mściwa i nieublagana kobieta, chcąca się pozbyć człowieka nienawistnego, mająca za sobą całą rodzinę swą w kraju prawie wszechmocną wpływami i stosunkami,—zdrugiej stał on sam, opuszczony od wszystkich, nie mając za sobą nikogo prócz kilku ubogich krewnych. Jedno imię, które nosił, słabą czyniło nadzieję, że familia, co je z nim dzieliła, cośby dla niego mogła uczynić. Na nieszczęście składała się ona podówczas z kasztelana, którego znamy, dzieciinnego i umiającego tylko kłaść pasyans i słuchać dworskich plotek,—z dwóch jego synowców, zbyt młodych, by jakie znaczenie mieć mogli, obu zresztą żyjących za granicą,—nareszcie ze starego bardzo stryja, pana wojewody, który liczył już lat dziewięćdziesiąt kilka wieku, i z łóżka przechodził tylko na krzesło, a z krzesła na łóżko. Obrońców więc honoru imienia prawie nie było, gdy wrogowie liczyli się na seciny.

Krystyna, której wiejska rezydencya o mil tylko dziesięć od Brześcia oddalona była, zbliżyła się podobno do miasta skrycie, w zamiarze czuwania nad swą ofiarą, aby się jój z rąk nie wysliznęła. Tak przynajmniej w mieście rozpowiadano.

Gdy pana Adama wywieziono z Wólki pod silną strażą, pan Baltazar odmłodzony niebezpieczeństwem krewnego, ruszył konno do Kodnia za pogrzebowym orszakiem. W sąsiedztwie nieboszyk Krzysztof i jego rodzina między szlachtą mir mieli wielki, poważano stolnikowicza, kochano Baltazara, ceniono poczciwego Kaspra, użalano się nad losem pana Adama nie znając go. Dzieje nieszczęśliwej rodziny jeszcze bardziej ku niej serca wszystkich skłaniały. Wiedzianno, że Adam był prześladowany przez możną rodzinę, a serca szlacheckie oburzały się przeciwko przemocy gniotącej bezbronного człowieka. Nie pierwszy to był przykład podobny.

Pogrzeb pani Krzysztofowej, z powodu wypadku, który go poprzedził, stał się zjazdem burzliwym i naradą w obronie Adama, więcej niż pobożnym obrzędem. Ciało nieszczęśliwej matki na katafalku, zimny ten trup przemawiał wymownie za synem, broniąc jeszcze dziecka swojego. Gdy w czasie nabożeństwa w kościele, ksiądz Innocenty, przyjaciel dawny domu państwa Krzysztofowstwa, wzięwszy assumpt ze świeżego wydarzenia przemówił do obecnych i gwałtownie wystąpił przeciwko magnatom uciskającym biedniejszych, prześladowaniom i przemocy tych, co się panami bracią zowiąc, w istocie panami tylko być chcieli, — wszystkie piersi zawrzały i dłonie zadrgały. Wychodząc z kościoła, postanowili już przytomni nie dopuścić gwałtu, użyć środków, ażeby mu zapobiedz. Szło nie

o jednego człowieka, ale o całą szlachtę drobną, skrzywdzoną tą procedurą wyjątkową i doraźną w jego osobie.

W zajezdnym domu oczyszczono stajnię, i przybrawszy ją w gałęzie sosnowe, posypawszy piaskiem podłogę, urządzono stypę pogrzebową. Gospodarzyli na niej Baltazar i Kasper, ugaszczając jak mogli i umieli panów braci. Ale w krótkie dla pilnej potrzeby Baltazar odjechał do Brześcia, a Melchior go zastąpił przy tej smutnej uroczystości. Potrzeba było stać na straży, aby wyroku nie spełniono nagle... dla tego jeden być musiał w Brześciu i czuwać, gdy drudzy naradzali się co dalej począć, i kilku zaraz wysłano na trakty różne dla pilnowania, aby mistrz, którego wieść miano z Lublina lub Warszawy, nie był dopuszczony, do Brześcia.

Popłakawszy nad nieszczęśliwą Krzysztofową, od dawszy słuszość cześć zaenemu jój mężowi, szlachta wzięła się na seryo do rady, co począć, aby egzekucyi dekretu nie dopuścić.

Najstarszy wiekiem, najpowszechniej szanowany JMPan starosta Hański, prosił tedy o głos w sprawie i otrzymał go. Uciszyli się wszyscy. Wstał poważnie kłaniając się do koła, pogładził wąsa, odchrząknął i tak rzecz wytoczył:

— Miłościwi panowie a bracia! Smutny nas tu obrząd sprowadza, ale smutniejszy jest jeszcze los syna tej nieszczęśliwej matki, którąśmy na ramionach naszych na wieczny spoczynek odnieśli. Nie będę się rozszerzał nad nim i żywotem jego, rzecz to wedle mnie podrzędna. To pewna, że na haniebną karę główną nie zasłużył, że dekret na niego ferowano pod naciskiem familii możnej, zaocznie, i sądzono go niespra-

wiedliwie. Zanosi się na to, że ucisk ów, który wywołał sąd, chce zmusić do wykonania go i rozlać krew niewinną. Nie pierwszy to *casus* taki; ale jednak dawno prepotencya magnatów na nie się już podobnego nie ważyła. Nie idzie tu o jednego O.... kość z kości naszych, ale w nim o nas wszystkich. Miecz, co mu zetnie głowę, każdy z nas na karku poczuje; bronie jego, jest to bronić siebie od sromu. Zatem wnoszę *primo*, że tu nikt obojętnym pozostać nie może, ani się wymawiać, i że *necessitas urget*, aby chwili jednej nie tracić. Widać to z ruchów i chodów prześladowców pana Adama, iż nie chcą dać czasu do rozmyśłu i działania, ale ich machinacye prędkością naszą zwalczycę powinniśmy. Niechże szlachta podlaska pokaże, iż się panów nie lęka, i jako niegdyś za Zygmunta Starego przeliczy się a powie, iż z jej zastępu żartować sobie nie wolno. Zważ nas szarakami, ale sprostamy karmazynom, mości panowie, gdy o poszanowanie praw naszych idzie, ani się damy bezbronni rzezać i wlec na rusztowanie dla pańskich fantazyj.

— Górą nasi! — zawołał głos z głębi — święcie mówi starosta!... wszyscy za jednego!... każdy z nas obowiązany... a tu się prawo łamie dla prywaty! Nie dać się mociumpanie!

— Nie dać, powtarzam — rzekł starosta, — nie dla tego, aby się z prawa wyłamywać, bo kto winien ten pokutować powinien, ale że tu prawo kończy się dla zbytów niewieści. Niech sądzą jak należy, ale nie podchwytkowo. Więc, wszyscy jako stoimy jedziemy do Brześcia, legniemy obozem pod [Dominikańskim klasztorem, i zobaczymy, czyli śmieć będą w oczach naszych swęj cheiwości na krew naszą dogodzić.

Święte słowa pana starosty! Nie tracąc chwi-

li, — przerwał drugi — na koń, na bryczki i do miasta.

Hałas wszczął się wielki tedy i lawy runęły, bo się wszyscy rzucili do drogi; ale gdy przyszło pod noc jechać, niedobremi ścieżkami, ten i ów do ranka odkładać myślał, niektórzy cheili występować do domów, aby się żonom oznajmić, inni projektowali księżycą czekać, inni aż ranka, tych konie były pomęczone lub ludzie popici. O mało z wielkiej chmury na małym nie skończyło się deszczu. Widząc to pocziwy Kasper, wlaź na ławę i przemówił do braci:

— Mili panowie a bracia! nie zapominajmy, że tu o żywot chodzi, że każda godzina opóźnienia może być niepowrotną zgubą dla nieszczęśliwego więźnia, że mamy ratować opuszczonego od wszystkich, na którego się wysiła zemsta niewieścia. Więc kto brat szlacheć, a ma serce, siądzie czy na wóz, czy na koń, i wymawiać się nie będzie niczem *verbum nobile*.

Ozwało się *verbum nobile*, i teraz już spokojnym być było można, że go każdy dotrzyma, choćby pieszo iść miał. Infamią bowiem pachło zemknąć, gdy się rzekło słowo. Jakoż poradzono sobie, i pozabierali się wszyscy po kilku na wózek, inni konno, lub służąc sobie sami za woźniców, a droga do Brześcia przez całą noc pełna była gwarnie i tłumnie płynącej tam szlachty.

W liczbie stypowych gości, domyślając się może tego wypadku, kasztelanowa miała kilku swych zauszniaków. Ci z początku zmiarkowawszy, jaki obrot biorą rzeczy, wysunęli się za wczasu i pobiegli dać znać pani kasztelanowej, jak groźnie szlachta stawiać się myślała.

Krystyna bawiła na folwarku o parę mil tylko odleg-

łym od Brześcia, gdzie się jój nikt nie domyślał. Klient ich domu trzymał te dobra od dawna od Sapiarów. Skryła się u niego, będąc zaledwie jemu i żonie znaną; inni ją tam mieli za daleką krewną z Ukrainy. Nie wychodziła prawie z kilku pokoiów, które jój ustąpiono na mieszkanie; ale z téj kryjówki kierowała wszystkiem co się działo w Brześciu. Wysyłała swych dworaków na wzwiady, i miała wiadomość o najmniejszym ruchu w okolicy.

W niedostatku pana Floryana i kuzynka, którego porzuciła, uważając go za niedogodne do téj roboty narzędzie, pani Krystyna innych dobrała sobie pomocników, w istocie stosowniejszych do tego rodzaju roboty.

Stary, zaschły prawnik, Rusin imieniem Platon Rozwarski, którego zwano z powodu jakiegoś przysłowia powtarzanego przez niego: *Serduszko*, oraz olbrzymiego wzrostu rębacz sejmikowy, osiwiwały w usługach partyi rodzinie służącój, Maciej Zabrzycki, pospolicie znany pod imieniem Matyasza, wreszcie kilku zawadyaków pod jego rozkazami zostających, składali teraz dwór kasztelanowój, nie licząc w to adherentów w samym Brześciu, różnemi sposoby pozyskanych:

Prawdą było, że kasztelanowa nagła o wykonanie wyroku, spotkała wielką trudność w braku człowieka, któryby się podjął krwawego wymiaru sprawiedliwości. Potrzeba było w istocie posyłać do Lublina lub do Warszawy, co znacznie mogło opóźnić, a nawet zachwiać dekret, o którego kassatę się domagano. Starania poczynione były w wielkiój tajemnicy, posłańcy wyprawieni, a Krystyna niespokojnie oczekiwała wiadomości o skutku swoich zabiegów, gdy ze stypy zjawił się wyprawiony szlachcie, i późną nocą przybywszy,

wpuszczony był do pokoju, w którym przy jarzących świecach, przechadzała się samotna kobieta trawiona nienawiścią.

Ostatni rok, ze świeżój jeszcze i wdzięcznej pani nagle uczynił ją podstarzałą, żółtój cery, wychudłą i zwiędłą, tak, że nawet rozplomieniony kuzynek w końcu stygnąć w zapalach dla niój poczynął, choć go jeszcze dowcipem i zalotnością przy sobie trzymała. Ale skoro ją opuszczał ulubieniec, i ona też zaniedbywała się, a naówczas ślady przychodzącój starości, coraz wyraźniej wypiętnowywały się na jój lieu zniszczoném namiętnościami. W téj chwili jedną zemstą paliła, twarz jój miała wyraz groźny i straszliwy. Świeciły oczy rozognione wśród oblicza żółkłego troską, a marszczki przerzynały czoło i fałdowały policzki wypalone dwoma jakby wykrojeniami na nich rumieńcami. Strój mało okazywał starania o podobanie się... cała postać malowała dumę obrażoną, podnieconą aż do wściekłości!

Gdy szlachcie wszedł kłaniając się do kolan, Krystyna podeszła ku niemu żywo.

— Cóż nam WPan przynosisz? spytała z miną królewską.

— Radbym co najlepszego, odpowiedział szlachcie z nowym ukłonem; ale nie zawsze się to wiezie, co by człek pragnął... ot i teraz...

— Cóż się tam stało? rzekła kasztelanowa dumnie.

— Nie dotąd chwała Bogu, ale się lękam mocno, by z tego co nie urosło niedobrego. Szlachta, JW Pani, zgromadziła się tłumnie na pogrzeb i stypę nieboszczki matki pana O... Wszystko to krewni, kolligaci, przyjaciele. Książd przemówił gorąco z ambony, porwał się to wszystko jak wichur lecieć do Brześcia i sta-

nać w obronie brata, zasłaniając go od ucisku... Gdy ja tu, oni tam zapewne miasteczko zalegają i klasztor otoczyć musieli... Sprzysięgli się, że go nie dadzą.

Kasztelanowa zagryzła usta, chusteczkę, którą trzymała w rękach, zaczęła miąć i szarpać, spojrzała bystro na szlachcica, jakby wymiarkować chciała, czy ją zrozumie, potem pomiarkowała się, że z nim w rozprawę wdawać się byłoby dla niej rzeczą uwłaczającą, i rzekła:

— No, to nie jeszcze. Przywołaj tam WPan do mnie pana Platona i Matyasza, naradzimy się z nimi co począć, a sam bądź pogotowiu do podróży, gdyby potrzeba wypadła... Dziękuję za pilność.

Nie zdradziwszy swęj myśli, odprawiła go tak, a po odejściu westchnęła ciężko i zadumała się. Po chwili jednak wstrząsnęła głową, jakby z niej zrzuciła ciężar jaki, i gdy suchy maleńki Platon z ogromnym Matyaszem weszli do izby, wypogodziła twarz na ich przyjęcie.

Platon przewany *Serduszką*, był drobny człowiek w kabłąk zgięty od pracy nad piórem i stoliczkiem, niemłody już, niepozorny i pokorny... Czy nawyknięcie, czy choroba sprawiły, że lewe oko prawie ciągle trzymał zamknięte, drugim także niewesoło i niezbyt śmiało poglądając. Ręce trzymał na wygarbionym grzbiecie lub w tylnych kieszeniach fałdzystej kapoty, wązkim pasikiem ujętej. Matyasz miał postawę swego rzemiosła, ramiona szerokie, piersi wydatną, nogi ogromne, ręce olbrzymie czerwone i jakby napęczniałe, łysinę świecąca, wąs wyczerniony sterzącymi... Z pod brwi nawisłych wpół siwych błyskało oko wypukłe, nie bystre, ale nużące wejrzeniem twardem i upartem, które ścigało nieprzyjaciela. Ma-

tyasz stawał jak kolos rodyjski, a jedną ręką zwykle pod bok się ujmował.

Cicho przysunęła się do nich kasztelanowa.

— Słyszeliście panowie—rzekła—co się to dzieje? Zuchwała szlachta chce się opierać spełnieniu wyroku sprawiedliwości. Hurmem, słyszę, rzucili się Podlasia-cy na Brześć, i mają opanować miasteczko, aby nie dopuścić kary nad zabójcą... Cóż to? czyż już prawa nie mają poszanowania u nas? czy wracają te czasy, gdy mordować po drogach i miastach wolno było bezkarnie?

To rzekłszy, zatrzymała się chwilę.

— Za pozwoleniem JW Pani—rzekł Serduszko—nie trzeba rzeczy brać gorąco, ale z flegmą... z flegmą. Jeszcze się nie nie stało... Szlachta może się rewizyji dekretu domagać... a możemy starać się o jego spełnienie; mocniejsi jesteśmy od niej, bo stoimy na prawnym gruncie i wszystko mamy za sobą.

— Ale przemoc?

— A hałasowali mocno? spytał Serduszko.

— Zdaje się—odparła kasztelanowa—lecać tłumnie.

— To dobrze, szepnął prawnik: wykrzyczą się, wyhałasują i po jednemu cicho do domów popowracają. Potrzeba tylko wytrzymać ich, wolno rzecz prowadzić. znudzić, ręczę, że skorei ich do duszyczek powróci, a my naówczas swojego dokonamy... Jużciż rok w Brześciu nie będą stali na straży, a my możemy czekać... wypatrzeć chwilę. Oni rachują na natychmiastową robotę, przeszkodziłoby jęj gdyby zaraz do tego przyszło, zwalczymy et *videbimus serduszko*.

Pogłaskał się po twarzy jakby się za swój rozumek pieścił pan Platon, a Matyasz odchrząknął i dodał:

— Dobrze mówi, jak mego Pana Boga Kocham! poczekać; przyczem i influeneyi użyć nie zawadzi na szlachtę i ubocznych, bo i ci nie są do pogardzenia. Jednych czarką, drugich polowaniem, innych muzyką i groszem można ściągnąć z placu, niejednego odpędzić strachem... a gdy się oczyści z tej hałastry, dobrać dnia... i wykona się co święta sprawiedliwość każe... jak mego Pana Boga Kocham!

— Dobrze radzi Herkules — rzekł Platon śmiejąc się — głowa nie dla proporecyi... Nie od rzeczy będzie użyć wielkich środków ku odciągnięciu. Nade wszystko zaś powoli, z flegmą... nie spiesząc... To nam da czas *brachium justitiae*, *vulgo* mistrza sprowadzić... Potem gdy się dzionek upatrzy, niech się winowajca wypowiada i idzie rachunek oddać Panu Bogu za swe zbrodnie.

— A zatem — odparła Krystyna — zwlecze się to znowu nie wiedzieć jak długo, i ja będę musiała w niepewności pozostawać. A nuż w Warszawie poskoczą do króla o glejt i wyjednają!...

— W Pani Dobrodziejka — rzekł Platon, — wiedzieć o tem powinnaś przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny wprzód, to się egzekucya przyspieszy, aby glejt przybył jak łyżka po obiedzie. Zresztą — dodał prawnik — znając naturę ludzką, można śmiało ręczyć, że nad parę dni owo oblężenie szlacheckie nie przeciągnie się. Ogłodzeni, wytraciwszy się z grosza, zateśkną do domu, do dobrodziejek swych, do gospodarstwa... i pojedają.

Kasztelanowa nie odpowiedziała.

— Ja *summo mane* jadę do Brześcia — rzekł pan Platon — aby tam kierować całą sprawą. Pan Matyas zostanie tu na wszelki przypadek, straż trzymając...

boć o wszystkiem i o bezpieczeństwie pani myśleć nam należy. Kilku szlachty z Herkulesem nie zawadzi. W Brześciu mamy Żelaznickiego... i resztę...

Na tem skończyła się narada, a kasztelanowa dopełniła ją myślami, które snuła do późnej nocy.

Wieść o porwaniu i przewiezieniu Adama O... do Brześcia poprzedziła w miasteczku jego przybycie. Tłumy mieszczan, Żydów i obywateli okolicznych czekały już u bram klasztoru Dominikańskiego na przybycie więźnia, ale przewidując tę ciekawość, zatrzymali się przewodnicy do mroku, i gdy już ciżba się rozehodzić poczęła, bryczka pędzona żywo wpadła w otwarte wrota na dziedziniec klasztorny, który natychmiast zamknięto. Jermaszka, który postanowił nie odstępować pana swego do ostatniej chwili, wsiadł się do wozu i z nim przyjechał na miejsce. Nie śmiano go odpędzać, a raz będąc przy kasztelanie, jużby się był bez użycia gwałtu nie dał od niego oderwać. Czekał także pan Baltazar na przyjazd synowca, zetknąwszy się wprzód z przeorem Dominikanów i kilku osobami, na całą sprawę tę nieszcześliwą mieć wpływ mogącemi. Przeorem był naówczas O. Hyacynt, który głosami zgodnemi mnichów wybierany już był od lat dwudziestu, i urząd ten piastował z wielką powagą i zadowoleniem konwentu. Znanym w okolicy ze swój uprzejmości, łagodności i dobrego humoru, ulubiony szlachcie i magnatom, w pożyciu łatwy, wymowny, O. Hyacynt umiał i klasztor utrzymać porządnie, i funduszami zarządzać z ekonomiką, i nie narazić się nikomu. Tem to właśnie celował on, że nikogo nie odepchnął, wszystkiego wysłuchał cierpliwie, każdą rzecz zrozumiał, a równie z małymi jak z wielkimi poradzić sobie zawsze tak

potrafił, że go dobrém okiem widzieli. Gdy czego uczynić nie mógł, przynajmniej odmowę osłodził, i wyściskał tego, którego z niczém odprawić musiał. I tym razem nie przyjemnie mu było bardzo, że klasztor jego za więź dla bannity obrano, ale zadrażnić się z możną rodziną fundatorów nie było sposobu. Wiedział ksiądz przeor, że ta powolność narazi go szlachcie i będzie powodem do hałasów na klasztor, ale się spodziewał burzę zażegnać łagodnością i znanemi sobie sposoby. *Et haec facienda et alia non omittenda*, było to ulubione jego przysłowie i prawo postępowania.

Izba w wieżycze narożnej, przeznaczona dla więźnia, z dawna była opuszczona; ale dała się wpręde urządzić i uczynić mieszkalną, boć dla takiego smutnego gościa niewiele wymagano. Była to komnatka dość smutna, z jednemi tylko drzwiami od klasztornego korytarza, okrągła, z okienkiem wysoko umieszczonem i wążkiem a kraciastem. Na piętrze w odpowiedniej nad nią izdebce mieścił się skład sprzętów zapasnych i różnych rupieci; w dolnej niegdyś zamykano więźniów klasztornych za przekroczenia reguły, w wypadkach pomieszczenia i t. p. Od dawna wszakże nie była zajęta, i zrzucano w nią różne zapasy spiżarniane. Oczyszczono ją jako tako, wymyto podłogę popieczoną, wniesiono stół, stólek, łóżko, dzban, misę, drzwi były zamczyste, otwór jedyny o cztery łokcie nad ziemią, wychodził na podwórze klasztorne, wprawdzie od muru niedaleko, ale nie na zewnątrz. Dawniej drugie drzwiczki z baszty wiodły do innego korytarza, ale te były zamurowane i zatynkowane, tak, że z izby się ich nawet domyślić nie było można. Postawiwszy jedną straż w podworzu u okna, dru-

gą przy drzwiach w sieni, o więźnia można być było bezpiecznym zupełnie. Ksiądz przeor znajdował, że schronienie to za smutne było, za surowe nawet dla skazanego na śmierć szlachcica; ci wszakże, co je wybrali, uznali je za odpowiednie celowi. Łagodząc ich zbytnią w tym względzie ścisłość, O. Hyacynt postarał się o to, aby był wilk syty i koza cała—o przyczynienie wygod więźniowi. Obić kazał tę ścianę właśnie, która miała niegdyś drzwi w sobie na inną sień wychodzącą, kilimkiem, niestety! używanym nieraz do przybierania katafalków w kościele; na łóżko dał materac i posłanie wygodne; wniósł nawet komódkę starą z jednej celi zebraną, aby cokolwiek tę pustkę podobniejszą do mieszkalnej komnaty uczynić.

Ale pomimo tego izba w baszcie miała fizyognomię posępną, a mała ilość światła, jaką cedziło okienko, zwiększała smutne wrażenie, które czyniła.

Gdy pana Adama tu przywieziono i wprowadzono, Jermaszka aż do drzwi mu towarzyszył. Myślał z razu dać się z nim zamknąć, ale pomiarkował zaraz, iż korzystniej dla niego być mogło zostać na zewnątrz, a dokołatać się tylko pozwolenia wchodzenia i wychodzenia do celi, co zresztą odmówionem mu bez zbytniego okrucieństwa być nie mogło. Chciał pozawierać stosunki w klasztorze, obejrzyć miejscowość, i gdyby się tylko na czasie zyskało, szukać środków wydobyć pana z więzienia. P. Adam tak był zgębiony w tej chwili swą niedolą, iż sam o sobie myśleć nie czuł się zdolnym; biernie poddawał się temu, co z nim czynić chcieli, nie stawiając oporu, mileząc i okazując jawnie zupełny na duchu upadek. Jermaszka, jakkolwiek i na nim znać było także uciśk i prze-

rażenie, zachował całą przytomność umysłu, i nie stracił zupełnie nadziei.

W godzinę po przyjeździe pana Adama, przeor ks. Hyacynt sądząc, że obowiązkiem jest klasztoru, gdy dał komnatę na więzienie, przynajmniej los nieszczęśliwego osłodzić, poszedł zaraz sam domagać się, aby go wpuszczono do nowego gościa. Nie czyniono z tém wiele trudności; wiedzieli wszyscy, że byle nie dać uciec więźniowi, srożyć się nad nim nie ma obowiązku, a myśl ta, że lada dzień miał być stracony, litość dla niego obudzała.

Poszedł więc Ojciec przeor, i drzwi otworzył z przywitaniem zwykłym:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Znalazł pana Adama rozciagnionego na łożu, prawie nieprzytomnego. Przystąpił bliżej, a że serce miał dobre i z powołania jako duchowny pocieszać umiał, ujął za rękę więźnia, wpatrując się w jego twarz z ciekawością i zajęciem. Zdziwił się wielce gdy zamiast srogiego oblicza mordercy, ujrzał bladego, białego, delikatnego, pięknych rysów, zmienionych tylko cierpieniem, mężczyznę. Serce mu się ścisnęło, widząc go tak młodym, tak grobu blizkim. Wiedział bowiem dobrze ks. Hyacynt co prześladowanie możnych gotowało panu Adamowi.

— Nie traćcie-no ducha, a westchnieście do Boga, rzekł powoli. *Deus mirabilis, fortuna variabilis*: jeszcze-ć pono rzeczy tak nie stoją, aby rozpacz przy-szło.

— A mogą być gorzej? spytał głosem słabym pan Adam.

— Mówię wam—dodał przeor—módlcie się, a nie

traćcie ducha. Póki w człeku jeszcze życie, póty nadzieja. Widzę, żeście osłabieni na ciele—rzekł po chwili O. Hyacynt,—pewności ani jedli, ani pili. Możeby ubogi nasz klasztor mógł wam czém służyć? Posilić się potrzeba... szklanka wina, kawał mięsa nie zawadzi. Podnieście-no się, podnieście.

— Dziękuję, odparł nie wstając pan Adam.

— A ja przecież zadysponuję, aby wam co podać—rzekł przeor,—i powiem wam co mi na sercu najbardziej leży, abyście się na klasztor nie gniewali, że z niego wam więzienie uczyniono. My ubogie mnichy nie możemy się oprzeć tym z których łaski żyjemy; ale kto wie... *Deus scit*, czy nie na lepsze to wyjdzie WMości, panie kasztelanie, że was indziej nie osadzono... Mnichy też i dla was wszelkiej pomocy nie odmówią..

Tu odchrząknął znacząco.

— Na co się to wszystko mi przyda—rzekł kasztelan—kiedy tuż, tuż śmierć za pasem, a czasu pomysleć o sobie nie mam!

— Macie czas, macie czas! odezwał się żywo przeor, pochylając ku niemu. Nie ma jeszcze nic... musicie tu posiedzieć dni kilka, nim oni swe krwawe zamiary do końca doprowadzić potrafią... Myślicie jeno o sobie, myślcie...

Pokrzepiony nieco pan Adam, podniósł się z posłania, a przeor go krzyżem świętym przeżegnał, popatrzał długo, długo, i pożegnał.

— Przyślę wam co na pokrzepienie... a wy się tu rozglądnieście dobrze i czasu nie traćcie... nie traćcie.

To rzekłszy, pocziwy księżyna przystąpił do ściany, która była obita kobierezykiem, i dodał:

— A to tedy WMości na łóżko wiać może, bo to tu niegdyś były drzwi, lekko zamurowane. przypo-

minam sobie, wychodząc na drugi korytarz, i w drugie podwórze od kościoła... Możeby wam przestać? he?

— Ale nie—rzekł kasztelan, uderzony temi słowy,—bardzo dziękuję... Ojcie przeorze, o jedno was prosić będę tylko, przyszlęcie tu poczciwego sługę, który mi z domu towarzyszy....

— A jak się on sługa wabi? spytał ksiądz.

— Zowie się Jermaszka, niewielkiego pozoru, ale wielkiej enoty człowiek.

— Dobrze! dobrze! rzekł przeor wychodząc chyżo, z uśmiechem na ustach.

Pan Adam orzeźwiał nieco... Wkrótce też i Jermaszka wszedł, niosąc na tacy drewnianej butelkę wina, przekąski i parę świec woskowych, bo wieczór nadchodził. Pacholek, któremu strzedz drzwi przykazano, aby więzień nie umknął, popatrzał dobrze w twarz Jermaszce, ale mu przeszkody do wnijścia nie czynił. Wyglądał na klasztornego posługacza.

Poczciwy sługa nie tak też miał przygnębione i spłakane oblicze jako gdy tu przybył, bo zaledwie wyszedł, pochwycili go braciszczowie i księża starsi do refektarza, napoili i nakarmili; a że wypadek niesłychany wszystkich ciekawił, a prześladowanie oburzało, wleli w niego jakąś otuchę.

Jermaszka czuł, że w klasztorze mnogich mają przyjaciół, i byle na czasie dało się zyskać, pomoc gotową i serdeczną. Jak przeor panu Adamowi, tak O. kanafarz szepnął mu, że drzwi lekko zamurowane na niestrzeżony korytarz wiodące, pokryte kobiercem umyślnie, aby tamtędy więźniowi ucieczkę ułatwić.

— Ino czasu nie traćcie! rzekł stary księżyna. Kasztelan, byle się na korytarz dostał, pójdzie sobie

w świat jako zechce, nikt mu drogi nie zastąpi, a O. klucznik wrota choć o północy otworzy.

Oburzenie było tak wielkie w klasztorze, iż młotka i żelaznego drażka dostarczono Jermaszce, który je za cholewy włożył, i tak wyprawiono go do baszty. Dla tego wszedł z promieniejącą twarzą do pana kasztelana i z wielką w sercu pociechą, a pierwszym wejściem padł zaraz na ową ścianę okrytą kobiercem, przy której łóżko stało.

— Aby nam do ranka czasu dali—rzekł eicho—to się z ich szpon wydobędziemy; ale chwili tracić nie trzeba.

Jakby naumyślnie klucz nawet od środka izby był zostawiony, aby straż tam zaglądać nie mogła. Zresztą kks. Dominikanie nie zapomnieli i o niój, przyniosłszy dla pacholeków podostatkiem wódki i piwa. Uraczyli się też wartownicy zaraz z wieczoru, i obaj prosili o garść słomy; aby spocząć sobie nieco mogli.

Gdy się to działo w klasztorze, szlachta zdążyła do Brześcia; ale drogi złe i późna pora nie dały prędzej pośpieszyć, aż koło północy. Zaraz u wrot miasta wzięli języka, że więzień żyw, że mistrza z Lublina lub Warszawy oczekują dotąd, ale go pono jeszcze nie ma... a nie wiadano kiedy może przybyć. Szły więc rzeczy pomyślniej niż się spodziewano. Przyjezdni naradziwszy się, pojechali do miasta, ustanowiwszy swe straż do koła klasztoru, aby gmach mieć na oku. Tymczasem choć późno już było, pan starosta Hański zadzwonił do furty, żądając widzieć się z O. przeorem. Klasztor był jeszcze nieuspijony, bo i regułę i obyczaj zwykły przerwał ten wypadek, który niejedno czoło potem oblewał. O. Hyacynt przechadzał się zadumany po swój celi, wzdry-

chając ciężko, gdy mu oznajmiono o przybyciu starosty.

— Jest tedy—rzekł smutnie—pewnie z wymówkami, ale cośmy winni!

Kazał prosić. Na wszelki wypadek stała butelka wina i dwa kieliszki na stoliku. Przeor się spodziewał najścia.

Starosta wszedł kłaniając się do ziemi, ale ponury, kwaśny, i gdy O. Hyacynt zbliżał się ku niemu z wielkim pośpiechem i otwartymi rękami, cofnął się nieco krokiem, ręce także rozwinął, ale w tył je rzuciwszy.

— Do nóg upadam—rzekł—do nóg upadam księ-dza przeora!... Coż się to u was dzieje? Z klasztoru, schronienia pobożności i spokoju, zrobiono *carcer*, wię-że, turme... a Ojcowie pozwoliliście?

— Aniśmy pozwolili, ani zabronić mogli... Stój starosto—odparł przeor kładąc palec na ustach — nie potępiaj sprawy, nie wysłuchawsz.

— Fakt, nie ja was potępiam. Więźnia osadzono w klasztorze, służycie Ojcowie prywatnie możnych... O hańbo! o wstydzie!

— Jezu, Maryo! starosto, czekaj, czekaj... i jeszcze raz mówię: czekaj a nie zabijaj! rozśmiał się przeor. Powiedz mi najprzód, czy lepiejby było, gdyby go osadzono... (tu się obejrzał...) Słyszałeś jegomość historyę o szczupaku?

— Co znów! o jakim szczupaku! krzyknął starosta.

— E! to stara, ale ciekawa dykteryjka... Dostał się szczupak do dziurawego kosza i narzekał... a tymczasem zapomniał się obejrzeć, że mu do rzeki było niedaleko... hm! hm! Mości starosto... czy lepiejby

było, gdyby szczupaka do nowego a całego kosza wsadzono?

— Jużciż to klasztorowi niemiło, niemiło—rzekł—że go uczyniono turmą; ale cóż począć, gdy te niegdyś niepogwałcone schronienia dziś lada kto najeżdża i po swojemu zażywa do ziemskich potrzeb! Przyjedzie sejmik, odbywacie go w klasztorze; dajecie ucztę, pożyczamy refektarza; najdzie wojsko, pakuja go do nas, choćby mnichów powyrzucać miano... aż do tego przyszło, że i winowajców nam sadzą. Samiście to nauczyli drugich tego nieposzanowania miejsc, które jak na pustyni przytuliska ascetów powinny być przez wszystkich respektowane.

Starosta stał, słuchał, wąsa kręcił, nareszcie siadł milezący, a przeor nie mówiąc, lampkę mu z winem podsunął.

— Wiecie, że szlachta z pod Kodnia wszystka tu ze mną przybyła za kasztelanem, i nie dopuści prepotencyi magnackiej... Całe obozowisko mieć będziemy pod klasztorem, księżę przeorze, i strażę wedle murów.

— Ani mnie to dziwi, ani frasuje... odezwał się O. Hyacynt. Jakim to ja sam niegdyś szlachcicem nie był i fantazyi szlacheckiej we krwi nie miał, póki mi jój suknia Ojca naszego Dominika Świętego nie odjęła i Psem Bożym nie uczyniła.... A no—dodał—i psy też szczekają, gdy się gwałty dzieją...

Tu nalał lampkę staroście i ciszej szepnął:

— Jeżeli ma rozum kasztelan, jeszcze dzisiejszej nocy może się przewietrzyć. Jest ich tam dwóch... i chyba głupiby byli, gdyby sobie rady nie dali.

Starosta musnął czuprynę.

— Powiedziecie panom braciom, że OO. Dominika-

nie nie są przecież takimi sługusami magnatów, a nie przyjaciółmi szlachty, jak się im zdaje.

Wstąpił tedy duch w starostę i orzeźwiał.

— A no, teraz tylko cierpliwie czekać, rzekł pan Hański.

— I konia mu lub bryczkę przygotować, dodał O. Hyacynt.

Wtém gdy tak rozmawiają, nowy stukot do drzwi, i wparł się do celi jeden z pomocników kasztelanów, kolega dobrego pana Platona, pan Bureczak, sługa familii, któremu w samym Brześciu powierzona była straż pana Adama i całe owo prawo nieprawości.

Pan Bureczak uchodził za bardzo chytrego i przebiegłego człowieka, miał minę lisią, ale nie był wielkiej głowy, a serca był małego i bojaźliwy bardzo.

Człowiek co nad papierami życie trawi, nigdy zbyt nię odwagi mieć nie może, bo ta praca i wycieńcza, i do zbytku przemyślnym czyni na wszelkie wypadki, a kto się zbyt ogląda, do korda nie rwie się bardzo.

Grzeczny też był pan Bureczak jak mało ludzi. Znał go starosta z daleka, a ks. przeor bardzo dobrze, ale go nie lubił, bo z chytrymi przestawać nie umiał i podstęp się zawsze obawiał.

Spojrząwszy na niego, zmienił nagle ton rozmowy O. Hyacynt, i dodał jakby kończąc poczet:

— Panie starosto dobrodzieju, nie gniewajcie się i nie sroście, klasztor nie nie winien, wezwwała go władza świecka, musiał być posłuszny... Nie nam mni- chom wojować z nią.

— Niechże będzie pochwalony.... przerwał Bureczak. Ja tu starosty szukam.

— Mnie? a do mnie co waść masz za sprawę? rzekł groźnie pan Hański.

— Żadnej sprawy, ale uskarżać się myślę.

— Cóżemy to właści uczynili?

— Mnie nie, ale imieniem pana wojewody i podwojewódzkiego przychodzę...

— A im co? spytał starosta.

— Przecież ichność najazd czynicie na miasto?

— Albo to nam już przyjechać tu niewolno? rzekł pan Hański.

— Na co tu udawać, że się nie rozumiemy! zawołał pan Bureczak. Szlachta za swoim tu przyleciała, aby się stawić między sprawiedliwością a winowajcą. Pełne ulice przyjezdnych, klasztor obstępiony dokoła. Cóż, myślicie siłą go odbijać? To i podwojewódzkiemu stanie na obronę...

— Któż to właści powiedział—przerwał starosta—po cośmy tu przybyli, i co czynić mamy? Czyńcie swoje... a my swoje.

— Jakby—dokończył Bureczak—miał się tu stać jakowys gwałt czy co?

— Ja nie wiem, i o niczym z waćpanem mówić nie będę, rzekł starosta.

Bureczak zniżył nieco tonu.

— Cóż to się tutaj stało lub dziać ma tak znowu wielkiego a niesłychanego? rzekł powoli, popijając wino, które mu ksiądz podał. Schwytano bannitę, który się nawet ukrywać nie raczył, tak bezkarności był pewien: czy to go już, myślicie, zaraz egzekwować będziemy?... chce mówić, będą? Przecież może protestować i apelować; są akta, są sędziowie, jest forma prawna.... a kto wam ich broni? Uroiło się szlachcie widać, że go tu zaraz zetną....

— Nie mówcie nic! odparł starosta: wiedzą sąsiedzi

jak kto siedzi, i co się święci. Posłano do Warszawy i Lublina po mistrza.

— Jako żywo, fałsze to są! zakrzyknął Burezak.

— A no, to już i mówić nie ma o czém, skoro fałsze... rzekł starosta, i podniósł się z siedzenia żegnając przeora; ale mu prawnik drogę zaszedł.

— Panie starosto — rzekł — zmitujcie szlachtę, proszę. Sprawy tu nie ma prawie, a burda niepotrzebna.

— Dajże mi acan pokój! Gdzie burda? i co my tu z sobą rozprawiać będziemy? Każdy swoje mosanie: my burdy, a wy prawa pilnujcie.

I rozgniewany trzasnął drzwiami i wyszedł.

— O źle! — rzekł głaskając czuprynę Burezak, który spoglądał na przeora, nie mogąc nic w twarzy jego ostyglój nagle wyczytać. — Głupio się do rzeczy wzięto, mówiłem to. Mogąc mieć ptaszka w ręku kiedyby się żądało, nie trzeba było go łapać, póki by mistrza nie było, topora wyostrzonego i przygotowanego kłosa. Nimby się szlachta opamiętała, jużby mu byli makówkę ucieli i kwita: appellujcie do Pana Boga... A teraz dróżę się tu z panami bracią!... Baba po babsku niecierpliwie do rzeczy się wzięła; nie nie robi, a na nas będzie wina cała.

Westchnął. Przeor wina dolał.

— Mój panie mecenasie — szepnął — co ci to tam tak bardzo gorąco za cudzą zemstą gardłować? co ci z tego? A na sumieniu krew, to zawsze plama.

— Jam go nie sądził, ani go ścinać będę, odparł Burezak; ale panom służąc, to się zawsze powalać w końcu przyjdzie; i guza złapać, i gniewu ich się dorobić. Na człowieku się krupi.

Smutnie spuścił głowę.

— I nie dotrzymują co obiecali! dodał cicho.

— Widzieliście ojeze więźnia?

— Tylko z dala... rzekł przeor.

— Piękny mężczyzna? młody? he?

— I piękny, i młody... ale co mu już dziś z tego! westchnął ksiądz.

— Szlachta się bierze za nim mocno, gotowa i do naszych grzbietów się dobrać — dodał Burezak. — Ja z nią do czynienia mieć nie lubię. Ludziska gwałtowne i zapalczywe nad miarę, a gdy im raz co w czuprynie zaswedzi, ani z nimi gadać! w szable dzwonią, i to u nich *ultima ratio*... Gdyby cheieli poargumentować...

Dopił lampki wina, i wysunął się po cichu, mocno zadumany.

W koło klasztoru w istocie w uliczkach przechadzali się niecierpliwie przybyli, upatrując sobie miejsce na nocleg i straż; a przybycie ich wielkiego narobiło niepokoju między adherentami kasztelanowej.

Nie wiadano jeszcze co ona tam postanowi. Dopiero około północy przybył posłaniec od Platona, oznajmujący, że i on sam o brzasku nadjedzie. Tymczasem noc sobie po cichu płynęła. Przed gospodą Abrahama, gdzie się zbierali ludzie kasztelanowej, czekał już na prawnika Burezak, ale z miną posępną i stroskaną.

— A co? zawołał wysiadając z kałamaszki mecenas. Co się tu u was święci?

— Nie najlepiej! rzekł Burezak. Szlachty najechała kupa, i hałas robią straszny; na księży nasiedli, że z klasztoru więzienie zrobili; strażę rozstawili dokoła, odgrażają się.

Mecenas ramionami ruszył.

— Dać się im wygadać—rzekł—nie lepszego: im głośniej krzyczą, tém mniej robią; mamy swoje plany. Mistrza nie ma?

— Nie, nie ma dotąd, i szlachta bodaj czy nie czatuje na niego po drogach.

— Tak dalece?... no! no!

Dniało już, gdy się ta rozmowa toczyła.

— Idźcie waszmość do miasta w kilku, a choćby w kilkunastu; potrzeba nie zważając na irytację panów braci, zbliżyć się do nich i porozumieć, uczestować, odciągnąć, to się powoli rozlezie. Strachu nie ma... bądźcie asanstwo dobrej myśli.

Gdy tak ludzie pani kasztelanowej na rozum biorą, my wrócić musimy do więzienia, gdzie pocziwy Jermaszka dał się na noc zamknąć z kasztelanem... Jak skoro uciszyło się w korytarzu, i podpoiony tegim miodem dominikańskim strażnik pod ścianą zachrapał, Jermaszka sam podniósł kobierzec osłaniający mur, podważył cegłę i począł wyjmować po jednej, odkrywając drzwi, po za któremi była swoboda i ocalenie. Z ceglami łatwo sobie począć było, gdyż je nieledwie tynk zewnętrzny trzymał tylko, a w środku prawie na sucho kładzione, dały się ruszyć za pierwszym dotknięciem; ale owe drzwi grube okazały się na zamek zaparte dawno, i trzeba je było albo łupać, lub szczerbić około ryglów, by się niemi wydobyć. Kasztelan patrzył zdrętwiały, na tę całą robotę, weale do niej ręki nie przykładając. Jermaszka sam, spocony i zmęczony, wszystko wziął na siebie. Choć pośpieszał o ile mógł, nie potrafił wszakże zmuszony po cichu rady sobie dawać, tak rychło wylupać zamka, jak sobie życzył. Dobrych godzin kilka trwał ten kłopot. Narazcie otworzyły się wrzeciędzie... Jermaszka przy-

mknął je chwilowo, wysunął się z pod koberca, i pobiegł do pana drzemiącego na krześle.

— Paniezu! zawołał, po dawnemu go zowiąc: chodźcie, oto już wszystko gotowe! Osłońcie się moją oponeczą... i ruszajcie.

Pan Adam popatrzał na niego, jakby nie słyszał.

— A gdzie? po co i na co będę uciekał? rzekł powoli. Albo mi to życie miłe! Gdzie się schronię, kędyby mnie zemsta téj kobiety nie ściagała? Co pocznę? Lepiej już raz ginąć, niżeli wlec takie życie!.. Daj mi pokój pocziwy sługo, niech łeb zetną i krwią się nasycę!...

Jermaszce aż włosy kołem stanęły na głowie. Czas był krótki, śpieszyć się należało, a kasztelan obojętny ani myślał się ruszyć.

— Na milego Boga! panie! zawołał klękając przed nim: czy się to godzi samemu się gubić? czy się to godzi? Na cienie ojca i matki zaklinam pana, uchodź! uchodź!.. Uczynisz z sobą co zechcesz, ale życie potrzeba ocalić.

Nierychło kasztelan dał się namówić na to, by wdział oponeczę sługi, i dziurą w murze wyszedł w korytarz. Rozpowiedział mu dobrze Jermaszka jak ma iść i kędy, aby do szlachty trafił, i gdzie go Baltazar z drugimi oczekiwać będzie; chciał bowiem sam pozostać w więzieniu, ażeby dłużej strażę zwodzić i nie dać popłochu, aby za nim nie goniono.

Jakoś przecię odżył nieco pan Adam, ścisnął dłoń sługi, i orzeźwiony wysunął się w korytarz. Nie miał jednak dosyć energii i pragnienia życia, aby się bardzo w ucieczce troskać o jój powodzenie; powłókł się prawie obojętnie... Jermaszka tymczasem co rychlój drzwi na nowo umocował, cegły jako tako pozakładał,

— Panowie a bracia, byliście mi istotnie bracią i dobroczyńcami, życie moje salwując w krytycznej chwili. Dajcież mi z onego życia, które z łaski waszej mam, korzystać, i choć raz skosztować tryumfu, a upomam, korzystać, i choć raz skosztować tryumfu, a upomam, korzystać tę harpię krwi chciwą. Należy się to jeśli nie mnie, to jój od losu, aby taką chwilę w życiu miała.

Już mu się oprzeć nie mogli więcej. Posiadłano konie, gdyż wozem jechać nie zdało się bezpiecznie. Wybrało się ich piętnastu z szablami i krócicami na paskach, i natychmiast wyruszyli.

Tymczasem w miasteczku i klasztorze tajemnica ucieczki dobrze była zachowana, ale szlachta między sobą poszeptawszy, że się już nie ma czego obawiać o kasztelana, powoli przededniem poschodziła z posterunków dokoła klasztoru; i gdy p. Platon z Burczakiem poczęli zabiegać, aby ją pościagać do zajętych domów a zlagodzić, tak im to łatwo przyszło, aż się sami zdziwili.

— Jam bo waszmości mówił—rzekł Platon cicho do towarzysza—ja braci szlachtę znam: zapalne to jest, ale nie trwa długo ten ogień słomiany, buchnie i zgaśnie zaraz. Nie trzeba mi nad dwa razy dwadzieścia cztery godziny, aby ich złamać i powoli do domów poodprawiać. A mądry ten będzie, kto drugi raz ich zgromadzi!

W klasztorze było cichuteńko. Jermaszka zmęczony spał wypiwszy wino; poszlak ucieczki nie zostało. Straż zmieniła się u drzwi, a więzień chrapał tak, aż w korytarzu się rozlegało.

— Ktoby to rzekł—mówiła sobie straż—że śmierć ma pod nosem? Tak się wysypia, jakby snu wiekuiste go nie spodziewał się prędko.

Ks. przeor z rana śniadanie bardzo starannie i wi-

docznie przygotowywał, ale czekano aż wstanie ze snu kasztelan... Około południa wyszedł z celi sam Jermaszka przecierając oczy, pośpieszył do refektarza po śniadanie, zabrał je z sobą i pociągnął do baszty... Ks. przeor spytał go, jak się ma więzień?

— Niczego—odparła sługa—ono to i nieźle, ale ono się to zmęczyło i prosi, żeby dziś spokój dano i nie odwiedzano.

W godzinę potem taca, na której było śniadanie, wyszła pusta z baszty. Jermaszka powrócił nazad, a resztę dnia straż słyszała świstanie i podśpiewywanie, dziwując się wielkiej rezygnacji skazanego na śmierć człowieka... Gdy pana Platona to doszło, że tak był wesół, roześmiał się chytrze.

— Musi wiedzieć, że mu na odsiecz przybyli i tём się cieszy—rzekł;—ale zobaczymy czy mu to pomoże

W istocie bardzo tryumfowali zauszniczy kasztelanowej, bo im się nad spodziewanie szlachtę rozproszyc udało. Ledwie kilku z niej pozostało w mieście, reszta po znajomych w sąsiedztwo i do domów się powysuwała powoli.

— A co? nie mówilem—spytał mecenas Burczaka—że to ogień słomiany? Co było hałasu wczoraj! a dziś gdyby przybył mistrz, jużby go można prowadzić pod pręgierz i nie byłoby czterech szabel na drodze... Jutro będziemy panami placu... pojutrze przyjedzie kat, a za dwa dni rano do dnia sprawiedliwości się stanie zadość, i słuszną obraza kasztelanowej będzie pomszczona! Ot jak to się rzeczy robią—dodał, zacieraając ręce...

Kasztelanowa pisała listy do Warszawy do swoich, gdy w dziedzińcu tętent powstał, a pacholátko na usługach będące wbiegło, oznajmując, że jacyś pano-

wie z Brześcia przybyli, i domagają się widzenia z nią w bardzo pilnej sprawie. Sądziła jejmość, że Burezak z czém przyjechał; nie dziwiła się czeredzie, bo wiedziała o szlachcie, i myślała, że w tak licznym poczie dla bezpieczeństwa od niej puścić się musiał.... Szczeniściem dla przybyłych, Matyas i załoga dla obrony kasztelanowej zostawiona, poszła ze dniem spać na siano do odryny, i całego tego hałasu nie słyszała, a w ten sposób bójki i wrzawy się uszło.

Zaledwie pacholątko z dozwoleń wnijsia otworzyło drzwi do pokoju kasztelanowej, gdy zakapturzony mężczyzna stanął w progu, podwoje za sobą zamknął, i powoli twarz odsłonił.

Krystyna stała milcząca, w zaniedbanym wielce stroju, oczekując nowin—i oczy ciekawe zwróciła na przybysza. Nagle zadrżała, i stanęła jak wryta, poznając męża.

— Mileczeń! rzekł groźnie pan Adam: jeśli mi piśniesz żmijo, to ci w łeb wypalę natychmiast.

I dobył króciwą z pod płaszcza.

Struchlała kobieta; bladeść śmiertelna pokryła jej lica. Nie mogła przemówić słowa, usta jej dygotały, czoło oblewało się potem; była z razu pewna, że po jej życie przyszedł mściwy człowiek.

Pan Adam patrzył, i nasyczał się jej przerażeniem. Była to pierwsza chwila zwycięstwa dla niego, rozkosz upajająca; jakiej nie kosztował w życiu.

Wytrzymałszy tak kilka minut, pan Adam odezwał się wreszcie:

— Spodziewałeś się może, że ci twoi słudzy głowę moją przyniosą! Toć przychodzę jeszcze sam żywy, pokłonić ci się kobieto, i plunąć w twarz, jakęś zasłużyła, pomocniczo kata.

Obelga ocuciła kobietę: wyprostowała się, spojrziała śmieliej.

— Chciałam cię zabić—rzekła—zabijże mnie, ale się nie pastw... Cóż cię wstrzymuje? Tak... byłabym ci wzięła życie, masz prawo mi je odebrać, wszakże nie uciekam... Bierz je... ale się ze swoim pocieszysz niedługo. Nie zapominaj, że po za mną jest rodzina moja, co cię ścigać, prześladować i mścić się będzie nad tobą.

— Albo myślisz—zawołał kasztelan—że się ja tej śmierci, którą mi zgotowała, obawiam? że dbam o życie? że mi co w niem pozostało jeszcze? Zabiłaś wprzód niż mnie, nadzieje moje i wiarę... Nie stoję o głowę, bom ją dawno na kłocu położył... i dzisiaj nie ratowałbym jej ucieczką, gdyby mnie do tego prawie nie zmuszono.... Owszem, wołałbym był, żeby krew ta spadła na ciebie, żebyś w nią i z nią chodziła do śmierci, oblużgana jak kat i z imieniem kata.

— Czegoż chcesz? spytała dumnie kobieta.

— Nic... tylko ci plunąć wzdargę w to oblicze hyeny, rzekł kasztelan; a potem.... a potem—dodał—zostawić cię na pastwę twemu sumieniu i własnej słabości!...

— Słabości?! śmiejąc się, odpowiedziała kobieta: wiedz, że ja dziś jeszcze, w tej chwili, silniejszą jestem niż ty.... Zabić mnie nie będziesz śmiały, mścić się nie potrafisz.... Skoro wyjedziesz za ten próg, znowu wpadniesz w ręce moje, a ja ścigać cię nie przestanę, i zemsty nie porzucę.... Wiesz więc co cię czeka...

Odwróciła się do niego tyłem z pogardą. P. Adam podniósł pistolet.... wymierzył.... Widziała ten ruch

w zwierciadle, ale nie drgnęła. On spuścił rękę i zatrzymał się.

— Światby mnie rozgrzeszył, gdybym ci tę pierś, w której nie było serca, roztrzaskał, rzekł powoli... Ale nie... nie chcę... zostawię ci życie zatrute... Bóg mnie pomści... Pójdę... skryć się od zemsty potrafię, a ty marnie przepadniesz w pogardzie i pośmiewisku u ludzi...

Odwrocił się, by odejść, gdy kasztelanowa w drugich drzwiach dostrzegła między uchylonami podwojami twarz ciekawą pacholątka zwabionego hałasem, który w izbie posłyszalo. Skierowała się milcząca ku krzesłu, jakby osłabła, szukała sobie miejsca, by spocząć, ale jęj na myśl przyszedł Matyas i jego towarzysze... i usta uczyniła znak chłopcu, który natychmiast zniknął. Była pewna, że Herkules w kilku rębaczy, których miał z sobą, podola garstce najezdników; postanowiła zwlec nieco w nadziei, że Adama pochwyca.

Słuchaj! rzekła do stojącego w progu: umknąłeś śmierci... podpisz rozwód i uchodź z kraju; życie ci daruję i ściegać nie będę, a na drogę dam... No? co ci zapłacić?

Pan Adam podniósł znowu pistolet i zmierzył; nie drgnęła, uśmiechnęła się tylko.

— Nie zabijesz mnie—rzekła—wiesz, że toby ci bezkarnie nie uszło. Nie strasz mnie, bo się nie boję. Mów, czego chcesz? Przyszedłeś jak zbójca, obedrzejże, to ci przystało.

Adam się wstrząsnął, i byłby może popełnił zbrodnię, bo krew w nim zakipiała, gdyby w tej chwili hałas na dziedzińcu nie odwrócił jego uwagi. Kaszte-

lanowa porwała się domyślając Matyasza; ale próżno szukała sposobu powstrzymania męża, który z pogardą odwrócił się do niej, i powrócił śpiesznie do swoich. Ciągnął go Baltazar co żywiej, gdyż obudzony Matyas z rębaczami i czeladź dworska już garstkę szlachty siedzącą na koniach obstępowali, wyzywając na rękę... Nie pora było się potykać; co żywiej dosiedli koni, które w pogotowiu stały, i powoli zaczęły wyjeżdżać z dziedzińca. Widząc ich uchodzących, Matyas jął nacierać, świsnęło parę wystrzałów, które nikogo nie ranily, a cała szereda wydobyła się szczęśliwie, nim potrafiło wrota zatrzasknąć, i dostawszy się w pole wolnym klusem pojechała na gościniec. Tu już ich dogonić było niepodobna; kule od dworu świstały w powietrzu, ale niedosięły nikogo. Szlachta jakby na szyderstwo, kłaniała się czapkami stojącym we wrotach. Z okna otwartego widać było Krystynę z rozpuszczonym włosom, gniewną, wyrzucającą swoim obrońcom niezdarność i opieszałość.

— O! już sobie pani dobrodziejka mów co chcesz ja tu nie nie winien! zawołał Matyas. Dyabelby się ich mógł spodziewać! A czemu mi JPani nie powiedział, że go w pajęczynie zamknięto, nie w murach, i że ma tu przyjść na „dzień dobry!” Bylibyśmy porządną uczynili zasadzkę, i do nogi ich wytłukli... Trudnoż było taką niespodziankę odgadnąć!

Scena ta mściwą kobietę obesła mocniej, niż z razu jęj samęj się zdawało. Zostać tak zwyciężoną z nagraowaniem, z pogardą, przechodziło siły cierpliwości... poczęła od gniewu, skończyła na płaczu. Złajawszy szlachtę, która zaraz rozgniewana rozproszyła się przeklinając, kazała kasztelanowa konie zaprzęgać, aby do domu rychło powracać; ale nim tłómoki spa-

kowano, dostała spazmów, boleści dziwnych, konwulsyj. Chciała biedz pieszo za Adamem, aby mu oczy wyrzeć, rzuciła się, lała, rozpędziła, co koło niej było i legła bezsilna na łożu. Tymczasem Platon Serduszko, wszystko, jak mu się zdało, w najlepszy sposób urządziwszy w Brześciu, gdzie o ucieczce ukrywaną nikt jeszcze nie wiedział, z dobrą miną powrócił do kasztelanowej, zacierając ręce... Bryczka jego zatoczyła się przed dwór, gdy Krystyna właśnie z płaczu i desperacyi położyła się była, w gorączce, szląc po doktora... O tém, co tu zaszło, mecenas nie wiedział weale, i wszedłszy do pokoju uśmiechnięty, kłaniał się wesoło, gdy słowa mu na ustach zamarzyły na widok pani, podobniejszej do furji piekielnej niż do kobiety.

Nie wiedząc o niczem, nie mógł wpaść na żaden domysł.

— Cóż się tu stało? zapytał.

— Stary niedołęgo, precz mi z oczu! krzyczała kobieta. Wszyścieście zdrajcy, przekupieni... podli; daliście mu ujść, pozwoliliście mu pastwić się nademną; ale ja się na was wszystkich pomszczę! ja was zetnę na miazgę i proch... ja...

Usta jej okryły się pianą i wpadła w śmiech serdeczny przerażający. Platon struchlał. Sądził, że oszalała. Był pewien, że więźnia zostawił w Brześciu, widział jak od niego wynoszono śniadanie spożyte... najmniejszego śladu ucieczki nie było nigdzie. Dopiero nadchodzący sam jeden już w odzieży podróżnej Matyasz opowiedział mu co się przytrafiło; prawnik zalał ręce i pobladł.

— Mnichy nas zdradzili—rzekł—ani chybi! Do niej nie ma już co gadać, baba oszalała ze złości; pono

trzeba się wynosić. Ale o wynagrodzenie trudów, ba i obelg, swojego czasu upomnieć się potrafimy... tylko się jej trzeba dać wysapać. Sama ona tę sprawę będzie musiała zacierać.

Jeszcze w Brześciu Jermaszka dochowywał tajemnicy i zjadł obiad za kasztelana, gdy pod wieczór gwar powstał w klasztorze... Nadjechał Platon, pobiegł do starosty, zbiegli się wszyscy do baszty strzeżonej pilnie, aby się przekonać co się i jak z więźniem stało.

U drzwi pacholek ze starą rusznicą chodził bardzo pilnie... wewnątrz na łożu zastali Jermaszka, który nogi na poręcz założywszy spał... Rozbudzono go w sposób niegrzeczny... śladu kasztelana nie było.

— Co ty tu robisz?—ofuknął podstarość sługę—gdzie delikwent?

— Albo ja wiem! rzekł Jermaszka. Od rana na niego czekam... wszakże go straż wzięła i powiodła do sądu?

— Kiedy? jak?

— W nocy!... dodał sługus, udając głuptaska.

Popatrzeni mu w oczy, ale choć Jermaszka nie był zaiste dowcipny, i miał minę stworzoną na udawanie głupoty prostakowatej, gdy chciał jeszcze z nią się popisać, to go najpodejrzliwszy z ludzi nie posadził o kroplę chytrłości. Zaczęto go dopytywać,—on tymczasem jadł chleb, odpowiadając trzy po trzy, żuł, głową obracał, włosy targał... widząc go więc całkiem obalamuconym na umyśle, dali mu pokój. Spytał ich jeszcze, ciągnąc za rękawy z kolei, czy może sobie iść? a dostawszy odpowiedź, żeby do licha ruszał, zabrał manatki i wysunął się tak w duszy szczęśliwy i spokojny, że mu się aż z tego szczęścia płakać chciało.

Po doznanych wrażeniach, kasztelan potrzebował spoczynku. Uwieźli go też przyjaciele w zgola nieznana okolicę i tam u znajomych na ustroni, zostawili, dając mu inne nazwisko i tytuł, pewni, iż go tam szukać nie będą.

Gorzéj było z Krystyną, którą gniew, upokorzenie, zjadłość o mało na razie nie udusiły. Posłano po lekarza do Kodnia, a tymczasem użyto wszelkich środków kobiecych na pohamowanie rozdrażnienia. Po gwałtownym wybuchu, wpadła ona w rodzaj gorączkowego snu niespokojnego, potem w osłabienie, w którym ją doktor znalazł; ale oprócz drobnych ostrożności i łagodzących napojów nie przepisać nie mógł. Trzeba było zostawić czasowi resztę.

Nadbiegli krewni, którym dano znać śpiesznie o słabości, przywieziono tylu lekarzy, ilu ich być winno przy łożu znakomitój osoby, która ma ducha wyzionać. Żaden z nich jednak nie mógł ani rozpoznać rodzaju choroby, aby ją uklassyfikować, ani domyślić się coby na nią czynić wypadło... Większość utrzymywała, że wywiązała się gorączka tyfoidalna, oczekiwano przesilenia, ale zamiast niego przyszło ostateczne przesilenie życia... śmierć.

Krystyna umierała bezprzytomna, w gniewie i namiętności dzikiéj, z pianą na ustach, rzucając się i usiłując jakby walczyć przeciwko przeznaczeniu, które ją ze świata pokonała, upokorzona ścigało przed czasem...

Pomimo tego na wspnianym pogrzebie, dwie mowy przez najpierwszych kaznodziejów wyrzeczone sławiły jej wielkie cnoty i rozum statysty, a publiczność, która nieboszczki nie знаła, rozeszła się z przekonaniem, że kraj poniósł stratę nieodżałowaną w jej osobie.

O spadek po Krystynie rodzina miała spór żwawy bardzo, który się przecię szczęśliwie zgodą i podziałem majątności dał ukończyć; został był bowiem w zapomnieniu nieodwołany testament uczyniony w chwili jakiejś serdecznego uczucia dla kasztelana, który większą część dóbr jemu przekazywał. Ta wola ostatnia, mimo zmian zaszłych w stosunkach małżeńskich i prywatnych niweczających ją układów, była prawomocną, co gorsza w akta wniesioną i do obalenia trudną. Potrzeba było prowadzić proces skandaliczny, pamięci nieboszczki uwłaszczać, aby obalić to rozporządzenie; sam jednak kasztelan, jak się zaraz dowiemy troskę tę zdjął z głowy familii, gotówéj już nawet na wystąpienie z krzywdzącą sprawą po trybunałach, byle dóbr z rąk nie puścić. Spadkobiercy budowali wspaniały grobowiec dla kasztelanówéj z łacińskim rejestrem jej cnót, ale woleli tym enotom przez proces zaprzeczyć, niż majątku się wyrzec.

Naiwniejsi z nich tłómaczyli się, że to była pamięć ich rodu, której pozbyć się nie godziło. Na ten raz wszakże nie groziło tak wielkie, jak sądzili, niebezpieczeństwo.

Pan Baltazar odwiózłszy na wieś i ukrywszy synowca, sam w towarzystwie Kaspra i kilku przyjaciół udał się do Brześcia, wezwał prawników, i poczyniono natychmiast kroki o przesądzenie na nowo sprawy kasztelana o zabójstwo Francuza. Niebyłoby to poszło tak łatwo, gdyby nie słabość Krystyny, która właśnie na ten czas przypadła; można więc było najprzód glejt otrzymać dla bannity, potem zająć się rewizją procesu. Nim to nastąpiło, kasztelanowa umarła i testament zapomniany na jaw wyszedł. Nie chciał z niego korzystać wcale pan Adam, a prawnik, któ-

remu cała robota powierzona była, ułożył się w ten sposób, że rodzina w zamian za rezygnację spadku, obowiązała się dekret ferowany skassować, a nowym zupełnie z zarzutu rozmyślnego morderstwa kasztelana oczyścić. Był tedy wilk syty i koza cała.

Sam prawie nie wiedział pan Adam, jak go przywieziono do nieznanego mu szlacheckiego dworu, i rozebrawszy położono na łóżko, aby spoczął... Po doznanych wrażeniach, przebytych wypadkach, żajrzawszy w oczy śmierci, czuł się złamanym i pogiębionym... Przyszłości żadnej nie widział przed sobą; życie nie miało dla niego ani celu, ani smaku. To za czém się uganiał dawniej, dziś wydawało się niedostępnym; nowe pragnienia zrodzić się w sercu nie miały czasu: poddał się więc machinalnie temu co z nim czynić chciano, bez myśli, bez uczucia, wręcz tylko jeszcze resztkami niedogorzałej zemsty, która jak burza uchodząca niekiedy piorunem dalekim spokój odrętwienia mieszała... Niedobrze się nawet rozpatrzył gdzie był, i gdy go niemego ze znużenia, rozebrano i kazano mu spoczywać, legł z razu nie mogąc usnąć, w jakimś półśnie gorączkowym, który się wkrótce zmienił w głębokie letargiczne uśpienie.

Nie zbudził się z niego, aż nazajutrz rano, i gdy oczy otworzył, z początku trudno mu było zebrać myśli i rozeznąć gdzie się znajduje. Musiał z kolei przypominać sobie wypadki przeszłe, aż nareszcie zrozumiał, iż gdzieś w bezpiecznym znajduje się ukryciu. Czasu wszakże upłynionego rozrachować nie mógł, i nie zdawał sobie sprawy, czy dzień był jeszcze ten sam, którego tu przybył, czy noc go już od niego dzieliła. W pokoju było ciemno prawie, okiennice zawarte; przez wykrojone tylko w jednej z nich serce wpadał

promień szeroki światła, w którego jasności tysiące różnorodnych pyłków igrały. Rozeznał później izbę całą porządną, wiejską, skromnie, ale starzej zamożności sprzętami zastawioną. Widocznie była to gościnną komnatą dla przybyłych dostojniejszych przeznaczoną, łoże z kotarą, dalej szafy staroświeckie miernie wyrabiane, para kufrów gdańskich z błyszczącym okuciem, stół dywanem okryty, kilka starych obrazów na ścianach. Chociaż powierzchowności domu, do którego był zawieszony, już sobie nie przypominał, mógł się domyślać po nieco wypaczonych ścianach drewnianych, dobrze zachowanego, ale już nie dzisiejszego budynku. Na pułapie gruby tram wychylony nieco miał wyrznięty rok, na który padające światło dawało rozeznąć datę 1694 i napis:

„Benedictus qui aedificat in Domino.”

Nad łożem wisiał Chrystus rękami obiema otwierający ranę boku swego, jakby ją ludziom ukazywał; obraz ten mimowolnie przypominał kasztelanowi Wólkę Brzozową, rodziców, przeszłość i wszystko stracone... Cofnął się myślą, aż do chwili w której tak płocho porzucił ich, aby gnać za marą jakiegoś szczęścia, składającego się z urojonych blasków. Zdało mu się na chwilę, że całe pasmo ciężkich wspomnień jest snem, że stoi jeszcze u ferty kościoła w Białej, i uciec chce na widok tego powozu, przywożącego mu zamiast szczęścia, upokorzenie i zgryzoty. Przesuwały się z kolei przed jego oczyma wszystkie przygody lat młodości, a żadna z nich nie zagoiła ran zadanych, żadna nie przyszła z balsamem pociechy. Targały tylko i szarpały piersi. Gdy śladem przeszłości dobiegł, aż do tych chwil ostatnich i groźby śmierci zawieszoną nad swą głową, westchnął ciężko,

i zdziwił się mocno, usłyszawszy po za sobą w stronie drzwi odpowiadające jego westchnieniu, drugie acz mniej głośnie i wyraźne. Porwał się z łóża, i podnosząc się spojrzął w ciemności, w których nierychło rozeznał twarz uśmiechniętą pocziwego Jermaszki. Zobaczywszy pana, który się był podniósł, sługa przystąpił na palcach i pocałował go po rękach i po nogach całować, z taką radością, z takim uczuciem, że i kasztelanowi zasklepione otwarło się serce. Pocałował go w głowę, szepnął cicho:

— Tobiem winien swobodę... niech ci Bóg szczęściem płaci... Czém ja ci zawdzięczę?

— Bylebys ono panisko moje był sam szczęśliwy, to już mnie patrząc na cię będzie dosyć, bylebyśmy do Wólki powrócić mogli i spoczywać nie obawiając się niczego, mnie tam nie wiele potrzeba.

— Próżno to już? spytał kasztelan.

— A no, około południa ma się, odparł Jermaszka.

— Ani wiem gdzie jesteście, dodał pan Adam.

— W przyjacielskim pokrewnym domu, u pana wojskiego Szeremy.

— Nie znam go.

— Tak, wy go nie znacie, ależ to babce jegomościnej krewny, niby dziad jegomości wypada... stary, zacy człowiek, innego czasu. Zobaczy go pan i pokocha... Mnie on przypomina nieboszczyka. Wszyscy go szanują, domator, ale mówią, że taki rozumny i stateczny człek jak rzadko. Dosyć też spojrzeć na niego, aby szanować, taki to człek wspinały.

Tak rozmawiając, Jermaszka przemknął nieco okno, popchnął okiennicę, światło jasnego poranku letniego wpadło nagle do pokoju, rozświecając wszyst-

kie jego kątki. Izba wydała się zaraz inaczej niż w półmroku, weselęj i milęj. Z niej jednej można było się domyślać domu, w którym pokój niezamieszkał.

— Jakże to tu cicho a dobrze! rzekł kasztelan ubierając się co żywo.

— I bezpiecznie jak u Boga za piecem, dodał sługa. Tu już nieprzyjaciele nie zwietrzają pana, i spocząć sobie możemy, póki lepsze dla nas nie nastaną czasy, co rychło nastąpić musi, bo tam już Baltazar i Kasper i drudzy około tego zawzięcie chodzą.

Ubrawszy kasztelaną, który w zwierciadle weneckim przejrawszy się ledwie sam się mógł poznać, tak był blady i mizerny, Jermaszka pobiegł po kawę. Ledwie ją przyniósł, gdy w sąsiednim pokoju powolne kroki i stukanie laską po podłodze słyszeć się dało. Kasztelan łącznie domyślił się gospodarza. On ci to w istocie pokazał się wkrótce we drzwiach otwartych, a był starzec wielce poważny. Nie owego wieku człowiek, innych czasów pamiątka i świadectwo. Wojski urodził się w tym roku, gdy Jan III na tron wstępował, miał z górą lat sto, czemu drudzy nie wierzyli, a jeszcze ani słuchu, ani wzroku, ani sił umysłu nie stracił. Postać to była jakby z obrazu zdjęta, mąż do stalowej zbroi, ogromny, barczysty, choć wychudły, kośćmi wszakże olbrzymio wyglądający.

Wisiała na nich skóra pomarszczona jak pergamin połamany i wyżółkły, ale z oczu siwych, wielkich, zbieleńszych, jeszcze tryskało życie... Brodę miał białą jak śnieg, długą do pasa, głowę łysą, pokrytą czapką czarną, na sobie ubranie letnie płócienne, pod-

pasane rzemieniem ze sprzążką stalową i różańcem. W dłoni potężnej i krzepkiej niósł kosztur grubą, którym się podpierał, bo mu już nogi były posłuszeństwo wypowiedziały i suwał niemi nieco. Na długiej szyi chwiała się nieco głowa śpiczasta z twarzą owalną, łagodnego, ale poważnego zarazem wyrazu. Nad oczyma siwe brwi duże; na wardze górnej wąsy grube, zawieszyste. Ludziom wypieszczonym owego wieku ten starzec wydać się mógł jakby widmem z grobu powstałym.

Wojski w progu otwórzszy drzwi zastanowił się nieco, popatrzał, potem podszedł parę kroków ku kasztelanowi, który na jego spotkanie pośpieszył.

— Witajże mi mój wnuku! — rzekł — choć w nieszczęśliwych okolicznościach do domu mojego zbiegły, dobrze, że cię stare oczy zobaczą, a stare ręce pobłogosławia. Dawno już nikogo ani z bliższej ani zdalej nie oglądam rodziny, żyję z nieboszczykami więcej niż z żywymi, którzy już mnie, ani ja ich nie bardzo rozumiem. Ha! ha! nie dzisiaj też w wieku...

Jermaszka podstawił krzesło, na którym starzec usiadł.

— Pij waszec i jedz, rzekł do kasztelana: wy teraz ludzi niematerialnych udając, napojem i jadłem gardzicie: ale to fałszywa nauka, mości panie. *Mens sana in corpore sano...* trzeba jeść nie do zbytku, ale tyle, aby mieć siły. A waszec pono dużo spoczynku potrzebujesz i odżywienia. Rad jestem, żeś tu przytulił się do starego, u którego możesz siedzieć bezpiecznie i przeszłość wydychać. Nikt tu nie zajrzy do mnie, oprócz tych, za których ręczyć mogę, że nie zdradzą. Oprócz mnie też, i biednej mojej sierot-

ki Madzi, przy której panna Katarzyna, nikogo więcej w domu. Z mężczyzną ja tu sam jak stary dąb na pogorzelskich leśnych, osmalony, stoję póki się burzy nie podoba przyjsię i wywrócić. Dużom przeżył, a dla serca aż nadto: żonę, syna, córkę ze wszystkich mi tylko jedna została Madzia, ostatnia latorośl zielona, która i mnie odmładza swoją świeżością. Zobaczysz asindziej to smętne gospodarstwo starca, gdy zechcesz, bo cię nudzić nie będziemy: możesz czynić co ci się podoba, a uważać się nie jak w krewnym domu, ale jakby u siebie. Zapragniesz samotności, nikt ci jej nie zmaci; zechcesz gaduły starego, będziesz go miał, bo mnie i sen nie bierze, i roboty żadnej, więcem szczęśliwy gdy kogo ułapię.

Mówił tak, a kasztelan wpatrując się weń, podziwiał tę krępką starość i cudowną powagę starca, w którym jeszcze przy niej więcej było ognia niż w wielu ówczesnej młodzieży. Starzec przemówiwszy a nie rozpytując natrętnie, powstał, ujął swój kij i skierował się ku drzwiom.

— Ale, ale! dodał: u nas za godzinę obiad, możebys przyszedł jeść z nami, to ci tu oznajmię. Życzę cię mieć razem, a po staremu powiem, że człek samotnie jak zwierzę jeść nie powinien. Nie darmo się zawsze ludzie do pożywiania darów bożych w kupkę u ogniska zbierali: tak ono przystojniej, lepiej i zdrowiej. Przyjdziesz do nas?

Kasztelan przystał na to, a wojski wysunął się do swoich pokojów powoli. Pan Adam został z myślami. Ani się spostrzegł potem, jak zadzwoniono do obiadu, i Jermaszka mu oznajmił, że do stołu podają.

Przy izbie, w której mieszkał pan Adam, była ob-

szerna sala, która może niegdyś służyła na przyjęcie liczniejszych gości, cała zawieszona antenatów wizerunkami; dalej był pokój zaciszniejszy, do którego się schodziło parę wschodów, bo ta część domu starsza jeszcze była od owój, w której kasztelana pomieszczono. Sala i pokój zwały się nawet przybudówka.

Była to komnata dla gości, przybrana w sprzęt nieco wytworniejszy, kilka obrazów zezerniałych i trochę kwiatów; za nią terazniejszy pokój jadalny widać było... stół nakryty... miejsce dla starca krzesłem wygodniejszém oznaczone.

Za drugimi drzwiami otwartymi w pokoju sypialnym wojskiego, kręciło się kilka osób... Tam aż poszedł kasztelan... i w progu zdziwiła go uroczą pięknosci dziewczynka młodziuchna, w towarzystwie podżyłej osoby, krzątająca się około staruszka. Właśnie mu z uśmiechem podawała jego kosztur, gdy kasztelan się ukazał.

— Ot patrz aś, jak to ten trzpiot, panna Magdalena... a my niby lat już szesnaście, choć takie z niej dziecko... prezentuje się panu... żartując sobie ze staro dziadunia... Ślicznie! ślicznie! co to ludzie pomysła, widząc cię bawiącą się z podporą mojego niedoleżstwa z kijem? Dawaj-no acanna mój dziadowski kosztur, dawaj, bo bez niego nie wstanę.

Madzia postrzegłszy wchodzącego kasztelana, o mało nie upuściła kija z rąk; zapłoniła się strasznie, zaśmiała i uciekła do kącika.

— Ponieważ już — rzekł wojski — ten trzpiot się zaprezentował z całém swém trzpiotowstwem od razu, dopełnię ceremoniału przedstawiając WPana pannie Katarzynie Smolskiej, naszój kuzynce i dobrodziejce,

która oto tego wisusa dziewczynę tak źle wychowała... Ale ona temu nie winna, bo się to już na lotrzyka urodziło.

— Ale dziaduniu! szepnęła rumieniając się jasnowłosa.

— Tak! tak! chciałabyś się acanna przed nieznanym krewnym zamaskować i udać coś pocziwego; ale to nie uda się... nie uda: od razu wie już co z ciebie za rybka.

Panna Smolska poważna do zbytku, sztywna, sucha, żółta, straszna jak długo kwaśniejaca w panieńskim stanie osoba... dygnęła kasztelanowi; dzieciak zarumieniony zbliżył się także, a wojski ujawszy kij, poprowadził do stołu, przed którym stał już Ojciec Anioł Bernardyn, kapelan domowy. Nastąpiła benedykeya stołu, i wszyscy usiedli. Wojski w swojem krześle, przy nim po prawej panna Katarzyna, po lewej pan Adam, przy pannie Smolskiej Madzia, przy kasztelanie ksiądz, naostatek ekonom zamaszysty, siwiejący, ale rumiany mężczyzna.

Będąc umieszczony naprzeciw Madzi, kasztelan mógł się wielce wdzięcznemu dziecku przypatrzeć. W istocie, ładna była na podziw, ale tą pięknoscią wiejską, prostą, wonną, wiosenną, jakiej pan Adam prawie dotąd w życiu nie spotykał. Była ona dla niego nowością, dzikim kwiatem na łące, oblanym rosą poranną i wykwitłym na świeżem powietrzu.

Piękne regularne rysy dziewczęcia oblewał wyraz niewinnego wesela, który się nie spotyka w miastach nawet na twarzach czternastoletnich panienek, już bogatych w doświadczenie, już osmutniałych i pobladłych, bez świeżości i kraszy. Madzia wprawdzie przy swych latach szesnastu była na umyśle dojrzałą i rozwiniętą, ale nie kosztem serca i uczucia, które

w niej jeszcze pozostało nietknięte. Umysłowi nawet jęj ta młodocianość i naiwność nadawała pewną cechę oryginalną, wielce ujmującą. Ukryta w tym kątku wiejskim, przywykła do dziadunia i swęj panny Katarzyny, nie znając świata i form jego, resztę też ludzi nawykła tak uważać i tak się z nimi obchodzić, jak z rodziną.

Na kasztelanie to białoróżowe zjawisko uczyniło wrażenie dziwne, jakby nieprawdopodobna sielanka poety; patrzył na nią zdumiony... Wkrótce jednak poważniejsze a smutniejsze myśli odciągnęły go od tego widoku, przenoszącego w świat dla niego nieznaną, przypominającego mu jeszcze lata szkolne i te dziewczątka, które naówczas spotykał z uśmiechem na ustach na ulicach miasteczka. Począł przypominać sobie, ile przeżył? co nad nim ciążyło? i rany serca otwarły się na nowo. Obiad przeszedł w milczeniu, które tylko gawęda wojskiego z Bernardynem przerywała. Mówili o tysiącu rzeczy obojętnych, powszednich, które sobie tysiąc razy może w różny sposób powtórzyli, a które dla nich zawsze były zajmujące.

Madzia jak w tęczę wlepione miała oczy w kasztelana... Doleciały do niej dziwne wieści o tym człowieku, podслуchała szeptu o nim staruszka i panny Smolskiej, i patrzyła nań z jakimś strachem, ale razem z zajęciem wielkiem. Po obiedzie dziaduś się zdrzemnął, a kasztelan cicho odszedł do swego pokoju... Wieczorem przyszedł na wieczerzę... ale choć dziewczę przypatrywało mu się... ani on do niej, ani ona do niego przybliżyć się nie śmiała.

Spokój wiejski wkrótce wzburzoną ukolysał duszę... Kasztelan uczuł się prawie szczęśliwym wśród tęj ciżby; długie dni spędzał na myślach o życiu własnym,

a wreszcie wziął się do książek, których cała szafa stała w jego pokoju. Księgi to były po większej części stare polskie i łacińskie, do jakich on nigdy w życiu nie zaglądał, z rodzaju tych, które za Stanisława Augusta wyrzucano z bibliotek modnych dla opróżnienia miejsca na Encyklopedyę i romanse francuzkie, a które dziś na wagę złota się oplacają. Nie smakował w nich kasztelan, ale nuda zmusiła go zapoznać się z niemi i poważniej myśleć czytając.

Tak przeszedł czas aż do chwili, w której mu doniesiono, że pani Krystyna zmarła, i że testament jęj czynił go częścią majątku pozostałego dziedzicem. Ani na chwilę nie zawahał się pan Adam z odrzuceniem tego daru, zgodził się tylko, aby w zamian za niego familia postarała się o nowe przesądzenie jego sprawy i odwołanie wyroku wiszącego nad jego głową. Rodzina ofiarowała sama przez pewną dość znaczną sumę dodatkową, niby wartość dóbr, które przy sobie zatrzymać pragnęła, aby kasztelan podziękował, zapewniając, że nie od nich nie przyjmie.

Tak odzyskawszy wolność, pan Adam, gdy już mógł opuścić dom wojskiego, pozostał w nim jednakże na dłużej. Panna Smolska uśmiechając się czyniła uwagę, że spoglądała bardzo na Madziunię. Chociaż był wdowcem i różne o nim wieści chodziły, a panienska mogła się młodszego męża i kawalera spodziewać, jakoś na to niezbyt niechętnie poglądano. Wojski milczał, gdy go o to zręcznie zaczęła panna Smolska, tymczasem człowieka badał. Nie wiem na jakich podstawach odparł swój sąd o nim; lecz jednego ranka gdy panna Katarzyna, siadłszy blisko przy fotelu staruszka, szepnęła mu na ucho:

— Mój mości dobrodzieju, niech-no pan dobrze się

przypatrzy, on i tój dziewczyninie powoli głowę zawraca! Widzę jak Bóg miły że ona z niego oczu nie spuszcza; pobladła, a dopytuje tylko kiedy myśli odjeżdżać? Nie zarzucę ja panu kasztelanowi, żeby się o bałamucenie starał, ale czasem od takich ludzi i spojrzenie niebezpieczne...

— Co to asindzka nazywasz: takich ludzi? ozwał się po chwili wojski surowo. Kasztelan miał młodość burzliwą, no tak, ale na mężów i gospodarzy często ludzie, co różne i ciężkie koleje przeszli, są najlepsi: garnki to wygotowane, od pierwszego ukropu nie pękają. Nie jest też tak stary, sam wiek właściwy do małżeństwa. Był trochę płochym, ale w oczach się zsiada. Patrz tylko asindzka z dnia na dzień, co dzień inny: pokazał się szlachetnie z sukcesorami swęj nieboszczki żony.

— Ale wdowiec mój mości dobrodzieju... a to dziewczka.

— Dalipan to przesąd, moja dobrodziejko — rzekł wojski, — i gdybym się nie obawiał jęj zarumienić — dodał — powiedziałbym, że wszyscy kawalerowie, co się żenia, są nieraz po dwa i trzy razy wdowcami, choć wy o tём nie wiecie, i świat udaje, że nie wie. Zresztą — dorzucił stary — ani temu przeskadzać, ani do tego nakłaniać nie należy; stanie się jeżeli taka wola boża, lub się nie stanie. My możemy ignorować, i powinniśmy udawać, że się nic nie wie. Co się tyczy Madzi, jeżeli to tylko fantazja dziecinna, to po wyjeździe kasztelana.... zapomni. Śpij asindzka spokojnie.

Po kilku dniach kasztelan serdecznie podziękowawszy za przytułek, wyjechał do Wólki Brzozowej, gdzie go przeprowadził przybyły po niego pan Baltazar,

a szlachta z całego sąsiedztwa zgromadziła się na przyjęcie. Pomimo tak mnogiego towarzystwa, smutny to był wjazd do tój pustki pełnej dotkliwych, bolesnych wspomnień; a gdy p. Adam wszedł do pokoju, w którym wisiał Chrystus, lży mu pod powiekami zabłysły. Za niego i za siebie wesół był Jermaszka, który jak utrzymują, dnia tego w dziedzińcu z kuchnikiem obertasa dwa razy się okręcił. Stary przyjaciel domu Dyogenes Kapustyński przybył tu także ze skrzypką, uśmiechnięty poważnie, ale mimo tego z tęsknotą na czole, którą je wspomnienia powlekły.

Dzień to był dla Wólki zaprawdę uroczysty i pamiętny, ta installacya nowego dziedzica, niedawno ztąd wiedzionego na śmierć, teraz spokojnie zajmującego starą dziadowską siedzibę. Kasztelan wczasie całego dnia dziwnie był smutny, rozplakał się do łez dziękując krewnym i przyjaciółom, którzy go ocalili, poczem nalał kieliszek i poleciwszy przywołać Jermaszkę, odezwał się w te słowa:

— Panowie a bracia, pozwólcie, abym oddawszy wam wdzięczność i cześć należną, wypił za zdrowie przyjaciela, który mnie nie odstąpił w nieszczęściu który mi był bratem gdym brata nie miał, radą gdym został bez rady; dobroczyńcą, co dla mnie narażał się, cierpiał i któremu winien tyle co i wam... Sprawiedliwa rzecz...

— Sprawiedliwa i pocziwa! ozwali się wszyscy.

Kasztelan podszedł do Jermaszki, ucałował go i uściskał, i do stołu na szarym końcu posadził. Nie potrzebuję mówić, że Jermaszka się upłakał, padł mu do nóg, a z miejsca wkrótce wstawszy, poszedł stać za krzesłem swojego drogiego pana.

Przemawiał od kielicha i Kapustyński z długą pe-

rorą, i pan Baltazar, i starosta hański, a jak to u nas nieraz bywało, ba i dziś się dzieje, poszły kielichy kołem jedne po drugich aż do białego dnia.

Pozostawszy sam kasztelan, po tygodniu smutnych rekolekcyj, które tylko Jermaszka i Baltazar nieco ożywiali, puścił się za Bug do pana wojskiego, gdzie go z wielką przyjęto radością.

— Szanowny ojczy, jeśli mi cię tak nazywać wolno—odezwał się p. Adam do niego—pragnąłbym mieć twe zdanie i radę do dalszego pokierowania się na świecie. W Wólce, gdzie tyle wspomnień bolesnych mieszkasz ze mną, pozostać mi trudno.

Starzec zwrócił ku niemu oczy.

— Hm! ozwał się—wszakże siedzimy na grobach, to dola człowieka.

— Życie też—mówił dalej p. Adam—nie w smak mi, nie wiem co począć z sobą. Zda mi się, że kto jak ja nieszczęśliwie sobie poczynił, kierując się własną wolą, ten się jój wyrzecby powinien. Umyśliłem wstąpić do klasztoru.

Wojski uczynił taką minę, jakby go to dotknęło niezmiernie.

— Co asindziej mi prawisz, panie kasztelanie? rzekł—co? co? Do klasztoru waćpan?

— Ale dla czegożby nie? rzekł p. Adam. Wiadomo, że z takich to rozbitków złożone są monastera, i zawsze były schronieniem rannych na duszy.

— Ono to tak! ono to tak! zawołał wojski stukając koszturą—ale... ale... nim się zakapturzy, potrzeba się dobrze z siłami rozrachować.

— Jam się też rozmyślił, rozważył i zbadałem serce moje: nigdzie mi lepiej być nie może.

— Ba! a ja myślałem—rzekł wojski—iż się asindziej ożenisz?...

— Nie, odezwał się kasztelan: nie chcę niewinnej kobiety czynić współuczestniczką resztek życia, uczucia, zgryzot moich, smutku... Onaby poświęcić się mogła, ale byłaby nieszczęśliwa ze mną.

— Kto to asindziejowi powiedział?

— Sumienie, panie wojski! sumienie.

— Chcesz Wpan rady mój — przerwał starzec — prawda? a posłuchasz jój?

— Posłucham.

— Otóż ci powiadam: rok masz czekać jeszcze, jeździć, patrzeć, z ludźmi żyć,—a po roku, gdy ci się spodoba klauzura i tonsura... a no! niech się stanie wola boża, ja ci nie nie powiem.

Kasztelan przyzwolił na to milczenie.

Chociaż część życia pana Adama O..., której dotykamy teraz, jest nieco bliższa naszych czasów, braknie nam jednak dokładniejszych o niej wiadomości. Opowiadania, na których się opieramy, nagle przerywają się, stają wątpliwe, nawet sprzeczne z sobą.

Po mnogich latach widzimy Wólkę Brzozową w posiadaniu innej linii rodziny O... trzymają ją bratanek pana Adama, syn starszy pana Kaspra. O kasztelanie ani słycho. Tymczasem z dosyć pewnych źródeł widzimy, że się ożenił z panną Magdaleną ale jak wskazują metryki kościelne, żona mu bardzo prędko, bo w rok po ślubie zmarła; a w Berezie u Kartuzów wkrótce potem zjawił się nowicyusz, którego po cichu w okolicy wymieniano jak dawnego dygnitarza i kasz-

telana. Nie ma więc wątpliwości prawie, że to być musiał pan Adam, który w stracie młodej żony widząc palec boży, wybrał najsurowszą regułę zakonną, aby za grzechy młodości odpokutować. Niedostatek szczegółów nie pozwala nam nie więcej o dalszych losach rodziny powiedzieć. Z podań, które na ruinach Berezy Kartuskiej jeszcze przed niedawnymi laty obiegały, wiemy, że ojciec Romuald w późnej umarł starości, i że obok domku, w którym spędził lata ostatnie, żył także drugi zakonnik jednocześnie z nim przybyły, towarzysz doli jego i niedoli. Domyslamy się w nim pocziwego Jermaszki. Grobowce obu zieliskiem dziś i chwastami porosły; w okolicy wszakże krążą dotąd opowiadania dziwne o losach O. Romualda i Brata Brunona, z których tę powieść skłeciliśmy.

K O N I E C.

SPROSTOWANIE.

W tomie pierwszym, w opowiadaniu *Rzym za Nerona*, na str. 128: powtórzone przez omyłkę za pierwszym wydaniem: „Tezeusza i Andromedy,” powinno zaś być: „Perseusza.” Podobnież w końcu dzieła, zamiast mylnie powtórzonego za pierwszym wydaniem, „Lueyusz,” powinno być: „Leliusz.”

